

BYĆ REGIONALISTĄ

INSPIRACJE, AUTODEFINICJE, PERSPEKTYWY





INTERDYSCYPLINARNY
ZESPÓŁ BADANIA WSI UŁ

BYĆ REGIONALISTĄ
INSPIRACJE, AUTODEFINICJE, PERSPEKTYWY

POD REDAKCJĄ DAMIANA KASPRZYKA

ŁÓDŹ 2014



Interdyscyplinarny Zespół Badania Wsi
Wydział Filozoficzno-Historyczny, Uniwersytet Łódzki
90-236 Łódź, ul. Pomorska 149/153, pok. A 211/1
tel. 42 635 61 59, <http://www.zw.uni.lodz.pl>
damian.kasprzyk@uni.lodz.pl



RECENZENCI

prof. dr hab. Cezary Obracht-Prondzyński (Uniwersytet Gdański)
dr hab. Stanisław Węglarz (Uniwersytet Śląski)

SKŁAD I ŁAMANIE

Tomasz Pietras

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ

Damian Kasprzyk

Na okładce oraz na stronach 1, 15, 26, 36, 88, 106, 132, 172, 177 i 261 wykorzystano fotografie autorstwa Andrzeja Białkowskiego, na stronach 68, 96, 196, 207, 246, 256, 268 – Damiana Kasprzyka a w artykułach – materiały nadesłane przez autorów

© Copyright by Interdyscyplinarny Zespół Badania Wsi UŁ, Łódź 2014

Wydanie I

ISBN 978-83-932014-8-8

Druk:

PHU „Multikram” K. Tuchalska
87-500 Rypin, ul. Mławska 20D
tel./fax 54 280 22 06

SPIS TREŚCI

<i>Czytając regionalistów... (Damian Kasprzyk)</i>	7
--	---

W ODPOWIEDZI NA APEL...

Małgorzata Wabik , <i>„Drzewo umiera...”</i>	17
Teresa Juraszek , <i>Quo vadis regionalisto?</i>	27
Andrzej Latos , <i>Moja przygoda z regionalizmem</i>	37
Leszek Orłowski , <i>Regionalizm jako tęsknota intelektualna</i>	51
Paweł Anders , <i>Moja praca dla Wielkopolski</i>	69
Paweł Pierściński , <i>Pochwała krajobrazów</i>	79
Maciej Andrzej Zarębski , <i>O obecnej sytuacji w polskim regionalizmie</i>	83
Bronisław Sroka , <i>Regionalizm – jak to rozumieć?</i>	89
Hieronim Woźniak , <i>„Przystac” żywieckim regionalistą</i>	97
Jolanta Załączny , <i>Od nauczyciela do badacza historii regionu. Zapiski regionalisty</i>	107
Zbigniew Kiełb , <i>Historia stała się częścią mojego życia</i>	119
Andrzej Kansy , <i>Jestem tutaj</i>	133
Halina Biały , <i>Kultywowanie tradycji regionu na przykładzie Michałowa w województwie świętokrzyskim</i>	137
Michał Adam Pająk , <i>Tam gdzie biją lubocheńskie dzwony</i>	149

Eugeniusz Pędłowski , <i>Regionalizm z wikliną w tle</i>	157
Henryk Makowski , <i>Regionalizm w rolnictwie</i>	169
<i>Nakło – moje miasto, moja pasja</i> (z Edmundem Lepakiem rozmawia Anna Sergott)	173

POSŁOWIA

Janusz Tomczak , <i>Regionalizm koncesjonowany. Studium ze szczególnym uwzględnieniem Śląska</i>	179
Michał Suszczewicz , <i>Region czy lista?</i>	189
Patrycja Kuczyńska , <i>Przeżywając zawody, czyli ginące zawody na Kurpiach</i>	197

MŁODZI ETNOLODZY O SWOICH „MAŁYCH OJCZYZNACH”

Karolina Wanda Rutkowska , <i>Pod osiemnastym</i>	209
Jan Mikinka , <i>W poszukiwaniu własnego miejsca – małe ojczyzny w globalnej wiosce</i>	211
Adam Szajder , <i>Moje dwie małe ojczyzny</i>	221
Adrian Pietrzak , <i>Tuszyn – miasto mojego dzieciństwa</i>	227
Magda Makuch , <i>Łódź – moja mała ojczyzna</i>	231
Karolina Melon , <i>Olechowskie wspomnienia</i>	237
Anna Barczyk , <i>Moje osiedle Olechów</i>	243
Kinga Brzezińska , <i>Widzew-Wschód. Moje miejsce w wielkim mieście</i>	247
Sylwia Mądro , <i>Moja Dębica – subiektywne spojrzenie na miasto</i>	251
Anna Rogalska , <i>Jest takie miejsce, gdzie czas płynie inaczej</i>	257

ANEKS

Apel do regionalistów	263
Bibliografia	265
TO BE A REGIONALIST	269
EIN REGIONALIST ZU SEIN	271
ETRE RÉGIONALISTE	273
BÝT REGIONALISTOU	275

CZYTAJĄC REGIONALISTÓW...

Byc regionalistą... to ostatnia część tryptyku, na który składają się – oprócz prezentowanego – wydane wcześniej zbiory: *Ja – regionalista. Refleksje, stanowiska, komentarze*, Łódź 2010 oraz *Kim jesteś, regionalisto? Sylwetki, opinie, diagnozy*, Łódź 2012. Kwestie stanowiące inspiracje dla zrealizowanego w ten sposób badawczo-wydawniczego przedsięwzięcia można sformułować następująco: Co oznacza dzisiaj regionalizm? Co to znaczy być dzisiaj regionalistą? Kiedy i dlaczego ktoś się nim staje? Nietrudno przewidzieć, że odpowiedzi na te pytania muszą być skomplikowane, o ile w ogóle możliwe, szczególnie w kontekście płynności, zmienności i sieciowości zjawisk współczesnego świata. Sami regionaliści to zresztą ludzie w różnym wieku, o rozmaitych zainteresowaniach, doświadczeniach, rodowodach intelektualnych i sympatiach politycznych. Uprawiają, praktykują, krzewią, wyznają (zwróćmy uwagę na różnorodność perspektyw czynnościowych) regionalizm – onegdaj względnie spójną ideę, dosyć precyzyjnie pozycjonowaną szczególnie w wymiarze ruchu społecznego, często w Polsce podporządkowaną pewnym określonym celom narodowym lub państwowym, dziś swobodnie zawłaszczaną przez realizatorów rozmaitych projektów z obszaru edukacji, animacji kulturalnej, marketingu terytorialnego, administracji, polityki, turystyki itp. Trudno w obliczu takiego splotu czynników liczyć na odnalezienie wyraźnych rysów spójności znaczeniowej. Teksty zgromadzone w tym i poprzednich tomach dają jednak nadzieję, że na postawione wyżej pytania uda się znaleźć wiążące odpowiedzi. Nadzieja ta bierze się z faktu, że pytania zadano bezpośrednio regionalistom, ci zaś – sięgając po różne formy wypowiedzi – zechcieli podzielić się swoimi refleksjami wynikającymi z osobistych doświadczeń.

Zasadniczą część zbioru otwiera wypowiedź stanowiąca swoistą laudację dla kultury ludowej. Autorka – Małgorzata Wabik, postać niezwykła z uwagi na swoje pasje a jednocześnie umiejętność wnikliwego, wieloaspektowego

spojrzenia na przedmiot własnych fascynacji – ukazuje kulturę ludową przede wszystkim jako obszar doświadczania i przeżywania. Zdaje sobie sprawę, że kultura ludowa to zmitologizowany konstrukt ale nie chce z tym polemizować, apelując:

Proszę tylko, nie próbujcie mnie zdefiniować, nie ujmujcie w ramki pojęć i przepisów, ale pozwólcie żyć tym, co nadaje sens mojemu istnieniu. Nie urządźcie konferencji naukowych, na których wielcy teoretycy rozkładają na czynniki pierwsze to, czego rozerwać się nie da, ale co trzeba pielęgnować (...). Regionalista po prostu żyje tym, co jest w nim, ale wyrasta z tego, co wokół niego... żyje tradycją i tworzy dla niej, kreując nową rzeczywistość nierozzerwalnie wchłaniającą przeszłą kulturę dla ubogacenia kultury teraźniejszej. Kultura – to właściwe i jedyne chyba słowo stanowiące podstawę teoretycznego podejścia do regionalizmu niezależnie czy będziemy je postrzegać w kontekście całego regionu, czy w wymiarze miejscowym.

Autorka wie, że poprzez działania, które określa jako „pielęgnacyjne” (sama zajmuje się twórczością rękodzielniczą, spełnia się także jako poetka), kreuje nową jakość. Jednak sprawą kluczową jest dla niej świadome, konsekwentne, uparte, pełne aksjologicznego namysłu osadzenie i czerpanie z „ludowej kultury bobreckiej”. Charakterystyczne, że ów regionalistyczny upór M. Wabik wyprowadza wprost z etosu chłopskiego.

Zacytujmy w tym miejscu opinię współczesnego badacza:

Myślenie o kulturze ludowej jako o zasobach treści służących rozumieniu świata tradycyjnego, nie jak o micie może jednak służyć zrozumieniu nie tylko dawnego ale także współczesnego zjawiska lokalności. Przy założeniu, że treści kultury opisują *Lebenswelt* każdego człowieka, że stanowią dla niego podstawową i będącą w zasięgu ramę znaczeń konstytuujących jego świat, ważnym staje się dla badacza poznanie sensów, do których badani odnoszą swe działania podejmowane zawsze w biograficznie zdeterminowanej sytuacji. Gdy działania nakierowane są na ich lokalność, gdy w konstruowaniu własnego świata istotna staje się sfera lokalności, jej uczestnicy sięgają po treści tradycyjne, „ludowe”, wyodrębniające świat lokalny z ogółu rzeczywistości¹.

¹ P. Schmidt, *Kultura zwana ludową. Martwe pojęcie czy perspektywa badań lokalności*, [w:] *Nie tylko o wsi... Szkice humanistyczne dedykowane Profesor Marii Wieruszewskiej-Adamczyk*, pod red. D. Kasprzyka, Łódź 2013, s. 257.

Przywołana tu myśl wydaje się cenna, ze względu na kilka poruszonych w niej zagadnień posiadających wymiar uniwersalny. Po pierwsze, treści tradycyjne mogą być także związane z historią regionu, jego zapleczem instytucjonalnym, walorami przyrodniczymi itp. W działaniach nakierowanych na lokalność pozwalają one równie skutecznie jak „kultura ludowa” wyodrębnić własny świat z ogółu rzeczywistości. Wszak regionaliści – choć regionalizm istotnie kojarzony jest często z etnografią – to nie tylko pasjonaci folkloru i ludoznawcy². Po drugie to, czy chcemy budować własny świat w oparciu o sferę lokalności i w jaki sposób to czynimy, jest każdorazowo zdeterminowane biograficznie. Przekaz rodzinny, spotkanie na swojej drodze nauczyciela-regionalisty, „odkrycie” (czasem zupełnie przypadkowe) śladów pewnych wydarzeń z przeszłości okolicy, zachłyśnięcie się miejscowym folklorem – to tylko niektóre z możliwych osobistych przeżyć mogących mieć wpływ na przyjęcie strategii wyodrębniania własnego, wewnętrznego świata w ścisłej i świadomej symbiozie z najbliższym otoczeniem – jego dziejami, tradycjami, symbolami.

Wracając do zawartości prezentowanego zbioru, warto wspomnieć, że na tradycyjne elementy kojarzone z kulturą ludową (gwara, strój), jako wyznaczniki lokalności i na wyzwania jakie stoją przed regionalistami w dziele zachowania tak pojmowanego dziedzictwa dla przyszłych pokoleń, zwraca uwagę Teresa Juraszek. Z kolei Jolanta Załęczny i Zbigniew Kiełb wyraźnie zafascynowani są regionalną historią. Na jej gruncie realizują się społecznie i zawodowo. Szereg tekstów ukazuje jak różnorodnie są regionalistyczne inspiracje, innymi słowy, w jak odmiennych dziedzinach można stać się spełnionym regionalistą. Dla Pawła Andersa to publicystyka krajoznawcza, dla Pawła Pierścińskiego – fotografia, dla Michała A. Pająka – kolekcjonerstwo etnograficzne i amatorski teatr, dla Leszka Orłowskiego – praca z młodzieżą w Sandomierzu, symbolicznym miejscu polskiego regionalizmu. Halina Biały i Eugeniusz Pędłowski, postanowili zaprezentować walory miejscowości z którymi się identyfikują oraz przedstawić instytucje, które skupiają ich miłośników. Z kolei Hieronim Woźniak i Andrzej Kansy opisali swoje wrastanie w nowe środowiska, ukazując proces jak krok po kroku,

² Także i pozaludowe treści podlegają zabiegom mityzacji. To dość charakterystyczne zjawisko w procesie pozytywnego wartościowania najbliższego otoczenia. Jest ono istotne i atrakcyjne z badawczego punktu widzenia, jednak pozostawmy je poza głównym nurtem wstępnych rozważań.

z anonimowych przybyszów, stawali się regionalistami. Oryginalne rozważania na temat regionalizmu zaprezentował Henryk Makowski. Apeluje on mianowicie o regionalne traktowanie polskiego rolnictwa – z poszanowaniem lokalnych specyfik produkcyjnych, tradycji hodowlanych i różnorodności upraw. Uwagi autora wpisują się w prowadzoną przez socjologów wsi dyskusję na temat dewastacji polskiego rolnictwa. Proces ten charakteryzuje się upadkiem małych i średnich gospodarstw rodzinnych w wyniku ekspansji międzynarodowych korporacji aktywnych w branży masowej produkcji żywności. Firmom tym zależy na zminimalizowaniu liczby podmiotów działających na rynku. Wykorzystując luki w prawie, dokonują one wykupu wielkich połaci gruntów, decydując tym samym o profilu produkcji rolnej³.

Kilka wypowiedzi (Andrzeja Latosa, Macieja A. Zarębskiego, Bronisława Sroki) zawiera pełne żalu i goryczy opinie na temat pogarszających się – zdaniem autorów – warunków uprawiania regionalizmu w wymiarze stowarzyszeniowym. A. Latos z Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Kutnowskiej określa dzisiejsze czasy „erą wzmożonej biurokracji”. Wyznaczają ją kolejne nowelizacje przepisów prawnych, mnożące i komplikujące obowiązki sprawozdawcze natury merytorycznej, finansowej i statystycznej. Wprowadza to coraz więcej nerwowości a czasem i zniechęcenia wśród działaczy. Autor przywołuje sytuację, kiedy to do każdego z członków zarządu stowarzyszenia dotarło pismo z sądu, grożące sankcjami karnymi, za nieterminowe zgłoszenie zmian personalnych w zarządzie.

Byłem zdumiony – pisze A. Latos – ja, który z własnej woli, ze szlachetnych pobudek, poświęcam swój prywatny czas i umiejętności dla dobra innych, jestem potraktowany jak potencjalny złoczyńca (...). Pierwszy raz moja działalność regionalisty sprawiła mi przykrość. Nigdy dotąd nie karany, teraz, przez nadmiar dobrych intencji, mogę „zapaskudzić” sobie czystą kartotekę obywatela tego kraju. Dokąd płynie ta niegdyś przyjazna rzeka?

Czy tego typu zwierzenia wymagają jakiegokolwiek komentarza? Jednak obok tych niepokojących sygnałów antropolog nie może przejść obojętnie. Czy organizacje regionalistyczne nie powinny zostać objęte innymi – uproszczonymi przepisami? Przecież urzędnicy i społecznicy pracują nieraz po sąsiedzku. Niestety wypowiedzi innych regionalistów każą przypuszczać,

³ Por. m.in. K. Romaniszyn, *Rolnictwo w McŚwiecie*, [w:] *Nie tylko o wsi...*, dz. cyt., s. 61–88.

że problem ma charakter nie lokalny a systemowy. Przytłaczająca biurokracja utrudnia proces kreowania społeczeństwa obywatelskiego i budowania kapitału społecznego.

W części zatytułowanej *Posłowania* znalazły się teksty nadesłane przez autorów, którzy publikowali już swoje wypowiedzi w poprzedniej edycji projektu. Tytuł tej części książki jest całkowicie uzasadniony. Autorzy, ogólnie rzecz biorąc, kontynuują bowiem swoje poprzednie rozważania, rozwijając poboczne wątki, przyglądając się baczniej ledwie zasygnalizowanym wcześniej kwestiom. Janusz Tomczak zwraca uwagę jak krzywdzące a zarazem trwałe są dominujące w kraju stereotypy Śląska, jako dzielnicy patriotycznie niepewnej, politycznie podejrzanej, traktowanej z nieufnością i niezrozumieniem. Jak to zwykle bywa, źródłem tego typu uprzedzeń jest brak wiedzy na temat skomplikowanych dziejów tej ziemi i losów ludzi ją zamieszkujących. Patrycja Kuczyńska odsłania przed czytelnikami epizody świadczące o zakorzenieniu jej rodziny w kulturze i tradycjach kurpiowskich, zaś Michał Suszczewicz zwraca uwagę na rzecz niezwykle aktualną – dramatyczny nieraz wybór przed jakim stają młodzi ludzie, silnie związani z macierzystymi regionami – wyjechać czy zostać? Tajemnicza „lista” w tytule jego artykułu, to lista osób emigrujących w poszukiwaniu zatrudnienia lub lista obecności w pracy z dala od rodzinnych stron, choć tak wiele jest do zrobienia na miejscu.

Zbiór zawiera także część zatytułowaną *Młodzi etnologowie o swoich „małych ojczyznach”*. Zebrane tu teksty powstały w ramach zajęć z *Regionalizmu*, prowadzonych w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej UŁ. Wypowiedzi te okazały się na tyle interesujące, iż postanowiono (uzyskując akceptację autorów) umieścić je w prezentowanym tomie.

Młodzi ludzie kreślą nostalgiczne, czasoprzestrzenne mapy swoich „małych ojczyzn” lokowanych w łódzkich dzielnicach bądź rodzinnych miejscowościach, z których przyjechali na studia. Podążając tropami Michaiła Bachtina można, w tych opisach-wspomnieniach, dostrzec chronotopy dziecięcych zabaw, w których znaczenia nabierają intymne i swoiście liminalne przestrzenie zamknięte dla dorosłych⁴. Place zabaw, własne i sąsiednie podwórka, osiedlowe trzepaki, rury ciepłownicze, niepilnowane budowy,

⁴ Por. A. Krupa-Lawrynowicz, *Bałuckie chronotopy. Opowieść o łódzkiej dzielnicy*, seria wyd. „Łódzkie Studia Etnograficzne”, tom 52, Wrocław-Łódź 2013, s. 136–147.

opuszczone sady stają się „oknami na świat”, zarówno ten realny jak i fantastyczny. Charakterystyczne, że nawet bolesna kontuzja doznana podczas zabawy lub uczucie przerażenia towarzyszące ucieczce z zakazanego miejsca pozbawione jest w dzisiejszych narracjach jakiegokolwiek traumy.

Choć konsekwentne zestawianie „małej ojczyzny” z okresem beztroski jest znaczące, to jednak nie tylko o grach i zabawach piszą młodzi etnolodzy. Starają się oni dookreślić punkt, w jakim znajdują się obecnie, zastanawiają się również co czeka ich w przyszłości. Deklarują przy tym, że nostalgiczne powroty do miejsc i czasu dzieciństwa budują ich obecną tożsamość. Dzięki przelany na papier słowom, nić sensu łącząca to co minęło, z tym co jest i z tym co będzie, staje się dostrzegalna. Sylwia Mądro, choć nie jest pewna czy będzie w przyszłości mieszkać w Dębicy, z której pochodzi, twierdzi jednak:

Miejsce to (...) pozwala mi odpowiedzieć na pytanie „skąd przyszłam” i „kim jestem” (...). Mam poczucie emocjonalnej wspólnoty z tym terenem i ludźmi, czuję, że gdzieś należę.

Adam Szajder otwarcie deklaruje przekonanie, że przywołane w tekście doświadczenia „na zawsze” pozostaną podstawą jego tożsamości. Natomiast identyfikujący się z Tuszynem Adrian Pietrzak chce, żeby to miejsce „wpłynęło pozytywnie na życie kolejnych pokoleń”.

Można rzecz jasna zadać pytanie, na ile młodzi etnolodzy (słuchacze studiów magisterskich posiadający już dyplomy licencjata), budują obrazy swoich „małych ojczyzn” inspirowani treścią wykładów i (również tych obowiązkowych) lektur? Zapewne ma to znaczny wpływ. Niemniej jednak nie odnoszą się do zagadnienia w jednakowy sposób. Podejmują indywidualne i odmienne próby interpretacyjne, których zestawienie daje momentami efekt niezamierzonej przez autorów polemiki. Jan Mikinka koncentruje się na przestrzeni pisząc:

Zazwyczaj potrafimy wyodrębnić i wskazać więcej, niż jedno miejsce, będące dla nas silniejszym, lub słabszym centrum. Jesteśmy w stanie wyróżnić centrum własnego miasta, kraju, ale także centra o charakterze bardziej indywidualnym, osobistym, jak dom rodzinny, ulubiona ławka w parku, lub mała kawiarnia, w której co tydzień, od kilku lat zdarza nam się pić gorącą czekoladę. To właśnie z tych naszych indywidualnych i osobistych miejsc budujemy obraz „małej ojczyzny”.

Z kolei Adam Szajder wypowiada się o swoich miejscach w sposób następujący:

Zadecydowali o nich ludzie, którzy te poszczególne przestrzenie namaścili swoim w nich byciem. Jestem przekonany, że przywiązanie, a nawet miłość do jakiegoś miejsca jest wtórna względem przywiązania, a nawet miłości do konkretnych, ważnych dla nas osób i wspomnień z nimi związanych.

Niezależnie jednak od stanowisk przyjętych przez poszczególnych autorów, omawiane tu wypowiedzi posiadają wyraźnie oikocentryczny rys. W centrum „małych ojczyzn” zawsze jest rodzinny dom (niezależnie czy mowa jest o miejscu czy o ludziach). To od niego rozchodzą się – niczym fale na wodzie – kręgi poznania i doświadczenia.

W dojrzałych wypowiedziach młodych autorów obecna jest także świadomość złożonych relacji między ojczyzną małą (najbliższą) a tą ideologiczną (narodową). I tu znaleźć można odmienne opinie, co nie powinno dziwić, bo urok (choć zrazem i problem, na przykład dla wszystkich marzących o krytycznych analizach) myślenia, pisania i mówienia o „małych ojczyznach” polega na tym, że poszczególne stanowiska trudno jest interpretować sięgając po opozycje: racji – niedorzeczności; prawdy – fałszu; truizmu – złotej myśli. Każdy trop w tego typu deklaracjach jest znaczący. Nie można też stwierdzić, że wszystko w tej materii zostało powiedziane. Dynamika kultury każe stale i uważnie wsłuchiwać się w narracje poświęcone „małym ojczyznom”. W obrazach tych dostrzec można nie tylko nostalgicznie odmalowaną przeszłość ale także odbicie nadziei i lęków współczesnego świata.

Trudno nie oprzeć się wrażeniu, że pisanie, szczególnie o tych nie tak znów odległych choć bezpowrotnie minionych latach beztroski, sprawiało autorom przyjemność. Jak bowiem wyjaśnić fakt sięgnięcia przez Karolinę Wandę Rutkowską po formę poetycką? Johan Huizinga określa wszak poezję mianem „pierwotnej krainy” zrodzonej w sferze ludycznej i niezmiennie w niej pozostającej, znajdującej się poza granicami powagi, w obszarze marzeń, upojenia i śmiechu⁵.

⁵ J. Huizinga, *Homo ludens. Zabawa jako źródło kultury*, przeł. M. Kurecka i W. Wirpsza, Warszawa 1967, s. 172.

Na zakończenie oddajmy głos młodym etnologom, którzy – tu można mówić o pewnej jednomyślności – nie dają się złapać na lep bezrefleksyjnych ujęć rodem z kolorowych folderów promujących miasta, gminy i powiaty:

Istotną bowiem cechą „małej ojczyzny” jest to, że wyłącznie od nas zależy jak wygląda w danej chwili jej obraz. „Małej ojczyzny” nie da się narzucić nikomu odgórnie, ponieważ przeczyłoby to jej istocie (*Jan Mikinka*).

„Mała ojczyzna” dla każdego jest miejscem umieszczonym w innej przestrzeni i w innym czasie. To samo miejsce może być wspominane na tysiące różnych sposobów w zależności od przeżyć i wspomnień konkretnej jednostki. Granice wyznaczone na mapach są ważne tylko wtedy, gdy przez całe życie w „małej ojczyźnie” mieliśmy ich świadomość i wpływały one na nasze losy (*Adrian Pietrzak*).

„Mała ojczyzna” to wyjątkowe dla każdego miejsce, nie wyznaczone przez żadnych kartografów czy urzędników, ale przez nasze serce. Miejsce, w którym czujemy się swojsko i w którym może znajdować się dla nas cały świat (*Magda Makuch*).

Damian Kasprzyk

W ODPOWIEDZI
NA APEL...



MAŁGORZATA WABIK
Lokalna Grupa Działania
„Dolina Soły”

„DRZEWO UMIERA...”

Drzewo umiera, gdy podetnie się
jego korzenie, kultura narodowa
zaś, gdy zniszczy się jej ludowe
podstawy¹.

Przez wiele wieków Polacy skrzętnie gromadzili całe swoje bogactwo w niepowtarzalnej i nieśmiertelnej kulturze ludowej, która gwarantowała przetrwanie polskości w jej najszlachetniejszym kształcie. Przez wiele wieków ta ludowa kultura dawała Polakom poczucie godności i wartości. Przez wiele wieków udawało się tę kulturę ludową chronić przed rusyfikacją, germanizacją i deformacją kosmopolityczną. Przez wiele wieków tylko kultura ludowa pozwalała wyprostować zgięty kark i podnieść się z upadku. Zapomnieliśmy o swoich korzeniach? A może wstydzimy się, bo przecież XXI wiek zobowiązuje do nowoczesności! Nauki społeczne na pewno mają już wyrobioną naukową opinię na ten temat, ale mnie ona nie dotyczy, bo ja jestem baba ze wsi i nie podlegam żadnym naukowym autorytetom, jak przystało na prostego regionalistę!

Mój regionalizm narodził się w lipcowy wczesny poranek w blasku wschodzącego nad stadem krów słońca. Odkąd pamiętam, wakacje spędzałam u babci pasąc jej krowę. Wstawałam przed szóstą, bo o szóstej trzeba było wygnać krowę na „paświsko”. Szły stadem, do którego dołączały kolejne. Dzieci i starsi ludzie gnali stado śmiejąc się, żartując i przekoma-

¹ Z. Cichy, *Tekstowe przejawy lokalnej tradycji i kultury ludowej oraz ich obecność w programie wczesnoszkolnego kształcenia (Na podstawie badań w Bobrku)*, Praca magisterska, UŚ, Cieszyn 1995, s. 40.

rzając, opowiadając ciekawe historyjki, powtarzając miejscowe plotki. Po dotarciu do „paświska” można było zająć się najprzyjemniejszymi czynnościami: czytaniem książek, grą w kamyki, grą w karty albo wyplataniem wianków lub wyrobem ludzików i czapek z długich pędów sitowia. „Kole połędnia” krowy trzeba było zagnać do dojenia, a po godzinie 16, kiedy letni upał zelżał, można było wracać na „paświsko”.

Ktoś może uśmiechnie się, bo cóż oryginalnego i inspirującego może być w pasieniu krów? Dla kilkuletniego dziecka? Wszystko! Do dziś pamiętam opowieści Dziadka „Kapki” o wojnie, historyjki o utopcach i połędnicach, rubaszne przyspiewki i przekrzykiwania przez Wisłę z mieszkańcami Kruków – „Krucanie – łupy! Skoczcie nam do...”. Do dziś czuję zapach i smak świeżo wydojonego mleka popijanego do pajdy chleba ze swoim masłem uklepanym przez ukochaną babcię. Pamiętam głupiego Stasia od Hyndzlików, który podpalił stodołę. Ile jeszcze pamiętam? Sporo, ale są tacy, którzy pamiętają o wiele więcej...

Dzieciństwo na wsi nie należało do najłatwiejszych... jeżeli nie było się prawdziwym chłopem w całej swej mentalnej naturze. Jeżeli bardziej pociągały słowa i barwy, a spośród elementów wiejskiego krajobrazu najważniejsi byli ludzie ze wszystkimi przejawami ich kulturowego wymiaru, to często trzeba było ukrywać się ze swoimi zainteresowaniami. Życia takim „dziwologom natury” nie ułatwiała też szkoła, oczekująca poprawności językowej i obrzędowej. Nie wolno było „godać” tylko „mówić”, nie było miejsca na ludowość związaną przecież na zawsze z wiarą – tą chłopską wiarą – prostą i czytelną, w której białe jest zawsze białe, a czarne nie przechodzi w różne odcienie szarości. Do dziś Kocham żywe barwy... zwłaszcza te w moim stroju ludowym...

Przez lata zachwycałam się ludowym strojem krakowskim, ale nie miałam go w swojej garderobie. Dziś mam... i noszę... rzadko, ale jednak!

Moje dzieciństwo nie było więc łatwe. Było jednak pełne ludzi, barw, dźwięków, pieśni i obrzędów. Wtedy chodziłam z babcią „szkubać piyrze”, latem biegałam koło „maszyny” podczas młocki, jesienią z „badyli” paliłam ogniska, w których piekły się najsmaczniejsze ziemniaki w łupinach, a zimą zjeżdżałam na sankach z „Pałacowej Górki”.

Szkoła, praca w małym gospodarstwie babci i rodziców, pierwsze przejawy społecznikostwa. Dzieciństwo szybko się skończyło.

Po wielu latach wróciłam do mojej szkoły podstawowej jako nauczycielka. Od pierwszych zajęć wiedziałam, że jest to miejsce, na które czekałam z całą swoją pomysłowością i aktywnością. Pamiętam też, jak ówczesna, starsza ode mnie historyczka powiedziała: „A ja to pamiętam panią Małgosię z autobusu, jak krzyczała, że wiocha im jeszcze pokaże”. Oj krzyczałam, krzyczałam... ale miałam swoje bardzo ważne powody! Początek lat siedemdziesiątych XX wieku to moje czasy licealne i pierwsze poważne rozczarowanie „miastową kulturą”, albo raczej jej brakiem. Arogancja, chamstwo, bezczelność i pogarda dla wiochy! Takie wrażenie zrobiła na mnie większość nowych koleżanek. Kilka z nich zachowało chłodny dystans wobec nas – „wsiowych”. Najgorzej miała koleżanka, w której języku wyraźnie słyszało się akcenty gwarowe – kpiny i cynizm „miastowych” doprowadzały ja do łez... i jak w takich realiach nie krzyczeć, że wiocha im jeszcze pokaże? Nie miałam wtedy żadnych górnołotnych ideologicznych planów na patriotyzm wobec mojej „małej ojczyzny”... po prostu czułam, że jest to wszystko, co mam, co kocham i czego muszę się trzymać, bo tu po prostu jest moje miejsce.

I tak od obserwacji chmur pierzastych doszłam do aktywności animatora kultury i promocji rękodzieła. Tu się urodziłam, tu rosłam i dojrzewałam, tu pracuję. Codziennie mocniej wrastam więc w moją „małą ojczyznę”.

Zastanawiam się, co tak naprawdę zadecydowało o mojej postawie i poglądach? Jestem przecież typem niepodatnym na jakiegokolwiek wpływy, nie działa na mnie żadna reklama, nie ekscytują mnie żadni idole, a w młodości zbierałam poezję a nie zdjęcia aktorów. Częściej niż moi rówieśnicy buntowałam się, zwłaszcza przeciw tzw. autorytetom i to jest chyba źródło i przyczyna mojej postawy życiowej – niezgoda na upadek wartości fundamentalnych... niezgoda na zastępowanie ich autorytetami ideologicznymi czy nowomodą.

Każdy autorytet powinien stymulować rozwój, a rozwój dokonuje się wyłącznie na zasadzie wchłaniania poprzednich etapów. Nie można się rozwijać poprzez chwilową fascynację ideologią czy modą najbardziej nawet obiecującą. Autorytety zawsze zmuszają do pewnego podporządkowania się określonej metodologii, przyjęcia pewnych cudzych form, zaakceptowania czyjegoś światopoglądu, a nawet naśladownictwa. Regionalista zaś za każdym razem musi być indywidualnością, dla której autorytety stają się źródłem refleksji i ewentualnej modyfikacji postępowania w celu

jego większego skutecznienia. Czerpie z nich inspirację, ale nie naśladowuje wiernie; poszukuje w nich świeżych metod, ale ślepo ich nie powiela; bada podstawy kulturowe, ale nie wciela ich bezkrytycznie. Każdy regionalista wypracowuje własną metodę, której tak do końca wcale sobie nie uświadamia, buduje własną ideologię, której nigdzie nie głosi, tworzy nową rzeczywistość z zachowaniem starych fundamentów, trwałych fundamentów.

Pamiętam dawno zmarłego kierownika mojej szkoły podstawowej i jego ulubione powiedzenie: „Wy pluskwy, wy byście Polskę zeżarli”. Zwracał się tak do uczniów naruszających zasady regulaminu szkolnego. Wiedziałam, że kochał zwierzęta i kwiaty, spisywał historię naszej wsi, w czasie wojny przechowywał żarna, co graniczyło z heroizmem, po wojnie pomagał wdowom w wychowaniu dzieci i zdobyciu przez nie konkretnego zawodu, prowadził bibliotekę gromadzką, w której znajdowały się unikatowe tytuły, propagował czytelnictwo... słowem – prawdziwy regionalista. Po roku 1989 próbowano mnie przekonać, że „komuch”, bo należał do PZPR, uczył rosyjskiego i namawiał swoich uczniów do korespondencji z kolegami w ZSRR... Jak łatwo skreślono człowieka, który nikomu krzywdy nie zrobił. Jak łatwo autorytety ideologiczne zmieniły wartość człowieka. Jak szybko społeczeństwo ustawiło się z nowym wiatrem.

O wieści gminna! ty arko przymierza
 Między dawnymi i młodszymi laty:
 W tobie lud składa broń swego rycerza
 Swych myśli przedzę i swych uczuć kwiaty.
 Arko! tyś żadnym nie złamana ciosem,
 Póki cię własny twój lud nie znieważy:
 O pieśni gminna, ty stoisz na straży
 Narodowej pamiątek kościoła...

– pisał Adam Mickiewicz². W pracy magisterskiej Zofii Cichy ten fragment pieśni *Wajdeloty* jest mottem. We wstępie do tejże pracy czytamy:

Pieśń ludowa towarzyszyła człowiekowi od najdawniejszych czasów. Tworzona na potrzebę konkretnej chwili, wyrażała uczucia, emocje, fascynację przyrodą oraz marzenia i nadzieje (...), ułatwiała wymianę myśli i poglądów, kształtowała postawy i zainteresowania, przede wszystkim zaś łączyła ludzi, dając im poczucie wzajemnej bliskości i zrozumienia. Dostrzegali jej piękno poeci renesansu, dostrzegali wielcy oświeceni, fascynowali się nią roman-

² A. Mickiewicz, *Konrad Wallenrod*, Ossolineum, Wrocław 1999, s. 43.

tycy oraz twórcy młodopolscy. Przez wieki szła pieśń ludowa w glorii i sławie. Uczyla, bawiła i wychowywała. Niestety, przyszły czas, gdy zepchnięto ją do roli Kopciuszka, czasem tylko dopuszczanego do publicznych występów. Język ludowy zanikał coraz bardziej, aż w niektórych miejscowościach zupełnie zanikł i pamiętają go tylko najstarsi mieszkańcy. Językoznawcy, teoretycy literatury, etnografowie ubolewają nad tym zjawiskiem i próbują ratować to, co jeszcze da się ocalić z prawdziwej żywej ludowości³.

Dzięki Bogu, wciąż jest co ratować!... ale trzeba to robić jak najszybciej, lecz dokładnie i skrupulatnie. Najlepiej nadają się do tego zadania „ludzie stąd”.

Wśród tych dotkniętych nieuleczalnym nałogiem miłości do swej „małej ojczyzny” jest Helena Sowa – bobrecka skarbnica wiedzy o wsi i konsekwentna matka trzech synów. Najmłodszego, Andrzeja, uczyłam w ósmej klasie szkoły podstawowej. Pamiętam panią Helenę, która w rozmowach o swoich dzieciach powtarzała z dumą: „Mam trzech synów: jednego Panu Bogu, drugiego ludziom, trzeciego dla siebie”. Nie wiem, jak to się stało, ale jej słowa spełniły się w stu procentach! – Kazimierz Sowa jest księdzem, Marek Sowa marszałkiem województwa małopolskiego, a Andrzej Sowa po prostu jest dobrym synem, w czym dorównuje swym starszym braciom. Pani Helena niechętnie opowiada o swoich prywatnych sprawach, ale o „swoich chłopcach” zawsze opowiada z dumą. W każdym jej słowie czuje się też tę wielką miłość macierzyńską dającą dzieciom poczucie własnej siły oraz empatii wobec innych. Ta matka oparła wychowanie na wartościach chrześcijańskich i więzi z domem, będącym bezpieczną oazą i niewyczerpalnym źródłem inspiracji kulturalnych, humanistycznych, ludowych. Bogactwem jej domu byli i są ludzie – zarówno domownicy otwarci na każdego, kto ze szczerym sercem do niego zawita, jak i goście z całym bagażem trosk, cierpień, radości, ale przede wszystkim zaangażowani w tworzenie miejscowej kultury, organizowania pomocy potrzebującym, zbierania pieśni ludowych – budowania pomostu „między dawnymi i młodszymi laty...”. Ona jest prawdziwym regionalistą.

Czy ja też nim jestem? Czy jestem regionalistą? Jeżeli miłość do ludzi tworzących kulturę i tradycję jest regionalizmem, to ja jestem regionalistą. Jeżeli szacunek dla piękna wydobytego pracowitymi rękami z głębi prostych szczerych serc jest regionalizmem, to jestem regionalistą. Jeżeli ciągła obawa przed zatraceniem tego żywego piękna, dobra i niepowtarzalności jest

³ Z. Cichy, *dz. cyt.*, s. 4–5

regionalizmem, to jestem regionalistą. Jeżeli zbieranie okruszków tradycji i kultury moich przodków jest regionalizmem, to jestem regionalistą.

Proszę tylko, nie próbujcie mnie zdefiniować, nie ujmujcie w ramki pojęć i przepisów, ale pozwólcie żyć tym, co nadaje sens mojemu istnieniu. Nie urządzajcie konferencji naukowych, na których wielcy teoretycy rozkładają na czynniki pierwsze to, czego rozerwać się nie da, ale co trzeba pielęgnować.

Każda definicja w pewien sposób ogranicza znaczeniowy zasięg pojęcia, zamykając je w obszarze działań, wartości i kontekstów filozoficznych, dlatego nie powinno się definiować pojęcia *regionalista*. W każdym przypadku oznaczać ono musi kogoś innego, kogoś, kto w charakterystyczny tylko dla siebie sposób kocha, mówi o swej miłości i działa dla niej, nie wikłając się w teoretyzowanie. Regionalista po prostu żyje tym, co jest w nim, ale wyrasta z tego, co wokół niego... żyje tradycją i tworzy dla niej, kreując nową rzeczywistość nierozzerwalnie wchłaniającą przeszłą kulturę dla ubogacenia kultury teraźniejszej. Kultura – to właściwe i jedyne chyba słowo stanowiące podstawę teoretycznego podejścia do regionalizmu niezależnie czy będziemy je postrzegać w kontekście całego regionu, czy w wymiarze miejscowym.

Czy więc faktycznie nie powinno się definiować pojęcia *regionalista*? Nie powinno się, bo każde kategoryczne ujęcie pojęcia zamyka je na nowe zjawiska, nie mieszczące się w definicji działania, co w przypadku regionalizmu byłoby zabójcze. Jak więc poradzić sobie z nazewnictwem? Kiedyś było żywe takie piękne pojęcie jak *patriotyzm* i ono zawierało w sobie każdą odmianę regionalizmu, każdą „małą ojczyznę”, każdy najmniejszy nawet fragment polskiej kultury i tradycji. Nie rozmieniamy więc patriotyzmu na drobne! Raczej zadbajmy o jego korzenie, aby wrastając w każdego Polaka owocował regionalistami tworzącymi nowoczesność naszej kultury na fundamencie, który przez wieki nie zmurszał.

Kiedy staliśmy się częścią struktur unijnych, ktoś z mojego otoczenia powiedział, że staniemy się „skansenem Europy”. Może miał rację? Chyba miał rację! Tendencje takie widać w wielu obszarach dotacji unijnych, dla których priorytetem staje się zachowanie dziedzictwa kulturowego. To światło dla regionalistów i nadzieja na poważne wsparcie finansowe. Rasowy regionalista potrafi zdobyć pieniądze... ale rasowym regionalistą trzeba się stawać przez wiele lat ciężkiej pracy.

Książdz Jan Twardowski, pisząc o *kolejce do nieba*, w kilku wersach odtworzył całą drogę do świętości:

najpierw trzeba wyglądać na świętego ale nim nie być
potem ani świętym nie być ani na świętego nie wyglądać
potem być świętym tak żeby tego wcale nie było widać
i dopiero na samym końcu
święty się staje podobny do świętego⁴.

Podobnie jest z regionalistą, który po prostu najpierw wrasta, potem wzrasta, następnie dojrzewa, by w końcu stać się regionalistą. To dorastanie nie ma nic wspólnego z wyrachowanym planem działalności dla popularności!

Najbardziej intrygujące jest szukanie źródeł tej specyficznej aktywności życiowej. Czy należy dopatrywać się ich w genetycznym obciążeniu społecznikiem, czy raczej jest to kwestia wychowania? A może splot okoliczności i oddziaływanie kulturowych bodźców wzrokowych, słuchowych i smakowych? Znam ludzi, którzy „zarażają się” regionalizmem poprzez kontakt z przyrodą i ludźmi, ale znam takich, którzy od dzieciństwa tacy już byli.

Kimże więc jest regionalista? Często myli się regionalizm ze zbieractwem komercyjnym, a tu trzeba odróżnić tego, kto autentycznie pielęgnuje tradycje i kulturę od tego, kto tylko wykonuje zawód etnografa. Etnograf może być równocześnie regionalistą, a regionalista może wykonywać zawód etnografa i mamy wtedy idealny mariaż umysłu i serca. Tak idealny, że aż pożądany. Regionalizm jest bowiem misją, a katalogowanie i promowanie tradycji ludowej to tylko rzemiosło. To tak jak z romantyczną ludowością i młodopolską ludomanią – niby to samo, ale zupełnie coś innego.

Z regionalizmem jest jak z pierwszą miłością – jedna zaczyna się bardzo wcześnie, a na inną trzeba czekać całe życie. Niezależnie jednak od czasu przyjścia, trwać będzie do końca życia, bo więzi powstające podczas obcowania z kulturą i tradycją regionalną nigdy nie zostaną zerwane. Dlaczego? Bo regionalizm nie dotyczy ludzi obojętnych i wyrachowanych. Do bycia autentycznym miłośnikiem własnej ziemi, trzeba otwartych oczu, wrażliwych uszu, czułego serca i bystrego umysłu, który pozwoli znaleźć sposób na utrwalenie tego, co oczy zobaczą, uszy usłyszą, a serce przygarnie.

⁴ J. Twardowski, *W kolejce do nieba*, pierwodruk w tomie *Poezje wybrane*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1979.

Kiedy spotykam się z ludźmi przechowującymi w swoich domach cenne sentymentalnie pamiątki, najpierw widzę ich nieufność – czy aby nie zostaną wyśmiani, potraktowani cynicznie, bo przywiązuję się do „bezwartościowego rupiecia”... potem słyszę niezwykłą, zawsze pełną uczuć opowieść... Opowieść zaczyna się od zdjęcia, przedmiotu, obrazu, a potem rozlewa się na wydarzenia, emocje, krajobrazy i ludzi. To ludzie stanowią najważniejszą część wspomnień. Wspomnienia zaś o ludziach rodzą się najczęściej z kontaktów z otaczającymi ich przedmiotami, dziełami, które stworzyli, słowami, które wypowiedzieli, a w których pozostawili własne serce, umysł i uczucia. Stąd konieczność przechowania tych rzeczy, ocalenie przed zniszczeniem, uratowanie dla wieczności ludzkiego wymiaru nieśmiertelności – pamięci. Pamięć, cóż po pamięci, jeśli brak w niej żywych korzeni wspomnień o domu, o „stryku, co kurzył aż strach”, „ujnyj, co piekła najlepsze drożdżoki” i „babusi, co prała pieluchy w krzypocie”.

Współczesny regionalista ma coś z Piasta Kołodzieja, Konrada Wallenroda i chłopą pańszczyźnianego nierozzerwalnie złączonego z ziemią. Choć sam nad tym zniewoleniem przez kulturę i tradycję swej ziemi się nie zastanawia, to postronny obserwator widzi w jego działalności wyraźny ślad chłopskiego zapału i uporu połączonego z naturalną intuicją oraz bezwzględny oddaniem sprawie przez wielu uważanej za beznadziejną.

Niech więc pani Helena ze swym Zespołem Śpiewaczym „Bobrowianki” zbiera stare pieśni, utrwała obrzędy i zwyczaje ludowe. Niech pani Zofia dba ze swymi uczniami o stare mogiły na bobreckim cmentarzu, tworzy scenariusze imprez przybliżających dzieciom i dorosłym ludową kulturę bobrecką.

A bo chłop i ma coś z Piasta,
coś z tych królów Piastów – wiele!
(...) Kiedy sieje, orze, miele,
Taka godność, takie wzięcie;
Co czyni, to czyni świecie;
godność, rozważa, pojęcie.
A jak modli się w kościele
taka godność, to przejęcie;
bardzo wiele, wiele z Piasta;
chłop potęgą jest i basta⁵.

⁵ S. Wyspiański, *Wesele*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1972, s. 173.

Taki mit chłopa stworzyła literatura Młodej Polski, ale czy jest to tylko mit? Godność, prawość, czystość obyczajów i jasność intencji zawsze były dewizą honoru chłopskiego i na tym honorze regionalista wciąż na nowo próbuje budować w świecie, w którym zbyt często BÓG, HONOR, OJCZYZNA to tylko atuty w politycznej licytacji tanich kupczyków. Tradycja ludowa wciąż uparcie stoi na straży tych Wartości, dlatego pozostaną jej wierna. Zadbam, żeby moje drzewo pozostało zielone i wydało soczyste, nierobaczliwe owoce!

Małgorzata Wabik – ur. 2 stycznia 1959 roku w Libiążu. Absolwentka Liceum Ogólnokształcącego im. St. Konarskiego w Oświęcimiu i Studium Wychowania Przedшкоlnego w Kętach. Studiowała filologię polską. Pracowała jako nauczycielka języka polskiego w szkole podstawowej. Obecnie instruktorka zatrudniona w Miejskim Ośrodku Kultury Sportu i Rekreacji w Chełmku. Prowadzi Wiejski Dom Kultury w Gorzowie. W latach 1990–1994 radna gminy Chełmek. Współpracuje z Zespołami Śpiewaczymi „Malwa” z Gorzowa i „Bobrowianki” z Bobrka. Prowadzi „Babski Salonik” zrzeszający rękodzielniczki z Gorzowa. Jest inicjatorką spotkań organizowanych dla instruktorów i terapeutek zajęciowych pod hasłem „Podziel się pomysłem”. Współpracuje z wieloma instytucjami: parafią bobrecką – pisząc scenariusze i przygotowując programy słowno-muzyczne, a także pisząc artykuły do gazetki parafialnej „Nasz Dom”; Środowiskowym Domem Samopomocy w Chełmku; z młodzieżą i studentami, wspierając młodych ludzi swoim doświadczeniem i wiedzą. Pisze poezje i zajmuje się rękodziełem (szydełkowanie, *decoupage*, *quilling*, papierowa wiklina, masa solna, haft matematyczny). Zbiera i zapisuje przekazy ustne dotyczące języka i zwyczajów ludowych. Działa w LGD „Dolina Soły”, uznając to Stowarzyszenie za najlepszą platformę porozumienia i wymiany doświadczeń dla miejscowych regionalistów.



TERESA JURASZEK
Pewel Wielka

QUO VADIS REGIONALISTO?

Kochom cie piękno Ziemia Żywiecko
Takom miłościom, jak matka dziecko

M yślę, że cytaty z wiersza Katarzyny Gawron pt. *Ziemia Żywiecka*, pokazują, co prowadzi do tego, że zostaje się regionalistą, inaczej miłośnikiem swojego regionu. Takie uczucie rodzi się wraz z miłością do rodziców, domu rodzinnego, otoczenia, które w czasie dorastania zatacza coraz szersze kręgi. Na taką miłość wpływa wiele czynników, które odbieramy w różnych proporcjach naszymi zmysłami. To smaki potraw regionalnych, piękno otaczającej przyrody ukazywane fragmentami przez rodziców: „popatrz jaka potężna jodła”, „słuchaj, jak śpiewa skowronek”, „policz kropki biedronki” itd., potem postrzega się krajobraz aż po horyzont, odbiera dźwięki wydawane przez przyrodę, ludzi i ich narzędzia pracy, chłonie zapachy domu, ulubionych potraw, zadziwia każda roślina, fakt, że każdy grzyb pachnie inaczej. Nie wspomnę o gamie zapachu łąk, pól, zwierząt. Wyobrażenia tworzy obrazy do opowieści dziadków. Pojawiają się piękne, ale też groźne historie pełne nadprzyrodzonych zjawisk, lecz strach znika w ramionach bliskich, a panaceum na całe zło jest kapliczka, modlitwa. W efekcie to całe zło zostaje oswojone, diabeł nie taki straszny, jak go malują.

Jeżeli w pamięci osób dorosłych pozostaje więcej zapachu siana niż smrodu gnoju, to oni kochają miejsce gdzie spędzili dzieciństwo, dorastali, wracają tam po studiach, na emeryturze, przemierzając oceany. Jeżeli nie mogą pozostać w swoim ukochanym miejscu, to zabierają jego cząstkę, tam gdzie muszą wędrować. Jedni biorą ze sobą instrument muzyczny, inni fotografie i inne cenne pamiątki rodzinne, bowiem przywiązanie i tęsknota,

każą im w nowym miejscu kontynuować zwyczaje przodków, toteż daleko na obczyźnie powstają zespoły folklorystyczne, kuchnie regionalne, pielęgnuje się pamięć o tym co zostało daleko, a ma wielką wartość emocjonalną. Zaś ci co pozostają w swoim środowisku, starają się ocalić od zapomnienia, wszystko co jest im najbliższe. Stąd jedni tworzą skanseny, muzea, fotografują, nagrywają gwarę, inni spisują legendy, bajki ludowe, wspomnienia, czynią starania aby ocalić fragmenty krajobrazu. Jednym słowem próbują zachować obraz minionego świata. Niejednokrotnie muszą obalać mity, że ta inność kulturowa, to nie zacofanie, tylko efekt twórczego, kreatywnego tworzenia własnej kultury często bardzo odrębnej i bogatej.

Sposobów wyrażania miłości do „małej ojczyzny”, ojcowizny jest wiele. Ludzie зараżeni taką pasją na swojej drodze spotykają sobie podobnych, dowiadują się o tych, co już odeszli, kontynuują ich dzieła, inspirują innych, bowiem mają świadomość, iż odrzucenie dziedzictwa kulturowego sprawia, że stają się znacznie ubożsi. To też próbują zatrzymać to co przemija, opisać, skatalogować. Dbają o rozwój i promocję kształcenia młodzieży, wpływają na teraźniejszość i myślą o przyszłości.

Nie mogę pominąć drugiej grupy pasjonatów, których zafascynował region nie będący ich miejscem urodzenia, ale w czasie dłuższego lub krótszego pobytu zostali oczarowani i podjęli decyzję pozostania tam na całe życie. Z mojej obserwacji jest ich mniej, nie znam badań przeprowadzonych na ten temat. Dzięki takim społecznikom przed wiekami wypromowano Zakopane i okolice.

Próba odpowiedzi na pytanie kogo nazwać regionalistą nie jest łatwa. Regionalista to patriota lokalny, zaangażowany w to co dzieje się wokół niego. Kto kocha swoją „małą ojczyznę”, to kocha tę wielką Polskę, bo ona składa się z tych małych osobistych. Definiując pojęcie regionalisty, uważam, że jest to osoba o pozytywnie emocjonalnym stosunku do okolicy, gdzie mieszka i wybiera różne sposoby działania:

- zapoznaje się z historią, zwyczajami, tradycją, upowszechnia ją i dokumentuje,
- żyje problemami społecznymi, angażuje się w różnego typu działania na rzecz środowiska,
- w swoich czynach wybiega w przyszłość, stara się o rozwój i edukację młodzieży,
- ochronę krajobrazu, roślinności.

Pragnę również zwrócić uwagę na zagrożenia, bowiem będąc mocno zaangażowanym na rzecz swego regionu, łatwo zostać fanatykiem. Nierzadko spotykamy ludzi, dla których liczy się tylko ich otoczenie, jedna im bliska dziedzina np. muzyka ludowa, sztuka, zamkniętych na inne nurty. Obserwuję też przypadki duszenia się „we własnym sosie”, według zasady: wszystko za opłótkami nie warte zainteresowania. Inne niebezpieczeństwo to szowinizm regionalny czego przykładem mogą być poczynania niektórych działaczy na Śląsku.

Zastanawiam się, na ile w tej definicji mieści się moja skromna osoba, moje przywiązanie do „małej ojczyzny”, mój wkład w jej rozwój. Nie ma tego za wiele.

Jak nie zostać regionalistą, kiedy dzieciństwo spędza się na pięknej górskiej polanie, gdzie od wiosny do późnej jesieni wszystkie wkoło wzniesienia rozbrzmiewają śpiewem pasterzy, muzyką. Ciocie w długie wieczory wyczarowują przepiękne, kolorowe kwiaty z bibuły. Starsze kobiety paradują w kolorowych chustach (każda miała ich wiele), jaklach w długich szerokich spódnicach i zapaskach. Babcia snuje opowieści posługując się piękną gwarą: o królu węży, dzieciństwie małego Jezuska, a kiedy można zobaczyć szczyt Babiej Góry to prawie widzimy wejście do pieczary, gdzie śpią rycerze, których dopiero obudzą trąby jerychońskie przed końcem świata.

Potem, u progu dorosłości, wyjazd do Wrocławia. Jest to piękne akademickie miasto oferujące wiele – jest teatr, opera, dużo ciekawych imprez, łatwy dostęp do dobrej książki, można zachwycić się architekturą, zbiorami muzealnymi, ale też króluje wszechobecny beton, zniszczone zaniedbane kamienice, szarość lat sześćdziesiątych i hałas wielkiego miasta. Brakuje zieleni, zapachu traw, śpiewu pasterzy, jednym słowem całego klimatu małego przysiółka – polany.

Często wieczorami opowiadamy sobie o swoich rodzinnych stronach. Moje opowieści przyciągają uwagę koleżanek, gdyż społeczność, z której się wywodzę kultywuje wiele starych zwyczajów, właściwie każdy dzień, każda czynność to rytuał. Wtedy uświadamiam sobie, jaka to wartość, i jak bogata jest różnorodność kulturowa poszczególnych regionów. Dostrzegam kreatywność społeczności odległych od wielkich ośrodków, które nie mając dostępu do kultury tworzonej przez profesjonalistów, tworzą swoją własną, wkładając w twórczość całe serce, denerwując mnie niesprawiedliwe opinie, że wsie to pustynie kulturowe.

Snujemy z koleżankami plany, co zrobimy po powrocie w rodzinne strony, dodam, że studiujemy w Państwowym Studium Kulturalno-Oświatowym i Bibliotekarskim we Wrocławiu. Na początek postanawiam spisać opowieści mojej babci, niestety przed moim dyplomem babcia umiera, a z nią odchodzi tak wiele wątków bajek ludowych, legend. Znacznie później spisuję opowieści starszej osoby Anieli Piechy-Polockuli, która do końca życia cieszyła się wspaniałą pamięcią i mogła bez końca opowiadać. Potem ocalałam od zapomnienia inne zasłyszane wątki, zebrało się około setki. Spisane bajki rozbudowuję narracyjnie, które potem są czasami prezentowane przez znajomych bajarzy na przeglądach gawędziarskich. Uczylałam również dzieci i młodzież sztuki gawędzenia i to z dobrym skutkiem, bo zdobyli wiele nagród na przeglądach bajarzy. Kilka gawęd i opowiadań napisanych gwarą opublikowano w lokalnej prasie i wydawnictwach regionalnych.

Pracując jako wiejska nauczycielka miałam wiele okazji aby uświadomić uczniom bogactwo folkloru muzycznego, piękno literatury ludowej, zwłaszcza tej mówionej, przekazywanej z ust do ust, przez co wzbogacanej, przemienianej dzięki inwencji opowiadającego, ukazywać pozostałości kultury wołoskiej zachowanej w słownictwie gwarowym, obrzędach, wierzeniach itp. Zwrócić uwagę na różnice w wymowie głosek „ó” i „u”, „rz” i „ż”, różnice gramatyczne i składniowe.

O ileż ciekawsze są lekcje historii, kiedy można ukazać, że wielka historia nie omijała małych miejscowości np. walki ze Szwedami, konsekwencje zaborów itp.

Często powtarzałam rodzicom, że jeżeli dzieci będą świadome własnego dziedzictwa kulturowego, poznają swoje korzenie, łatwiej przystosują się w nowym środowisku, bo wejdą w nie bez kompleksów, świadome własnej wartości. Śledząc losy znanych mi młodych ludzi to się potwierdza.

Wielu z moich uczniów już dorosłych, wykształconych, mieszkających daleko od rodzinnego domu, potrafi po powrocie do swego środowiska posługiwać się gwarą. Razi ich niepoprawnie używany język gwarowy w reklamach czy na różnych imprezach folklorystycznych. Laikom wydaje się, że jeżeli będą mazurzyć i nie użyją samogłoski „a” to posłużą się góralskim językiem gwarowym.

Wychowując własną trójkę starałam się zwracać uwagę na bogactwo najbliższego otoczenia, uczyłam poszukiwać własnej tożsamości i w pełni korzystać z tego, co jest w zasięgu ręki; bogactwa wiejskiej kultury, piękna przyrody. Gromadziłam słowniki, lektury, uczyłam korzystać z programu telewizyjnego. Poszły w świat bez kompleksów równocześnie nie zrywając kontaktów z ojcowizną. Zrozumiwały, że sięgając do tradycji łatwiej im zrozumieć siebie, swoje potrzeby, zachowania.

W środowisku mam opinię osoby, która dużo wie na temat swojej okolicy, dobrze posługuje się gwara, zna tradycje i zwyczaje, i interesuje się jej historią, oraz obecnymi problemami. Stąd wielu z własnej inicjatywy przekazuje mi ciekawe informacje o starych kapliczkach, wydarzeniach, bo jak mówią: „ty to uchronisz od zapomnienia”. Znajomi nazywają mnie Pewlańskim Kolbergiem.

Ostatnio udało mi się poderwać mieszkańców do obrony fragmentów krajobrazu rodzimej wioski przed zniszczeniem przez potężne stalowe konstrukcje linii przesyłowej prądu.

Ludzie zarażeni pasją znajdują sobie podobnych i będą dla siebie wzajemną inspiracją i uzupełnieniem. Czy spotkałam takich ludzi? Oczywiście bardzo wielu, trudno byłoby wszystkich przedstawić. Po ukończeniu studium trafiłam do pracy w resorcie kultury, moją kierowniczką była Maria Romowicz, która swoją fascynację tańcami mieszczan żywieckich i górali wykorzystwała w pracy zawodowej poprzez dokumentowanie tańców i tworzenie choreografii dla zespołów regionalnych. Inni to Jan Brodka dokumentujący muzykę i instrumenty regionalne, Zofia Rączka archiwistka z pasją tropiąca wszystkie wzmianki dotyczące historii żywieccyzny, wspinała gawędziarka Józefa Wójcik po mistrzowsku łącząca wątki, wprowadzała słuchacza w świat odległy o dziesięciolecia, Jan Gąsiorek spisujący zwyczaje, pieśni, dokumentujący bogactwo strojów regionalnych górali, dolan i mieszczan, bracia Golcowie, którzy chętnie promują żywieccyznę, a zwłaszcza ukochaną przez nich swoją rodziną Milówkę (Milowecko).

Wiele dały mi również spotkania w czasie imprez folklorystycznych z profesorem Romanem Reinfussem, z redaktorką Barbarą Królikowską, audycje radiowe np. *Kiermasz pod kogutkiem*. Zachwyciłam się wielością tomów Oskara Kolberga. Wielka szkoda, że nie dotarł na żywieccyznę.

Cieszę się, że pojawiają się nowi zapaleńcy, przejmują pałeczkę, wzorując się na tych co odchodzą. Jeżeli miałabym wskazać na tych najbardziej aktywnych, jest mi bardzo trudno wybrać spośród wielu. Może wskażę na księdza Władysława Zązła, proboszcza parafii w Kamesznicy, już wspomnianego Jana Gąsiorka czy Jadwigę Jurasz znaną z estrady Tygodnia Kultury Beskidzkiej w Żywcu. Mam świadomość, że wymienione osoby nie wyczerpują listy, a ich działalność jest tak obszerna, że nie sposób ją omówić w niniejszym tekście. Zadziwia mnie, że w dobie takiej migracji młodych, pogoni za pieniądzem, wykształceniem, zalewie kultury masowej nie brakuje pasjonatów ocalających od zapomnienia, wszystko, co stanowi o pięknie i inności regionu.

Odrębność poszczególnych środowisk, tak szybko zaciera się, miasta wchłaniają wioski, wyburza się stare domy, społeczności przecinane są autostradami, drogami szybkiego ruchu. W skomercjalizowanym świecie, gdzie wszystko jest na sprzedaż, niefrasobliwie rytmizuje się melodie starych pieśni, przyśpiewek, z pięknych melodii weselnych powstają walczyki, upraszcza się strój, zapożycza melodie i elementy stroju z regionów ościennych. Częste występy śpiewaków, gawędziarzy na estradzie (gawęda pisana i opowiadana na stojąco do mikrofonu to właściwie erzac) powoduje, że wprowadzają do gwary obce zasłyszane słownictwo, melodie, wykonawcy nabierają dziwnych manier, pozują, zachowują się jak gwiazdy estradowe. Jurorzy oceniający występy (wiem z autopsji, że nie jest to łatwe zadanie) często nie dostrzegają błędów gwarowych, godzą się na wątki bajek nie występujących w danym regionie, często zaczerpniętych z wydawnictw z innych stron kraju. Że nie wspomnę o różnego rodzaju punktach gastronomicznych, gdzie wiele dziwnych potraw nazywa się regionalnymi, tradycyjnymi.

Transformacje społeczno ustrojowe wiele zmieniły, chociażby patrząc na krajobraz, prawie zniknęła zabudowa drewniana, pola porastają chaszczami, gdyż rolnicy nie mają zbytu na swoje produkty oraz ponoszą wielkie straty ze strony zwierzyny łownej, gryzoni i ślimaków. Stąd rzadko na polach można spotkać ostrwie z sianem i ściężory ze zbożem. Moda na tuje i inne iglaki oraz trawniki spowodowała, że wycięto wiele wysokich starych drzew owocowych, krzewów, zniknęły tradycyjne ogródki kwiatowe, zielniki. Nie ma już nigdzie takiej polany, na której wyrosłam.

Wzrosła natomiast dbałość o przydrożne kapliczki, krzyże, odnawia się stare, powstają nowe, ukazało się wiele publikacji, które zwykle prezentują zdjęcia, opisują wygląd, natomiast rzadziej sięgają do genezy powstania. Szkoda, bo każda kapliczka ma swoją historię, przyczynę powstania, im starsza tym bardziej obrasta w legendy dotyczące zjawisk nadprzyrodzonych, wysłuchanych modlitw. Organizuje się wiele konkursów, na których można prezentować stare pieśni religijne, inscenizacje obrzędów, wystawiać jasełka, pasje, co w czasach PRL-u raziło działaczy partyjnych.

Zacierają się indywidualne różnice pomiędzy poszczególnymi wioskami, gdyż w każdej coraz więcej jest przybyszów, którzy często przynoszą własną gwara, zwyczaje. Dawniej małżeństwa kojarzono najczęściej w obrębie przysiółka, wioski, w każdej miejscowości dominowało kilka nazwisk typowych dla niej lub najbliższej okolicy. Ponadto wielu mieszkańców sąsiednich regionów wykupiło drewniane zabudowania, które bywa, że w dziwaczny sposób przerabiają, powstają nowe domki letniskowe. Przyjezdni mają niebagatelny wpływ kulturowy na miejscową ludność. W wielu przypadkach jest to niestety wpływ negatywny, bo zaciera się specyficzny charakter miejscowości, młodzież, która postrzega wypoczywających jako bogatych, wyluzowanych, często o bardzo swobodnym zachowaniu, przy braku refleksji, co jest typowe dla nastolatków, chciała by tak żyć przez siedem dni w tygodniu. Coraz częściej słyszy się w niedzielę warczące kosiarki do trawy czy inne urządzenia mechaniczne, przez co ztraca się świąteczny charakter tego dnia. Chociaż nie brakuje też pozytywnych powiązań kulturowych, wzajemnego ubogacania się i wzajemnej pomocy. Przypuszczam, że to łatwe, bezkrytyczne naśladowanie obcych w moim regionie bierze się stąd, iż biedna ludność górali beskidzkich, nie ma w sobie takiego poczucia dumy, jak na Podhalu, zwłaszcza w Zakopanem czy ludność Śląska i Zagłębia. Ci ostatni często, zwłaszcza dawniej, przyjmowali postawę tych lepszych, mądrzejszych, nazywając obcych gorolami. Funkcjonuje nawet takie powiedzenie, że Góral od Żywca garbi się i mówi „przeboccie jo tutejsy”, a ten z Podhala „jo górol a wy jeno cepry, dobrze coby z dutkami”.

Żałuję, że tak mało środków przeznacza się na dokumentowanie tego co najbardziej ulotne a mianowicie zmiany mentalności, stosunku do religii, obyczajowości itp. Badacze rzadko zagląдают do przysiółków „dalekich od szosy”, a dziennikarzom nierzadko wystarcza osoba w kolorowym stroju

nie do końca regionalnym, z bełkotem gwarowym i prymitywnym dowcipem. Często zapomina się o tym, aby przed pozyskiwaniem materiału etnograficznego prześledzić dokładnie biografię informatora bo zmiany miejsc zamieszkania, liczne kontakty z ludźmi z poza regionu mogą negatywnie wpływać na wiarygodność przekazywanych informacji.

Marzę aby z każdej wsi beskidzkiej zebrać typowe legendy wyjaśniające pochodzenie wioski, przysiółków. Przecież najmniejsze poletko, ma swoją nazwę, która zwykle odnosi się do nazwiska czy przydomka często bardzo odległego w czasie właściciela, bądź od ukształtowania terenu np. zadnio grapa, dzwony czy też sposobu pozyskania ziemi np. wyrobisko, polynice. Są miejsca straszne, które należy po zachodzie słońca omijać, bo może „wodzić” lub straszyć.

Obecnie kiedy pola zarastają krzakami, chaszczami, młodzi spadkobiercy już tej wiedzy nie przyswajają, w razie potrzeby posługują się numerami ewidencyjnymi gruntów.

Aby zachować odrębność kulturową poszczególnych wsi, warto by opracować słowniki gwarowe dla poszczególnych skupisk ludności. Różnorodność nazewnictwa związana jest z genezą powstania poszczególnych wsi, sposobem gospodarowania, ukształtowania terenu, które utrudnia kontakt sąsiadującej z sobą ludności. Różnice pomiędzy poszczególnymi skupiskami potwierdza powiedzenie „co wieś to inna pieśń”.

Należy pamiętać, że jeżeli prace dokumentacyjne nie zostaną podjęte w miarę szybko, to w związku z postępującą dezintegracją wiosek i przysiółków i zmianami kulturowymi, zebranie materiałów nie będzie możliwe. Niewiele już zostało obiektów drewnianych tradycyjnie budowanych, stare murowane z kamienia kapliczki po remoncie tracą pierwotny charakter, ręcznie wykonane przydrożne kapliczki skrzynkowe wymienia się na wykonane przy użyciu maszyn, rezygnuje się z rzeźb, stare spłowiełe obrazy również podlegają wymianie.

Zanik gospodarki pasterskiej, zmiany w prowadzeniu gospodarstw rolnych, a właściwie w chwili obecnej ich likwidacja, powoduje odejście od pewnych obrzędów, zwyczajów np. wypędzanie krów, majenie pól uprawnych, likwidację przedmiotów potrzebnych do prowadzenia małego gospodarstwa rolnego. Zmieniają się sposoby żywienia rodziny, spędzania czasu wolnego.

W czasie kiedy rolnik żywił się tym co sam wyprodukował, a plony w dużej mierze zależały od warunków atmosferycznych, gospodarze wielką nadzieję pokładali w Bogu. Stąd każda czynność była omodlona i poprzedzona różnymi zabiegami np. święcenie owsa, błogosławienie pól, rozpoczynanie każdej ważnej czynności znakiem krzyża. Ta forma pobożności definitywnie zanika. Zapomina się o przysłowiach związanych z terminami zabiegów agrotechnicznych, nie śledzi się faz księżyca.

Wiadomo, że systematyczne, planowe dokumentowanie wszystkiego co jeszcze można uchwycić, wymaga pewnych nakładów pieniężnych, ale może warto by przesunąć środki przeznaczone na wiele nijakich imprez regionalnych, na których dominuje i przyciąga przysłowiowe piwo, a zainwestować w wyżej wspomniane prace.

Z uwagi na tak liczne zmiany w środowisku wiejskim, zmienia się rola regionalisty, ci których w głównej mierze interesuje w szerokim słowa znaczeniu folklor, nie będą mieli co zbierać, „ocalać od zapomnienia”. Bardziej będą potrzebni tacy, których interesuje rozwój gospodarczy regionu, okolicy, pomoc ludności w odnajdywaniu się w nowej rzeczywistości, aktywizowanie jej na rzecz poprawy warunków materialnych i kulturalnych, tworzenia miejsc pracy, kształcenia młodzieży.

Teresa Juraszek – emerytka, wykształcenie wyższe (Pedagogika pracy kulturalno-oświatowej, Uniwersytet Śląski), mieszkanka Pewli Wielkiej powiat żywiecki.



ANDRZEJ LATOS
Towarzystwo Przyjaciół
Ziemi Kutnowskiej

MOJA PRZYGODA Z REGIONALIZMEM

Gdybym umiał czytać tak zwane znaki czasu, jakie towarzyszą ponoć życiu każdego człowieka, wiedziałbym już dawno kiedy stałem się regionalistą. Przystępując do pisania niniejszego tekstu, uzmysławiam sobie, że zaczęło się to bardzo dawno temu. Nie byłem wówczas świadomy tej chwili. Był rok 1970. Przeprowadziłem się z Warszawy do służbowego mieszkania w Stacji Badawczej Instytutu Badawczego Leśnictwa (IBL) we wsi Sójki k. Kutna. Był to początek mojego dorosłego życia i początek udziału w przyrodniczych pracach badawczych prowadzonych przez IBL na terenie Regionu Kutnowskiego. Poznałem wówczas niemal każdą drogę gruntową, każdy kompleks leśny, łąki, pastwiska, pola i wsie, strumyki i kapliczki przydrożne. Nawet ukryte głęboko w zaroślach stare kurhany, zbiorowe mogiły z czasów epidemii cholery tzw. zarazy morowej, zbierającej swoje żniwo w XIX w., a nad nimi wykonane przez kowali, pochylone, stare, metalowe krzyże, niemych świadków tamtych tragedii. Zadrzewieniowa tematyka prowadzonych prac badawczych i charakter tych prac, opartych na badaniach obiektów przyrodniczych w terenie, wymagały ode mnie dokładnej penetracji całego Regionu Kutnowskiego a także zapoznania się z publikacjami i pracami naukowymi opisującymi środowisko przyrodnicze tego obszaru. Trwało to kilka lat. Nie wiedziałem wówczas, że był to mój pierwszy krok w kierunku regionalizmu. Później, zmiana miejsca pracy na Rejon Dróg Publicznych, dała mi kolejną sposobność do bardzo szczegółowego poznawania terenu. Aż nastał rok 1981. Ogłoszono w kraju stan wojenny. Straciłem pracę za przynależność do „Solidarności”. Odwołano mnie ze stanowiska zastępcy dyrektora Rejonu Eksploatacji Dróg Publicz-

nych, jednostki – jak to wówczas nazywano – zmilitaryzowanej. Zostałem bez pracy. Nawet najbliżsi znajomi, którzy zachowali swoje stanowiska, bali się wówczas pomóc mi w znalezieniu pracy. Rozumiałem to. Zatrudniony z konieczności przy maszynach do obróbki drewna w prywatnym warsztacie stolarskim, uległem wypadkowi. Przez rok nie mogłem pracować także fizycznie. Leczyłem urazy. Co było robić? Nawet nie przeczuwałem, że i te wydarzenia skierują mnie ku regionalizmowi.



Okazjonalne wydawnictwo gazetowe TPZK (1989)

PTTK. Później dowiedziałem się, że Pan Janusz miał przeszłość AK-owską. Może stąd właśnie ta odważna na owe czasy decyzja, aby wyciągnąć do mnie pomocną dłoń?

Tu zaczęło się moje zainteresowanie historią i zabytkami, najpierw Kutna, później regionu, aż w końcu całego województwa płockiego. Wytracony ze swojej pracy zawodowej dysponowałem wolnym czasem, więc poświęcałem się studiowaniu tematyki historycznej związanej z regionem. Poznałem wiele zabytków, zdobyłem uprawnienia pilota wycieczek i przewodnika turystycznego. Prawdę mówiąc znalazłem w tym sporo satysfakcji, że ja, człowiek przyjezdny, nie wywodzący się z tego regionu, wiedziałem o nim



Okazjonalne wydawnictwo gazetowe TPZK (2007)

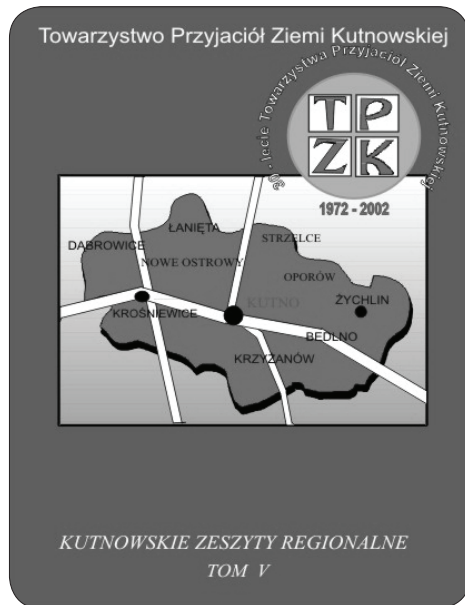
To właśnie wtedy w 1982 roku znalazł się odważny człowiek, prezes Kutnowskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego (PTTK), nie żyjący już dziś śp. Janusz Krzemiński. Można rzec, że „przygarnął” mnie do tej organizacji, abym pomagał w pracy Biura Obsługi Ruchu Turystycznego

dużo więcej niż wielu rdzennych jego mieszkańców. Wtedy jeszcze nie uświadamiałem sobie, że los sam niejako „lepił” ze mnie regionalistę. Po latach, gdy rygory stanu wojennego zelżały, starzy przyjaciele pomogli mi wrócić do wyuczonego zawodu leśnika w Instytucie Badawczym Leśnictwa. Nadal pogłębiałem swoją wiedzę o świecie przyrody

w regionie. Po 1989 r. wraz z początkiem tzw. przemian ustrojowych, Instytut, w ramach reorganizacji, zlikwidował niemal wszystkie swoje stacje doświadczalne w Polsce, w tym również tę, w której byłem zatrudniony w Sójkach k. Kutna. Szczęśliwym trafem dostałem pracę w nowo utworzonym Starostwie Kutnowskim, gdzie jako urzędnik odpowiedzialny byłem za tematykę leśną, zadrzewieniową, łowiecką i ochronę środowiska przyrodniczego. I znów przyglądałem się regionowi, tym razem okiem urzędnika. Poznawałem kolejne zagadnienia przyrodnicze w regionie: organizację łowiectwa, gospodarkę w prywatnych lasach chłopskich, formy ochrony przyrody, stan zabytkowych parków dworskich i pałacowych, pomników przyrody itp.

I tu ponownie mój „regionalistyczny los” sprawił, że moim bezpośrednim zwierzchnikiem był Andrzej Urbaniak, jak się później okazało, prezes Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Kutnowskiej (TPZK), w mojej opinii najwybitniejszy regionalista w Regionie Kutnowskim w okresie od 1980 r. do pierwszych lat nowego tysiąclecia. Działacz społeczny z krwi i kości, którego życie podporządkowane było pracy na rzecz regionu. Człowiek z pasją regionalisty. Autor wielu publikacji na temat regionu. Autorytet wśród regionalistów w Polsce. Wielokrotnie odznaczany i wyróżniany, zarażał swoją regionalistyczną pasją. To on uświadomił mi, że całe moje zawodowe życie można nazwać permanentnym przygotowaniem mnie do bycia regionalistą.

Dziś widzę to jako nieświadomą wędrówkę ku regionalizmowi. Jakbym był łódką wydrążoną z kory nieuchronnie spływającą do akwenu zwanego regionalizmem. Wiedziałbym to wcześniej, gdybym umiał czytać owe znaki czasu.



Okładka Kutnowskich Zeszytów Regionalnych. Wydawnictwo Książkowe TPZK zawierające opracowania, opisujące historię, zabytki i wybitnych ludzi regionu. Wśród autorów lokalni regionaliści ale i wybitni historycy, naukowcy, znawcy dziejów



Przykłady pocztówek wydanych przez TPZK poświęconych zabytkom Regionu Kutnowskiego

To kolega Andrzej spostrzegł, że ze swoją wiedzą i znajomością regionu mógłbym się pokusić o opisywanie jego przyrody w sposób profesjonalny. Jako pracownik Instytutu byłem już wtedy autorem i współautorem publikacji, ekspertyz i prac naukowych powstałych na tym terenie, niejako dla tego regionu. Andrzej szukał wtedy materiałów publicystycznych i opracowań do nowo powołanego do życia wydawnictwa książkowego, rocznika TPZK, zatytułowanego „Kutnowskie Zeszyty Regionalne”. Namówił mnie do pisania. W ten sposób powstał cykl artykułów o przyrodzie Regionu Kutnowskiego, który bez żadnych gratyfikacji podarowałem regionowi. W ten sposób, niepostrzeżenie, stałem się członkiem TPZK, regionalistą, wciągniętym już nie tylko do naukowo-literackiej pracy twórczej ale i do działalności społecznej na rzecz regionu. Znalazłem się w składzie zarządu Towarzystwa i zacząłem wykonywać w nim wiele zadań będących czystą pracą społeczną związaną ze statutową działalnością organizacji. I tak jest do dziś.

Były to czasy szlachetnego zaangażowania w bezinteresowną, społeczną pracę, dającą poczucie satysfakcji a także uznanie pośród kutnowskiej społeczności i władz samorządowych. Rodziła się nowa Polska. Rodziła się

nowa społeczność samorządowa. Ludzie chcieli mieć wpływ na kształtowanie życia w ich tzw. „małej ojczyźnie”.

Były to czasy, gdy społeczna praca dla regionu nie była krępowana, nadmiernie później rozbudowaną literą prawa. Byliśmy entuzjastami bawiącymi się w regionalizm. Czuliśmy dumę z przynależności do Towarzystwa, dziś już o długiej 40-letniej historii i bogatym dorobku.

I nie są to puste słowa. Świadczą o tym podjęte i zrealizowane przez TPZK działania. Oto w skrócie niektóre z nich:

Wydawnictwa

- Ponad 20 publikacji książkowych, m.in.:
- rocznik - „Kutnowskie Zeszyty Regionalne” (16 tomów, wzbogacających biblioteki najpoważniejszych uniwersytetów w Polsce, szkół Regionu Kutnowskiego a także prywatne biblioteki Polaków w kraju i za granicą),



Przykłady publikacji książkowych o regionie, wydanych przez TPZK lub przy udziale Towarzystwa

- dwa tytuły gazet okolicznościowych, upamiętniających lokalne święta,
- mapy administracyjne regionu (2 wersje),
- karty pocztówkowe o regionie (23 wydane projekty),
- znaczki turystyczne rajdów pieszych,
- druki ulotne (90 różnych projektów: zaproszenia, dyplomy, foldery, broszury, plakaty itp.).



Trzy spośród 11 tablic pamiątkowych ufundowanych przez TPZK

Utrwalanie śladów historii regionu w postaci:

- 11 tablic pamiątkowych poświęconych sławnym obywatelom i wydarzeniom historycznym związanym z regionem,
- 26 medali pamiątkowych, z których TPZK zasłynęło w skali kraju. Uświetniają one dziś kolekcje medalierskie państwowe i prywatne w kraju i za granicą.

Imprezy masowe poświęcone tematyce regionalistycznej, gromadzące tysiące uczestników:

- rajdy piesze i rowerowe „Śladami historii i zabytków Kutna i Regionu Kutnowskiego”,
- koncerty muzyki poważnej, z uwzględnieniem twórczości kompozytorów i poetów Regionu Kutnowskiego, przy udziale rodzimych wykonawców,
- odczyty i prelekcje na temat historii, zabytków i wybitnych obywateli Regionu,
- konkursy tematyczne dla młodzieży,
- powołanie Uniwersytetu Trzeciego Wieku,



Awersy i rewersy trzech spośród 26 medali pamiątkowych wydanych przez TPKK

– organizacja kwesty cmentarnej dla ratowania zabytkowych grobów na cmentarzu parafialnym w Kutnie.

Towarzystwo uczestniczyło w niemal wszystkich przejawach życia obywatelskiego miasta Kutna. Przedstawiciele Towarzystwa byli członkami wielu ważnych gremiów zespołów obywatelskich decydujących o rozwoju miasta i regionu.



Jeden z wielu rajdów krajoznawczych po Regionie Kutnowskim zorganizowanych przez TPKK

Dziś nadal jestem regionalistą, lecz z niepokojem stwierdzam, że zaprzęgnięty również do pracy dla coraz bardziej pęczniejącej biurokracji, która nie omija organizacji pożytku publicznego.

Jako przyrodnikowi i znawcy zagadnień ochrony środowiska przyrodniczego nasunęło mi się pewne porównanie. O ile w początkowym okresie moją działalność regionalisty przyrównałbym do **fascynującego spływu piękną, dziką rzeką o urozmaiconych brzegach, bogatych w roślinność**



Logo Uniwersytetu Trzeciego Wieku utworzonego przy TPZK. Działający już od 6 lat UTW w Kutnie co roku skupia ponad 300 słuchaczy. Ma swój dorobek wydawniczy i wielkie zasługi w uaktywnieniu słuchaczy uniwersytetu w twórczości malarskiej, literackiej, teatralnej itp.

przez co pełną tajemnic i piękna, o tyle dziś działalność coraz bardziej przypomina **sptyw rowem, czyli rzeką po regulacji... „prawnej”**. W nim, nurt wody ma grzecznie płynąć spełniając po drodze dziesiątki uwarunkowań i pokonując dziesiątki formalnych przeszkód. Radość płynącą z bezinteresownej pracy na rzecz regionu, zakłócają coraz bardziej komplikowane przez ludzi przepisy, kontrole, sprawozdania, przerosty formalności i wielkie ilości dokumentów, nie tylko rozliczeniowych.

Piszę tu o bezinteresownej pracy, bo działałam w organizacji pożytku publicznego (opp). Jest to Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Kutnowskiej, stowarzyszenie, które niedawno obchodziło 40-lecie swojego istnienia. Niegdyś z dumą należało do grona tzw. organizacji wyższej użyteczności publicznej, szanowanych za zaangażowanie społeczne.

W nowych czasach, aby utrzymać wysoki status społeczny organizacja musiała na wstępie spełnić wymogi płynące z litery nowego prawa. Musiała uzyskać wpis sądowy do KRS, co okazało się niełatwą sztuką i zmusiło zarząd do korzystania z usługi prawnej. Łatwo się domyśleć, że organizacja nieprowadząca działalności gospodarczej, niemająca dochodów, skazywana jest na rezygnację z wysokiego statusu społecznego, tytułu opp, gdyż nie posiada środków na opłacenie usługi prawniczej. Jeśli tak się nie stało, to tylko dzięki życzliwości ludzi dobrej woli, znajomych, zawodowych prawników, którzy bezinteresownie pomogli przebić się przez nowe bariery, tzn. przygotować komplet niezbędnych dokumentów i zaświadczeń do sądu i przeprowadzić, jak się okazało niełatwe sądowe formalności. Gdyby nie grono przyjaciół doceniających dotychczasowe zasługi Towarzystwa, organizacja z kilkudziesięcioletnim stażem i wielkim dorobkiem, oparta na bezinteresownej pracy wielu wspaniałych ludzi, zostałaby zdegradowana



Przykłady znaczków rajdowych



*Laureaci jednego z wielu konkursów o tematyce regionalistycznej,
zorganizowanych przez TPZK dla młodzieży*

do rzędu organizacji niewiele znaczących, bez historii, bez dorobku i zasług dla regionu. Tymczasem, w ślad za faktem bycia organizacją pożytku publicznego, należało spełnić szereg kolejnych rygorów prawnych, jeszcze bardziej formalizujących jego działalność. Rygorystycznie, często pod groźbą kar administracyjnych, egzekwuje się od organizacji prowadzenie nie mniej szczegółowej księgowości niż w przedsiębiorstwie. Niedopełnienie tego obowiązku jest równoznaczne z utratą statusu opp. Prawidłowego prowadzenia pełnej księgowości może się podjąć tylko zawodowy księgowy, a to wiąże się z narastaniem kosztów funkcjonowania towarzystwa, nie wspomnę o kosztach opłat za lokal, energię itp. Główną troską zarządu stało się pozyskanie środków. Wynikający ze statutu i przepisów prawa zakaz prowadzenia działalności dochodowej spowodował bardzo dziwną sytuację, w której niedochodowa organizacja, oparta na pracy społecznej zmuszana jest do ponoszenia coraz większych kosztów. Jak się utrzymać w tym zmienionym świecie? Dzięki przychylności władz samorządowych i dobrej opinii o naszej dotychczasowej wieloletniej pracy znaleźli się sponsorzy, co umożliwiło, chociaż nie bez trudności, dalszą działalność towarzystwa. Tymczasem rośnie liczba organizacji zatem i zapotrzebowanie na sponsoring. Coraz trudniej pozyskać sponsora.

Ale „era wzmożonej biurokracji” trwa. Kolejne nowelizacje przepisów prawnych mnożą i komplikują obowiązki sprawozdawcze natury merytorycznej, finansowej i statystycznej (SOF-5,SOF-1), wymagane przez stosowne ministerstwo i GUS. Liczba dokumentów i odpowiedzialności narasta. Coraz więcej czasu zarząd, na swoich zebraniach, poświęca tematyce rozliczeń finansowych, pilnowaniu terminarza sprawozdań. Robi to z rosnącym niepokojem, bo sprawy te egzekwowane są bezpardonowo. Wprowadza to coraz więcej nerwowości a czasem i zniechęcenia. Dla członków zarządu, ludzi pragnących po prostu być pożytecznymi dla regionu, bywa to czasem nieprzyjemne a nawet dotkliwe, czego przykładem są chociażby pisma z Sądu rozesłane do każdego z członków zarządu z osobna, grożące sankcjami karnymi po 500 złotych od osoby za ...nieterminowe zgłoszenie do Sądu zmian personalnych w zarządzie.



Kwesta Publiczna na restaurację zabytkowych grobów na cmentarzu parafialnym w Kutnie organizowana przez TPZK, to już wieloletnia tradycja



Jeden z wielu koncertów muzyki poważnej zorganizowanych przez TPZK przy udziale uczniów Państwowej Szkoły Muzycznej I i II st. im. Karola Kurpińskiego w Kutnie, promujących twórców i wykonawców związanych z regionem

Byłem zdumiony. Ja, który z własnej woli, ze szlachetnych pobudek, poświęcam swój prywatny czas i umiejętności dla dobra innych, jestem potraktowany jak potencjalny złoczyńca. Czy mam się odtąd bać swojej pracy społecznej? Pierwszy raz moja działalność regionalisty sprawiła mi przykrość. Nigdy dotąd nie karany, teraz, przez nadmiar dobrych intencji, mogę „zapaskudzić” sobie czystą kartotekę obywatela tego kraju. **Dokąd płynie ta niegdyś przyjazna rzeka?**

W tym samym czasie ktoś w ministerstwie ciągle „usprawnia” sposób zbierania sprawozdań. Już nie wystarczy prozaiczna forma sprawozdania – pisanego w WORDZIE, Trzeba dostarczyć bilans, rachunek zysków i strat, informację dodatkową i sprawozdanie merytoryczne. Cóż robić? Nie ma wyjścia! Dobrze! Niech będzie! To w końcu niewielki wysiłek zeskanować i wysłać Internetem dokumenty, które i tak są przecież wykonywane przez księgową. Jednakże, niepostrzeżenie, sprawy formalne zajmują coraz więcej cennego czasu, który regionalista chce poświęcić dla regionu, a nie dla buchalterii.

Tymczasem kolejne lata przynoszą jeszcze bardziej uszczegółowione prawo, rozszerzają zakresy pojęć prawnych i wymagań z tym związanych. Księgowa i członkowie zarządu przebijają się przez nowe, coraz bardziej komplikowane przepisy prawne. Bez pomocy prawnika trudno sobie poradzic. A więc kolejne koszty? Jednocześnie, w celu zbierania znacznie szerszych informacji sprawozdawczych, w ministerstwie wymyślono program komputerowy do sprawozdań, zawierający wewnątrz kontrolujące się na wielu płaszczyznach, krzyżowo, arkusze kalkulacyjne, na których trzeba dać odpowiedź na stos pytań. Arkusz trudny do wypełnienia przez księgowego i informatyka razem, tak aby dał akceptowalny przez ministerstwo rezultat, tzn. rezultat dający się wysłać internetem do ministerstwa. Znam organizacje, które z tego powodu zatrudniły specjalnie informatyka. Skąd brać na to środki? Wszak organizacja zgodnie ze statutem jest nieochodowa. Niepostrzeżenie, koszty i wysiłek organizacyjny związane ze spełnianiem rosnących wymogów formalnych zwiększają się. Co ja, prosty regionalista o tym myślę, nikogo nie obchodzi.

Tymczasem, równolegle, wszelkie lokalne środki publiczne na działalność organizacji społecznych, prawo polskie lokuje we władzach samorządowych. Tym samym to tu, niejako automatycznie, koncentruje się wszelka decyzyjność w zakresie zapotrzebowania na określoną tematykę działalności. Co prawda organizacje mogą zgłaszać swoje pełne nieograniczonej fantazji pomysły, ale i tak ostateczny rezultat ogłoszonych przez samorząd do przetargu ofert zostanie sprowadzony do nurtu potrzeb widzianych oczami władz samorządowych. Z wygraniem konkursu ofert łączy się oczywiście obowiązek wypełnienia kolejnego stosu wielostronicowych dokumentów (oferta, umowa, rozliczenie).

W ten sposób, niepostrzeżenie, działalność regionalistycznej organizacji pożytku publicznego obarczona została garbem formalizmu, biurokracji, sprawozdawczości i skrępowania niejasnymi, często szkodliwymi przepisami prawnymi, gąszczem nieprzyjaznych paragrafów, artykułów, zakazów i zobowiązań, a także jak się wydaje garbem, nie wiadomo dlaczego, obowiązującej zasady domniemanej winy najaktywniejszych ludzi w społeczeństwie. Tak na wszelki wypadek. Bo potencjalnie mogą zaistnieć nieprawidłowości przez nich spowodowane.

Być może stworzony mechanizm prawny ma swoje uzasadnienie w stosunku do organizacji rozbudowanych, operujących wielkimi sumami środków, prowadzących działalność dochodową, aby nieuczciwi pseudo-działacze nie mogli budować własnych, prywatnych fortun. Dla małych organizacji działających lokalnie, których siłą i zaletą jest przede wszystkim ogromne, bezinteresowne zaangażowanie ludzi na rzecz własnego regionu, a tych organizacji jest większość, takie przepisy są nieuzasadnionym i niszczącym obciążeniem. Powodują zniechęcenie i marnotrawstwo wielkiego potencjału ludzkiego. Z niepokojem obserwuję pogarszające się w związku z tym stosunki międzyludzkie. To zły znak, bo dotyczy środowisk, które z natury swojej gromadzą ludzi zgodnych i jednomyślnych w swym dążeniu do bycia pożytecznym dla własnego regionu. **Dokąd chce płynąć ta nigdyś dzika rzeka o urozmaiconych brzegach, bogatych w szatę roślinną przez co pełną tajemnic i piękna?** Czy aby w pogoni za biurokracją nie zapominamy o ludziach i regionie?

Mając świadomość dokonujących się zmian, rośnie we mnie szacunek dla moich kolegów i koleżanek regionalistów, którzy mimo wszystko trwają w swojej szlachetnej pasji działania na rzecz regionu i jego mieszkańców.

Zdjęcia zamieszczone w tekście pochodzą z archiwum Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Kutnowskiej. Autor uzyskał zezwolenie zarządu TPZK na ich wykorzystanie

Andrzej Latos – urodził się 10 października 1943 r. w Kozienicach. Posiada wykształcenie wyższe, mgr inż. leśnictwa, zdobyte w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Ukończył także dwuletnie studia podyplomowe w zakresie wyceny, zarządzania i obrotu nieruchomościami w Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie oraz liczne kursy i seminaria dotyczące dziedzin ochrony przyrody, leśnictwa, zadrzewień i terenów zieleni. Posiada tytuł rzeczoznawcy w zakresie ochrony środowiska Stowarzyszenia Naukowo-Technicznego Inżynierów i Techników Ogrodnictwa, Zarządu Głównego w Warszawie, uprawnienia Inspektora Nadzoru Terenów Zieleni Federacji Stowarzyszeń Naukowo-Technicznych NOT, państwowe uprawnienia przewodnika turystycznego i pilota wycieczek turystycznych. Jest członkiem zarządu Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Kutnowskiej. Był wieloletnim pracownikiem Instytutu Badawczego Leśnictwa w Warszawie. Jest autorem i współautorem wielu ekspertyz, publikacji i opracowań naukowych z zakresu leśnictwa, zadrzewień, terenów zieleni i zabytkowych obiektów parkowo-pałacowych. Jako wykładowca był angażowany przez

Ministerstwo Ochrony Środowiska Zasobów Naturalnych i Leśnictwa, Ministerstwo Środowiska i instytucje zawodowo związane z powyższą tematyką (nadleśnictwa, instytuty naukowe, Ośrodki Doradztwa Rolniczego itp.) oraz urzędy wojewódzkie, powiatowe i gminne. Był wyróżniony Dyplomem Ministra Kultury za osiągnięcia w upowszechnianiu kultury (2002). Otrzymał nagrodę zespołową Dyrektora Instytutu Badawczego Leśnictwa za wyróżniającą się pracę naukową (1998) oraz nagrodę zespołową III stopnia Ministra Ochrony Środowiska Zasobów Naturalnych i Leśnictwa „Za wybitne osiągnięcia twórcze w dziedzinie ochrony środowiska” (1995). Jest popularyzatorem wiedzy o przyrodzie Regionu Kutnowskiego.

LESZEK ORŁOWSKI
Łódź

REGIONALIZM JAKO TĘSKNOTA INTELEKTUALNA

W maju 1967 r. przyjechał z Warszawy do Łodzi prof. Józef Chałasiński, były rektor Uniwersytetu Łódzkiego. Przybył wraz z żoną Krystyną Chałasińską, na zaproszenie Okręgowej Rady Studenckiej Związku Młodzieży Wiejskiej w Łodzi. Witaliśmy Ich z Krysią Sochą na peronie dworca Łódź Fabryczna. Poinformowałem Profesora o szczegółach organizacyjnych spotkania i wykładu. Profesor wszystkie zamierzenia zaaprobował i skwitował uśmiechem mówiąc „byleby mi pan nie kazał śpiewać, to z resztą poradzimy”.

Wykład *Naród i Ojczyzna w świadomości współczesnego Polaka* wywołał duże zainteresowanie. Spotkanie zaplanowane na parterze, w sali obok biblioteki socjologicznej musieliśmy przenieść do auli na I piętrze, aby pomieścili się wszyscy zainteresowani. W wykładzie Profesor mówił o wzajemnie powiązanych problemach osobowości, kultury i narodu, akcentując korzystne znaczenie socjalistycznej rewolucji społecznej dla zadamawiania się w kulturze narodowej szerokich warstw społecznych a szczególnie chłopów. W środowisku uniwersyteckim w tym czasie żywo dyskutowano książkę Adama Schaffa pt. *Marksizm a jednostka ludzka*. Tezę o alienacji państwa w socjalizmie, która stanowiła ważny wątek tej książki skrytykowało Biuro Polityczne KC PZPR. Nic dziwnego, że zapytano Profesora także o tę problematykę. Odpowiedź była pozornie wymijająca, bo Chałasiński wyznał, że nigdy w tym państwie nie czuł się wyalienowany i dlatego ta problematyka jest mu obca. Była to profesorska złośliwość niosąca jednocześnie istotną treść poznawczą. Profesor znacznie wcześniej, bo już w 1965 r., wypowiedział się o wspomnianej książce Schaffa,

w recenzji zatytułowanej *Samotność człowieka uniwersalnego*. Po zakończonym spotkaniu prof. Antonina Kłoskowska zwróciła się do mnie o zgodę na zabranie Państwa Chałasińskich na kolację (Profesor uzależnił swoją decyzję od zgody organizatorów).

W drugim dniu wizyty w Łodzi, w siedzibie Zarządu Wojewódzkiego ZMW na ul. Jaracza 7, Profesor zaproponował mi staż asystencki w Katedrze Socjologii Kultury Uniwersytetu Warszawskiego, którą zupełnie świeżo Profesorowi powierzono. „Proszę zadzwonić do mnie kiedy uzyska pan magisterium”. Tyle było formalności wstępnych, zakończonych życzeniem udanej obrony i pytaniem o poziom znajomości języków obcych. Kiedy w czerwcu zadzwoniłem do Profesora usłyszałem zaproszenie na śniadanie w umówionym terminie do Państwa Chałasińskich, na ul. Marszałkowską 10 w Warszawie. Po śniadaniu Pani Chałasińska przejrzała moje dokumenty, zapakowała w kopertę i w towarzystwie Profesora poszedłem do Pałacu Staszica, w którym Profesor miał Pracownię Badań nad Kulturą Współczesnej Afryki. Tam poprosił panią adiunkt aby towarzyszyła mi w pierwszej wizycie na Wydziale Filozoficznym UW. Poinformował mnie, że w Katedrze uwaga koncentruje się na trzech wzajemnie powiązanych problemach – kultury, osobowości i narodu. Wybór pozostawił moim zainteresowaniom. Kiedy wskazałem na problem osobowości zapytał mnie o znajomość twórczości Floriana Znanieckiego i zalecił książkę pt. *Ludzie terażniejsi a cywilizacja przyszłości*. Poinformował mnie również, że jak będę miał przygotowane wystąpienie naukowe to udostępni mi seminarium. W moim wówczas odczuciu, do dziś żywym i wspomnianym, będąc stażystą miałem pozycję samodzielnego pracownika nauki.

Po powrocie z wakacji zapytał mnie przyjacielsko „co słychać?”. Pożaliłem się, że były trudne, mokre żniwa i niewiele czasu mogłem poświęcić na studiowanie Znanieckiego. Dodałem, że nie zamierzam w przyszłości zajmować się gospodarstwem. „A co pan zamierza robić jako socjolog?” – usłyszałem. Na najbliższym zebraniu pracowni Profesor znalazł jakiś pretekst aby wskazać na wartość łączenia pracy fizycznej i intelektualnej. Wspomniał o pracy na polu przy żniwach i przypomniał, że Witos osobiście wykonywał orkę, również w czasie premierowania. Byłem tą uwagą tyleż poruszony co i wzruszony. Nie przychodziło mi wtedy do głowy, że przez najbliższe 40 lat będę łączył te dwa zajęcia.

Na seminarium prowadzonym przez Profesora mówiło się o problemach różnorodnych i bardzo ciekawych. Na jednym z zebrań Pracowni Badań nad Kulturą Współczesnej Afryki pani doktor dzieliła się wrażeniami z wizyty w enerdowskim ośrodku afrykanistycznym. Niemieccy badacze – opowiadała – zarzucają naszej pracowni niepoprawność metodologiczną i niezgodność z doktryną marksistowską, bowiem postrzegamy i rozważamy w afrykańskich społecznościach problemy narodu a nie klas. Nie ma się co przejmować – zareagował Profesor: „Jeśli oni w Afryce widzą klasy to my możemy zobaczyć tam naród”. Na innym seminarium pojawił się dziennikarz – korespondent polskiej prasy w Kairze. Relacjonował konferencję prasową Prezydenta Egiptu. Zapytano tam kiedy Egipcjanie nawiążą stosunki dyplomatyczne z Ameryką. Prezydent odpowiedział, że nastąpi to jak tylko ostatni rosyjscy doradcy wojskowi opuszczą Egipt. Wkrótce ta zapowiedź potwierdziła się. Informacja na seminarium znacznie wyprzedziła doniesienia oficjalne. Bardzo ciekawe merytorycznie ale też niezwykle emocjonalne spotkanie zapewnił doc. Stefan Kurowski, który przybył w towarzystwie kilku osób i referował książkę Feliksa Konecznego *O wielość cywilizacji*. Żywo pamiętam czas spędzony z Profesorem przeznaczony na seminarium magisterskie, na którym nie pojawili się studenci. Chałasiński pogadywał o tym jak na kulturę Amerykanów wpływa fakt, że żyją w państwie kontynentalnym i tam gdzie my mamy sąsiadów Niemców oni mają Ocean Spokojny a tam gdzie my mamy Rosjan oni mają Ocean Atlantycki. Na górze Kanadę a na dole Meksyk. Wtedy też – w 1967 r. – słuchałem opinii Profesora o zmniejszaniu się znaczenia cywilizacyjnego i politycznego Europy w świecie i przenoszeniu się punktu ciężkości w kierunku Azji a szczególnie Chin.

Wkrótce nadszedł brzemienny w skutki rok 1968. Profesor jednoznacznie i publicznie potępił przemoc wobec studentów a mnie radził nie wdawać się w te awantury: „Kiedyś, w takich burzliwych czasach napisałem książkę. Panu też proponuję bibliotekę”. Nie posłuchałem Profesora i zaangażowałem się w umacnianie podtapianego już socjalizmu. Kiedy po latach zamordowano Księdza Jerzego Popiełuszkę nie miałem trudności z interpretacją tego faktu. Ksiądz nie posłuchał rady mądrego i życzliwego mistrza Prymasa Józefa Glempa. Potem rzeczywistość przeniosła się już w inny wymiar.

W wywiadzie dla pisma społeczno-kulturalnego zapytano prof. Chałasińskiego o zainteresowania poza-socjologiczne. Profesor wymienił twórczość Josepha Conrada i kulturę włoską. Zainspirowało mnie to do wykupienia subskrypcji dzieł wszystkich Conrada, a potem zwrócenia się do subskrybentów o źródła zainteresowania Conradem. Odwiedziłem autorów ciekawszych wypowiedzi, już na białostoczczyźnie – gdzie mieszkaliśmy przez pewien czas, poznając pogranicze polskiej i białoruskiej kultury. W Choroszczynie poznałem salową szpitala psychiatrycznego. Kupiła dzieła Conrada córce – studentce polonistyki. Nie doczekawszy się entuzjazmu u córki, sama zaczęła czytać. Pamiętam te fragmenty rozmowy kiedy o pacjentach mówiła z opiekuńczym ciepłem i kompetencją lekarza. W Wiźnie spotkałem bibliotekarkę, która osobiście zanosila książki czytelnikom do domów. W innym rejonie długo rozmawiałem z leśniczym nadzwyczajnie aktywnym w obronie środowiska naturalnego. Moi rozmówcy – różnych zawodów i środowisk – przejawiali skłonność do zadumy egzystencjalnej, rygorystyki moralnej ale też upór w pracy konkretnej i użytecznej. W Białymstoku miałem okazję współpracować przez pewien czas z dr Włodkiem Pawluczukiem i spotykać się z Edkiem Redlińskim. Powiało regionalizmem. Ten, wprawdzie krótki, czas smakowania różnorodności postaw i poglądów, doświadczeń i obyczajów na białostoczczyźnie komponował nam się (tzn. mnie i mojej żonie Krysi – socjologowi z jednej ławki uniwersyteckiej) z doświadczeniem wyniesionym z badań w jakich uczestniczyliśmy pod kierunkiem dr Ryszarda Kornobisa na zlecenie Spółdzielczego Instytutu Badawczego w Warszawie. To były badania obejmujące cały kraj z założeniami nawiązującymi do zaborów: Kongresówkę, Galicję i Wielkopolskę z ziemiami północnozachodnimi. Do wyłosowanych miejscowości docieraliśmy autostopem. Założona różnorodność potwierdziła się w sferze produkcji (skali i poziomu technicznego), organizacji i porządku w instytucjach i obejściach chłopskich. Na ziemiach zachodnich i północnych dodatkowo postrzegaliśmy u przybyłych tam przesiedleńców ze wschodu trudności w zagospodarowaniu zastanych gospodarstw i żywe obawy o powrót niemieckich właścicieli.

Wraz ze zmianą podziału administracyjnego Polski przenieśliśmy się do Sandomierza. Byłem u siebie. Na pograniczu powiatów sandomierskiego i opatowskiego jest moja rodzinna wieś Lisów. Na rynku sandomierskim pod nr 6 organizowałem Biuro Wystaw Artystycznych. Miałem pomysł utworzenia galerii wystawą plakatów Jana Młodożeńca syna Stanisława Młodożeńca.

Odwiedziliśmy z Krysią Artystę w jego domu w Warszawie. Jan Młodożeniec okazał się życzliwym, uprzejmym ale niezwykle oszczędnym w słowach. Nie zgodził się na wystawę tłumacząc, że jego plakaty mało nadają się na otwarcie galerii. Wizyta ta jednakże wywołała u mnie dreszcz emocji i fascynacji bezpośrednim kontaktem z ludźmi sztuki pochodzącymi z mojego regionu.

Otworzyliśmy galerię wystawą obrazów Franciszka Maśluszczaka. Szczęśliwą rękę miał dzisiejszy profesor Akademii Sztuk Pięknych. Starannie przygotowywane uroczyste wernisaże pozwoliły mi gościć w galerii i poznać osoby o żywym zainteresowaniu kulturalnym, mające osobisty wpływ i udział w tworzeniu duchowej atmosfery Sandomierza. To właśnie w galerii poznałem Józefa Nowaka – mądrego człowieka, zawodowo dyrektora I Liceum Ogólnokształcącego a społecznie prezesa sandomierskiego oddziału PTTK. Był potem moim pracodawcą, przewodnikiem po Sandomierzu i regionie, przyjacielem. Ale to było potem. Tymczasem galeria w Sandomierzu zyskiwała atrakcyjność ponadregionalną. Chętnie przyjeżdżali malarze na miesięczne indywidualne plenery (BWA miało na piętrze część mieszkalną). Tu przeżyłem wspaniałą przygodę z artystami Szczepu „Rogate Serce” założonego w 1929 r., przez niezwykle utalentowanego i równie kontrowersyjnego artystę Stanisława Szukalskiego „Stacha z Warty”. Szukalski bezwzględnie a nawet brutalnie atakował sztukę akademicką za bezkrytyczne naśladowanie zachodu i zanik słowiańskiej odrębności. Znalazł zwolenników wśród zdolnych studentów akademii, którzy zafascynowani nową ideą sztuki złożyli kwiaty pod rzeźbą Szukalskiego w Krakowie. Tym samym spowodowali skreślenie ich z listy studentów. Od tej pory doskonalili swoje umiejętności pod wyłącznym przewodnictwem Stanisława Szukalskiego. Hasło szczepu brzmiało: „miłować i walczyć”. Kiedy Szukalski kolejny raz i na długo wyjechał do Stanów Zjednoczonych, kierował artystyczną grupą przez osobiście mianowanego szczepowego Mariana Konarskiego. W Sandomierzu wystawiali szczepowcy: Marian Konarski, Franciszek Frączek, Czesław Kiełbiński a także syn Mariana Konarskiego Jacek Konarski.

Szczególnie bliski był mi Franciszek Frączek, szczepowy pseudonim „Słońcesław z Żołyńi”. Chłopski syn, odrobinę mistyk i wizjoner. Po kolejnej wizycie w Jego domu w Krzemienicy koło Łańcuta zanotowałem w listopadzie 1982 r. w moim dzienniku:

F. Frączek jest ideologiem ludowości. W najściślejszym związku człowieka z naturą, jego zespoleniu z życiem przyrody widzi drogę do odnowienia duchowej istoty człowieka, drogę zbliżającą do prawdy w człowieku. Mówi, że człowiek najdawniejszej kultury ludowej mniej analizował, dedukował a więcej odczuwał.

Był częścią przyrody z roślinami i zwierzętami czuł wspólnotę i pokrewieństwo. Nadawał im indywidualne nazwy, nie odmawiał posiadania duszy i możliwości odczuwania i porozumiewania się. „Po latach mordęgi, niepewności i zwątpienia wiedziony chyba tajemniczym instynktem, szukając drogi do polskiego stylu wkraczałem w świat ludowości. Poczujęm się poganinem poszukującym własnych zapomnianych bogów. Jest w moim myśleniu chłopska cecha szukania sensu i przydatności każdego działania. Ta tendencja jest wyraźna w twórczości ludowej gdzie każde dzieło ma swoje powiązanie z życiem i jest potrzebne” – pisał we wstępie do katalogu jubileuszowej wystawy w „Zachęcie” w 1986 r. Na wernisażach swoich wystaw w Rzeszowie, Sandomierzu czy w warszawskiej „Zachęcie” Frączek ubierał płócienną sukmanę z wyhaftowanym symbolem szczepu. Tak demonstrował wierność dla szczepu i kultury ludowej.



Franciszek Frączek, Fot. Zbigniew Puławski

W niedalekim sąsiedztwie od galerii BWA, w kamienicy Oleśnickich mieściło się sandomierskie muzeum. Poza stałą wystawą etnograficzną uwagę zwracała sala w której wisiało kilkadziesiąt obrazów; wszystkie o fioletowej poświacie. To prace Jana Pawła Mazurkiewicza sandomierskiego malarza. Podarował obrazy muzeum pod warunkiem, że będą tam eksponowane na stałe. Starego i już schorowanego malarza odwiedzałem w Jego skromnym mieszkanku na ul. Mickiewicza. Mam do dzisiaj luźne notatki z Jego pasjonującej życiowej opowieści. W 1913 roku ukończył Akademię Krakowską. Wspominał o strajkach studenckich przeciwko Fałtowi. Pierwszą pracę podjął w Nowym Targu w gimnazjum plastycznym. Uczył rysunku a dla uzupełnienia etatu, literatury polskiej. Potem służba oficerska w armii austriackiej, udział w bitwie i rosyjska niewola. O dziwo Mazurkiewicz pamiętał niewolę jako „szlachetną”. Oficer rosyjski powiedział mu, że „nie jest już wrogiem lecz gościem”. W Tobolsku, do którego jechali przez miesiąc, kilkunastu oficerów-jeńców dostało willę. Ich opiekunem był kapitan rezerwy inżynier Nowosiołow, potem pułkownik. Kapitan poprosił Mazurkiewicza o namalowanie portretu córki. Jeździł też portretować inne osoby z rodziny. W zamian dostał rzeźbę z kości słoniowej. Wspominał wielodniowe podróże wzdłuż Irtysza, bezludne rozległe stepy po obydwu stronach, mnóstwo ptaków i kawę ze śmietanką podawaną przez żołnierzy. Warunki niewoli pogorszyły się kiedy dotarła wiadomość, że Niemcy źle traktują jeńców rosyjskich. Już za władzy radzieckiej został zaangażowany do pracy propagandowej w domu kultury w Krasnojarsku. „Nie znano tam Stalina. W dwudziestym roku nikt tam nie znał Stalina”. Dzięki życzliwości wojskowego komisarza wrócił do kraju. Lata międzywojenne spędził w Poznaniu. W 1939 roku z Poznania szedł piechotą do Warszawy i zgłosił się do brygady obrońców Warszawy. Szczycił się przyjaźnią z Rydzem Śmigłym. W latach 1947–1948 był burmistrzem Sandomierza. Wystawiłem obrazy Mazurkiewicza w galerii BWA i zakupiłem jeden obraz dla BWA a pieniądze zaniósłem osobiście wprost do szpitala gdzie były Mu niezbędne w ostatnich dniach życia.

Ze zbyt intensywnego zajmowania się artystami „Rogatego Serca” wyniknęły kłopoty i decyzja o odwołaniu mnie ze stanowiska dyrektora BWA. Pozostały kontakty, przyjaźń ze „Słońcesławem z Żołyńi” i wspomnienia długich rozmów w pracowniach w Krzemienicy, Krzeszowicach, Krakowie. Miałem bezcenną okazję żyć w klimacie duchowym wrażliwych arty-

stów, którzy swój emocjonalny związek z rodzinną ziemią wyrażają poprzez twórczość plastyczną. W mojej parafii Malice Kościelne żywa pozostaje pamięć dyplomowych rzeźb Józka Opali ustawionych wzdłuż drogi od domu Józka w Męczennicach w kierunku malickiego kościoła. Wystawę oceniała komisja z warszawskiej ASP jadąc bryczką powożoną przez ojca Józka – kościelnego organistę.

We wrześniu 1983 r. zostałem nauczycielem. To była dobra decyzja bo w jakiejś mierze nawiązywała do tego co robiłem bezpośrednio po studiach i byłem bliżej *Socjologii wychowania* Znanieckiego i *Spółczeństwa i wychowania* Chałasińskiego. Po kilku latach prowadziłem lekcję ocenianą na II-gi stopień specjalizacji zawodowej z przedmiotu wiedza o społeczeństwie. Tematem była humanistyczna koncepcja narodu traktująca naród jako zjawisko ze sfery kultury a nie biologii i polityki. Uczestniczący w lekcji w imieniu rady pedagogicznej nauczyciel fizyki powiedział, że wiele się na tej lekcji nauczył.

Dyrektorem w tej szkole – I Liceum Ogólnokształcącym w Sandomierzu – był poznany już wcześniej Józef Nowak. Kiedy dowiedziałem się, że jest polonistą wspomniałem, iż na seminariach w katedrze socjologii kultury Uniwersytetu Warszawskiego prof. Chałasiński mówił z uznaniem i niezwykle ciepło o Stanisławie Pigioniu. Pan Nowak żywo podjął temat informując mnie, że jest uczniem Pigionia (pokazywał mi nawet kartkę z oceną bardzo dobrą i podpisem prof. Pigionia). Ci dwaj chłopscy profesorowie zbliżyli nas do siebie. Panu Nowakowi nieobce były nazwiska Bystronia, Ossowskiego, Czarnowskiego, Znanieckiego. Cenił pamiętnikarstwo a pamiętnikarzy regionalnych znał wybornie. W naszych rozmowach wielokrotnie pojawiała się nazwisko Wincentego Witosa. Było przyjemnie chyba nam obu cytować opinię Chałasińskiego o wybitnych walorach socjologicznych wspomnień Witosa i Pigionia o walorach literackich tych wspomnień i moralnym zorganizowaniu Witosa. Nic to przypadkowego. Józef Nowak był synem wójta z Lipnicy koło Kolbuszowej. Nie stanowiło to dla niego powodu ani do chwały ani do kompleksu. Wyznaczało natomiast trwałą postawę chłopskiej tożsamości. Przez 20 lat prezesował Polskiemu Towarzystwu Turystyczno-Krajoznawczemu w Sandomierzu. Konsekwentnie wspierał intelektualne elementy jego programu. Trwałym dorobkiem tej postawy były „Studia Sandomierskie” wydane za Jego staraniem. Wiedział wszystko o Stefanie Żeromskim, toteż nasze wielokrotne wędrowki do Kurozwęk, Chobrzezan

z równoczesnym czytaniem *Dzienników* z biblioteki domowej profesora były przygodą niezapomnianą. Na któryś zjazd PTTK, na zaproszeniu znalazł się fragment opisu krajobrazu okołosandomierskiego zaczerpnięty z *Dzienników*. Szkoła i działalność krajoznawcza Nowaka wiązały się ze sobą ściśle i stale. Był to związek naturalny czyli oczywisty, ubogacony pracą i myślą profesora. W gabinecie Nowaka nic nie znamionowało dyrektorskiej władzy. Biurko zavalone papierami różnorakimi, niemal nieużywane. Dyrektor pracował przy niskiej ławie. Po lewej stronie stół a na nim książki. Kiedyś widziałem tam stos książek o powstaniu styczniowym. Mieliśmy je przewieźć z powrotem do domu. Po prawej stronie w rogu gabinetu szafa z książkami autorstwa absolwentów naszej szkoły. Na ścianie po lewej – zdjęcia niektórych absolwentów. Wśród nich Zofia Solarzowa, Wincenty Burek, Wiesław Myśliwski, Adam Myjak, Franciszek Kamiński, Stanisław Młodzeniec. Nie był menadżerem w dzisiejszym rozumieniu tego słowa. W szkole dyrektor Nowak był człowiekiem idei nauki i służby bez normowanego czasu pracy. Przesiadywał w szkole całymi dniami. Wychodząc starannie zamykał sfatygowane drzwi szacownej budowli. W kieszeniach nosił pełno kluczy do poszczególnych drzwi swojej szkoły. Ilekroć mu towarzyszyłem widziałem to zamykanie i otwieranie jako czynność bardziej podobną do otwierania i zamykania domu modlitwy przez zakonnika niż jako opuszczanie miejsca pracy. Zwracałem się do Nowaka „profesorze” a nie „dyrektorze” ponieważ dominowała u niego postawa intelektualna, imponująca wiedza i zadziwiająca skromność. Ilekroć zapytałem go o jakiś fakt historyczny, datę lub nazwisko i usłyszałem odpowiedź zaczynającą się od słowa „chyba”, miałem pewność prawdziwości informacji. Nowak był wyczulony na informacje regionalne. Wiedział o wszystkim istotnym dotyczącym Sandomierza i Ziemi Sandomierskiej. Znał twórców regionalnych żyjących i osoby już historyczne. Był miejscowym autorytetem dla ludzi poszukujących informacji. W towarzystwie Nowaka poznawałem ciekawych ludzi związanych z regionem twórczością lub działaniem: Jarosława Iwaszkiewicza, Wiesława Myśliwskiego, Wincentego Burka, Adama Bienia, Barbarę Wachowicz, Cezarego Chlebowskiego, Wojciecha Lipowskiego, Józefa Garasa. Ja zaś zaprosiłem Go by mi towarzyszył podczas wizyty w warszawskim domu Franciszka Kamińskiego. Podkreślić należy fakt, iż zainteresowanie się Nowaka twórczością poszczególnych osób nie miało nic z koniunkturalizmu. Posłużę się przykładem A. Bienia i C. Chlebowskiego.

Do Ossali wybraliśmy się jesienią 1981 r. Pojechaliśmy zobaczyć się z autorem książki *Bóg wysoko – dom daleko*. Pod datą 23 września 1981 r. zanotowałem:

(...) autor ma 82 lata. Na starość na ojcowskiej ziemi postawił dom, w którym mieszka z żoną i wnuczką. Jego wnuczka jest chora – korzysta z wózka inwalidzkiego. W czasie naszej wizyty leżała na łóżku i czytała książkę. Dom bardzo solidny, o kształtach niby wiejskich bo ze spadzistym dwustronnie dachem. Nie jest pudełkiem – jak powiedział sam Gospodarz. Wnętrze domu już na pierwszy rzut oka podpowiada, że dominuje w nim sztuka i praca twórcza. Najpierw duży hol i schody prowadzące na górę – drewniane, szerokie; sufit dopiero na wysokości piętra. Na ścianach dużo obrazów malowanych na kartkach z bloku rysunkowego. Prawie wszystkie w ciemnoniebieskim kolorze. Kilka obrazów przedstawia drzewa targane wiatrem. To prace wnuczki p. Adama Bienia. W jego pokoju pod oknem stoi stół prostokątny, czarny, pełniący rolę biurka. Na środku stołu czarny krucyfiks z zawieszonym różańcem. Obok dwie rzeźby postaci chłopskich – jasne, drewniane. Na reszcie stołu leżą książki w urokliwym nieładzie. Za oknem widać z prawej strony szeroką i długą werandę. Nie ma ciasnoty w tym domu ale tyle różności, że można od razu czuć się tu dobrze. Rozmawiamy. Najpierw o wsi zapamiętanej przez autora. Jego obrazy domu, obory, stodoły, krajobrazu są wyraziste a jednocześnie zawierają dystans i nostalgię. „Smutek jest twórczy, a nie radość” powiedział Bień. Kończyliśmy rozmowę wychodząc na ganek przed dom. Towarzyszył nam przyjemny zapach farb olejnych.

Kiedy w następnych latach, po burzliwych wydarzeniach Bień był zapraszany i wożony na różne spotkania i uroczystości nie widziałem aprobaty czy chęci uczestnictwa ze strony Nowaka.

11 grudnia 1981 r.:

Wczoraj byliśmy na spotkaniu z autorem książki „Pozdrówcie Góry Świętokrzyskie”. Mieliśmy ze sobą do podpisania drugie już wydanie tej książki. Nowak był zdania, że dobrze, iż książkę wydano na początku przemian ustrojowych. Jest wolna od emocji, złości i krytyki w stosunku do innych autorów, którą usłyszeliśmy od C. Chlebowskiego na spotkaniu.

Szczególny był stosunek Józefa Nowaka do Jarosława Iwaszkiewicza. Znał jego twórczość i bardzo ją cenił. Podczas wspólnych spacerów wypowiadałem niekiedy poglądy i zadawałem pytania światopoglądowe. Nie pamiętam bym usłyszał bezpośrednią reakcję profesora. Takich tematów on nie inicjował i nie podtrzymywał. Ale bywało, że za jakiś czas przynosił tomik wierszy Iwaszkiewicza i prosił bym głośno przeczytał któryś wskazany.

W wierszu odnajdywałem odniesienie do wcześniej zadanych przeze mnie pytań. Nie słyszałem nigdy od Nowaka krytyki Iwaszkiewicza za współpracę z rządem PRL i przyjmowanie od tej władzy zaszczytów. Rozstrzygającym w ocenie było przeświadczenie, że Iwaszkiewicz jest największym wśród współczesnych polskich pisarzy a swoją pozycją sprzyja kulturalnej randze Sandomierza.

Po Żeromskim i Iwaszkiewiczu postacią która fascynowała Nowaka był Aleksander Patkowski – regionalista, intelektualista, organizator wycieczek i badań krajoznawczych, organizator tajnego nauczania podczas okupacji, były nauczyciel naszej szkoły. Dyrektor Nowak był inicjatorem nadania I Liceum imienia Aleksandra Paskowskiego. Było to 27 lutego 1985 r. Głosowałem za tą propozycją z pełnym przekonaniem. Decyzję podjęto znikomą większością głosów. Dyrektor ze zdwojoną energią pracował dla popularyzacji tej postaci wśród uczniów. Brał zastępstwa za nieobecnych nauczycieli i opowiadał o Paskowskim. 1 września 2001 r. szkoła zrezygnowała z imienia A. Paskowskiego i przyjęła nazwę I Liceum Ogólnokształcące *Collegium Gostomianum* w Sandomierzu (w miejscu gdzie znajduje się szkoła, w 1605 r. położono kamień węgielny pod budowę Collegium Jezuickiego fundowanego przez Hieronima Gostomskiego).

Wkrótce po rozpoczęciu przeze mnie pracy w szkole dyrektor zaproponował mi zorganizowanie koła ZMW „Wici” i opiekowanie się nim. Podjąłem inicjatywę z entuzjazmem. Widzieliśmy nawet znakomitego kandydata na patrona koła, absolwenta naszej szkoły Stanisława Młodożeńca. W programie naszego koła znalazło się poznawanie życiorysu poety, Dobrocic z których pochodził, jego wierszy i opowiadań; szczególnie *W dolinie cichej wody*. Wyszukiwanie ciekawych faktów w historii swoich miejscowości, poszukiwanie swojego rodowodu do nazwiska panieńskiego prababci. Biegaliśmy regularnie po sandomierskich „piszczelach” i pobliskich Kobiernikach. Jeździliśmy na naukę pływania do Tarnobrzega. Zachęcałem do czytania pamiętników chłopskich prezentując książki w gablocie koła. Chciałem wzbudzić w uczniach zaciekawienie pozytywnymi osobliwościami jakie zdarzają się w każdej rodzinie i w otoczeniu sąsiedzkim. Rozmowy podczas zjazdów absolwenckich czy przygodne spotkania pozwalają wierzyć, że pomysł był dobry a czas nie był zmarnowany. Sam z sentymentem czytam zapis w dzienniku z 18 stycznia 1985 r.:

(...) planujemy wieczór – przedstawienie z wybranych wierszy i opowiadań Stanisława Młodożeńca. Przedstawienie nie może się odbyć w samych Dobrocicach bo tam nie ma gdzie. Planujemy to zrobić z Kołem Gospodyń Wiejskich w Pielaszowie sąsiadującym z Dobrocicami. Pielaszów w opowiadaniach Młodożeńca jest wsią konkurującą z Dobrocicami. Chłopi z Dobrocic nazywali pielaszowiaków „Szwedami” a kawalerka bijała się na łąkach leżących między tymi wsiami. A może udało by się namówić jakichś „Szwedów” do udziału w naszym przedstawieniu?

Po wielu latach pracy w szkole i w PTTK zgłosiłem propozycję poprowadzenia klasy o profilu regionalnym jako jej wychowawca. W dzienniku pozostały notatki z pierwszego roku realizacji tego programu.

18 kwietnia 1991 r.:

Zakończyliśmy egzaminy wstępne (wyjątkowo w tym roku w kwietniu). Mam klasę 34-osobową, z 9 chłopcami. Ze wszystkimi kandydatami rozmawiałem. Parę osób wyraźnie ciekawych. Troje ma zainteresowania plastyczne. Planujemy wyjazd w czerwcu do Św. Katarzyny i kontakt z WSP w Kielcach.

26 maja 1991 r.:

Wczoraj zacząłem przygodę z moją klasą. Poszliśmy do Zamku. Właśnie otwarto tam wystawę Okonia z Krakowa. Monotematyczne, religijne malarstwo, towarzysząca muzyka (autor jest także muzykiem) poczyniły wrażenie na uczniach. Organizatorem wystawy był p. Krzemiński – kierownik działu literackiego w Muzeum Okręgowym. Zgodził się przygotować dla nas program z literatury regionu. A bogactwo tu szczególne. Jeszcze przez chwilę posłuchaliśmy objaśnień do wystawy historii Muzeum Okręgowego. Przed Zamkiem podziękowałem uczniom i rozstaliśmy się. Dziewiątego czerwca spotkam się z ich rodzicami. Przedstawię koncepcję pracy z klasą i uzgodnimy integracyjny wyjazd do Janowa Lubelskiego w pierwsze cztery dni wakacji. Mamy zarezerwowane noclegi w schronisku młodzieżowym. Program ma być wodny i leśny.

18 czerwca 1991 r.:

Wczoraj wpadli do mnie do domu dwaj chłopcy z mojej pierwszej klasy. Przynieśli mapę okolic Janowa i pytali o program pobytu. Ucieszyłem się bowiem mówiono, że niektórzy rodzice niezbyt chętnie patrzą na inicjatywę naszego wyjazdu. Mam już drugiego opiekuna na wyjazd. Zgłosił się p. Płaza. Proponuje jechać własną nową ciężarówką i może zabrać uczniów.

30 sierpnia 1991 r.:

Nowy rok szkolny tuż a ja nie odnotowałem w Dzienniku naszego pobytu w Janowie. Pobyt udany ale trudny. Uczniowie (poza nielicznymi wyjątkami) bez żadnych doświadczeń i nawyków wycieczkowych. Polska skłonność do bałaganiarstwa. Po wielokroć nakazywaliśmy sprzątanie sal w schronisku. Niechęć do pieszych wędrówek, wygodnictwo. Samochód p. Płazy dość szybko zaczęli traktować jak przynależny im środek komunikacji. Pan Balaszczuk, drugi opiekun z doświadczeniem harcerskim, ugotował kapuśniak. Zjedli ale chętniej poszliby do restauracji. Wieczorem ledwo wybroniłem się przed udostępnieniem telewizora z kolejnym odcinkiem „Dynastii”.

11 września 1991 r.:

Poprosiłem moją klasę o napisanie relacji z pobytu w Janowie. Wyniki ciekawe. Dziesięć prac interesujących. Hipoteza się potwierdza. Pisanie ma sens. Będzie im pomocne w szkole i w życiu. Wycieczki mają szansę. Uzgodziłem dzisiaj z kierownikiem działu oświatowego w muzeum „studium wiedzy o sztuce” dla mojej klasy. W tym roku okres romański i gotycki. Będą zapraszani na wszystkie wernisaże do muzeum. Dopracowałem program na ten rok. Sześć wycieczek: wstępna po Sandomierzu, szlakiem prehistorycznym, romańskim, gotyckim, renesansu i baroku. Dwie lektury: „Czerwone tarcze” Iwaszkiewicza i „Polska Piastów” Jasienicy. Niepokoję się czy to nie za dużo dla pierwszaków. I jeszcze dwie wycieczki rekreacyjne z p. Fularskim: do Budy Stalowskiej i na Roztocze. W środy po lekcjach zaplanowałem wspólny wyjazd na basen w Tarnobrzegu. Wczoraj skontaktowałem się z docentem Buko, który prowadzi prace archeologiczne w Kleczanowie. Zgodził się abyśmy przyjechali do niego za parę dni bo teraz zdejmują wierzchnią warstwę ziemi. Zasugerował abyśmy przed przyjazdem przeczytali odpowiednie strony książki Ks. J. Wiśniewskiego dotyczące Kleczanowa pt. „Dekanat Sandomierski”. Zwróciłem się z prośbą o znalezienie książki do naszego księdza katechety. Zareagował idealnie. Obiecał przynieść książkę w poniedziałek.

24 września 1991 r.:

Byliśmy na wycieczce w Kleczanowie przy wykopaliskach archeologicznych. Wybrałem się tam z klasą kierując się chłodno rozumem a wróciłem ożywiony emocjonalnie. Uroczy kościółek drewniany, wokół lipy kilkusetletnie, wykopy, studenci długowłose i pan docent Buko ujmujący, uprzejmy zrobił wykład tak interesujący, że nie pomyślałem nawet o pilnowaniu klasy. Nie było takiej potrzeby. Mogliśmy usłyszeć i zobaczyć jak wygląda profesjonalizm w archeologii. Docent odczytywał rewelacje z wykopów, które dla nas były zupełnie nieczytelne. Opowiadał nam o chacie z IX wieku, której negatyw odkopali. Udało mu się przybliżyć nam chatę i jej mieszkańców z przed

tysiąca lat. Udana była i druga część wycieczki choć nie zaplanowana. Marcin z Krzyśkiem poprowadzili nas do kamieniołomów w Międzygórzu a potem do ruin zamku. Wróciliśmy łódzkim autobusem – okazją za zupełnie małe pieniądze. Ustalone w muzeum studium wiedzy o sztuce będzie prowadził p. Marek zupełnie młody historyk sztuki. Zajęcia będą odbywały się w pierwszą środę miesiąca. P. Marek, za zgodą dyrektora muzeum, pojedzie z nami na wszystkie zaplanowane wycieczki.

18 października 1991 r.:

W ubiegłym tygodniu byliśmy w Krzemionkach Opatowskich. Szczególne wrażenie robi trasa druga. Potężne ściany wapienne z czarnymi krzemieniami.

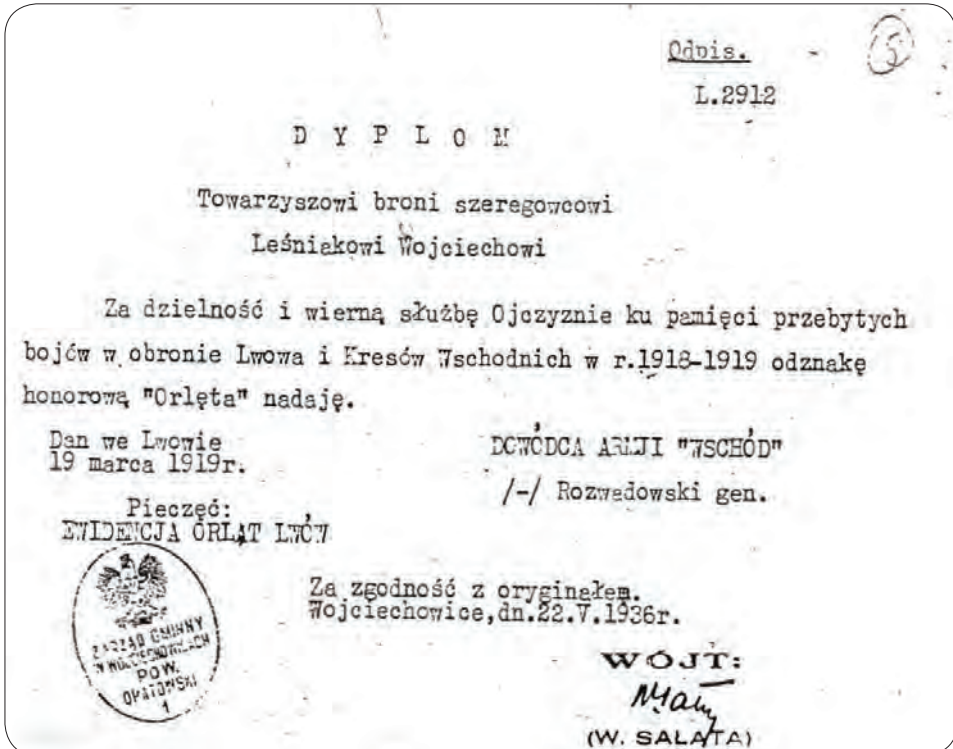
21 marca 1992 r.:

Biliśmy z moją klasą na Roztoczu, pod hasłem „na przebiśniegi”. Przewodnikiem był p. Fularski. Wspominam ten wyjazd z mieszanymi uczuciami. Imponujące okazy jodeł i buków. Nie do uwierzenia, że to wyłącznie dzieło natury. Przebiśniegów było jeszcze niewiele, choć dostatecznie piękne. Przyznaję, że oglądałem je po raz pierwszy. Pewnie jakieś inne leśne kwiatki miałem za przebiśniegi. Nie byłem zadowolony z klasy, szczególnie z dziewcząt. W lesie były denerwująco krzykliwe. Kilka zupełnie źle ubranych, bez zmiennych butów i bez ciepłych swetrów. Zaplanowaliśmy kolejną wycieczkę bardzo programową na 20 marca (piątek) – w pierwszy dzień wiosny. To musiał być ten termin. Wiadomo było, że lekcje będą zdezorganizowane. Miałem zgodę dyrektora szkoły, zgodę dyrektora muzeum, że pojedzie z nami p. Marek. Nie bardzo zbierali się moi uczniowie. Ten wyjazd wymusiłem na klasie. 7:15 wyruszamy. W Koprzywnicy ładnie witał nas proboszcz. Opowieść o Cystersach i regułach stylu romańskiego. Jesteśmy w rejonie bardzo starych budowli chrześcijańskich. W Staszowie skręcamy na Kurozwęki. Pomyślałem, że warto odwiedzić stadninę w Kotuszowie. Był tylko koniuszy i tylko w stajniach oglądaliśmy konie. Ledwo wyprowadziłem klasę. Konie dają się lubić. Następnie Szydłów – wieś. Mury warowne, brama krakowska. Powiew przeszłości i pytanie jak oni żyli tu pięćset i więcej lat temu. W kościele p. Marek zwraca uwagę, że według najnowszych badań dwunawowość może sugerować pozareligijną funkcję kościoła – miejsce sądowych postanowień (obiecuje wrócić do tematu w Wiślicy). W autokarze czeka nas kawa z francuską, sproszkowaną śmietanką (kierowca jeździ regularnie do Paryża). W Wiślicy mam ostateczne potwierdzenie sensu wycieczki. Oglądamy unikat – chrzcielnicę z X wieku. Refleksja nad kwestią dobrowolności chrztu. Naprzeciw kościoła dom Długosza jakże podobny do sandomierskiego. W kościele informacja p. Marka i Ks. proboszcza. Uczniowie słuchają. Wracamy i w Iwaniškach znowu wzbogacamy program. Skręcamy w prawo do Ujazdu. Zerknęliśmy na Krzyżtopór. Jeszcze tu wrócimy. Wracając z Ujazdu uświadomiłem sobie, że przejeżdżamy o krok od Albinowa. Poprosiłem o skręcenie do lasu.

Za chwilę zobaczyliśmy drewniany piętrowy dom. Tu mieszkał inż. Jan Pikulski. Przed wojną zarządzał jakimś majątkiem. W czasie okupacji jego dom był kryjówką dla wielu Żydów. Wymagało to nadzwyczajnej odwagi. Poznałem Go jako niezwykle żywotnego emeryta. Ciągłe był w drodze. Ciągłe się spieszył. Ciągłe zaabsorbowany społeczną misją najczęściej związaną z rodzinnym domem dziecka, który praktycznie prowadziła jego żona oraz Krzyżtoporem, którego był społecznym opiekunem. Pamiętam taką scenę: przewodnikowi – historykowi sztuki, który opowiadał uczenie o zamku Pikulski zgrabnie przerwał wtrącając, że barok to styl pełen przepychu ale i wygody, i malował słowami obrazy karoc wjeżdżających wprost na dziedziniec; stajnie z kryształowymi żłobami i lustrami; ożywił dostojne mury. Jego pamięć i zainteresowania były rozległe i różnorodne. Miał utrwaloną w pamięci mapę Europy i Bliskiego Wschodu. Swobodnie opisywał sąsiedztwo dowolnych państw a nawet historyczne w tym zakresie zmiany. Wspominał, że w 1914 r. w Klimontowie grali „Wesele” Wyspiańskiego. Reżyserem był Bruno Jasieński i grał poetę. Brat Brunona – lekarz grał pana młodego. Siostra ich była panną młodą. Rachelę grała panna Piotrowicz a chochoła – nauczyciel Babiński. Grali w klasztorze poddominikańskim, dwa lub trzy razy. Na przedstawieniu był Stach Młodożeniec. Popatrzcie za podobnym dziadkiem w waszych rodzinach – powiedziałem uczniom i pojechaliśmy do Opatowa. W Opatowie rekolekcje. Obejrzelśmy kolegiatę z zewnątrz. Nic to. Opatów wielokrotnie w naszym programie. O 17-tej przed szkołą. Podziękowałem kierowcy, p. Markowi i uczniom. Do następnej lekcji.

Po wakacjach musiałem pozostać na wsi. Byłem potrzebny starym rodzicom i gospodarstwu. Przeszedłem na emeryturę. W Lisowie – jak tylko sięgnę pamięcią – mówiło się o wojnie a konkretnie o frontowych walkach o przyczółek sandomiersko-baranowski. Lisów był ostatnią wysuniętą na zachód wsią tego przyczółka. Wielokrotnie przechodził pod kontrolę to rosyjskich to niemieckich oddziałów. Ginęli mieszkańcy wsi, zwierzęta domowe, paliły się zabudowania. Po wielu dniach tej grozy trzeba było uciekać, w letnim sierpniowym ubraniu przeżyć jesień i zimę. Każdemu wspomnieniu tamtych dni i miesięcy towarzyszyły łzy wzruszenia. Każda kłęska – powódź, huragan – każda ucieczka z domu jakie zdarzają się blisko lub nawet bardzo daleko przywołują tamte wspomnienia. To były te same dni kiedy śmierć i zniszczenie doświadczały Warszawę. Toteż kiedy wróciłem w rodzinne strony, już z jako taką krajoznawczą świadomością, poczułem osobistą powinność zapisania choćby fragmentów miejscowej i rodzinnej pamięci o tamtych dniach. Rozglądając się po rodzinnej historii, z zaciekawieniem odkryłem, że jest ona naznaczona wojskiem i wojną. Brat mojej Mamy – Wojciech Leśniak członek POW – 11 listopada 1918 r. zgłosił się jako ochotnik do wojska.

Brat udział w bojach w obronie Lwowa i w wojnie polsko-rosyjskiej 1920. Szczęśliwie, wnuczkowie: Krzysiek Leśniak, Sławek i Romek Kukiełowie – zadbali o udokumentowaną pamięć o dziadku.



Odbis dyplomu nadania odznaki honorowej „Orlęta” dla Wojciecha Leśniaka

Drugi brat Mamy – Stanisław, nauczyciel, zginął w Oświęcimiu. Trzeci – Antoni, porucznik, był ranny w kampanii 1939 r. Mama „kumowała” z Franciszkiem Kamińskim z pobliskich Mikułowic, późniejszym komendantem Batalionów Chłopskich. Brat Ojca – Tadeusz był w leśnym oddziale Batalionów Chłopskich.

Bardzo lubiłem pojechać rowerem wczesnym rankiem doliną Opatówki przez Dużą i Małą Nikisiałkę, Malice Kościelne, Słabuszowice do Dobrocic, popatrzeć na te same wierzby, które opisywał Stanisław Młodożeniec. Na początku „doliny dobrockiej” jest pomnik poety, a na tablicy kilka linijek Jego wiersza:

Co rok skiba się odskibia – rośnie żyto.
Co rok rola się upulchnia, dobre żyto.
Co rok głowa się przychyła – ciągnie ziemia.
Co rok ziemia się przymila – dobra ziemia.

Leszek Orłowski – urodzony w 1942 w Lisowie, powiat opatowski, województwo kieleckie. Absolwent socjologii Uniwersytetu Łódzkiego z roku 1967. Emerytowany nauczyciel I Liceum Ogólnokształcącego im. Aleksandra Patkowskiego w Sandomierzu.



PAWEŁ ANDERS
Wielkopolski Klub Publicystów
Krajoznawczych PTTK

MOJA PRACA DLA WIELKOPOLSKI

Za wielką zaletę niniejszego projektu uważam stworzenie zachęty do zastanowienia się nad własną działalnością. Kończę właśnie 65 lat, a Wielkopolską interesuję się „od zawsze”. W maju 2013 r. koledzy zorganizowali mi jubileusz 40-lecia wydania mojej pierwszej samoistnej publikacji. Cieszę się, że mogę przekazać garść wspomnień i trochę myśli, ale – z drugiej strony – obawiam się jak one zostaną przyjęte.

Przekonanie o celowości poznawania kraju, zwiedzania zabytków, zapoznawania się z ekspozycjami muzealnymi, chłonięcia atmosfery lokalnej nauczył mnie śp. Ojciec – Henryk Paweł Anders (1913–1993). Sam w młodości był członkiem Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, wędrował po Tatrach, zwiedzał też inne kraje (opowiadał mi o przedwojennych pobytach w Budapeszcie i Berlinie). Również moja 95-letnia dziś Mama – jeszcze zanim poznała Ojca – chętnie jeździła po Polsce (kilkakrotnie wspominała, jak pamiętna wielka powódź w lipcu 1934 r. zastała ją na koloniach w Gorlicach).

Od najmłodszych lat spędzaliśmy co roku długie wakacje; nie tak, jak teraz wyjeżdża się na 10 czy 14 dni. Pierwszy z tych wyjazdów, który pamiętam, to gościna w 1953 r. u Sióstr Służebniczek w Zaniemyślu, potem w 1954 r. pobyt w zamku w Osiecznej (mocno tam przeżyłem zaćmienie Słońca), następnie wywczasy w latach 1955–1957 w Puszczykówku, w 1958 r. zimowe wakacje w Karpaczu i letnie w leśniczówce Żmijowiec koło Międzychodu, potem Olsztyn-Kortowo, Gdynia-Orłowo, Zakopane-Jaszczurówka, Sarbinowo koło Koszalina itd. itp. Wszystkie wyjazdy były połączone z w miarę dokładnym poznawaniem okolicy na krótkich wycieczkach, wyprawami do publi-

skich miast, rozkoszowaniem się miejscowymi atrakcjami. O tym się dziś ładnie mówi, ale trzeba mieć na uwadze fakt, że kiedyś czasy nie sprzyjały turystycznym wędrownikom tak, jak to jest dzisiaj. Tym bardziej należy się wdzięczność Rodzicom.

Zainteresowanie obliczem miejscowości czy regionu, „ciekawość świata”, wyniosłem więc z domu rodzinnego. Rozwijałem to nader chętnie, choć chyba jeszcze niezbyt świadomie, podczas lat nauki, uczestnicząc w wycieczkach szkolnych. Pamiętam np. ze szkoły podstawowej kilkudniową wyprawę pociągiem specjalnym do Białowieży ze zwiedzaniem Warszawy w drodze powrotnej czy wyjazd na Górny Śląsk w klasie maturalnej, z noclegami w słynnym Parku Kultury i Wypoczynku w Chorzowie.

Na dobre mogłem zacząć realizować owe zainteresowania podczas studiów. Tu znowu zawdzięczam Ojcu wprowadzenie mnie w działalność PTTK niejako „z góry”. Ojciec znał Włodzimierza Łęckiego (wówczas prezesa Oddziału Międzyuczelnianego PTTK w Poznaniu, późniejszego wojewodę i senatora) i w pierwszy dzień studiowania, 3 października 1966 r., byłem umówiony na spotkanie w siedzibie PTTK przy Starym Rynku. Tam od razu zostałem włączony w organizację Studenckiego Rajdu Zachodniego do Sławy (wtedy Śląskiej) i przydzielony do braci Krzysztofa i Witolda Szyfterów – obecnie znanych poznańskich profesorów. Wspólnie z nimi poprowadziłem jedną z pieszych tras Rajdu. Opracowałem opis tej trasy i niejako natychmiast odniosłem swój pierwszy sukces autorski. Oprócz „technicznej” strony marszu dodałem od siebie kilka informacji o mijanych miejscowościach, co zwróciło uwagę kierownictwa Rajdu. Druga sprawa to użyte sformułowanie: *niedługo osiągnąmy szosę* – równie sympatyczni co złośliwi koledzy oczekiwali jak ową szosę osiągniemy. Chodziło o to, że droga biegła wciąż prosto, a z lewej dołączał do niej asfalt. Stwierdzono, że mój opis trafnie określał tę sytuację.

Grupa świetnie zgranych starszych kolegów z Oddziału Międzyuczelnianego PTTK prowadziła wówczas już od 10 lat znakomitą działalność krajoznawczą – pionierską dla wielu części regionu i wzorcową dla innych jednostek Towarzystwa mającego krajoznawstwo w nazwie. Zarazem sytuowało się to znakomicie na obrzeżach ówczesnego fenomenu, jakim była pięknie rozwijająca się działalność środowiska studenckiego. Dość przytoczyć informację, że w latach 1958–1981 (w okresie ścisłej reglamentacji publikacji) pod firmą OM PTTK w Poznaniu wydano 53 informatory i 11 publikacji

organizacyjno-szkoleniowych. Nie wiedziałem, że z czasem i ja zasile grono autorów tychże publikacji.

Niekwestionowanym autorytetem w zakresie opracowywania przewodników krajoznawczych był wtedy w Poznaniu Franciszek Jaśkowiak (1903–1983). Przy ówczesnym braku materiałów wyjściowych potrafił stworzyć szereg wartościowych opracowań zarówno o całym regionie, jak i o jego częściach. Tak się złożyło, że oboje Rodzice go znali; z czasem i ja poznałem Pana Franciszka, zacząłem nawet być zapraszany do jego mieszkania przy ul. Kościuszki 32. Z mniejszym lub większym poparciem Franciszka Jaśkowiaka wytworzyła się u nas grupa autorów publikacji krajoznawczych i turystycznych – tym bardziej, że w ślad za rozwojem turystyki w Polsce pojawili się wydawcy tego rodzaju literatury. Współzawodniczyliśmy z sobą w pozytywnym znaczeniu tego słowa: jeśli mógł pisać Jacek, Włodek, Bogdan, Piotr czy Witek – to również mógł Paweł. Jaśkowiakowi wytykaliśmy pojedyncze (!) nieliczne błędy, swoje opracowania zaś staraliśmy się przygotowywać tak samo dobrze, albo lepiej.

I tu po raz kolejny muszę podziękować Ojcu za istotne pokierowanie moją drogą życiową. On sam, nie mogąc w komunistycznej Polsce kontynuować rozpoczętej przed wojną kariery sędziowskiej, zajął się pracą w wydawnictwach. W utworzonym w 1957 r. Wydawnictwie Poznańskim przez 17 lat zajmował stanowisko sekretarza wydawnictwa i mógł tam wykorzystywać wiedzę zdobytą podczas studiów prawniczych. Nie wiem w jakim stopniu Ojciec wpłynął na to, ale Wydawnictwo Poznańskie – szukające sobie miejsca na słabo wówczas rozwiniętym rynku wydawniczym – opublikowało w 1960 r. w ostrożnie skromnym nakładzie przewodnik Franciszka Jaśkowiaka *Wielkopolski Park Narodowy*. Został on znakomicie przyjęty przez czytelników, miał jeszcze trzy następne wydania (łącznie 35 tys. egzemplarzy), a Wydawnictwo Poznańskie po paru latach stało się drugim po „Sporcie i Turystyce” wydawcą literatury przewodnikowej w Polsce – w latach 1960–1989 99 tytułów w łącznym nakładzie 1118 tys. egzemplarzy.

Ojciec, widząc moje zainteresowania, załatwił w 1971 r. z dyrekcją Wydawnictwa Poznańskiego umowę na napisanie przewodnika po terenach położonych najbliżej Poznania od strony północnej i północno-wschodniej, który potem otrzymał tytuł (podpowiedziany zresztą przez Ojca) *Nad Wełną i Małą Wełną. Oborniki – Wągrowiec – Puszcza Zielonka*. Trochę trwało zebranie materiałów w terenie i ich opracowanie, potem obróbka wydaw-

nicza (Ojciec ją z boku nadzorował) i liczący 188 stron przewodnik ukazał się wiosną 1974 r. Uważam tę publikację za swój debiut autorski, choć wcześniej, bo w kwietniu 1973 r., wydano opracowany przeze mnie w następnej kolejności informator *Miłośław i okolice* na XVI Wiosenny Zjazd Politechniki Poznańskiej.

Ów pierwszy przewodnik musiał się spodobać, bo zaraz otrzymałem – niezależnie od siebie – zamówienia z Wojewódzkiego Ośrodka Informacji Turystycznej i Wydawnictwa Poznańskiego na publikacje o Kaliszu. I tak to się zaczęło. Przez pewien czas byłem nawet uważany za „specjalistę od Kalisza”, lecz w kręgu moich zainteresowań leży cała Wielkopolska w granicach historycznych. Może najmniej zajmuję się rodzinnym Poznaniem, bo – uważam – jest za duży, za trudny i ma za wielu specjalistów z różnych dziedzin.

Gdy w 1975 r. otrzymałem propozycję szybkiego przygotowania informatora o gminie Skoki, stwierdziłem, że „z doskoku” można napisać co najwyżej jedną-dwie publikacje. Zacząłem więc tworzyć sobie „warsztat”: gromadzić fachową biblioteczkę, wycinać artykuły i notatki z prasy, odnotowywać informacje do ewentualnego wykorzystania w przyszłości. Do końca 2012 r. byłem autorem bądź współautorem (wliczając w to kolejne wydania tego samego tytułu) 172 samoistnych publikacji przewodnikowych, informatorów turystycznych, map i planów miast.

Dzięki tej działalności mogłem w 1980 r. wejść do grona założycieli Wielkopolskiego Klubu Publicystów Krajoznawczych PTTK (przez szereg lat byłem jego najmłodszym członkiem), uczestniczyłem też w kolejnych Kongresach Krajoznawstwa Polskiego w latach 1990, 2000 i 2010. Zanim w okresie transformacji gospodarczej zdążyła upaść zatrudniająca mnie jednostka, mnie – znawcy regionu z jakimś tam dorobkiem – zaproponowano objęcie etatu sekretarza redakcji kwartalnika „Kronika Wielkopolski” i od 1 lipca 1991 r. trwam szczęśliwie na tym stanowisku.

Podczas pracy w „Kronice” zetknąłem się dość blisko ze środowiskiem regionalistów. Okazało się, że świetnie się rozumiemy, mamy te same zainteresowania, że mówimy takim samym językiem o tych samych sprawach. Wszystkich nie wymienię, ale byli wśród nich m.in. (nie wszyscy żyją): Eugeniusz Czarny (Jarocin), Kazimierz Matysek (Kostrzyn), Michał Pietrowski (Koźmin), Kazimierz Krawiarz (Kórnik), Antoni Taczanowski (Międzychód), Czesław Krolek (Nowy Tomyśl), Mieczysław Brust (Oborniki), Zygmunt Duda

i Bogumił Wojcieszak (Opalenica), Robert M. Czerniak (Pyzdry), Krzysztof Krowicki (Rogoźno), Jarosław Łożyński (Sieraków), Marian Jarecki i Maciej Nowacki (Słupca), Bożenna Urbańska (Środa Wielkopolska), a także Staszek Słopień, długoletni prezes Wielkopolskiego Towarzystwa Kulturalnego. Zacząłem się i ja uważać za regionalistę. Doszło nawet do tego, że – nie będąc historykiem – opracowałem rozdziały do czterech monografii miast wielkopolskich (Margonin, Murowana Goślina, Trzemeszno, Witkowo), i to uważane za najtrudniejsze do napisania fragmenty o okresie najnowszym (po 1990 r.).

Z czasem zacząłem się jednak zastanawiać nad różnicami między krajoznawcami a regionalistami. Przez „krajoznawstwo” (dzielone na bierne, czynne i twórcze) w najpełniejszym wymiarze rozumiałem zdobycie rozległej wiedzy o regionie, jej usystematyzowanie i w miarę możliwości przekazywanie innym w jak najlepszej formie. Głośno chwaliłem się, że w dobie zawężania specjalności badawczych krajoznawstwo jest tą dziedziną, która poszerza zakres zdobywania wiadomości i obejmuje penetracją coraz to nowe gałęzie nauki. Nawet żartobliwie mówiłem, że „*jestem tłumaczem prac naukowych na odbiór potoczny*”.

Pod koniec lat siedemdziesiątych doświadczone redaktorki w jednym z warszawskich wydawnictw za krajoznawstwo uważały rozpamiętywanie przeszłości i oglądanie zabytków z dawnych lat. Choć byłem młodszy od nich, nie zawahałem się ani chwili z odpowiedzią z uczuciem wyższości, że jest to podejście dziewiętnastowieczne, a ja jestem ze „szkoły Jaśkowiaka”, według którego należy we właściwych proporcjach dawkować informacje z geografii, przyrody, przeszłości, historii sztuki i współczesności. Nie gloryfikując czasów PRL-u warto przecież było odnotowywać co, gdzie i kiedy powstało, jak nazywają się architekci co ciekawszych obiektów (postoją przez dziesięciolecia), która wieś czy miasto korzystniej się wtedy rozwijały, gdzie miejscowa spółdzielnia produkcyjna lepiej dbała o posiadane grunty.

Zaczęło mi się wydawać, że regionaliści jakby bardziej tkwili w zagadnieniach przeszłości, mniej zaś zwracali uwagę na dobę obecną. Również – niczego nie ujmując ich głębokiej wiedzy i wspaniałym dokonaniom – w większości zajmują się swoim miastem lub wioską (i najbliższą okolicą), podczas gdy ja miałem szersze spojrzenie na dany ośrodek czy część regionu, albo też bardziej obiektywne spojrzenie z boku. I teraz – nie deprecjonując tamtych osiągnięć – wydaje mi się, że krajoznawstwo jest pojęciem

szerszym i nawet lepszym od regionalizmu. Niemniej wszystko zależy oczywiście od osobowości danego krajoznawcy czy regionalisty – a są wśród nich postacie wybitne i fascynujące (w różnej skali). Z nimi wszystkimi mam bardzo dobre kontakty.



Paweł Anders na otwarciu autorskiej wystawy fotograficznej w Ośrodku Kultury w Komornikach (2008). Fot. Katarzyna Anders

Namówiony do spojrzenia na moją wieloletnią już drogę specjalisty od Wielkopolski muszę przyznać, że nie miałem mentora czy autorytetu do naśladowania. Wspierał mnie Ojciec. Z opisu wyglądałoby to na tak źle dziś postrzegany nepotyzm, ale ową naprawdę delikatną pomoc organizacyjną musiałem już samodzielnie wykorzystać, prezentując stosowne kompetencje i odpowiednią wiedzę merytoryczną. Miałem też różne wzorce osobowe do wykorzystania i starałem się im dorównać albo zrobić coś lepiej od nich. Przydała mi się również posiadana jakaś specjalna pamięć topograficzna – zarówno w sensie konkretnego położenia obiektów, jak i rozmieszczenia ich wszystkich w przestrzeni czy względem siebie. Umieć także – jak

mniemam – czytać mapę, a to ogromnie pomaga przy poznawaniu regionu. Po latach uświadomiłem sobie też, że moja dążność do częstego bywania w terenie, zwiedzania, oglądania pamiątek z dawnych wieków, to była podświadoma ucieczka od szarzyzny „czasów komuny” – zieleń wokół jeziora, pomnikowe drzewo, nawet zaniedbany pałacyk były lepsze od wysłuchiwania podniosłych haseł o „budowie lepszego jutra”.

Co mi to wszystko dało? Przede wszystkim trwałe i stabilne wejście w środowisko dobrze rozumiejących się osób o tych samych zainteresowaniach (samyh facetów). Z kolegami z podstawówki nie utrzymuję żadnych kontaktów, klasa licealna spotyka się od czasu do czasu tylko dzięki zaangażowaniu jednego z nas, z kolegami ze studiów widzimy się (z jednym wyjątkiem) nader rzadko. Za to z grupą krajoznawców z PTTK od ponad 40 lat często się spotykamy, wyjeżdżamy na wycieczki, odwiedzamy się w domach. W czasach gierkowskich moim przełożonym i współpracownikom pokazywałem, że nie jestem dla nich konkurentem w podejmowaniu częstych wówczas dodatkowych zleceń („fuch”), samemu zaś cieszyłem się uznaniem jako autor publikacji książkowych. Po latach znam wiele osób – zarówno z grona działaczy państwowych i samorządowych w regionie, jak i ze środowiska krajoznawców z całej Polski zrzeszonych w PTTK. Byłem pięciokrotnie wybierany delegatem na zjazdy krajowe tego Towarzystwa.

Sytuacja się nieustannie zmienia i nie ma wyjścia – trzeba się do niej dostosować. Chciałbym np., aby powróciły możliwości wydawania licznych publikacji krajoznawczych z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Ówczesny system pozostawił po sobie całkiem zgrabne serie przewodników czy informatorów opublikowanych przez „Sport i Turystykę”, „Kraj”, Wydawnictwo Poznańskie albo Wojewódzkie Ośrodki Informacji Turystycznej. W tej chwili każdy może pisać i publikować – jeśli znajdzie na to środki. Słabo albo wcale nie funkcjonuje system oceny ich przed wydaniem i recenzowania po ukazaniu się. Wydawnictwa zawodowe nie kwapią się do drukowania takich publikacji o regionie, na których szybko i pewnie nie zarobią. Wiele tu zależy od samorządów lokalnych, a zwłaszcza od ich liderów. Jeśli zadbają o opracowanie i wydanie wartościowych publikacji, utrwala i spopularyzują wiedzę o swojej „małej ojczyźnie”. Gdy wspierają wiejskie inicjatywy (jak np. różne „foldery” finansowane z reklam zebranych przez obrotne firmy), tracą okazję do dobrego zaprezentowania swojego terenu albo sptycają wiedzę o nim.

Z wielu dobrych przykładów poprzestanę na czterech: Staraniem samorządu Wielenia ukazały się dwie dobre i obszerne książki o tym mieście (historyczna i etnograficzna). Podkaliska gmina Blizanów dorobiła się kilku kompetentnych broszurek o swoim terenie. Serie interesujących publikacji wydano też w Grodzisku Wielkopolskim, a zwłaszcza w Opalenicy. Tymczasem taka Wielkopolska Organizacja Turystyczna zleca napisanie publikacji o regionie dziennikarzom, którzy sprawnie i w terminie przygotują żądany materiał, ale niczego nowego do treści nie wniosą – jak to mogliby zrobić zaangażowani w sprawy terenu krajoznawcy lub regionaliści.



Publikacje autorstwa Pawła Andersa

Tematów i zadań miłośnikom regionu nie zabraknie. Wstydem tak dla naukowców poznańskich, jak i miejscowych środowisk jest fakt, że dotąd dwa wielkopolskie miasta powiatowe nie mają swoich monografii historycznych (Wolsztyn i – co szczególnie przykre – tak ważny ośrodek, jak

Szamotuły). Takie interesujące miasta, jak Kościan i Rawicz, nie miały jeszcze nigdy szczegółowego przewodnika krajoznawczego z danym miastem w tytule. Do opracowania jest szereg zagadnień przekrojowych i szczegółowych z różnych dziedzin (nie tylko z przeszłości). Należy dbać o upamiętnienie osób zasłużonych dla danej miejscowości, czy to w formie oddzielnych publikacji biograficznych (jak znakomita seria niewielkich broszurek wydana w latach siedemdziesiątych w Strzelnie), czy różnie rozwiązanych słowników biograficznych (wyszły takie m.in. w Koninie, Opalenicy, Szamotułach, Wolsztynie, Wrześni).

W zaproszeniu do niniejszej wypowiedzi poproszono również o próbę zdefiniowania pojęć „region” i „regionalizm”. To trudna kwestia, bo nie wiadomo od czego rozpocząć. Moim zdaniem za region można uważać taki fragment naszego kraju, który wykazuje podobne cechy geograficzne, przyrodnicze i kulturowe, o wspólnej historii i mieszkańcach utożsamiających się z tym terenem. Pamiętam burzę, jaką przed laty wywołała informacja, że w jakimś badaniu wyszło, iż gdzieś tam młodzi ludzie uważali się bardziej za Wielkopolan niż za Polaków (widać jaka koszula była tu bliższa ciału).

Region powinien mieć uzasadnienie historyczne, a nie sprowadzać się do obecnych granic administracyjnych. W praktyce województwo lubuskie nazywane jest „Ziemią Lubuską”, podczas gdy dawny *Lebusland*, czyli obszar biskupstwa w Lubuszu, stanowi tylko pewną część obecnego województwa (zresztą większość terenu biskupstwa leży w granicach Niemiec). Podobało mi się, gdy jeden z tamtejszych prominentnych działaczy stwierdził, że województwo lubuskie składa się z części pięciu regionów (Pomorza Zachodniego, Ziemi Lubuskiej, Wielkopolski, Łużyc Dolnych i Dolnego Śląska). Województwo wielkopolskie utożsamiane jest z Wielkopolską, a to nieprawda. Granice historyczne naszego regionu próbowaliśmy dwukrotnie określić (w publikacjach *Słownik krajoznawczy Wielkopolski* z 1992 r. i *Wielkopolska. Słownik krajoznawczy* z 2002 r.) – i nie spotkało się to z protestami. Czy leżące w województwie kujawsko-pomorskim Żnin i Mogilno to może Kujawy albo Pomorze? Wałcz (obecnie województwo zachodniopomorskie) przez większą część swojej historii był miastem powiatowym w województwie poznańskim. Historia i tradycja mają tu duże znaczenie i należy je brać pod uwagę. Sporym zdziwieniem było dla mnie odkrycie, że ciekawy region historyczno-etnograficzny, jakim są Pałuki, to prawie dokładnie powiat kcyński z XVI w.

Dziś trzy województwa w Polsce nie mają nazwy pochodzącej od regionów. Nie znam ich specyfiki, nie mogę się tu wypowiedzieć, ale nie jest to chyba sytuacja dobra.

I na koniec nieporadna próba odpowiedzi na pytanie: kto to jest regionalista? Może to być osoba związana z regionem, badająca go w różnych aspektach i na tej bazie działająca na jego rzecz (nie tylko poprzez publikacje). Nie musi mieć wcale specjalistycznego wykształcenia, ale odpowiednia dawka wiedzy jest konieczna. Ta osoba powinna odczuwać specyfikę swojej „małej ojczyzny”, umieć ją wyartykułować, dobrze się w niej czuć. W pracy na rzecz regionu może stosować zarówno zasadę „szkiełka i oka”, jak i kierować się sercem. Wcale nie trzeba stąd pochodzić, aby dobrze przysłużyć się regionowi. Przykładem niech będzie fakt, że pierwszą książkę krajoznawczą o naszym regionie (*Przewodnik po Poznaniu i Wielkiem Księstwie Poznańskim* z 1909 r.) napisał przybysz z zewnątrz. Był to urodzony w pomorskiej Brodnicy Konstanty Kościński, który koleją losu w 47. roku życia osiadł w Wielkopolsce i w cztery lata później opublikował rzetelną książkę o swoim nowym miejscu pobytu.

Pozwalam sobie zakończyć swoją wypowiedź stwierdzeniem, że w działalności na rzecz regionu ważne są zainteresowania, rzetelność, dokładność, ale najistotniejsza jest chyba pasja, bezinteresowne zaangażowanie.

Poznań, we wrześniu 2013 r.

Paweł Anders – (ur. w 1948 r. w Poznaniu) jest krajoznawcą i regionalistą, związanym z PTTK. Zajmuje się opracowywaniem przewodników i informatorów turystycznych, przygotowuje treść krajoznawczą do map i planów miast. Napisał też szereg artykułów na temat Wielkopolski, recenzji, opinii i dokumentacji szlaków turystycznych. Rozdziały jego autorstwa znalazły się w czterech monografiach historycznych miast wielkopolskich. Współpracował z praktycznie wszystkimi wydawnictwami publikującymi opracowania krajoznawcze o regionie. Szczególne miejsce w jego dorobku zajmuje tematyka powstania wielkopolskiego. Od 22 lat pracuje jako sekretarz redakcji kwartalnika „Kronika Wielkopolski”. Działa w Wielkopolskim Klubie Publicystów Krajoznawczych, którego był współzałożycielem.

PAWEŁ PIERŚCIŃSKI
Związek Polskich
Artystów Fotografików

POCHWAŁA KRAJOBRAZÓW

Droga do regionalizmu

Z regionalizmem związała mnie fotografia. Już jako uczeń liceum Stefana Żeromskiego w Kielcach wykazywałem zdolności artystyczne. Z zapałem wypełniałem bruliony rysunkami z natury, akwarelami lub pastelami. Moimi ulubionymi tematami były zabytki kieleckiej architektury oraz krajobrazy. Po obejrzeniu pokazu wywoływania zdjęć w ciemni fotograficznej stwierdziłem, że fotografia jest lepszą metodą do utrwalenia widoku, niż nieudolne próby malowania lub rysowania. W pełni oczarowała mnie magia obrazu pojawiającego się na czystej kartce papieru poddanej działaniu wywoływacza. Zapisywałem obrazy najbliższego otoczenia. W kręgu zainteresowań znalazła się rodzina, koledzy z „Żeromskiego” oraz krajobrazy, które fotografowałem w trakcie ulubionych wypraw rowerowych w okolice mojego miasta. Drugą moją namiętnością była matematyka, cieszyłem się z rozwiązania wybranych problemów, uczestniczyłem w szkolnych olimpiadach matematycznych. Niespodziewanie odkryłem elementy zgeometryzowanych form poletek oraz wykresy funkcji matematycznych w rolniczym krajobrazie Łysogór. Pierwszym „odkryciem” było pole wyorane w kształcie dzbana iłżeckiego (*Dzban* – 1955), a następnie już całkiem świadomie wyszukana *Sinusoida* (1956). W krótkim czasie dorobek powiększył się, w polach zaobserwowałem i sfotografowałem kolejne figury geometryczne: kwadrat, prostokąt, romb, trapez oraz ich rozmaite kombinacje. Rozległe przestrzenie świętokrzyskiego krajobrazu wypełniały „polne szachownice” oraz wąskie pasemka upraw ułożonych w formie

dywanu utkanego z „kieleckich pasiaków” (nazwa pochodzi od części stroju ludowego). Urodę regionu przeżyłem (i nadal przeżywam) emocjonalnie, a dokonane w młodości odkrycia związały mnie silnymi więzami z krajobrazem i z fotografią, którym poświęciłem całe moje życie.

Swoimi odkryciami pragnąłem podzielić się z widzami. Fotografowałem nie dla siebie, ani nie „do szuflady”. Wielkie znaczenie przywiązywałem do publicznych pokazów prac na wystawach oraz do reprodukcji poligraficznych w prasie, książkach oraz w albumach fotograficznych. Cieszyłem się z wszelkich oznak zainteresowania okazywanego moim fotografiami. Zdjęcia kierowałem do jednego widza w nadziei, że obraz podobający się jednemu odbiorcy, wzbudzi zainteresowanie następnych osób. Coraz wyraźniej odczuwałem potrzebę podzielenia się z widzami największą wartością mojego regionu: krajobrazami, unikalną strukturą rozdrobnionych poletek świętokrzyskich.

Tak narodził się mój program regionalizmu. Wyznam, że program ten realizowałem konsekwentnie, z pełnym samozaparciem. Z uporem propagowałem krajobrazy rolnicze: w gronie rodzinnym, wśród przyjaciół, mieszkańców miasta i regionu, w kraju oraz na całym cywilizowanym świecie. Promocję regionu realizowałem z pobudek emocjonalnych i finansowałem z własnych funduszy. Czułem się ambasadorem kultury polskiej, a wyniki mojego prywatnego projektu porównywałem ze zbiurokratyzowanymi, nieudolnymi akcjami oficjalnej propagandy rządowej.

Autorytety w ruchu regionalistycznym

Szlachetny ruch regionalizmu w Polsce rodził się w XIX wieku, prawdziwe zainteresowanie regionami osiągnął w strukturach Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego (1906), a idee ruchu zawarł w miesięczniku „Ziemia”, będącym organem skupiającym polskich intelektualistów. Ruch regionalistyczny znakomicie rozwinął się w okresie międzywojnia. W kraju wzrosło zainteresowanie krajoznawstwem, a wiedza o regionie została włączona do programów szkolnych. Niewątpliwymi autorytetami cieszyli się: Stefan Żeromski jako ideolog oraz Aleksander Patkowski, teoretyk i organizator ruchu regionalnego w Polsce.

Regionalizm i poczucie dumy narodowej ukształtowały polską twórczość fotograficzną. Niewątpliwym autorytetem dla wielu pokoleń fotografów Jan Bułhak (1876–1950) stworzył kierunek artystyczny pn. „fotografia

ojczysta”, który przez ponad pół wieku wyznaczał rytm pracy krajowych mistrzów kamery.

Obecnie obserwuję niepokojące zjawisko. Zapomina się o dorobku pokoleń, pomija najlepsze tradycje polskiej myśli patriotycznej, a nawet niszczy najpiękniejsze dokonania naszych poprzedników. A współcześni działacze ruchu regionalistycznego nie przywołują haseł kształtujących specyficzną polską ideę krajoznawstwa obejmującego cały kraj. Zamiast skupiać elitę krajowych intelektualistów, ruch regionalistyczny próbuje się wmontować do ruchu ludowego i osadzić w realiach polskiej wsi, zaś samo pojęcie regionalizmu spłaszczyć, wyśmiać i wyszydzić, jako kierunek niemodny i zacofany (może pasujący do skansenu polskości?).

Dziwią postawy części regionalistów, którzy nie przeciwstawiają się procesowi erozji naszej pięknej tradycji.

Kim jest regionalista?

Regionalistą jest człowiek, który działając z pobudek altruistycznych, poznaje wybrany region, dostrzega, wydobywa i opisuje tkwiące w nim elementy unikalne, niekiedy przetwarza je artystycznie, a odnalezione skarby umieszcza w światowym dorobku ludzkości.

Region i regionalizm

Mój prywatny program regionalizmu realizuję konsekwentnie z uporem i samozaparciem. Nie zważam na ataki przeciwników, omijam liczne przeszkody biurokratyczne oraz cierpię z powodu niesprawiedliwych sądów, a nawet drwin, których nie szczędzą mi tak zwani przyjaciele. Z wielką przychylnością odnoszę się do wszelkich oznak aktywności regionalistycznej. W pełni popieram realizacje twórcze inspirowane wartościami związanymi z krajobrazem, krajoznawstwem lub z tradycją historyczną regionu. Osobiście przystępuję do organizacji przywołujących chlubne idee regionalizmu polskiego, jak np. Ośrodek Regionalizmu Świętokrzyskiego w Zagnańsku.

Troską moją, podobnie jak i wielu innych działaczy, jest ambiwalentny stosunek władz samorządowych do problemów ruchu regionalistycznego. Z jednej strony czynniki oficjalne popierają inicjatywy społeczne (lecz tylko w granicach nakazanych przez wyższe instancje, np. Unię Europejską). Z drugiej strony na próżno oczekiwać rzeczywistego poparcia poczyną krajoznawców i regionalistów. Biurokraci okazują bezwzględny brak zain-

teresowania założeniami, planami oraz wynikami pracy aktywnych jednostek i stowarzyszeń, nie mówiąc o realnym wsparciu finansowym nawet najszczytniejszych projektów społecznych. W zamian za to, pełne poparcie władzy uzyskują twory zastępcze, przedsiębiorstwa powoływane dla realizacji intratnych zadań. O najbardziej ambitnych projektach milczą tzw. publikatory: prasa, radio, telewizja. Na imprezach, nawet najważniejszych (jak np. kongres) brak przedstawicieli władz samorządowych i politycznych. Wszechstronnie deprecjonowany ruch nie poddaje się. Przekonani o słuszności projektów, społeczni działacze finansują plany pracy własnych stowarzyszeń z własnych, prywatnych funduszy. Tak jak ja finansowałem wieloletnią międzynarodową promocję krajobrazów polskich na forum międzynarodowym. Tak jak Maciej Zarębski wybudował i od wielu lat utrzymuje z własnych funduszy Ośrodek Regionalizmu Świętokrzyskiego w Zagnańsku.

Paweł Pierściński – urodzony 25 maja 1938 roku w Kielcach. Fotograf, publicysta, krytyk i teoretyk fotografii, działacz społeczny, organizator ruchu fotograficznego pejzażystów polskich, komisarz ogólnopolskich wystaw fotografii krajobrazowej, redaktor i współautor między innymi almanachów fotograficznych: „Mistrzowie Polskiego Pejzażu” (2000), „Kielecka Szkoła Krajobrazu” (2002) oraz „Sztuka Fotografii” (2008). Twórca, organizator i animator pracy kierunku artystycznego pod nazwą KIELECKA SZKOŁA KRAJOBRAZU. Dyplom mgr. inż. budownictwa lądowego na Politechnice Warszawskiej (1962). Fotografuje od 1952 roku, debiut wystawieniowy – 1955, Członek Związku Polskich Artystów Fotografików (od 1964), Członek Honorowy ZPAF (od 1982), Honorowy Prezes Okręgu Świętokrzyskiego ZPAF w Kielcach (od 1985), członek honorowy wielu stowarzyszeń fotograficznych w Polsce. Jest autorem ponad 250 wystaw indywidualnych, ponad 600 razy eksponował fotografie na wystawach w kraju i za granicą, otrzymał liczne medale, nagrody i dyplomy. Wydał kilkanaście albumów indywidualnych. Fotografie P. Pierścińskiego były wielokrotnie publikowane w almanachach światowej fotografii (np. „Photography Year Book”, „Photographis”, „Fotojahrbuch International”, „Almanach FIAP”) oraz w fachowej prasie fotograficznej w wielu krajach. Fotografie artysty znajdują się w kolekcjach prywatnych oraz w zbiorach muzealnych wielu krajów (np. we Francuskim Muzeum Fotografii w Bievres, w Muzeum Sztuki Współczesnej im. A. Puszkina w Moskwie, w Muzeum Historii Fotografii w Krakowie). Opublikował ponad 600 tekstów, opracowań krytycznych, recenzji i wstępów do katalogów wystaw. Za twórczość fotograficzną oraz za społeczną działalność organizacyjną otrzymał odznaczenia państwowe, między innymi Krzyż Oficerski oraz Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, srebrną Odznakę „Gloria Artis” oraz honorowe odznaczenia Międzynarodowej Federacji Sztuki Fotograficznej (FIAP) w Genewie: AFIAP, EFIAP i EsFIAP.

MACIEJ ANDRZEJ ZARĘBSKI
Świętokrzyskie Towarzystwo Regionalne

O OBECNEJ SYTUACJI W POLSKIM REGIONALIZMIE

W książce *Z dziejów regionalizmu świętokrzyskiego* pisałem: „Dla mnie osobiście, mówię to na podstawie blisko 30-letniej działalności w ruchu regionalnym, regionalizm oznacza wszelkie działania mające na celu jak najlepsze poznanie Małej Ojczyzny po to, by jej najpełniej służyć i powodować jej dynamiczny rozwój. Tylko wówczas gdy będziemy w pełni świadomi swoich korzeni, gdy będziemy dobrze znać historię naszej »małej ojczyzny«, dzieje naszej wsi, miasta rodzinnego, patrona ulicy, przy której mieszkamy, szkoły, do której chodziliśmy, tylko wtedy możemy czuć się dobrymi Polakami, słowem, wówczas z powodzeniem obronimy nasze wartości narodowe, a więc naszą polską tożsamość. **I to jest ważne szczególnie teraz, po naszym wejściu do Unii Europejskiej.** Ważną rolę odgrywa tu kultywowanie tradycji, rozwijanie piśmiennictwa regionalnego, pielęgnowanie kultury ludowej, chłopskiej, prowadzenie, szczególnie wśród młodzieży, edukacji regionalnej. Uważam, że obecna sytuacja w kraju: upadek moralności polskiego społeczeństwa, karierowiczostwo i korupcja władzy, brak autorytetów, wzrost przestępczości kryminalnej, szczególnie wśród młodzieży, słowem, głęboki kryzys społeczno-polityczny może być przewyciężony poprzez działania ruchu regionalnego. Uważam, że Polska może się zmienić dzięki działalności ludzi zaangażowanych w pracę na rzecz »małej ojczyzny«, dzięki regionalistom z prawdziwego zdarzenia, takim którzy sprawdzili się w ruchu regionalnym, tzn. mają określone, wymierne sukcesy w służbie ludziom. **Odebranie inicjatywy nieudacznikom, karierowiczom, krzykaczom, demagogom, politykierom wszelkiej**

maści i oddanie ich regionalistom, prawdziwym gospodarzom »małych ojczyzn«, przyczyni się do odrodzenia Ojczyzny”¹.

Tyle moja opinia na temat definicji regionalizmu wyrażona w roku 2005. Co mogę dodać po dziewięciu latach. Chyba tylko to, że wszystko co napisałem wówczas jest nadal aktualne z tą tylko różnicą, że znacznie uległy pogorszeniu warunki działalności regionalistów skupionych wokół towarzystw regionalnych. „Zadbała” o to uchwalona w 2004 roku (do dziś obowiązująca) ustawa o pożytku publicznym i wolontariacie. Przy samorządach różnych szczebli utworzono sieć zależnych od nich organizacji (na ironię nazywających się pozarządowymi), które w ramach tzw. konkursów zdobywają gros środków finansowych na tzw. działalność regionalną. Ma ona charakter nakazowo-pokazowy. Finanse są przyznawane na potrawy regionalne, pachnącą amatorszczyznę (typowa cepeliada) kulturę nazywaną ludową oraz rekonstrukcje bitew, przy małej dbałości o prawdę historyczną, co miast u młodzieży utrwałać, rozluźnia tożsamość narodową.

Kultura – w tym kultura regionalna i jej dobra – została skomercjalizowana. W walce o środki unijne zaczęły się liczyć, nie doświadczenie, wiedza o regionie, lecz... doświadczenie w pisaniu podań o dotacje. Nasz wniosek o przyznanie środków na organizację V Międzynarodowych Targów Wydawnictw Regionalnych w maju 2006 roku został odrzucony z powodu... źle przystawionej pieczętki. Dziecko (wg. głównego imperatywu Kanta) zostało wylane wraz z kąpielą. Doświadczeni, o dużej wiedzy regionalistycznej działacze poczuli się niepotrzebni, zaczęli odsuwać się od pracy w regionie. Część poszła do gospodarki, inni do polityki, jeszcze inni w ogóle zaprzestali wszelkiej aktywności. Spora grupa zaczęła masowo opuszczać Polskę zasiedlając bardziej rozwinięte gospodarczo kraje (Irlandię, Niemcy, Szwecję, Wielką Brytanię). W konsekwencji w Polsce zaczęło rosnąć pokolenie bezideowców. Powstała armia młodych ludzi posiadających enigmatyczne więzi z regionem.

Co można zrobić, by przeciwstawić się tandecie, blichtrowi i pozbawionych treści działaniom pseudo-regionalistów? Apele o zmianę prawodawstwa funkcjonowania regionalizmu są bezskuteczne. Doradzałbym, bardziej stanowczo niż dotychczas, branie sprawy we własne ręce. Niech regionaliści znający doskonale problemy swych małych ojczyzn kandydują do samorządów różnych szczebli, bo mają szansę. Udowodniło to np. Zawiercie, gdzie

¹ M. A. Zarębski, *Z dziejów regionalizmu świętokrzyskiego*, Zagnańsk 2005, s. 8.

członkowie Towarzystwa Miłośników Ziemi Zawierciańskiej zdobyli większość w Radzie Miasta i na rezultaty nie trzeba było długo czekać. Udało się zdobyć dotacje na rozwój wspianego programu ratowania dziedzictwa przyrodniczego góry Zborów a nawet wybudować w Podlesicach w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej wspianą Ośrodek Kultury Regionalnej Ziemi Zawierciańskiej z zapleczem gastronomiczno-noclegowym i muzealnym.

Należy walczyć o klarowność przyznawania środków dla towarzystw regionalnych, poprzez domaganie się jawności, aby maksymalnie wyeliminować kumoterstwo i klientelizm. Należy dążyć do udziału w komisji przyznającej dotacje przedstawiciela desygnowanego przez towarzystwa regionalne a nie wyznaczonego przez marszałka. Koniecznością jest domaganie się, aby media lokalne informowały swych czytelników o działalności towarzystw regionalnych. To nie ma być łaska lecz obowiązek. Tylko wówczas będzie zrealizowana misja społecznego funkcjonowania mediów.

Jeżeli chodzi o sprawy organizacyjne to należy zrezygnować z funkcjonowania Rady Krajowej, której kompletna inercja, od ponad 10 lat, konkretnie od Kongresu w Gorzowie Wielkopolskim udowodniła, że ta instytucja to przeżytek. O upadku autorytetu Krajowej Rady zdecydowały, moim zdaniem, trzy czynniki: likwidacja Ośrodka Dokumentacji Regionalnych Towarzystw Kultury, brak środków na integracyjne imprezy oraz proces naturalnego wykruszenia się działaczy (brak następców!). W tej sytuacji należy pomyśleć o utworzeniu czegoś w rodzaju federacji różnych centrów polskiego regionalizmu, stworzyć sieć federacyjną mateczników małych ojczyzn, co od roku forsuje prof. Andrzej Tyszka. Są ośrodki myśli, kultury i działalności regionalistycznej gdzie lokalni liderzy, autentyczni pasjonaci, wykazują widoczną w środowisku aktywność obywatelsko-tożsamościową. Od siebie dodam, że to są PRAWDZIWI REGIONALIŚCI. Oni nie tylko czynią to z pasji, ale przede wszystkim z moralnej odpowiedzialności za Polskę, polską kulturę, jej wiarygodność i godność Polaków. Przykładem niech będzie chociażby działalność takich centrów matecznikowych i ich liderów jak: w Wieliczce (z Jadwigą Dudą), Uniejowie (z Urszulą Urbaniak), Zawierciu (z Bogdanem Dworakiem), Podkowie Leśnej (z Andrzejem Tyszką), Lesznie (z Alojzym Koniosem), Nowej Soli (z Wojciechem Jachimowiczem). Czas najwyższy aby ten plan wprowadzić w życie. A co zrobili i robią w tej sprawie członkowie kierowanego przeze mnie Świętokrzyskiego Towarzystwa Regionalnego?

Przed dziesięcioma laty, w lipcu 2004 roku, powołaliśmy do życia sposobem gospodarczym, społecznie i za prywatne środki finansowe Ośrodek Regionalizmu Świętokrzyskiego. Zajmuje się on gromadzeniem czasopiśmiennictwa regionalnego oraz publikacji książkowych towarzystw regionalnych ziemi świętokrzyskiej. Realizuje edytorską serię wydawniczą o nazwie „Biblioteka Świętokrzyska”, będącą kontynuatorką „Biblioteki Staszowskiej”. Dotychczas ukazało się 309 pozycji książkowych, z czego wydawcą pierwszej dwusetki było w latach 1982–2005 (kwiecień) Staszowskie Towarzystwo Kulturalne a ostatnich 109 Świętokrzyskie Towarzystwo Regionalne. W Ośrodku prowadzona jest działalność muzealna w ramach posiadanych zbiorów ze stałymi ekspozycjami poświęconymi życiu patronów Ośrodka: Julianny i Jana Zarębskich, Józefa Piłsudskiego oraz ministra Adama Bienia i Zygmunta Wójcika. Są także Działy: Etnografii, Dokumentacji Fotograficznej, Geologiczny, Numizmatyczny, Medalierski oraz Galeria Sztuki Artystów ziemi świętokrzyskiej i Ekspozycja wydawnictw regionalnych Biblioteki Staszowsko-Świętokrzyskiej. W Ośrodku funkcjonuje Salon Artystyczno-Literacki, w którym organizowane są spotkania miejscowych regionalnych twórców i działaczy z pisarzami, artystami i naukowcami z Warszawy, działaczami Stowarzyszenia Kultury Europejskiej. Od 2006 roku organizowane są w Ośrodku tzw. „Posiady w cieniu Bartka”, podczas których toczono dyskusje m.in. na temat: różnych form polskiego patriotyzmu, miejsca polskiej kultury w rodzinie kultur europejskich, zadań polskich twórców w działalności na rzecz integracji polskiej kultury z kulturą krajów europejskich, ze szczególnym uwzględnieniem naszych najbliższych sąsiadów. Od trzech lat prowadzony jest Uniwersytet Trzeciego Wieku oraz organizowane są spotkania z młodzieżą.

Na koniec chciałbym wspomnieć o możliwościach organizowania kursów warsztatowych dla nauczycieli w dziedzinie edukacji regionalnej, pod kątem zadań stojących przed polskimi pedagogami w aspekcie pełnej integracji polskiego regionalizmu kulturowego z regionalizmem europejskim. Celem tych działań jest wykształcenie odpowiedniej kadry pedagogów, właściwie nauczających naszą młodzież i wychowujących ją w duchu dobrze pojętego patriotyzmu jutra. W Ośrodku istnieją także możliwości edukowania młodzieży szkolnej w dziedzinie regionalizmu polskiego, jego integracji z regionalizmem europejskim w aspekcie odpowiedzialności za przeszłość

naszego współdziałania z Europą, przy uwzględnieniu polskiej racji stanu, najogólniej mówiąc **w zgodzie z dobrze pojętym poczuciem patriotyzmu lokalnego i tożsamości narodowej.**

Działamy w myśl zasady „nie będzie dobrym Europejczykiem Polak, nie znający dobrze swojej historii, nie wykazujący dumy z jej bogactwa”.

Maciej Andrzej Zarębski – dr nauk medycznych. W ruchu regionalnym od ponad trzydziestu lat. Sygnatariusz Karty Regionalizmu Polskiego (Wrocław 1994). Twórca i długoletni prezes Staszowskiego Towarzystwa Kulturalnego (1981), Świętokrzyskiego Towarzystwa Regionalnego (2004), Muzeum Ziemi Staszowskiej (1991), Ośrodka Regionalizmu Świętokrzyskiego (2004). Redaktor naczelny: „Gońca Świętokrzyskiego” i „Eskulapa Świętokrzyskiego”. Redaktor „Biblioteki Świętokrzyskiej” (wcześniej Staszowskiej), w ramach których ukazało się w latach 1982–2013 trzysta osiemnaście pozycji książkowych. Członek Prezydium Okręgowej Rady Lekarskiej ŚIL w Kielcach, Związku Literatów Polskich, O/Warszawa a także Stowarzyszenia Kultury Europejskiej i Stowarzyszenia Absolwentów Liceum Ogólnokształcącego im. Stefana Żeromskiego „Żeromszczacy”. Autor czterdziestu książek o tematyce regionalistycznej, biograficznej i reportażowej oraz kilkunastu artystycznych wystaw fotograficznych. Laureat I Nagrody i Medalu Zygmunta Glogera (2008), Odznaczenia „Gloria Medicinae (2010), Krzyża Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski (2001) a także Nagrody Literackiej im. Witolda Hulewicza (2003).



BRONISŁAW SROKA
Towarzystwo Miłośników Gilowic

REGIONALIZM – JAK TO ROZUMIEĆ?

Zagadnieniem bytu tutejszych ludzi, obejmującym wszystkie dziedziny życia, począwszy od historii, warunków w jakich żyli i żyją obecnie, zainteresowaniami a także codziennymi kłopotami, interesowałem się od dawna. Byłem częstym gościem żywieckiego Muzeum i Archiwum, czytałem wiele publikacji związanych z tutejszymi dziejami: *Dziejopis Żywiecki* autorstwa żywieckiego wójta z przełomu XVII i XVIII wieku i liczne inne opracowania. Interesowały mnie szczególnie historyczne zaszłości, dziejące się w naszym regionie, powiązane nierozzerwalnie z dziejami Czech, Węgier i pobliskiego Śląska, nie należącego wówczas do Polski. Zgromadziłem w ten sposób pokaźny zasób przeróżnych opracowań naukowych, ale i powieści historycznych. Także niektóre w języku czeskim i niemieckim. Moje zainteresowania problematyką wzrastały, w miarę pogłębiania swojej wiedzy, starałem się dociekać najdrobniejszych szczegółów zaistniałych wydarzeń, by mieć całkowity obraz rzeczywistości. Porównywałem je z innymi publikacjami, traktującymi o tej samej problematyce, by ustrzec się przekłamań, wizjonerstwa autorów i stronniczości, co niestety ma miejsce w naszej historiografii. Sięgałem w wielu przypadkach do źródeł kościelnych i tam napotykałem niefrasobliwość piszących w wypełnianiu nawet ksiąg metrykalnych.

Dziwnym się wydaje, dlaczego władze kościelne nie narzuciły księżom, szczególnie proboszczom, obowiązku prowadzenia ewidencji. Niektórzy proboszczowie czynili to z własnej inicjatywy, nie z obowiązku. W ten sposób sporadycznie tylko zapisywano w jednej książeczce wyłącznie chrzty i śluby. Pogrzebów nie odnotowywano. Kościół był i jest instytucją nie podlegającą wahaniom koniunkturalnym tak jak władze państwowe,

była więc możliwość zachowania względnej ciągłości dokumentacyjnej w wielu dziedzinach życia. Paradoksem jest, że uczyniły to dopiero władze austriackie, wprowadzając na naszym terenie w roku 1786 trzy rodzaje ksiąg: chrztów, ślubów i zgonów. W każdej znajdowała się szczegółowa instrukcja co do wypełniania poszczególnych rubryk. Obwarowano równocześnie dokładność prowadzenia zapisów nałożeniem kary pieniężnej na piszących, w wysokości 4 zł. p. za każdy błąd.

Mimo tak rygorystycznych zarządzeń, zapisy w księgach pozostawiają wiele do życzenia. Musieli więc księża sownie opłacać austriackich urzędników cyrkularnych którzy corocznie sprawdzali, niezależnie od wizytacji biskupich, prawidłowość zapisów w księgach. Niewyczerpaną skarbnicą wiedzy były biblioteki, z których czerpałem wiadomości, z zasady na ślepo, bo nie posiadałem żadnych wskazówek, w jakiej publikacji znajdę interesujące mnie wiadomości. W Bibliotece Jagiellońskiej w Krakowie, czy Bibliotece Ossolińskich we Wrocławiu spędziłem wiele dni, nieraz bezowocnie. Nie miałem dostępu do zasobów bibliotecznych diecezjalnych w Krakowie. Moje zabiegi w tym zakresie zaowocowały wydaniem w 2000 r. *Monografii Gilowic*, której jestem współautorem.

Moim wzorem, do którego mam jednak ograniczone zaufanie, był przedwojenny profesor historyk Stanisław Szczotka, autor biografii bardzo wielu wybitnych ludzi, zamieszczanych w Polskim Słowniku Biograficznym, inicjator nowego opracowania wspomnianego już uprzednio *Dziejopisu Żywieckiego*. Po przeczytaniu tego wydania z roku 1938, opanował mnie bakcyl zainteresowań historycznych, trwający do dziś. Piszę tutaj o ograniczonym zaufaniu do profesora, ponieważ przydarzył mu się pewien lapsus. Pisze mianowicie o ojcu księdza Pawła Gilowskiego, urodzonego w naszej miejscowości w 1534 roku, podobno Macieju. Według jego opinii Maciej był w owym czasie właścicielem Gilowic. Skrupulatnie doszukiwałem się prawdy w tym stwierdzeniu i okazało się, że Paweł był synem tutejszego młynarza Foksa. Po święceniach, zgodnie z ówczesnym obyczajem, jak to czyniło wielu księży pochodzenia mieszczańskiego lub chłopskiego, zmienił swe nazwisko na szlachtetnie brzmiące. Właścicielem Gilowic był wówczas burgrabia krakowski Piotr Szaszowski, jak to wynika z akt sądowych z księstwa oświęcimskiego, toczących się rozpraw Szaszowskiego z Piotrem Komorowskim, właścicielem dóbr żywieckich, starającym się niecnym sposobem wejść w posiadanie Gilowic i sąsiedniego Ślemienia.

Na pytanie: kto to jest regionalista?, nie sposób odpowiedzieć jednym zdaniem. W tym pojęciu zawiera się całe spektrum konkretnych pojęć i zadań z nich wynikających. Ujmując rzecz w niezbyt rozbudowanej wersji, regionalistą jest człowiek oddany całym sercem problematyce otaczającej go rzeczywistości, poczynawszy od zapoznania się z dziejami środowiska i popularyzacją najciekawszych ich momentów, poprzez pielęgnowanie kultury i tradycji utrwalonych miejscowo, przenosząc je równocześnie na coraz szersze obszary kraju. Interesować się powinien aktualnymi problemami i starać się w miarę możliwości zapobiegać ich negatywnym następstwom. Wspierać pozytywne inicjatywy mieszkańców we wszelkich dziedzinach, od życia codziennego poczynając, poprzez doradztwo w miarę możliwości i ukierunkowanie działań ludziom mniej aktywnym, zapobieganie zjawiskom wandalizmu i dewiacjom we wszelkiej postaci jakich w dzisiejszych czasach nie brak w każdym zakątku kraju. Ścisła współpraca z miejscowym samorządem i wszystkimi organizacjami istniejącymi na określonym terenie, z równoczesnym, rygorystycznym poszanowaniem istniejącego prawa. Niezmiernie ważną rolę jest dbałość o środowisko naturalne, ochrona miejscowej fauny i flory, zapobieganie wszelkiego rodzaju negatywnym zjawiskom. Propagować wśród dzieci i młodzieży nawyki pozytywnych postaw do całego otaczającego nas świata.

Niestety, ostatnie dwudziestolecie nie stworzyło dla regionalistów ani pozytywnych ustaw, ani atmosfery sprzyjającej bezinteresownej przecież działalności dla pasjonatów prac społecznych.

Regionaliści wywodzą się przede wszystkim ze środowisk przeróżnych lokalnych organizacji, gdzie zdobywali ostrogi do niewdzięcznej wprawdzie, ale satysfakcjonującej pracy społecznej, nie oglądając się na jakiegokolwiek wynagrodzenia. Przykro stwierdzić, ale w PRL, mimo niezbyt sprzyjających okoliczności, szczególnie politycznych, pod względem kulturalnym staliśmy o wiele wyżej. Dziś młodzież nie garnie się do żadnych prac, za które nie widzi korzyści materialnych. Trudno nakłonić kogokolwiek do pełnienia jakiejś funkcji w takiej, czy innej organizacji. Regionaliści zaś, nie tylko poświęcają swój wolny czas pracom społecznym, ale częstokroć własnymi zasobami finansowymi ratują zagrożone inicjatywy.

Zmieniły się radykalnie na niekorzyść przepisy odnośnie poszczególnych sfer działania. Na przykład w 2004 r. wrzucono do jednego worka fundacje i wszelkiego rodzaju stowarzyszenia jakie istnieją na określonym terenie.

Te pierwsze dysponują wielomilionowymi funduszami, podczas gdy stowarzyszenia utrzymują się jedynie z niewielkich składek członkowskich. Natomiast sprawozdawczość, szczególnie dotycząca Urzędów Skarbowych, jest jednolita dla wszystkich. Towarzystw nie stać na opłacanie zawodowych księgowych, celem sporządzania corocznych sprawozdań, bilansów i całego szeregu protokołów jakich wymaga ustawa. Ponadto cały szereg innych instytucji wymaga okresowych sprawozdań, ankiet i innych dokumentów, nieraz całkowicie zbędnych, których nikt nie czyta. W tej sytuacji trudno mówić o jakichkolwiek udogodnieniach.

Dziś tylko najbardziej zapalczywe i z zasady w podeszłym już wieku osoby parają się tymi zajęciami. Brak młodych następców powoduje coraz boleśniejszy marazm w tego rodzaju działalności. Przyszłość nie przedstawia się optymistycznie, jeśli odpowiedzialne władze państwa nadal w tak niefrasobliwy sposób traktować będą tę bądź co bądź, ważną dla społeczeństwa sferę działalności.

Swary i kłótnie w żadnym środowisku, czego jesteśmy świadkami na co dzień, nie służą integracji społeczeństwa ani zgodnemu współdziałaniu dla dobra kraju. Nawet w najmniejszych społecznościach, a nawet w łonie samych rodzin ujawniają się ostre animozje, szczególnie na tle politycznym, co powoduje starcia i konflikty.

Jesteśmy narodem który źle pojął istotę demokracji. Zamiast traktować dzisiejszą rzeczywistość jako swobodę bytu i postępować we wszelkich działaniach zgodnie z wymogami prawa i obowiązków wynikających z przyjętych na siebie zadań, stosuje się bezmyślne narzucanie siłą własnych, nie zawsze racjonalnych przekonań, bez jakiegokolwiek uzasadnienia wysuwanych racji. Zamiast demokracji mamy dziwaczny rodzaj autokracji. Czy w takiej sytuacji istnieją jeszcze warunki do funkcjonowania, w jakimkolwiek środowisku, organizacji czy pojedynczych ludzi ofiarnych, gotowych poświęcać swój czas dla dobra ogółu? Mam co do tego wątpliwości.

Ten niesamowity rozgardiasz panujący u nas, podsycają jeszcze środki masowego przekazu żadne sensacje. Nikt nie doszukuje się jakichkolwiek pozytywów, ani w gospodarce, polityce, czy w życiu codziennym, jakie przecież choć nieliczne, jednak są. Sensacje sprzedają się lepiej. Jesteśmy jako naród unikatem, ewenementem na skalę światową. Zawieść, podejrzliwość, złośliwość i wręcz nieograniczona swoboda destrukcyjnych działań, oto dzisiejsze walory znacznej części naszego narodu.

Jeśli w najbliższych latach nie nastąpi radykalna zmiana w nastrojach społeczeństwa, ale także i szeroko pojętej władzy w Polsce, jestem sceptykiem co do przyszłości Polski.

Najłatwiejszym sposobem jest zrzucanie winy na tragiczną przeszłość naszego narodu i państwa. Wini się *liberum veto*, zaborców, okupację hitlerowską i wreszcie PRL za stwarzanie takich a nie innych nastrojów, owocujących owymi wynaturzeniami. To prawda. Ale w ciągu ostatniego półwiecza inne narody potrafiły zmienić swoją mentalność: zmienili się Niemcy, uznając swoją winę, Japończycy, Francuzi, Austriacy i wiele innych narodów. Dlaczego my, tkwimy w tym marazmie bez jakichkolwiek refleksji, że to przecież my tworzymy obecną rzeczywistość a nie dawna przeszłość. Mamy tylu wykształconych psychologów. Dlaczego nie angażują się w poprawę myślenia społecznego? Trzeba im stworzyć odpowiednie warunki do publikacji w prasie, radiu, telewizji. Niewątpliwie byłyby to sukces.

Od siedemnastu lat jestem prezesem miejscowego Towarzystwa Miłośników Gilowic. Moje refleksje wynikają po części z obecnego stanu rzeczy. Jeszcze kilka lat temu nasze Towarzystwo tętniło pełnią życia. Od ubiegłego (2012) roku, pomimo usilnych starań, nie jestem w stanie zwołać kworum zebrania, celem wyłonienia nowych władz Towarzystwa. Na pierwsze zebranie w 2012 roku zjawiło się pięć osób. Na drugie, poprzedzone już osobistymi rozmowami, przyszło osiem osób. Czy w takich okolicznościach nie powinno się pomyśleć o likwidacji Towarzystwa? W osobistych, lub telefonicznych kontaktach z członkami wyczuwam niechęć do dalszej ofiarnej pracy. Jedni wymawiają się podeszłym wiekiem, (80% członków to ludzie starsi) inni pracą zawodową, często poza miejscem zamieszkania, a jednostki twierdzą wręcz, że w tych warunkach praca nie ma sensu.

Na przestrzeni ostatnich sześciu lat aż cztery osoby zrezygnowały z pełnienia funkcji skarbnika, do której należy obowiązek finansowego rozliczania Towarzystwa i sporządzania pełnej sprawozdawczości księgowej do Urzędu Skarbowego. Ta właśnie sprawozdawczość, całkowicie bezsensowna, przy naszych minimalnych dochodach, odstręcza ludzi do pracy.

Towarzystwo nasze powołałobyśmy właśnie siedemnaście lat temu, projektując opracowanie i wydanie drukiem monografii naszej miejscowości. Z grona członków został wyłoniony zespół redakcyjny pod moim kierownictwem i w sześć lat później zrealizowaliśmy zamiar. Jestem współautorem tego opracowania. W 2004 r., pod egidą Towarzystwa wydaliśmy broszurkę

mojego autorstwa pt. *Szkody wojenne mieszkańców Gilowic w latach 1939–1945*, W 2008 r., własnym sumptem ale pod nazwą Towarzystwa wydałem swoją powieść *Harnaś* osnutą na tle autentycznych wydarzeń, dziejących się w naszej okolicy w drugiej połowie XVII wieku. Zaś w 2011 r. wydaliśmy *Słownik gwary gilowickiej* również mojego autorstwa.

Na bieżąco współpracuję z redakcją dwutygodnika „Nad Sołą i Koszarawą” wydawanego w Żywcu, nadsyłając im relacje z różnych imprez i uroczystości odbywających się w naszej miejscowości.

Miejscowość w której mieszkam – Gilowice, jest dość dużą wsią, liczącą z górą 4000 mieszkańców. Kto i kiedy założył tę wieś, brak jest jakichkolwiek wiadomości. Żywiecczyzna, do której należą Gilowice zaznała w średniowieczu wielu klęsk, najazdów, rabunków, a także i klęsk żywiołowych. Zniszczone, lub rozproszone zostały stare dokumenty, jedynie śladowe wspomnienia zachowały się w źródłach kościelnych. Historyczne początki wsi zanotowano w *Spisie Świętopietrza*, gdzie pod rokiem 1325 zanotowano, że rok wcześniej została erygowana parafia w Gilowicach wraz z Żywiecką, jako pierwsze na terenie późniejszej Żywiecczyzny. Gilowice liczyły wówczas 147 stałych mieszkańców. Proboszczem nowo utworzonej parafii został mianowany nieznany z nazwiska ksiądz Rudolf, który nie był w stanie uiścić składki świętopietrza za 1325 rok, tak był ubogi.

Sądzę, że nie rozpisując się nadmiernie, zamieściłem w opisie najważniejsze spostrzeżenia i sytuacje, jakie warunkują naszą działalność. Pomimo trudności i wielu także osobistych kłopotów, nasza społeczna praca będzie trwać nadal. Mój zastępca w Towarzystwie, Pan Henryk Pasko jest osobą, którą określa się dziś mianem „człowieka orkiestry”. Zajmuje się sportem, prowadząc przyszkolny Klub Sportowy „Olimpijczyk”. To dzięki jego zabiegom zbudowano u nas dwie trzydziestometrowe skocznie narciarskie, wyłożone igelitem. Na tym obiekcie odbywają się całoroczne skoki, dzięki którym wyrósł już z tutejszej młodzieży skoczek, biorący udział w zawodach na mamucich skoczniach.

Zawodowy bokser Tomasz Adamek założył, także przy szkole podstawowej, Klub Bokserski „Cios” i mimo, że na stałe mieszka w USA, w rodzinnych Gilowicach ma swój dom, gdzie dość często przyjeżdża.

Bardzo prężną organizacją jest u nas Ochotnicza Straż Pożarna, licząca wraz z młodzieżówką 124 osoby, włączona do nielicznej grupy Krajowego Systemu Ratowniczo-Gaśniczego. Jednostka jest wyposażona w pięć samo-

chodów, w tym trzy gaśnicze i dwa ratownictwa, z pełnym wyposażeniem. Dysponuje podwójnymi, specjalistycznymi zespołami tak do ratownictwa drogowego, jak i klęsk żywiołowych, zaś w ratownictwie gaśniczym istnieje pięć zespołów w pełni wyszkolonych. Jednostce przewodzi od 14 lat młody jeszcze, ale nadzwyczaj aktywny Piotr Kurzyniec. Mam zaszczyt być członkiem honorowym tej organizacji.

Bronisław Sroka – ur. w 1930 r., współzałożyciel i prezes Towarzystwa Miłośników Gilowic (od 1996 roku t.j. od początku jego istnienia). Z wykształcenia ekonomista, z zamiłowania historyk. Brał udział w opracowaniu *Monografii Gilowic* (2000), wydał własną powieść *Harnaś* (2004), a także broszurę *Szkody wojenne Gilowic w latach 1939–1945* (2006) oraz *Słownik gwary gilowickiej* (2011). Na potrzeby miejscowej OSP opracował studwunastoletnią *Kronikę OSP Gilowice*.



HIERONIM WOŹNIAK
Towarzystwo Miłośników
Ziemi Żywieckiej

„PRZYSTAC” ŻYWIECKIM REGIONALISTĄ

To było 1 września 1955 r. W Domu Kultury w Żywcu uczestniczyłem w inauguracji roku szkolnego Technikum Ekonomicznego, jako nowy i młody nauczyciel tej szkoły przybyły do Żywca z innego terenu. Nigdy wcześniej ani nie byłem w tym miasteczku, ani w tak bezpośredni sposób nie zetknąłem się z folklorem górali żywieckich. Po przemówieniu dyrektora szkoły, w ramach tak zwanej części artystycznej, wystąpił szkolny regionalny zespół pieśni i tańca pod kierownictwem nauczycielki wf tejże szkoły Marii Zych. Siedziałem w pierwszym rzędzie, więc miałem doskonałe pole obserwacji i doskonałą słyszalność kapeli i chóru zespołu. Zostałem oczarowany tym pięknym widowiskiem, żywiołem tancerzy, pięknymi góralskimi strojami i grą kapeli, która zagrzewała do tańca nie tylko samych aktorów na scenie. To była moja fascynacja i oczarowanie, co nie oznacza, że zająłem się natychmiast folklorem, bo moja rola w tej szkole była zgoła odmienna. Z biegiem czasu dowiedziałem się, że społeczność tego miasteczka dzieliła się na swoich i „przystacy”, że „przystace” to w oczach miejscowych obywatele drugiej kategorii. Niektórzy z miejscowych, dawniej urodzeni, jako dowód owej odrębności pokazywali mi dokument zwany „świadectwem swojszczyzny”. Ale po II wojnie światowej, na skutek olbrzymich ruchów migracyjnych, zjawisko to nie miało już tak wyrazistego charakteru, choć istniało w świadomości społecznej, legendzie i obyczaju. W miarę pobytu w tej szkole powoli, ale systematycznie wzbogacałem wiedzę o jej przeszłości, z której wynikało, że przed moim przybyciem do Żywca dyrektorem tej szkoły był znany dziś w Żywcu i na Podhalu folklorysta i regionalista oraz twórca w tym zakresie Julian Reimschüssel. Dobrze się stało, że po jego odej-



Folklor żywiecki. Fot. Hieronim Woźniak

ściu do Zakopanego, jego następcą na tym stanowisku Kazimierz Kamiński był kontynuatorem dzieła swojego poprzednika na polu kultywowania w szkole tradycji regionalnych oraz dalszego utrzymywania i rozwijania szkolnego zespołu regionalnego, pomimo tego, że, podobnie jak ja, również pochodził z innego terenu (z tą tylko różnicą, że przybył do Żywca będąc dobrych kilka lat młodszy ode mnie).

Pewnego razu wpadło mi do ręki wspomnienie ucznia tej szkoły, Stanisława Węglarza, jednego z uczestników tego zespołu, który tak dzieli się swoimi wrażeniami z występów w Warszawie w 1955 r. na zaproszenie ówczesnego Ministra Skupu, któremu wówczas szkoła podlegała. „Występ odbył się w dużej sali ministerstwa. Już samo nasze wejście na scenę przed widownię w żywym tempie piosenek żywieckich spotkało się z huraganem braw. Rozpoczęliśmy nasz występ jak zwykle piękną i tęskną piosenką: »Żywieckie gronicki, wy moje kochane / Zawse vos oglądom, ino rano wstane«.

Ta piosenka była zawsze najbliższa naszym sercom, ale teraz tutaj w stolicy tak daleko od naszych gór i lasów, przed ludźmi, którzy może nigdy nie widzieli Żywiecczyzny, płynęła z wyjątkową siłą i emocją. Jej zakończenie: »I jo tyz wos kuchom z całej mojej dusy« – to nie były puste słowa, ale głęboka prawda, którą wyraźnie odczuli i zrozumieli słuchacze. Już od pierwszego punktu programu musieliśmy stale bisować. Nasza główna recytatorka Kazia Ciućka dziwnie czarującym głosem rozpoczęła wprowadzenie do zasadniczego programu prostym, ale niezmiernie miłym wierszykiem, który pamiętam do dziś:

Ni mos to ni mos jak u nos w górach,
Syćko cudownie jak w niebie momy,
Słonecko świyci, gwiazdecka mruga,
A w lesie sumią strasecne tromy.
Ptaski tyz u nos piknie świergocą,
Szumią potoki, hucą pierony,
Cuda obocys w tych nasych górach,
Kiedy zawitos w te nase strony.
A co dopiro na nasej holi.
Jak tam wesoło co wieczór bywa.
Kiedy się watra jasno rozpoli,
A juhas z dudy tony dobywa”¹

W moim rozglądaniu się po nowym regionie i powolnym poznawaniu jego historii, geografii, krajobrazu i przyrody dotarłem do informacji, że tu na tym terenie, w okresie międzywojennym istniały i dobrze funkcjonowały ogniwa Związku Podhalan. W 1937 r. w Wiśle odbyło się Święto Gór – prekursor dzisiejszego Tygodnia Kultury Beskidzkiej – z liczną reprezentacją górali i mieszczan żywieckich. Po jego zakończeniu 700-osobowa grupa górali polskich Karpat udała się na wycieczkę do Warszawy gdzie w sali Opery dała pokaz folkloru polskich górali. Warszawa miała okazję do bezpośredniego zetknięcia się z góralską muzyką, tańcem i śpiewem. Szczególnie podobały się widziane wcześniej na zjeździe górskim w Sanoku drogocenne stroje grupy żywieckiej, o których Jan Wiktor tak napisał: „Dla wielu prawdziwym objawieniem były arcycka strojów żywieckich. Traciło się świadomość, że to ludzie dzisiejsi, a miało się wrażenie, że to najcudowniejsze figuryunki

¹ S. Węglarz, *Nasz Zespół w Warszawie w Ministerstwie Skupu w 1955 r.*, [w:] *Księga Pamiątkowa 1986–1936 – 50 lat Zespołu Szkół Ekonomiczno-Gastronomicznych w Żywcu*, Żywiec 1986, s. 101.



Folklor żywiecki. Fot. Hieronim Woźniak

z sewrskiej porcelany ożyły, aby odtańczyć staroświecki taniec, a potem być przebarwnym tłem dla grupy górali, dla kobziarza, dla ich nut i przyśpiewek”². Przyznam, że te słowa też mnie wzruszyły, w kontekście moich bezpośrednich obserwacji owych „arcycacek”, które tu w Żywcu wychodzą i paradują na placach i ulicach miasta, w szczególności zaś podczas procesji Bożego Ciała i niektórych uroczystości lokalnych i państwowych. Przepiękne, bogate i kosztowne stroje mieszczek i mieszczan żywieckich zdobią tutejsze muzeum, podziwiane są na występach zespołów regionalnych, są barwnym tłem licznych uroczystości kościelnych i świeckich. Opowiadała mi Jadwiga Stankiewicz – emerytowana już nauczycielka, że jako uczennica Żeńskiego Seminarium Nauczycielskiego w latach 30. ubiegłego stulecia

² Jest to cytata z wycinka prasowego z okresu międzywojennego. Nie udało mi się ustalić dokładnych danych bibliograficznych.

zajmowała się zbieraniem eksponatów do przyszłego muzeum żywieckiego. Owe uczennice, uczulone już w szkole przez swoich nauczycieli i wychowawców na walory i wartości kultury górali i mieszczan żywieckich, rozpoczęły akcję zbierania, opisywania i gromadzenia eksponatów, które stały się zaczątkiem przyszłego muzeum. Opowiadała mi, że nie do rzadkości należały przypadki, że w owe stroje mieszczek żywieckich przyodziewano ich ciała po śmierci w trumnach. Ona i jej koleżanki świadome wartości tych strojów, niejednokrotnie przyczyniały się do zaniechania tych praktyk i przekazywania egzemplarzy na potrzeby muzealne i wystawiennicze.

Będąc młodym nauczycielem we wspomnianej już szkole ekonomicznej miałem okazję zetknąć się z Janem Studenckim „Sobkiem”, ówczesnym kierownikiem zlokalizowanego niedaleko naszej szkoły muzeum. W szkole, jako plastyk z wykształcenia, miał kilka godzin lekcyjnych – w zawodówce uczył przedmiotu pod nazwą „reklama”. To był moim zdaniem pasjonat, regionalista z krwi i kości, budowniczy muzeum, zbieracz, badacz wszystkiego tego, co już odchodziło do historii. Potrafił wokół siebie skupiać ludzi o podobnych zainteresowaniach i zaszczepiać w nich miłość do tego wszystkiego, czym on żył i pasjonował się, mimo, że z wykształcenia nie był ani historykiem, ani etnografem. Wydaje mi się, że i we mnie coś z niego zostało, chociaż nasze kontakty miały charakter raczej incydentalny. Studencki już dawno nie żyje, a we mnie od czasu do czasu odżywa pamięć o nim i ciepło, jakim emanował. Wyrazem tego jest zawieszony na ścianie mojego pokoju, z trudem odszukany jego wizerunek. Potem było wieloletnie, okazjonalne ocieranie się i poznawanie folkloru, historii i zwyczajów regionu, w którym przypadło mi żyć.

Dopiero na emeryturze, a trwa to już ponad 20 lat, włączyłem się w ten nurt, można powiedzieć w pełni. Zaczęło się od opisywania regionu i poznawania jego historii. Zaangażowałem się w redakcji, wychodzącego w Żywcu od 1988 r. miesięcznika „Gazeta Żywiecka”, a od 15 lat dwutygodnika lokalnego „Nad Sołą i Koszarawą”, którego jestem redaktorem naczelnym. Praca w takich redakcjach z natury rzeczy ma charakter regionalny, daje okazję bezpośredniego uczestniczenia w różnorodnych wydarzeniach, poznawania ludzi, w tym pasjonatów folkloru i regionu w różnych jego odcieniach. Wszedłem w ten nurt z entuzjazmem, chęcią poznawania ludzi, rzeczy i zdarzeń. Spenetrowałem cały powiat, każdą wieś i niemal każdy przysiółek, a potem to, co widziałem i słyszałem, opisywałem lub lokowałem w mojej pamięci.

Byłem autorem i współtwórcą takich cykli jak *Wieści z gmin* w „Gazecie Żywieckiej”, *Czy wiecie że...*, *Cudzych chwalicie, swoich nie znacie – czyli fotoalfabet Żywczaków*, konkursu dla czytelników pod hasłem *Wybieramy najwybitniejszych Żywczaków i ludzi naszego regionu* w dwutygodniku „Nad Sołą i Koszarawą”. Zainicjowany przeze mnie cykl artykułów pod hasłem *Żywiec – czyżna powinna mieć skansen* zaowocował podchwyceniem tej inicjatywy przez gminę Ślemień. Rezultat jest taki, że w sierpniu 2012 r. obiekt został otwarty.

Rok I Juljusz Zborowski ŻYWIEC, 1-go. sierpnia 1925. Nr. 1.

GAZETA ŻYWIECKA

płatną opłacono ryczałtem.

CENA NUMERU
25 groszy.

DWUTYGODNIK
wychodzi 2 razy w miesiącu z datą 1. i 15.

PRENUMERATA:
Miesięczna z przes. poczt. 50 gr.
Kwartalnie Zł. 1'50.
Półrocznie 3'--.
Zagranicą:
Półrocznie 5'--.
W Ameryce 5'--.

Adres Redakcji i Administracji: Żywiec ul. Krakowska 436, Nr. telefonu 85.
Redakcja otwarta w środy i soboty od 9–11. Rękopisów nie zwraca się.

**PEYNIĘ KOSZARAWA Z SOŁĄ, ŻYWO PŁYNIE
Z NIEMI SŁAWA ŻYWCA NIGDY NIE ZAGINIE.** **Z Bogiem i z Narodem!**

Od Redakcji słów kilka.

„Gazeta Żywiecka” 1925, nr 1

Z „Gazetą Żywiecką” wiąże się powstanie przy jej redakcji zespołu do opracowania *Słownika biograficznego Żywiecczyzny* złożonego po części z członków naszej redakcji, a po części z niezwiązanych z nią miłośników regionu. W ciągu pięciu lat (1995–2000) zredagowaliśmy systemem „każdy tom od A do Z”, 3 tomy słownika z liczbą ponad 800 życiorysów ludzi z Żywiecczyzny, którzy w swoim środowisku zrobili coś wyjątkowego, lub wysuwali się ponad przeciętnych. Tom czwarty pt. *Życiorysy na Żywiecczyźnie pisane*, zawierający około 300 życiorysów, ukazał się drukiem w 2004 r., tym razem przy redakcji „Nad Sołą i Koszarawą”.



Winieta dwutygodnika społeczno-kulturalnego „Nad Sołą i Koszarawą”

Przez ponad 2 lata w latach 2010–2013 na ostatniej stronie dwutygodnika „Nad Sołą i Koszarawą” publikowałem po 15 wizerunków ludzi z miasta i powiatu po to by z jednej strony zwrócić opinii społecznej uwagę na to, że w jakiś sposób wyróżnili się w budowaniu wizerunku naszej „małej ojczyzny”, oraz po to by ich tej społeczności przypominać lub utrwałać w pamięci zbiorowej, bo zasłużyli sobie na to. Ponieważ cykl prowadzony był alfabetycznie i został, że tak powiem zamknięty, rodzi się myśl by całość wydać w formie książkowej.

Wspierałem na miarę moich możliwości entuzjastów regionu, miłośników jego tradycji i historii, często zagubionych, szukających porady i wsparcia. Wymienię dwa przykłady. Wydałem własnym sumptem dwie książeczki. Jedna z nich to moim zdaniem unikalne wspomnienia Jana Śleziaka, prostego chłopa z Kamesznicy, który niesamowicie dokładnie, dzień po dniu, opisał losy swoje i swojej rodziny wysiedlonej przez okupanta niemieckiego w czasie II wojny światowej. Druga to reprint, unikalnej, wydanej w 1851 r. książeczki autorstwa Ludwika hrabiego Delaweaux pt. *Górale Beskidowi* opisującej zwyczaję górali z Rycerki, której autor był właścicielem w połowie XIX wieku. Było to unikalne dzieło dostępne tylko w wielkich bibliotekach. Również reprint rozszedł się błyskawicznie i nadal jest poszukiwany.

Wspierałem Jaśka Talika z Ciśca Małego, który mnie zafascynował jako grajek i śpiewak weselny, a także tym, że sam własnymi rękami za własne pieniądze wybudował obok swojego domu w Ciścu małe muzeum etnograficzne, wyposażył je, urządził, stał się jego kustoszem i przewodnikiem dla zwiedzających. Wspierałem go na duchu, pomagałem w promowa-

niu i reklamie przedsięwzięcia. Nieżyjący już Jan Talik był moim zdaniem regionalistą i folklorystą z krwi i kości bez żadnego wykształcenia w tym kierunku, zakochany w swojej rodzinnej ziemi, wsi i rodzinie. Jest autorem wspomnień, które udostępnił mi w zaufaniu do przeczytania. Mam obawy by dzieło to nie zostało lekkomyślnie zaprzepaszczone, bo zmarł 2 lata temu.

Wracając do *Fotoalfabetu Żywczaków* z zamieszczaną sentencją „Cudzych chwalicie, swoich nie znacie”, powiedzieć chciałem, że intencją moją była pomoc szkołom, przedszkolom, klubom sportowym, gminom i różnym innym instytucjom w nadawaniu i wyszukiwaniu imion patronów tych instytucji, nazw ulic, placów itp. Nagminnym bowiem zjawiskiem jest, że co druga prawie szkoła nosi imię Jana Pawła II albo księdza Twardowskiego, a o swoich się zapomina, lub nie wie, że tacy istnieją lub istnieli.

Przez ostatnie kilkanaście lat związany jestem z Towarzystwem Miłośników Ziemi Żywieckiej. Moja w nim obecność jest dowodem na to, że prawdopodobnie dojrzałem jako regionalista, powoli przestaję być „przystacem” i tu zacząłem się realizować. Wszedłem do zarządu. Wspomnę tu o jednej tylko mojej inicjatywie – corocznych konferencjach regionalistów żywieckich. Pierwszą zorganizowałem w 2006 roku z udziałem członków naszego Towarzystwa, ale również regionalistów nigdzie niezrzeszonych, gawędziarzy, śpiewaków, instrumentalistów itp. Następne organizuję w poszczególnych gminach powiatu w oparciu o GOK-i, które o dziwo pomoc w ich organizacji chętnie deklarują i stają się jej współorganizatorami i gospodarzami. Poza tematem wiodącym uczestnicy konferencji mają okazję poznać kulturalny i społeczno gospodarczy dorobek gminy, zwiedzić ciekawe i godne popularyzacji miejsca i obiekty. Wspomnieć warto, że naturalnym sojusznikiem GOK-ów są lokalne koła gospodyń, które na naszym terenie charakteryzują się dużą aktywnością i pochwalić się mogą sporym dorobkiem. Uważam, że każde KGW jest ważnym i mało może docenianym ogniwem polskiego ruchu regionalnego. W celu uhonorowania najwybitniejszych i najbardziej zasłużonych regionalistów od trzech lat na konferencjach tych nadajemy jednemu z nich tytuł „Regionalisty Roku”. Pierwszym był dyrektor GOK-u w Milówce Andrzej Maciejowski, drugim kierowniczka Zespołu Regionalnego „Romanka” z 40-letnim stażem w Sopotni Małej, a ostatnio Teresa Kurzyk, etnograf, współorganizator Parku Etnograficznego Ziemi Żywieckiej w Ślemieniu.

Postęp cywilizacyjny, szczególnie zaś rozwój środków technicznych umożliwiających komunikowanie się ludzi w skali kraju, kontynentu i świata przyczynia się do niwelowania różnic cywilizacyjnych i kulturowych. Znikają odrębności terytorialne, językowe, obyczajowe, architektoniczne, różnice w sposobie żywienia i ubierania się. Wszędzie są dzinsy, laptopy, telefony komórkowe, radia i telewizory, które podnoszą cywilizację, ale niwelują i likwidują istniejące odrębności kulturowe. Zanika gwara, bo przez kilkanaście lat dziecko przebywa w szkolnym otoczeniu posługującym się językiem literackim, często wstydzi się gwary, która w szczątkowej formie istnieje jeszcze w jego domu. W żywieckim na jarmarkach, odpustach, procesjach nie ma już górali paradujących w strojach swoich dziadów i pradziadów. Nie oznacza to, że stronią od nich, bo tam gdzie paradny ludowy strój występuje jest większe niż zwykle zaciekawienie, a to zachęca. Strój, gwara, śpiew, muzyka i taniec weszły na scenę. Upowszechnienie wykształcenia powoduje wzrost zainteresowania przeszłością. Dużo jest u nas tancerzy, śpiewaków, gawędziarzy instrumentalistów ludowych, u boku których edukuje się regionalnie młode pokolenie. W Milówce Fundacja Braci Golców prowadzi szkołę gry na instrumentach ludowych, a przy GOK-ch organizowane są kursy, konkursy i warsztaty, na których „starzy wyjadacze” uczą regionalizmu i folkloru młodzież. Pod tym względem idziemy moim zdaniem dobrą drogą.

Hieronim Woźniak – lata dzieciństwa i młodości spędził w rodzinnej wsi Kozińcu w powiecie wadowickim. Tam ukończył okupacyjną podstawówkę, potem liceum wadowickie a następnie w latach 60. XX w. historię w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Krakowie pisząc pracę magisterską: *Kwestia chłopska na forum Sejmu Galicyjskiego w dobie autonomii w latach 1861–1873* pod kierunkiem prof. Józefa Buszki. Od przeszło 50 lat mieszka w Żywcu, gdzie został skierowany do pracy w Technikum Ekonomicznym. W czasie 40-letniej pracy zawodowej był nauczycielem przysposobienia wojskowego, potem obronnego i historii, wizytatorem w Kuratorium Oświaty i Wychowania w Bielsku Białej i dyrektorem szkoły, skąd odszedł na emeryturę. Zasiadał w redakcji „Gazety Żywieckiej”, współzałożyciel i redaktor naczelny dwutygodnika „Nad Sołą i Koszarawą”. Autor książek: *Na harcerskim szlaku – Zarys dziejów harcerstwa na Żywiecczyźnie* (1998), *Radziechowy – monografia wsi* (2002). Współautorem i współredaktorem wydawnictw zbiorowych: *Słownik biograficzny Żywiecczyzny*, tom I (1995), tom II (1997), tom III (2000); *Życiorysy na Żywiecczyźnie pisane* (2004). Przygotował do druku publikację typu kronikarskiego pt. *Żywiecczyzna w XX wieku*.



JOLANTA ZAŁĘCZNY
Muzeum Niepodległości
w Warszawie

OD NAUCZYCIELA DO BADACZA HISTORII REGIONU. ZAPISKI REGIONALISTY

Kim jest regionalista? Według *Słownika Języka Polskiego* to znawca i miłośnik regionu, zwolennik regionalizmu¹. Ale to przede wszystkim badacz historii regionu, działacz na rzecz swojej „małej ojczyzny”, animator takich działań. W tak rozumiane pojęcie można wpisać zaangażowanie wielu osób, które w różny sposób realizują w swojej działalności hasła regionalizmu. Jakkolwiek jednak chciałoby się prezentować swoje oddanie na rzecz regionu, warto znaleźć godne naśladowania wzorce i autorytety. W przypadku badań regionalnych na Mazowszu niewątpliwie takim niedoścignionym wzorem jest prof. dr hab. Janusz Szczepański, autor licznych opracowań od monografii do dużych syntez. Ale nie brakuje też lokalnych autorytetów, które swoimi działaniami wytyczają kierunek badań, wskazują drogę innym. Dla Legionowa niekwestionowanym autorytetem jest dyr. Muzeum Historycznego dr hab. Jacek Szczepański (zbieżność nazwisk całkowicie przypadkowa).

Moja „droga do regionalizmu” zaczęła się od łączenia prywatnych zainteresowań² z pracą nauczyciela na różnych szczeblach edukacji. Wszak na

¹ *Słownik Współczesnego Języka Polskiego*, pod red. B. Dunaja, Warszawa 1996, s. 937.

² Z okresu wcześniejszego pochodzą artykuły mojego autorstwa o tematyce regionalnej zamieszczone na łamach „Notatek Płockich”: *Stan sanitarny powiatu płockiego w latach 30-tych XX wieku*, „Notatki Płockie” 1983, nr 3; *Kilka uwag na temat gminy żydowskiej w dwudziestoleciu międzywojennym*, „Notatki Płockie” 1984, nr 1–2; *Początki Płockiego Towarzystwa Muzycznego*, „Notatki Płockie” 1983, nr 2; *Ludność Płocka w latach 1918–1939 na tle społeczeństwa Polski*, „Notatki Płockie” 1986, nr 3; *Władze miejskie Płocka (1806–1867)*, „Notatki Płockie” 1992, nr 3.

nauczyciela spada obowiązek nauczania o „małej ojczyźnie”³ i to niezależnie od poziomu nauczania. Przecież kiedyś już w szkole podstawowej dzieci poznawały wiersz Tadeusza Różewicza *Oblicze ojczyzny*, w którym poeta tak definiował pojęcie ojczyzny poczynając od tej najbliższej:

Ojczyzna to kraj dzieciństwa

Miejsce urodzenia
To jest ta mała najbliższa
Ojczyzna

Miasto miasteczko wieś
Ulica dom podwórko

Pierwsza miłość
Las na horyzoncie
Groby [...]

Na początku ojczyzna
Jest blisko
Na wyciągnięcie ręki

Dopiero później rośnie
Krwawi
Boli⁴

W wyniku poprzedniej reformy oświaty treści regionalne zostały wprowadzone do nauczania na poziomie gimnazjum, gdzie obowiązywała ścieżka edukacyjna: *edukacja regionalna – dziedzictwo kulturowe w regionie*, potem trafiły też do liceum⁵. Swoje pomysły z realizacji ścieżki w gimnazjum przeniosłam więc na poziom licealny. Ukoronowaniem tych działań było stworzenie autorskiego programu klasy humanistycznej z elementami edukacji regionalnej w Liceum Ogólnokształcącym im. Marii Konopnickiej w Legionowie. W swoich poczynaniach kierowałam się przeświadczeniem,

³ Problematyka edukacji regionalnej sięga okresu międzywojennego, gdy w roku 1926 zostało sformułowane przez Radę Naukową Sekcji Powszechnych Uniwersytetów Regionalnych Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych oficjalne credo regionalizmu polskiego.

⁴ T. Różewicz, *Wiersze i poematy*, Warszawa 1967, s. 65.

⁵ G. Odoj, A. Peć, *Edukacja regionalna. Dziedzictwo kulturowe w regionie. Program nauczania w zakresie podstawowym*, Kielce 2002; Podstawa programowa kształcenia ogólnego w poszczególnych typach szkół. Załącznik do rozporządzenia MENiS z 6 listopada 2003 (Dz. U. zał. do nr 210, poz. 2041 z dn. 11 grudnia 2003, s. 24–26 – ścieżka edukacyjna II etap kształcenia kl. IV–VI, s. 50–52 gimnazjum, s. 87–88 liceum i technikum).

że nadrzędnym celem edukacji regionalnej powinno być kształtowanie poczucia odrębności kulturowej i własnej tożsamości ucznia jako podstawy zaangażowania się w funkcjonowanie we własnym środowisku, a również autentycznego otwarcia na inne społeczności i kultury.

Poza wprowadzeniem do nauczania historii i języka polskiego treści regionalnych w moim programie znalazło się szereg projektów edukacyjnych realizowanych w trakcie zajęć pozalekcyjnych. Jednym z nich były „Ślady przeszłości” – projekt organizowany przez Centrum Edukacji Obywatelskiej w Warszawie. W jego ramach uczniowie poznawali wybrane zagadnienia z przeszłości Legionowa i okolic, sami prowadzili poszukiwania i przygotowywali różne formy prezentacji tematów („Bajka na rogu Siemiradzkiego, czyli historia legionowskiego kina”, „Podkowa z Legionowa”, „Stajnie hrabiego Potockiego”, „Szlakiem legionowskich kapliczek”, „Sylwetka Wandy Tomczyńskiej”)⁶. Dla właściwej realizacji tego przedsięwzięcia konieczna była współpraca z wieloma instytucjami, a takich, na których pomoc można liczyć, na szczęście nie brakuje. Choćby Muzeum Historycznym Miasta Legionowo (udział w lekcjach muzealnych, korzystanie przez uczniów ze zbiorów w ramach samodzielnych poszukiwań) czy Dom Zjazdów i Konferencji PAN Pałac w Jabłonie⁷.

W ramach zajęć pozalekcyjnych – zwanych Klubem Tropicielei Tajemnic Historycznych – uczniowie poznawali także architekturę miasta, fotografowali zabytki, a potem starali się zgromadzić informacje na temat poszczególnych obiektów. Był to jeszcze jeden dowód na to, że regionalistą można być w każdym miejscu – niezależnie od tego, czy ma ono średniowieczne czy o wiele płytsze korzenie. I dlatego pozwolę sobie przytoczyć słowa, które w trakcie jednego ze spotkań z młodzieżą powiedziała Bronisława Romanowska-Mazur, poetka, członek Szarych Szeregów, prezes legionowskiego koła Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej: „Dom i Ojczyzna nie może stać się metafizyką, musi być naszą własnością, musimy to czuć”.

⁶ E. T., *Pomniki, kapliczki...*, „To i Owo” z 15 marca 2006; K. Witeska, *Podkowa z silnikiem i zapomniane mogiły*, „Gazeta Miejskowa” z 22 lutego 2006; *Motocykl, Kopernik i sybiracy*, „To i Owo” z 28 czerwca 2006; *Kim był Potocki?*, „To i Owo” z 15 marca 2007; *Stajnia hrabiego Potockiego*, „Powiatowa” z 18 czerwca 2007; P. Brodowska, *Biały kombinezon hrabiego Morysia*, „To i Owo” z 14 czerwca 2007; R. Michałowski, *Tropili przeszłość*, „Gazeta Miejskowa” z 20 czerwca 2007.

⁷ Szerzej na temat współpracy: J. Załączny, *Samotnie czy w gronie sojuszników? O nauczycielskich doświadczeniach w realizacji edukacji regionalnej*, „Gazeta Szkolna” 2004, nr 31–32, s. 18–19.

A nie ma lepszego kształtowania uczuć niż bezpośredni kontakt, niemal dotykane przeszłości, oddawanie siebie, by ocalić to, co wartościowe, sprawić, aby nie odeszło w zapomnienie⁸.

I tu nasuwa się osobista refleksja. Uczniowie obserwując otoczenie, nauczyli się patrzeć wnikliwiej, zauważać więcej... I często z żalem stwierdzali, że oto odszedł z legionowskiego krajobrazu kolejny zabytek, który niedawno opisywali... A to przecież forma uwrażliwiania młodych ludzi na sprawy regionu. Może właśnie tak nauczyli się troski o swoje miasto i jako dorośli ludzie będą zabiegać o zachowanie owych śladów przeszłości? Może dzięki temu okażą się w dorosłym życiu dobrymi kandydatami na samorządowców, działaczami społecznymi otwartymi na potrzeby regionu?

Ważnym elementem edukacji regionalnej jest wielokulturowość. I wbrew pozorom nie dotyczy to wyłącznie obszarów pogranicza kultur. Zagadnienie to jest obecne niemal w każdej miejscowości na terenie Polski. Tak też jest w przypadku Legionowa. O ile większość gimnazjalistów i licealistów znała najważniejsze wydarzenia z historii Legionowa i okolic, odwiedziła miejscowe muzeum, sięgnęła do opracowań regionalnych, to jednak świadomość złożoności historii narodowości zamieszkujących w przeszłości „małą ojczyznę” była często niewielka. A przecież grupy mniejszości narodowych odcisnęły piętno na historii miasta. Stąd projekt edukacyjny „Mieszkali między nami”⁹, na który złożyły się dwa przedsięwzięcia „Wielokulturowa przeszłość Legionowa” realizowany w ramach „Śladów przeszłości” oraz „Żydowska społeczność Legionowa w okresie II RP i podczas okupacji hitlerowskiej”.

I tak oto nauczanie innych przełożyło się na coraz aktywniejsze poznawanie „małej ojczyzny”, na angażowanie się w zgłębianie jej historii, w zachęcanie do pracy na rzecz regionu. Bo przecież trzeba dawać przykład młodzieży, inspirować ją do nowych działań, własnym zaangażowaniem zachęcać do podejmowania coraz to nowych wyzwań. A takich nie brakowało.

Szeroko rozwinęła się współpraca ze środowiskiem byłych żołnierzy Armii Krajowej i członkami Szarych Szeregów. To dla nich uczniowie przygotowali w 2005 roku okolicznościowy program historyczno-artystyczny,

⁸ Członkowie Klubu Tropicieli Tajemnic historycznych to dziś już dorośli ludzie. Po ich młodzieńczym zaangażowaniu pozostała opasła kronika (w posiadaniu autorki opracowania, czyli pomysłodawczyni i opiekunki Klubu) oraz wiele wycinków prasowych zawierających wysoką ocenę podejmowanych inicjatyw.

⁹ R. Michałowski, *Nie ma już tego miasteczka*, „Gazeta Miejskowa” z 25 kwietnia 2007.

uczestniczyli w spotkaniach z weteranami, przeprowadzali z nimi wywiady. W ten sposób stali się swoistym ogniwem w sztafecie pokoleń, ale też aktywnymi poszukiwaczami wiedzy o ludziach związanych w ich miejscowością. Zainspirowani do aktywnego działania, brali udział w wykopaliskach na terenie Legionowa, zorganizowanych przez miejscowe muzeum, podczas których odnaleziony został fragment przedwojennego pomnika Marszałka Piłsudskiego. W ten sposób uczniowie wnieśli swój wkład w regionalne przedsięwzięcia, stali się autentycznymi badaczami przeszłości¹⁰.

Dobrymi pomysłami warto dzielić się z innymi. Okazją były nie tylko spotkania podsumowujące kolejne edycje projektu „Ślady przeszłości” odbywające się na poziomie regionalnym w Jabłonie (gdzie byłam koordynatorem), zaś na poziomie ogólnopolskim w Warszawie. W celu wymiany doświadczeń w zakresie edukacji regionalnej powstał w Legionowie – z mojej inicjatywy – Nauczycielski Klub Miłośników Historii Lokalnej „Belferia”¹¹, którego głównym zadaniem była popularyzacja wiedzy o regionie wśród nauczycieli i wspieranie ich w różnorodnych działaniach o charakterze regionalnym. Wśród wielu inicjatyw klubu były konkursy dla uczniów współorganizowane z legionowskim Muzeum¹², szkolenia dla nauczycieli, konferencje. Opracowany został program edukacji regionalnej na poziomie nauczania początkowego¹³, powstał ciekawy projekt edukacji regionalnej w przedszkolu¹⁴. Działania podejmowane przez „Belferię” zyskiwały coraz większe znaczenie, klub został zauważony przez władze miasta, stał się partnerem Towarzystwa Przyjaciół Legionowa i muzeum w popularyzowaniu wiedzy o regionie. Działalność legionowskich nauczycieli-regionalistów

¹⁰ W. Siwczyński, *Historyczne wykopki*, „Gazeta Miejsowa” z 28 września 2004.

¹¹ T. Elbanowski, *Bez świadomości korzeni nie istniejemy*, „To i Owo” z 1 czerwca 2006; T. Elbanowski, *Klub historii lokalnej*, „To i Owo” z 15 czerwca 2006; J. Z. i M. M., *Belferia pomoże w wychowaniu*, „Fakt. Dodatek Edukacja” z 1 lipca 2006, s. 4; *Z historii od przedszkola. Spotkanie klubu nauczycieli regionalistów*, „To i Owo” z 12 października 2006; hac, *Belferskie pomysły*, „To i Owo” z 19 kwietnia 2007; H. Czarnecka, *Na szczęście wiele jest do odkrycia*, „To i Owo” z 17 maja 2007; H. Czarnecka, *Szkoły bardziej regionalne. Inauguracja pracy „Belferii” w roku szkolnym 2007/2008*, „To i Owo” z 18 października 2007; HaC, *U sąsiadów zza Wisły. Legionowo – Czarnów. Nauczycielska wymiana doświadczeń*, „To i Owo” z 1 listopada 2007.

¹² J. Załączny, *Badacze przed maturą*, „To i Owo” z 13 marca 2008.

¹³ D. Hepner, *Edukacja regionalna w nauczaniu zintegrowanym*, „Rocznik Legionowski”, R. IV (2011), s. 413–422.

¹⁴ Projekt zatytułowany „Spacerkiem po Legionowie” opracowany i realizowany w Przedszkolu Miejskim Nr 9 w Legionowie przez Zofię Błaszczak. Omówiony szerzej: Z. Błaszczak, *Edukacja regionalna i patriotyczna już w przedszkolu. Międzyprzedszkolne spotkania „Spacerkiem po Legionowie”*, „Rocznik Legionowski”, R. IV (2011), s. 404–412.

została szeroko omówiona na łamach „Rocznika Legionowskiego” wydawanego przez Towarzystwo Przyjaciół Legionowa¹⁵.

Inną formą upowszechniania wiedzy o regionie stały się konferencje o tematyce regionalnej. Jedną z nich zatytułowana „Edukacja regionalna w teorii i praktyce” odbyła się w Legionowie w listopadzie 2005 roku, zaprezentowałam wówczas realizację projektu „Ślady przeszłości”¹⁶. W maju 2007 roku, w 55. rocznicę nadania Legionowu praw miejskich odbyła się sesja naukowa, na której podzieliłam się z uczestnikami refleksjami na temat wykorzystania treści regionalnych w nauczaniu historii na poziomie licealnym¹⁷. W grudniu 2007 roku zorganizowana została przez Prezydenta Miasta Legionowo i klub „Belferia” konferencja zatytułowana „Działania szkoły w realizacji edukacji regionalnej, patriotycznej i obywatelskiej”, w programie znalazł się też mój referat *Treści regionalne w procesie kształcenia ucznia legionowskiego liceum*. Podejmowane działania edukacyjne zostały zaprezentowane na konferencji naukowej zorganizowanej przez Muzeum Niepodległości i Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego „Polski obyczaj patriotyczny od XVIII do przełomu XX/XXI wieku – ciągłość i zmiana” (Warszawa, 8–9 listopada 2007)¹⁸. W roku 2008 uczestniczyłam w konferencji zatytułowanej „Drogi Polaków do niepodległości”, której towarzyszył konkurs z okazji 90. rocznicy odzyskania niepodległości współorganizowany przez „Belferię”, Muzeum Historyczne w Legionowie oraz Legionowski Uniwersytet Trzeciego Wieku.

W życiu regionalisty niezwykle ważna jest działalność społeczna na rzecz miejscowości czy regionu. Wspominałam już o współpracy z TPL, wkrótce zamieniła się ona w aktywną działalność w Zarządzie Towarzystwa, najpierw jako sekretarza (2006–2009), potem prezesa TPL

¹⁵ J. Załęczny, *O nauczycielskich doświadczeniach w realizacji edukacji regionalnej*, „Rocznik Legionowski”, R. II (2006), s. 265–282; Tejże, *Co nowego w legionowskiej edukacji regionalnej*, „Rocznik Legionowski” R. III (2008), s. 451–458.

¹⁶ *Przede wszystkim mała ojczyzna*, „Gazeta Miejskowa” z 24 listopada 2005; E. T., *W poszukiwaniu śladów przeszłości*, „To i Owo” z 24 listopada 2005; D. Wilgos, *Tropiciele zabytków regionalnych...*, „Powiatowa” z 22 listopada 2005.

¹⁷ R. Michałowski, *Pięćdziesiąt pięć lat temu*, „Gazeta Miejskowa” z 16 maja 2007.

¹⁸ J. Załęczny, *Kształtowanie postaw patriotycznych poprzez realizację treści regionalnych w procesie kształcenia ucznia liceum ogólnokształcącego (na przykładzie programu klasy humanistycznej z elementami edukacji regionalnej w Liceum Ogólnokształcącym w Legionowie)*, [w:] *Polski obyczaj patriotyczny od XVIII do przełomu XX/XXI wieku – ciągłość i zmiana*, pod red. A. Stawarza i W. J. Wysockiego, Warszawa 2007, s. 241–248.

(2009–2011)¹⁹. Działalność w stowarzyszeniach regionalnych ma pewne cechy szczególne. Z jednej strony daje dużo satysfakcji i – nie ukrywajmy – popularność, czy lepszą rozpoznawalność w środowisku. Z drugiej jest absorbująca, wymaga czasu i zaangażowania. Ale co najważniejsze, daje wymierne rezultaty tylko wtedy, gdy oparta jest na współdziałaniu, na budowaniu więzów międzyludzkich, na tworzeniu grupy naprawdę poczuwającej się do służby „małej ojczyźnie”. I tu osobista refleksja. W przypadku Legionowa, choć myślę, że podobnie jest w wielu innych miejscowościach, grono to jest nieliczne i złożone w dużej mierze z osób starszych, najczęściej emerytów. Tych młodych wiekiem można policzyć na palcach jednej ręki. Wiele działań Towarzystwa Przyjaciół Legionowa nigdy nie zostało by zrealizowanych, gdyby nie inwencja i ogromne zaangażowanie regionalistów-zapaleńców. W tym miejscu należy wymienić Cezariusza Kalinowskiego, dwukrotnego prezesa TPL oraz dzielnie wspierającą go żonę Barbarę. Ta para potwierdza też zasadę, że zawsze społecznik musi mieć wsparcie i zrozumienie ze strony rodziny.

W pracy TPL istotne miejsce zajęło upamiętniania osób ważnych dla regionu. Przykładem może być podjęcie działań – właśnie z inicjatywy państwa Kalinowskich – mających na celu przypomnienie lokalnej społeczności felczera Daniela Segąła, finałem było odnowienie za pieniądze pozyskane w wyniku społecznej zbiórki jego nagrobka na legionowskim cmentarzu²⁰. Kolejne przedsięwzięcie wiązało się z obchodami 80. rocznicy Pierwszej Polskiej Wyprawy Polarnej, która wyruszyła z Legionowa pod kierunkiem Czesława Centkiewicza, znanego pisarza i polarnika. W Legionowie ogłoszono rok 2012 „Rokiem Aliny i Czesława Centkiewiczów”, nadano im tytuł Honorowych Obywateli Legionowa, staraniem TPL wydano reedycję książki *Wyspa mgieł i wichrów* traktującej właśnie o pierwszej polskiej wyprawie polarnej.

Popularyzacji tej postaci i wyprawy służyły zamieszczane na łamach prasy lokalnej zagadki²¹, artykuły publikowane w różnych czasopismach²²,

¹⁹ Więcej szczegółów na temat działań TPL na stronie: <http://www.przyjaciele-legionowa.org.pl>.

²⁰ J. Załączny, *Wkład TPL w upamiętnianie osób zasłużonych dla miasta i regionu*, „Rocznik Legionowski” R. IV (2011), s. 398–403.

²¹ Cykl zagadek dotyczących Czesława Centkiewicza i I Polskiej Wyprawy Polarnej na łamach „To i Owo” do marca do maja 2012

²² J. Załączny, *Czy wiesz, że... 80 lat temu*, „Kronika Mazowiecka” 2012, nr 6, s. 12 (materiał o I Polskiej Wyprawie Polarnej); też: *Z Legionowa na Wyspę Niedźwiedzią*, „Rocznik Mazo-

konferencja naukowa z udziałem znanych polarników zorganizowana dzięki wsparciu władz miasta. W programie stowarzyszenia regionalnego dużo uwagi poświęca się obchodom rocznic historycznych, z takich okazji organizowane były okolicznościowe spotkania przybliżające mieszkańcom Legionowa przeszłość miasta i regionu²³.

Ważnym elementem w mojej działalności jako prezesa TPL była wymiana doświadczeń na forum regionalistów, tu przykładem może być zaprezentowanie dorobku Towarzystwa na konferencji zorganizowanej na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie w roku 2009.

Szeroko rozumiana praca dla „małej ojczyzny” przybrała formę obszernych publikacji²⁴ oraz kolejnych artykułów. Regionalista to przecież także badacz historii regionu. I tu droga prowadzi przez żmudne, choć jakże ciekawe poszukiwania w bibliotekach i archiwach, mozolne składanie odnajdywanych w źródłach okruszków wiedzy do opracowania konkretnych tematów w postaci artykułów naukowych i referatów na konferencje czy sympozja. Wcześniejsze projekty realizowane wspólnie z uczniami zaowocowały moimi artykułami w regionalnym periodyku²⁵.

Regionalizm zyskał szersze ramy, wyjście poza Legionowo zaowocowało badaniami nad dziejami tej części Mazowsza, jaką był przedwojenny powiat warszawski. Tak więc z nauczyciela o regionalnych pasjach narodził się badacz historii regionu, a regionalne zainteresowania zaowocowały doktorem i podjęciem szeroko zakrojonych badań, których efektem jest kilkanaście artykułów²⁶.

wiecki”, t. XXIV, 2012, s. 221–224; tejsze, *Nasz powód do dumy*, „Uważam Rze Historia” Nr 6/15, czerwiec 2013, s. 55–57.

²³ J. Załęczny, *Wtedy też był listopad. Rocznica listopada 1918. Synowie Peowiaków w Legionowie*, „To i Owo” z 23 listopada 2006.

²⁴ J. Załęczny, *Monografia Towarzystwa Przyjaciół Legionowa 1979–2009*, Legionowo 2009; tejsze, *20 lat samorządu legionowskiego 1990–2010*, Legionowo 2010.

²⁵ *Krótką historią legionowskiego kina*, „Rocznik Legionowski” R. IV (2011), s. 243–248; *Sylwetka Wandy Tomczyńskiej (1910–1998)*, „Rocznik Legionowski” R. III (2008), s. 431–436; *Maurycy Potocki – życie i pasje*, „Rocznik Legionowski” R. V (2012), s. 41–62.

²⁶ *Stan przemysłu powiatu warszawskiego w latach 1918–1939*, „Kronika Warszawy” 2007, nr 2, s. 17–31; *Strajk chłopski 1932 roku w powiecie warszawskim*, „Roczniki Historii Ruchu Ludowego” 2008, s. 105–111; *Powiat warszawski – jego obszar i granice w okresie międzywojennym*, „Rocznik Legionowski” t. III (2008), s. 96–107; *Przemysł powiatu warszawskiego w II Rzeczypospolitej*, „Pułusk. Studia i materiały z dziejów miasta i regionu”, t. VIII (2009), s. 145–161; *Ochrona zdrowia w powiecie warszawskim w latach 1918–1939*, „Rocznik Żyrardowski”, tom IX (2011), s. 377–408; *Zniszczenia spowodowane I wojną światową na przykładzie powiatu warszawskiego*, „Niepodległość i Pamięć” 2011, nr 35–36, s. 59–75; *Stan rolnictwa*

Pracę w szkole zamieniałam na działalność muzealniczą, co bynajmniej nie wyklucza dalszego szerokiego zainteresowania tematyką regionalną, bo – jak podkreślano w Karcie Regionalizmu Polskiego – „treści regionalne powinny stanowić istotną część programów działalności instytucji i organizacji życia kulturalnego, w szczególności muzeów, bibliotek i domów kultury”. Zagadnienie to jest omawiane na konferencjach organizowanych przez placówki muzealne, np. w roku 2006 odbyła się Płocku sesja naukowa na temat miejsca regionalizmu w działalności muzeów²⁷. Zwrócono tam m.in. uwagę na rolę inicjatyw regionalnych w kształtowaniu postaw obywatelskich.

W przypadku Muzeum Niepodległości w Warszawie, w którym pracuję, treści regionalne są szeroko wykorzystywane w działalności edukacyjnej²⁸. Muzealnik bowiem jest sprzymierzeńcem nauczyciela, służy mu wsparciem w realizacji różnorodnych działań²⁹. Przykładem przedsięwzięć regionalnych realizowanych przez Muzeum Niepodległości może być Letnia Szkoła Regionalizmu czy konkurs „Mazowsze moja mała ojczyzna”, a także prelekcje o tematyce regionalnej dla uczniów, nauczycieli czy słuchaczy uniwersytetów trzeciego wieku.

Efekty moich poszukiwań naukowych w zakresie regionalistyki pojawiają się na łamach czasopism humanistycznego „Niepodległość i Pamięć”³⁰. Często uczestniczę też w konferencjach naukowych, stąd teksty wystąpień stanowią element osobnych publikacji pokonferencyjnych³¹.

w powiecie warszawskim w okresie międzywojennym, „Rocznik Historyczny MHPRL”, nr 28, 2012, s. 111–130.

²⁷ *Regionalizm. Idea – tradycje – perspektywy rozwoju w muzealnictwie. Materiały sesji naukowej zorganizowanej przez Muzeum Mazowieckie w Płocku z okazji jubileuszu 185-lecia muzeum płockiego 19 i 20 września 2006 roku*, pod red. Z. Chlewińskiego, Płock 2007.

²⁸ J. Załączny, *Oferta edukacyjna Muzeum Niepodległości*, „Niepodległość i Pamięć” 2011, nr 33, s. 225–233.

²⁹ E. Grodecka, *Na Mazowszu o regionalizmie. Muzealnicy – sprzymierzeńcy nauczycieli*, [w:] *Edukacja regionalna – dziedzictwo kulturowe Mazowsza: materiały Letniej Szkoły Regionalizmu (Pułtusk 2005–2007)*, pod red. U. Biskup, H. Friedel, A. Stawarza, Warszawa 2009, s. 83–86.

³⁰ *Wydarzenia wojny polsko-bolszewickiej w roku 1920 na terenie ówczesnego powiatu warszawskiego*, „Niepodległość i Pamięć” 2010, nr 32, s. 23–38.

³¹ *Udział ludowców w życiu politycznym i społecznym powiatu warszawskiego w latach 1918–1939*, [w:] *Wieś i ruch ludowy w Polsce i Europie. Materiały z IV Kongresu Historyków Wsi i Ruchu Ludowego. T. I W kręgu historii i tradycji*, pod red. J. Gmitruka i A. Indraszczyka, Warszawa 2012, s. 221–234; *Budowanie legendy Józefa Piłsudskiego w społeczeństwie powiatu warszawskiego w okresie międzywojennym*, „Rocznik Mazowiecki” t. XXIV, 2012, s. 66–78; *Regionalne tradycje spółdzielczości w II RP (na przykładzie powiatu warszawskiego) wskazówki dla współczesności*, [w:] *Spółdzielczość w budowie społeczeństwa obywatelskiego – historia*

Kim jest więc regionalista? Jaka rola przypada mu we współczesnym świecie?³² Odpowiedź na to pytanie wydaje się z pozoru prosta. To działacz lokalny, badacz historii regionu upowszechniający wiedzę poprzez artykuły naukowe, referaty, prelekcje itp., popularyzator wiedzy o regionie. Ale wydaje mi się, że najważniejszym zadaniem regionalisty jest kształtowanie własnym przykładem odpowiednich postaw i zachowań. Uczenie miłości do całego narodu i ojczyzny poprzez budowanie więzi emocjonalnej z „małą ojczyzną”, rozwijanie poczucie dbałości o zabytki regionalne, kulturę ludową i przyrodę, kształtowanie postawy zaangażowania w sprawy regionu, wskazywanie różnych sposobów uczestnictwa w życiu społeczności lokalnej.

W tak rozumianym regionalizmie ogromne zadanie stoi przed nauczycielami, którzy angażując się w ruch regionalny mają wiele możliwości przekazywania dobrych wzorców swoim uczniom. Warto przecież pamiętać, że to właśnie z dziecięcego przywiązania do rodzinnej miejscowości i okolicy rodzi się potem dorosła miłość do kraju, historii, tradycji...

Ogromnym wsparciem w popularyzowaniu wiedzy o regionie może służyć prasa lokalna, oczywiście o ile ta misja stanie ponad zaangażowaniem się w spory polityczne w wymiarze lokalnym. Bo czasem warto zdać sobie sprawę, komu i czemu tak naprawdę winny służyć lokalne media. Odpowiedź na to pytanie przynosi książeczka żołnierza polskiego z roku 1919, w której znalazł się taki zapis: „Ojczyźnie jednej tylko służysz, i to zawsze na pamięci mieć musisz. Nie partiom, nie stronnictwom, nie ludziom możnym ani ubogim, ale jednej, jedynej Ojczyźnie”. I to motto patriotycznego wychowania w II RP można śmiało przenieść na współczesny grunt lokalny i parafrazując zapis powtórzyć: „Małej ojczyźnie służysz...”

i współczesność, pod red. T. Skoczka, Warszawa 2013, s. 79–92; *Działalność instytucji społeczno-kulturalnych w powiecie warszawskim w okresie międzywojennym*, [w:] Polska – Mazowsze. Dzieje polityczno-militarne, gospodarka i kultura. Księga jubileuszowa dedykowana prof. Januszowi Szczepańskiemu w 65. rocznicę urodzin i 40-lecie pracy naukowej, pod red. A. Koseskiego i R. Turkowskiego, Pułtusk 2013, s. 333–344; *Industrializacja miast okręgu warszawskiego okresu międzywojnia*, [w:] *Miasta Mazowsza w XIX i XX wieku. Wybrane zagadnienia społeczno-gospodarcze i kulturowe (do 1939 r.)*, pod red. J. Szczepańskiego i R. Turkowskiego, Pułtusk–Warszawa 2013, s. 231–249; *Nekropolie Września 1939 roku w powiecie legionowskim* (tekst napisany wspólnie z Jackiem Szczepańskim), [w:] *Dziedzictwo i pamięć Września 1939 roku na Mazowszu*, pod red. T. Skoczka, Warszawa 2013, <http://mbc.malopolska.pl/dlibra/doccontent?id=81761&from=FBC> [dostęp 29 października 2013].

³² Szukającym odpowiedzi na to pytanie polecam lekturę książki Edwarda Chudzińskiego, *Regionalizm. Idea – ludzie – instytucje*, Warszawa 2013.

Działania na rzecz regionu to szeroko zakrojona praca zespołowa, w której szczególnego znaczenia nabiera działalność towarzystw regionalnych, od niej w dużej mierze zależy kształt i rozmiar tych przedsięwzięć. Niestety, coraz częściej daje się zauważyć fakt, że w takich organizacjach brakuje ludzi młodych. Brakuje tego kolejnego ogniwa w regionalnej sztafecie pokoleń. I tu należy dopatrywać się rzeczywistego zagrożenia dla działań regionalnych.

Warto więc zadać sobie pytanie, jak dotrzeć do młodzieży i włączyć ją w pracę na rzecz regionu. Jedną z dróg jest niewątpliwie zaangażowanie nauczycieli i to na nich czekają towarzystwa regionalne, chcąc w gronie pedagogów szukać wsparcia i metody pozyskiwania młodych, jak to było w przypadku Towarzystwa Przyjaciół Legionowa i „Belferii”. Jest jeszcze jeden ważny element – obecność treści regionalnych w procesie nauczania. Nowa podstawa programowa dla szkół ponadgimnazjalnych dopuszcza realizowanie przez nauczyciela w ramach nauczania historii i wiedzy o społeczeństwie dodatkowego wątku regionalnego. Pozostaje tylko pytanie, czy wobec problemów z wdrażaniem reformy nauczycielom wystarczy zapału i czasu na opracowanie programu autorskiego?

Dlatego tak ważne jest wzajemne wspieranie się w propagowaniu treści regionalnych. Niezwykle istotne jest współdziałanie oświaty, placówek kultury, muzeów regionalnych, bibliotek oraz życzliwa pomoc ze strony władz i samorządów lokalnych. Bo tylko w takich warunkach możliwe jest kształtowanie właściwych postaw obywatelskich i zachowanie dziedzictwa kulturowego regionu. Tylko w takich warunkach można mówić o stwarzaniu możliwości do pełnego rozwoju społeczności lokalnej, bo – jak podkreślał prof. Jerzy Damrosz: „Pełny człowiek, to taki człowiek, który żyjąc w »dużej ojczyźnie«, czując się obecny we wspólnocie europejskiej, rozwija swoją osobowość w »małej ojczyźnie«, która jest dla niego najbliższą i zarazem najważniejszą sferą życia”³³.

³³ J. Damrosz, *Ojczyzna i jej regiony*, Płock – Warszawa 2007, s. 273.

Jolanta Załączny – historyk i polonista, doktor nauk humanistycznych w zakresie historii najnowszej, długoletni nauczyciel, obecnie pracownik Muzeum Niepodległości w Warszawie. Członek Towarzystwa Przyjaciół Legionowa i zarządu Fundacji na Rzecz Dzieci i Młodzieży im. Wandy Tomczyńskiej, członek Rady Wydawniczej „Rocznika Legionowskiego”, członek Kolegium Redakcyjnego czasopisma humanistycznego „Niepodległość i Pamięć”. Autorka dwóch obszernych publikacji oraz kilkudziesięciu artykułów o tematyce historycznej i regionalnej.

ZBIGNIEW KIEŁB
Pracownia Dokumentacji
Dziejów Miasta w Puławach

HISTORIA STAŁA SIĘ CZĘŚCIĄ MOJEGO ŻYCIA

Przeszłość to pewnego rodzaju tajemnica, magia. Człowiek przychodząc na świat od samego początku spotyka się z czymś, czego jeszcze nigdy nie widział, wszystko poznaje, interesuje się tym i zachwyca. Z czasem spotyka na swojej drodze relikty przeszłości, choćby zabytkowy budynek mający blisko 200 lat. Kiedy na swój sposób zrozumie, nie tyle czym był i jest ten budynek, a to, jaki jest wiekowy, jak wiele lat dzieli ludzkie bycie tu i teraz, a czas powstania tego budynku, to wydaje mu się to wręcz niemożliwe, magiczne, owiane tajemnicą. Tak właśnie było w moim przypadku, kiedy będąc dzieckiem poznawałem otoczenie, nowych ludzi, a w końcu nowy przedmiot jakim była historia. Nagle dowiedziałem się o przeszłości mojego kraju i ogarnął mnie trudny do opisanego zachwyt, zainteresowanie i zarazem wielka konsternacja. Jak można wiedzieć o czymś, co działo się ponad 1000 lat temu? Doznanie to uruchomiło we mnie wewnętrzną chęć poznania pewnych wydarzeń, jakie miały miejsce w naszej narodowej i lokalnej przeszłości oraz przyczyniło się do odnalezienia pasji, jaką była i jest historia z jej naukami pomocniczymi, w szczególności numizmatyką. Z czasem pogłębianie swojej wiedzy oraz studia nad dziejami ojczyznymi i regionu z którego pochodzę, zaowocowały zwielokrotnieniem zainteresowań i specjalizacji, które stały się nieodzownymi narzędziami w odkrywaniu tajemnic przeszłości.

Wielokrotnie jestem pytany, od kiedy historia stała się częścią mojego życia, moją pasją i zarazem pracą? Cofając się do zakamarków swojej przeszłości mogę ustalić, że pierwsze symptomy zainteresowania historią ujaw-

niły się u mnie w wieku 6 lat. Wówczas, jak i w następnych latach, poznawałem rodzinną historię moich dziadków, którzy podczas II wojny światowej zostali wywiezieni na roboty przymusowe do Frankfurtu nad Menem, dowiedziałem się o ich powrocie do Polski oraz o tragicznych realiach postanowień politycznych, w wyniku których rodzina babci pozostała już na stałe poza granicami swojej ojczyzny, na terenie przedwojennych Kresów Wschodnich. Wychowywałem się pośród tych niezrozumiałych i bolesnych opowieści, a gdy dorosłem miałem możliwość ujrzenia i dotknięcia niewielu dokumentów i zdjęć z tamtych tragicznych lat. Myślę dziś, że to właśnie ta historia była istotnym, podświadomym czynnikiem, który wpłynął na moje zainteresowanie przeszłością.

Punktem zwrotnym i momentem odkrycia mojej pasji, a więc numizmatyki, od której wszystko się zaczęło był rok 1993. Stało się to w szkole podstawowej na lekcji wychowawczej, na której koleżanki i koledzy z mojej klasy mieli przedstawić swoje pasje. Ja wiedziałem wówczas tylko tyle, że lubię historię, ale nie miałem żadnej pasji. Kiedy wróciłem ze szkoły do domu zacząłem się zastanawiać, jak sprostać zadaniu? Rozpocząłem przeszukiwanie domu, odnajdując kilka starych monet. Następnego dnia spędziłem wolny czas w szkolnej bibliotece w poszukiwaniu informacji o tych i innych monetach. Miesiąc później, mając niespełna 13 lat, przedstawiłem na lekcji wychowawczej temat z zakresu historii numizmatyki. Lekcja się skończyła, a pasja została i trwa do dziś. Dzięki numizmatyce eksplodowało również zamiłowanie do lokalnej przeszłości, zwielokrotnione oddziaływaniem zabytków moich rodzinnych Puław – osady pałacowo-parkowej, a w szczególności pałacu ks. Czartoryskich oraz Świątyni Sybilli. Dzieje tej rezydencji oraz pierwszego polskiego muzeum i idee, jakie przyświecały jego fundatorce ks. Izabeli Czartoryskiej w okresie porozbiorowym państwa polskiego, poznawałem już od 4 klasy szkoły podstawowej. To właśnie jej działalność patriotyczna i kolekcjonerska wywarła na mnie ogromne wrażenie, w wyniku którego zacząłem poznawać dzieje mojego miasta, choć wówczas jeszcze o wiele mocniej koncentrowałem się na numizmatyce, a za jej sprawą na historii polskiego średniowiecza.

Zamiłowanie do przeszłości stało się w późniejszym czasie nieodłącznym elementem mojego życia, podobnie jak chęć pracy społecznej. Dlatego w 1997 r. wstąpiłem do Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego Oddział Puławy (PTTK), z którym byłem związany do 2001 r. Rozpo-

cząłem wówczas współpracę z Muzeum Regionalnym PTTK, która zaowocowała zorganizowaniem dwóch wystaw numizmatycznych pt.: *Monety polskie 1949–1996* (1997) oraz *Pieniądz na ziemiach polskich 1916–1999* (1999). Tak wyglądały początki mojej pracy społecznej na rzecz historycznej edukacji i kultury w Puławach. Pod koniec szkoły średniej spotkałem się także z inną formą działalności edukacyjnej z zakresu poznawania przeszłości, jaką były i są rekonstrukcje historyczne określane mianem „żywej historii”. Miałem i ja w nich swój udział jako mincerz prowadzący średniowieczną oficynę menniczą podczas spotkań historyczno-archeologicznych i turniejów rycerskich w Chodliku, Janowcu, Puławach, Kazimierzu Dolnym i Krakowie. Te działania i pasja przyczyniły się do podjęcia istotnych decyzji w moim życiu, gdyż po ukończeniu Zespołu Szkół Technicznych im. Marii Skłodowskiej-Curie (1995–2001) i po nieudanej próbie ziszczenia marzeń o służbie wojskowej, podjąłem studia humanistyczne.

W 2001 r. rozpocząłem studia historyczne o specjalności archiwalnej na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej (UMCS) w Lublinie. Tam nastąpiło bardzo istotne pogłębienie moich zainteresowań tak numizmatycznych jak i historycznych. Dzięki przynależności do Polskiego Towarzystwa Numizmatycznego Oddział Lublin oraz mojemu promotorowi dr hab. Krzysztofowi Skupieńskiemu powstał temat mojej pracy magisterskiej, będącej zarazem moją specjalizacją numizmatyczną. Efektem podjętych badań było powstanie magisterium pt. *Herby prywatne w świetle źródeł numizmatycznych od XV do XVIII wieku*, które obroniłem w 2006 r. Duży wpływ na zwrot z typowego kolekcjonerstwa do pracy badawczej w zakresie numizmatyki i historii było poznanie i możliwość współpracy z wybitnym znawcą mennictwa antycznego – prof. Lesławem Morawieckim oraz średniowiecznego – prof. Borysem Paszkiewiczem. Natomiast istotny wpływ na zróżnicowanie i przesunięcie moich zainteresowań historycznych pod względem chronologicznym, ze średniowiecza na okres XVI–XVIII w. oraz podjęcie próby zmierzenia się ze źródłami pisanymi powstałymi w XIX i XX stuleciu miał mój mistrz dr hab. Janusz Łosowski. To on pełniąc rolę opiekuna Studenckiego Koła Naukowego Archiwistów UMCS, którego byłem prezesem w latach 2004–2005, był jednocześnie moim przewodnikiem naukowym z zakresu dokumentacji okresu staropolskiego, od którego mogłem uczyć się tajników i metod starego, ale jakże sprawdzonego warsztatu historyka. W okresie tym nastąpiły także istotne zmiany mojego podejścia do historii, z czystych zamiłowań poznaw-

czo-kolekcjonerskich, do naukowo-edukacyjnych. Brałem udział w różnorodnych badaniach, a od 2001 r. zacząłem publikować własne ustalenia badawcze, początkowo z zakresu numizmatyki i archiwistyki, a następnie regionalistyki odnoszącej się do dziejów rodzinnych Puław.

Po zakończeniu studiów i krótkotrwałej pracy w Gabinetie Numizmatycznym na Zamku Lubelskim w Lublinie podjąłem pracę niezwiązaną z zawodem historyka. Mimo to pracując w Lublinie i mieszkając w Puławach działałem na rzecz swoich pasji, czy to w zakresie numizmatyki czy regionalistyki. Od 2007 r. ta druga dziedzina moich zainteresowań i badań coraz bardziej mnie pochłaniała. Istotny wpływ na taką przemianę miała współpraca z panem Krzysztofem Wójcikiem przy wydaniu albumu o historii Puław z lat 1906–1945¹. Podczas powstawania tej publikacji zauważyłem, jak wiele jest niejasności oraz różnorodnych często błędnych lub wykluczających się nawzajem, ale zakorzenionych w świadomości historycznej puławian poglądów i opinii na temat lokalnych wydarzeń, budynków i zabytków. Wspomniany album oraz merytoryczne wsparcie Związku Strzeleckiego Oddział Puławy im. 15 pp „Wilków” przy organizacji uroczystości związanych z przywróceniem święta pułkowego 2. Pułku Saperów Kaniowskich w 2007 r., spowodowały znaczący zwrot w prowadzonej tematyce badań. Od tej pory z roku na rok coraz bardziej koncentrowałem się na działaniach badawczo-publikacyjnych dotyczących historii Puław. W ich efekcie powstały kolejne artykuły i książki, odnoszące się do historii wspomnianej formacji inżynierskiej i mostów puławskich². W tym samym czasie, w trakcie spotkań autorskich i w obliczu widocznego zapotrzebowania na wiedzę regionalną o Puławach, ewolucji zaczęła podlegać moja dotychczasowa działalność z czysto naukowej w coraz bardziej edukacyjną, skierowaną do różnorodnych środowisk lokalnych, a dotycząca przeszłości Puław. Taka zmiana przyczyniła się również do podjęcia współpracy ze: Stowarzyszeniem Historycznym im. 15 pp „Wilków” (2008–2010), Towarzystwem

¹ Z. Kiełb, *Wstęp* [w:] *Nowa Aleksandria – Puławy. Ocalić od zapomnienia*, wyd. K. Wójcik, wyd. I, Puławy 2007, s. 3–19; idem, *Wstęp* [w:] *Nowa Aleksandria – Puławy. Ocalić od zapomnienia*, wyd. K. Wójcik, wyd. II poprawione i uzupełnione, Puławy 2008, s. 3–19.

² Z. Kiełb, *Święto 2. Pułku Saperów Kaniowskich*, „Informator Departamentu Wychowania i Promocji Obronności MON. Wojsko w Społeczeństwie” 2007, nr 2, s. 154–160; idem, *Zarys historii 2 Pułku Saperów Kaniowskich*, Puławy 2008, ss. 32; idem, *Między dwoma brzegami... O historii mostów puławskich w latach 1792–2008*, Lublin 2009, ss. 96.

Przyjaciół Puław (2009–2014) czy Towarzystwem Inicjatyw Własnych „Inspiracje” (2010–2014).

Ukazany zwrot w mojej działalności naukowo-edukacyjnej był możliwy także dzięki powrotowi do Puław w 2010 r. i rozpoczęciu pracy w Puławskim Ośrodku Kultury „Dom Chemika”, gdzie jako instruktor kulturalno-oświatowy pełnię stanowisko historyka w Pracowni Dokumentacji Dziejów Miasta, którą w latach 2012–2013 prowadziłem samodzielnie. Będąc na miejscu mogłem bardziej poświęcić się realizacji wielu działań, które dotyczyły szeroko pojętej społecznej edukacji historycznej. W wyniku prowadzonych badań w 2010 r. zrealizowałem projekt dotyczący Zbrodni Katyńskiej i związków jej ofiar z ziemią puławską oraz Dęblinem. Przedsięwzięcie zostało ukoronowane wydaniem książki zawierającej biogramy 309 osób. Większość z nich nie była znana lokalnemu środowisku³. Ten moment był pewnego rodzaju kulminacją działań, ale także sytuacją, która ukazała jak wiele jest jeszcze do zrobienia na niwie badań i popularyzacji regionalnej przeszłości mojego miasta. Stąd też podjąłem wiele działań zmierzających do szeroko zakrojonej edukacji historycznej lokalnej społeczności, za pośrednictwem organizowanych przez siebie lub współorganizowanych z różnymi partnerami uroczystości patriotycznych, szczególnie sadzenia katyńskich „Dębów Pamięci” czy odsłaniania pamiątkowych tablic, ale także przez: działalność publikacyjno-wydawniczą⁴, audycje radiowe oraz wywiady

³ Z. Kiełb, *Przerwane życiorysy... Listy katyńskie osób związanych z Puławami i powiatem puławskim oraz Dęblinem do roku 1939*, Lublin 2010, ss. 184.

⁴ Do innych najważniejszych publikacji z zakresu historii regionalnej, poza wymienionymi powyżej należą: Z. Kiełb, *Lista polskich jeńców związanych z Lubelszczyzną zamordowanych w Katyniu, Twerze, Charkowie i innych nieznanach miejscach kaźni*, [w:] *Katyni pamiętamy*, [dodatek przygotowany we współpracy z Instytutem Pamięci Narodowej], „Dziennik Wschodni”, 7 kwietnia 2010, s. 1–2; idem, *O historii dawnej kaplicy księżąt Czartoryskich i parafii pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny*, „Studia Puławskie” pod red. Z. Kiełba, 2010, t. XI, s. 39–47; idem, *Funkcjonowanie i reorganizacja 2. Batalionu Saperów Kaniowskich przed wybuchem II wojny światowej i podczas kampanii wrześniowej 1939 roku*, „Studia Puławskie” pod red. Z. Kiełba, 2010, t. XI, s. 48–75; idem, *O pobycie Józefa Piłsudskiego w Puławach z okazji 90. rocznicy bitwy warszawskiej*, „Kwartalnik Powiatu Puławskiego” 2010, nr 6, s. 30–33; idem, *Puławy ponad czasem*, Puławy 2012, ss. 168; idem, *Powstanie i funkcjonowanie powiatu puławskiego oraz urzędu powiatowego w 2. połowie XIX wieku*, [w] *Powiat Puławski dawniej i dziś*, pod red. Z. Kiełba, T. Kot, A. Majcher, Puławy 2012; idem, *Ppłk Stanisław Magnuszewski bojownik niepodległości wśród zwolenników Józefa Piłsudskiego (przyczynek do szczegółowej analizy monografii ppłk. Magnuszewskiego na podstawie dotychczas nieznanych pamiętników, listów, archiwów rodzinnych)*, „Archeologia Wojenna”, t. 3, 2012, s. 81–103; idem, *Historia sztandarów 2. Pułku Saperów Kaniowskich i ich losy przed i po wrześniu 1939 roku*, „Archeologia Wojenna”, 2014, s. 38–50.

w prasie, radiu i telewizji. W nurcie tych prac umieścić należy także organizowanie różnorodnych wystaw historycznych, prowadzenie wykładów i warsztatów dla młodzieży i seniorów, a także historycznego profilu internetowego Pracowni Dokumentacji Dziejów Miasta w Puławach czy realizowanie projektów edukacyjnych skierowanych do młodzieży. Wśród tych ostatnich, najważniejszym, rozpoczętym w 2011 r. są *Zaduszki historyczne* połączone z akcją *Zapal pamięć*, będącą zbiórką zniczy, zapalanych następnie wspólnie z młodzieżą na nagrobkach wielu zasłużonych i zapomnianych puławian.

Ostatnie trzy lata zaowocowały wielką gamą działań skierowanych do szerokiej grupy puławian w różnorodnym wieku. Przyczyniły się one nie tylko do pozyskania nowych archiwaliów czy informacji, ale także wielu osób chętnych do współpracy na niwie edukacji historycznej. Spowodowały także ujawnienie rzeszy osób, które chcą pogłębiać swoją wiedzę historyczną o mieście i regionie we współpracy ze mną, czy też za pośrednictwem wspomnianej przez mnie pracowni historycznej. Dziś sam widzę, jak ewoluowała moja pasja, która od niespodziewanego zachwytu poprzez kolekcjonerstwo i zgłębianie nauki historycznej, przekształciła się w działalność naukową, stając się z czasem działaniem o charakterze edukacyjnym. Te wszystkie przeobrażenia pasji, w ciągu ostatnich 20 lat, doprowadziły mnie do realnego zaangażowania się w szereg działań, których celem nadrzędnym jest pielęgnowanie pamięci o naszej wspólnej przeszłości i sprostanie oczekiwaniom wielu puławian, którzy wyrazili i wciąż wyrażają chęć poszerzenia swojej wiedzy oraz dostępu do informacji na temat dziejów swojej małej ojczyzny.

Rozwój tej pasji, a także zgłębianie przeszłości regionu oraz przekazywanie wiedzy na jej temat lokalnej społeczności, nie byłoby możliwe, gdyby nie ludzie, których poznałem na mojej życiowej drodze. Część z nich miała i ma swój istotny wpływ na zmianę kierunku moich zainteresowań z kolekcjonerskich i ogólnohistorycznych, na zagadnienia związane z dziejami regionu. To oni uświadomili mi znaczenie historii regionalnej, zwrócili uwagę na wiele niewyjaśnionych spraw i ciekawostek dotychczas niedostrzeganych przez ogół społeczeństwa Puław. Ukazali swoją postawę i zaangażowanie w odkrywaniu lokalnej przeszłości, ale przede wszystkim zafascynowali mnie swoją ogromną wiedzą oraz konsekwencją w upamiętnianiu ważnych dla Puław i ziemi puławskiej ludzi i wydarzeń historycz-

nych. Są to osoby w różnym wieku (nieco starsze i o wiele starsze ode mnie), różnych zawodów i profesji, których łączy pasja historyczna oraz daleko siężne spojrzenie na potrzeby pielęgnowania i zachowania dla przyszłych pokoleń naszej regionalnej przeszłości. To właśnie wiedza, postawa patriotyczna i historie rodzinne takich osób jak: Henryk Czech, Grzegorz Filipek czy Lech Marczak miały istotny wpływ na moją świadomość i postrzeganie historii, a przede wszystkim działania zmierzające do kontynuowania ich pracy lub też podjęcia wspólnych działań na rzecz popularyzacji lokalnej przeszłości. Żadna z wymienianych osób nie jest zawodowym historykiem, ale ich zamiłowanie do tej nauki i do naszego rodzinnego miasta czy też ich prywatny z nim związek, wywarły na mnie nie tylko istotny wpływ, ale także ukierunkowały w działaniach i badaniach nad historią regionu. Obserwując ich pracę społeczną oraz osobiste postawy widzę ludzi, których warto naśladować nie tylko rozwijając własne pasje, ale przede wszystkim kontynuując ich dzieło społecznej edukacji historycznej mieszkańców Puław. Wymienione wyżej dwie pierwsze osoby, uchodzą w naszym środowisku za autorytety w dziedzinie historii lokalnej i podejmowanych działań na rzecz trwałego upamiętniania zasłużonych, często zapomnianych puławian. Z kolei pan Lech Marczak to człowiek, który jako wnuk por. Władysława Szczypy (komendanta Polskiej Organizacji Wojskowej, który 2 listopada 1918 r. odzyskał niepodległość dla Puław i był m.in. pierwszym posłem na Sejm z ziemi puławskiej) zamordowanego w Charkowie w 1940 r. poświęcił się idei upamiętniania ofiar Zbrodni Katyńskiej. Zetknięcie się z osobami o szerokiej wiedzy, postawie patriotycznej i głębokich związkach rodzinnych z Puławami, nie mogło nie odcisnąć śladu w mojej psychice, świadomości, ale również podejmowanych działaniach naukowo-edukacyjnych na rzecz historii regionu. Jestem dumny, że wspólnie pielęgnujemy pamięć o naszej lokalnej przeszłości.

Kim jest regionalista? Ciężko mi jednoznacznie określić czy nim jestem. Według utartych stereotypów regionalistą może być każdy kto niezależnie od wyuczonego i wykonywanego zawodu, zajmuje się przeszłością swojego miasta czy okolicy. Byłoby to najczęściej pasjonat-amator pochłaniający odnajdywane informacje, często zachowując je wyłącznie dla siebie. Człowiek często wyspecjalizowany w wąskiej tematyce historycznej, którego wiedzę z czasem udało się przekazać lokalnej społeczności lub utrwalić ją w postaci lokalnej publikacji. Ja zaś jestem historykiem z wykształcenia, zajmującym

się zarówno lokalnymi, jak i ogólnopanstwowymi dziejami regionu i kraju oraz naukami pomocniczymi historii. Prowadzę badania naukowe, a także działalność edukacyjną, dzieląc się przy tym swoją pasją i wiedzą z mieszkańcami Puław, ziemi puławskiej i innych polskich miast. Zatem znacznie odstaję od nakreślonego pokrótce stereotypu, choć moja postawa lokalnego patrioty i zainteresowania przeszłością regionu skłaniają wiele osób do tego by określać mnie mianem regionalisty. Sam – jak wspomniałem – za takiego nie do końca się uważam.

Kim zatem jest regionalista? Na swojej drodze spotkałem wielu regionalistów i specjalistów różnych dziedzin historycznych, z wiedzą często przewyższającą wielu naukowców. Współpracując z tymi ludźmi i zarazem obserwując ich postawę, działania, postrzeganie wielu spraw jak i ich dorobek naukowy czy edukacyjny myślę, że prawdziwym regionalistą jest przede wszystkim pasjonat, który nie musi mieć ukończonych studiów historycznych. Jego pasja i chęć poznania odpowiedzi na wiele pytań z przeszłości, sprzyjają mu o wiele bardziej niż sam warsztat historyka. Myślę jednak, że ten ostatni nie zaszkodzi, a na pewno pomoże, dając tak jak w moim przypadku dodatkowe umiejętności w lepszej ocenie i krytyce źródeł historycznych. Zatem w moim rozumieniu regionalistą jest pasjonat, który zgłębia dzieje regionu przy wykorzystaniu metod warsztatu historyka i jest otwarty na edukację regionalną. Dlaczego? W ostatnim czasie widać duże zapotrzebowanie na taką wiedzę w tzw. małych ojczyznach. Jednak nie każdy ma takie możliwości, predyspozycje czy umiejętności aby zgłębiać dzieje regionu, miasta czy miejscowości i je przekazywać. Natomiast zainteresowani przeszłością mieszkańcy, chcą mieć dostęp do osób czy też miejsc w których interesujące ich informacje mogliby otrzymać od reki. W edukacji społecznej opisywany przeze mnie regionalista nie może zamykać się ze swoją wiedzą przed światem i pielęgnować ją tylko i wyłącznie dla siebie. Wówczas bowiem traci status regionalisty, stając się tylko osobą interesującą się przeszłością wyłącznie na własne potrzeby. Dla mnie regionalista to człowiek, w którego działanie wpisana jest pewnego rodzaju misja nastawiona na edukację społeczną. Obecnie nie może zabraknąć nowatorskich czy też nowoczesnych środków przekazu w ramach wypełniania owej misji. Tu wchodzimy już w zagadnienie komunikacji, jakże istotnej w dotarciu przede wszystkim do najmłodszych przedstawicieli społeczeństwa, najmłodszych Polaków, wychowanych w kulturze masowej komunikacji,

wzbogaconej przez obraz i dźwięk, nie zaś suche fakty wyczytane choćby z najlepszej książki historycznej. Starsze pokolenie nie stroni od lektury przedmiotu, ale i jemu nie jest obce posługiwanie się w edukacji historycznej prezentacją multimedialną, filmem, dźwiękiem czy nowoczesnym przedstawieniem pełnym akcji. Te innowacje są tak naprawdę w obecnym czasie standardem, choć nie wszędzie. To one jak i wszechobecny Internet pozwalają dotrzeć do najmłodszych odbiorców i dostarczyć im określonych podstaw wiedzy oraz różnorodnych szczegółowych informacji o przeszłości swojego regionu. Pozwalają w obecnych czasach szybkiej komunikacji w sposób przystępny zaznajomić młodzież z jej własną przeszłością. Sama technika jednak nie wystarczy. Tu właśnie uwydatnia się rola regionalisty, bez którego nawet nowoczesny przekaz nie będzie do końca zrozumiały. Dopiero komentarz i obecność zafascynowanego przeszłością regionalisty sprawia, że dzieje okazują się dla młodego człowieka interesujące. Co więcej, potrafi on zaciekawić na dłużej. Zatem „mój” regionalista to człowiek z pasją, któremu nie obce są tajniki nauki, otwarty na różnorodne środowiska społeczne, którego celem nadrzędnym jest prowadzenie w nich edukacji regionalnej, krzewienie wiedzy o mieście i jego bliższej lub dalszej okolicy, przy wykorzystaniu różnorodnych elementów przekazu, po to, by dotrzeć do jak największej grupy odbiorców w sposób ciekawy i przystępny, pozwalający zachęcić słuchaczy do poszerzenia swojej wiedzy o lokalnej przeszłości.

W przypadku Puław, istotny wpływ na zmianę kierunków w opracowywaniu przeszłości miasta i regionu miało powstanie Zakładów Azotowych w latach 60. XX w. Zanim je wybudowano, tzw. regionalistyka historyczna skupiała się na dziejach osady pałacowo-parkowej i związanych z nią w szczególności losach ks. Czartoryskich. Odbudowa Puław po pożodze wojennej, a następnie wyznaczenie im roli miasta o charakterze turystycznym było krótkim etapem w ich najnowszej historii. Na początku lat 60. XX w. podjęto decyzję o budowie wspomnianego kombinatu chemicznego oraz wielu inwestycji towarzyszących dla potrzeb nowoprzybyłych mieszkańców. Przebudowa i rozbudowa małomiasteczkowych Puław przyczyniła się w dużym stopniu do zburzenia dawnej tkanki miejskiej powstałej przed, jak i po 1906 r., w którym miejscowość ta otrzymała prawa miejskie. Doszło również do unicestwienia części zabudowy z okresu międzywojennego oraz zniszczenia niektórych zabytków, a także zabytkowej przestrzeni parkowej.

Te działania oraz ich skutki wymogły na ówczesnych miłośnikach przeszłości, a także osobach świadomych zmian podjęcie pewnych akcji zmierzających do ocalenia dawnych Puław dla potomnych. Takie zachowania z jednej strony wynikały z odgórných decyzji nakazujących dokumentowanie budowy nowych bloków i osiedli na zgliszczach starych domostw. Z drugiej strony dzięki tym działaniom powstawała także dokumentacja historyczna ukazująca nie tylko dawne domy, ulice ale i poszczególne osiedla przed ich całkowitą przebudową. Dzięki takim działaniom ocalało do naszych czasów tysiące fotografii ukazujących dawne Puławy jakich dziś już nie ma, a ich namiastka jest wkomponowana w nowoczesną przestrzeń miejską. Te wszystkie materiały ukazywały nie tylko rozmach zmian i przebudowę Puław. Dzięki nim przyszłe pokolenia miały także, na drugim planie, zobaczyć dawne miasto, którego obrazy zostały już tylko na dawnych kliszach i fotografiach oraz w świadomości najstarszych obecnie puławian.

Od kilku lat, dysponując takim materiałem archiwalnym, mogę rozbudzać i obserwować zainteresowanie przeszłością u dzieci i wnuków tych mieszkańców Puław, którzy przybyli z różnych stron Polski w czasie budowy Zakładów Azotowych. Ci przybysze byli bardziej skupieni na rozwoju miasta i zaaklimatyzowaniu się w nowej rzeczywistości. Natomiast ich dzieci oraz wnuki, których korzenie rodzinne coraz silniej związały się z Puławami, zaczęły nie tylko dostrzegać piękno tutejszych zabytków i okolic, ale przede wszystkim zaczęły wykazywać chęć poznania przeszłości ich nowego domu, miasta, a więc historii nowych Puław. Kto im miał i mógł w tym pomóc? Właśnie regionaliści czy też ludzie pasjonujący i zajmujący się w jakimś stopniu historią tego miasta. To od nich oczekiwano ukazania im dziejów Puław, nie tylko po to by poznać wielkość zmian w których wyrastali, ale także po to aby wzmóc naturalny proces utożsamiania się z tą społecznością i przywiązania do nowego domu, którym stały się dla nich Puławy. Dziś coraz więcej dzieci i wnuków „budowniczych Puław” uczestniczy w wielu przedsięwzięciach edukacyjnych i kulturalnych o charakterze historycznym, dzięki którym przypominają sobie swoją młodość i zarazem poznają przeszłość miasta, której nikt ich nie uczył, o której nikt im nie powiedział. Wśród tej dużej grupy społeczeństwa są również rodowici puławianie, dla których te same przedsięwzięcia z zakresu edukacji historycznej stały się miejscem lub czasem wspomnień dawnych międzywojennych, małomiasteczkowych Puław, w których się wychowywali. Na takie zapotrzebowa-

nie mieszkańców, wynikające z chęci poznania przeszłości swojego miasta powinni odpowiadać regionaliści, którzy będą mówić nie tylko o dawnej roli Puław czasów ks. Czartoryskich, ale przede wszystkim powiedzą o ciekawej przeszłości XIX i XX w. przed nadaniem praw miejskich Puławom, i po ich otrzymaniu z lat 1906–1945, a w szczególności o Puławach odbudowy i wielkich zmian jakie nastąpiły po 1945 r., w oparciu o nadmienione i zachowane źródła ikonograficzne. Regionaliści powinni pokazać to, co pozostało do dziś z dawnych Puław, a co często jest niezauważane przez mieszkańców tego miasta. Powinni zainteresować dawnych i nowych mieszkańców naszą wspólną przeszłością, która spaja nasze środowisko, dzięki której możemy bardziej świadomie utożsamiać się z tym miastem, z jego dziejami, z ideami forsowanymi przez wielu znakomitych ludzi, którzy tu żyli i tworzyli.

Dzięki takim działaniom regionaliści mają możliwość pracować na rzecz bardziej świadomego społeczeństwa, ukazując rolę i znaczenie Puław, naszej wspólnej „małej ojczyzny”, której dziejów może pozazdrościć nam niejedna lokalna społeczność. Ta praca przekłada się również na umiejętność podkreślania przez młodych ludzi swojej tożsamości tak lokalnej jak i narodowej oraz pozwoli wpoić dobre wzorce do naśladowania. Takie podejście osób określanych mianem regionalistów nie jest tylko i wyłącznie zarezerwowane dla mojego miasta. Jest raczej przykładem działań jakie należy podjąć dla ogółu środowisk lokalnych w każdej społeczności wiejskiej czy miejskiej, w celu pogłębienia nie tylko jej świadomości historycznej, ale także tożsamości terytorialnej. Moim zdaniem jeśli tak właśnie nie zaczniemy postrzegać roli regionalistów, a ich spektrum działań nie zostanie znacznie poszerzone, to nie tylko stracimy wiele możliwości, ale przede wszystkim zatrzymamy się i uwsteczniemy w rozwoju świadomości lokalnej czy to w ujęciu historycznym czy kulturowym. Dziś największym zagrożeniem dla tak pojmowanego regionalizmu jest brak rzetelnej nauki historii narodowej w szkole oraz brak – w jej ramach – nauczania z zakresu przeszłości regionu. Wykorzystywanie niesprawdzonych i przestarzałych obecnie, a stosowanych niegdyś metod nauczania, powoduje zniechęcenie młodzieży do poznawania dziejów ojczystych czy regionalnych. Stan ten pogłębia się po szkole podstawowej na następnych szczeblach edukacji, skutkiem czego mamy młode społeczeństwo nieświadome własnej przeszłości, wyjałowione z chęci jej poznawania ze względu na traumę wynikającą ze sposobu nauczania przeszłości w szkole. Obserwuję to od kilku lat i sam

byłem uczony w ten sposób historii. Miałem jednak szczęście posiadając pasję i wynikające z niej zainteresowanie przeszłością. Jednak nie wszyscy mieli tyle szczęścia. Dziś musimy nadrabiać zapóźnienia edukacyjne wynikające ze złych i wciąż stosowanych metod nauczania. Chcemy zakorzenić chęć poznawania naszej regionalnej i ojczystej przeszłości wśród najmłodszych, ale da się odczuć deficyt osób zajmujących się historią regionalną, mających także wiedzę z zakresu historii ogólnej. Dlatego nowi adepci historii powinni mieć na studiach nie tylko specjalizacje, ale i obowiązkowe zajęcia uzupełniające z zakresu historii regionalnej. Dotyczy to wielu specjalności przyszłych historyków. W szczególności należałoby jednak zmienić podejście przyszłych nauczycieli historii do wykonywanego zawodu. Nie można uczyć historii wymagając od uczniów jedynie biernego opanowania pamięciowego setek dat czy faktów. W nowatorskim nauczaniu historii należy odejść od dawnych, przestarzałych metod i podejmować szereg działań zmierzających w pierwszej kolejności do zainteresowania tym przedmiotem. Takie działania stosowane są w Puławach, także z moim udziałem, choćby przez uzupełnianie historii ogólnej zagadnieniami z historii regionalnej. Rozmawiam z młodzieżą o ich lokalnej przeszłości, nie oczekując od nich zapamiętywania, ale przede wszystkim myślenia podczas identyfikowania obrazów dawnych nieznanych im Puław. Te eksperymentalne zajęcia z 2012 r. zaowocowały wzmożeniem ich częstotliwości w 2013 r. z kilku do kilkudziesięciu w skali półrocza. Często bywa tak, że to sama młodzież lub w porozumieniu z nauczycielem zgłasza się do Pracowni Dokumentacji Dziejów Miasta z prośbą o przeprowadzenie zajęć z historii regionalnej, czy też pyta o możliwość odbycia warsztatów historycznych z zakresu historii Puław. To działa, ale to nie wystarczy.

Wykorzystanie nowych i nowatorskich środków przekazu informacji w celu zachęcania młodzieży i mieszkańców do czynnego uczestnictwa w wystawach i projektach edukacyjnych, a tym samym do ich współdziałania w poznawaniu swoich lokalnych i ogólnonarodowych dziejów, przynosi pozytywne efekty. Widoczne jest to nie tylko w zwiększającej się frekwencji osób odwiedzających wystawy czy też wydarzenia kulturalne o charakterze historycznym. Widać to także w coraz większej chęci poznawania przeszłości miasta przez najmłodszych zarówno na wykładach, jak i na portalach historycznych. Zwiększa się w znaczący sposób zapotrzebowanie na wiedzę regionalną wśród mieszkańców miasta domagających się wręcz

wydania drukiem informacji prezentowanych na wystawach czy też przekazywanych im podczas wykładów. To oczywiście napawa optymizmem, ale dalsze konsekwentne działania, mające na celu zainteresowanie kolejnych mieszkańców miasta ich przeszłością da pozytywny efekt tylko wtedy, kiedy dzięki regionalistom i naukowcom ukażemy im jak duże znaczenie ma własna i społeczna świadomość historyczna lokalnego środowiska, odnosząca się do ich „małej ojczyzny”, w której żyją i z którą się utożsamiają.

Zbigniew Kiełb – urodził się w 1980 r. w Puławach. Z wykształcenia historyk o specjalizacji archiwalnej. Absolwent Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie (2006). Od 1993 r. zajmuje się różnorodnymi zagadnieniami numizmatyki epoki średniowiecza i czasów nowożytnych, które połączył z zainteresowaniami heraldyką. Autor i współorganizator wielu wystaw historycznych i numizmatycznych. Autor książki: *Zarys historii 2 Pułku Saperów Kaniowskich* (2008), *Między dwoma brzegami... O historii mostów puławskich w latach 1792–2008* (2009), *Przerwane życiorysy... Listy katyńskie osób związanych z Puławami i powiatem puławskim oraz Dęblinem do roku 1939* (2010), a także albumu *Puławy ponad czasem* (2012). Współautor albumu *Nowa Aleksandria – Puławy. Ocalić od zapomnienia* (wyd. I, 2007; wyd. II, 2008) oraz współredaktor i współautor albumu *Powiat Puławski dawniej i dziś* (2012) Książki Roku 2012 nagrodzonej Wawrzynem Pawła Konrada (Lublin 2013). Redaktor naczelny czasopisma historycznego *Studia Puławskie* (2010) oraz autor kalendarzy: *Znaki zaszczytne dowódców, oficerów i podoficerów 2. Pułku Saperów Kaniowskich* (2013), *Polskie i obce znaki zaszczytne dowódców, oficerów i podoficerów 2. Pułku Saperów Kaniowskich* (2014). Opublikował dotychczas 58 artykułów z historii, numizmatyki i heraldyki. Jest między innymi Członkiem Zarządu Oddziału Lubelskiego Polskiego Towarzystwa Numizmatycznego oraz honorowym członkiem Stowarzyszenia Lubelska Rodzina Katyńska w Lublinie. Na co dzień pracuje w Pracowni Dokumentacji Dziejów Miasta w Puławach. W uznaniu zasług za popularyzowanie wiedzy i zachowanie pamięci o najnowszej historii Polski został odznaczony przez Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Lecha Kaczyńskiego Brązowym Krzyżem Zasługi w 2008 r. oraz uhonorowany Medalem Uznania przez Instytut Pamięi Narodowej Oddział w Lublinie w 2010 r. Za pasję w dokumentowaniu dziejów miasta Puławy otrzymał w 2013 r. statuetkę Ikara, przyznaną przez Bibliotekę Miejską w Puławach.



ANDRZEJ KANSY
Towarzystwo Naukowe Płockie
Szkoła Wyższa im. Pawła Włodkowica w Płocku

JESTEM TUTAJ

Jestem tutaj. Stąd biegną moje myśli. Stąd wspominam i snuję marzenia. Kiedy, jako kilkuletni chłopak, po żelaznym moście w Płocku przekraczałem Wisłę w drodze na Mazury, nie przypuszczałem, że zachwycający widok na pięćdziesięciometrową skarpe stanie się moją codziennością.

Na początku lat 90. XX w. zacząłem tu przyjeżdżać do mojej narzeczonej. Zacząłem jak każdy, kto tutaj przyjeżdża: katedra z grobami władców Polski, Muzeum Mazowieckie z jego zbiorami secesji, rynek i tak dalej. Zapamiętałem spacer po ogrodzie zoologicznym, a szczególnie akwaria i wielką słońicę Petrę. Poznałem smak piwa Kasztelańskiego z browaru w Sierpcu. Pamiętam jeszcze jego dawny smak z charakterystyczną goryczką. Zwróciłem uwagę, że miejscowi właściwie nie spożywają innego piwa i wyrażają się o nim z pewnego rodzaju dumą. Jako polonista, wyczulony po kursie dialektologii, zachwycałem się inną mową. Nie mogłem się nasycić, kiedy mówiono: pjiwo, wjino, mniód, mniś, czy mniasto. Do tej pory przechodzi mnie dreszcz, gdy przypomnę sobie, jak podczas naszego wesela, odbywającego się w jednej z podpłockich wsi, około godziny piątej rano muzykanci wyszli przed remizę i zagrali *Kiedy ranne wstają zorze*. Franciszek Karpiński – o którym jeszcze niedawno słuchałem wykładów prof. Wiesława Pusza na Uniwersytecie Łódzkim – stanął przede mną jak żywy. Dopiero teraz poczułem trwałość i moc sztuki. Przypominam sobie także porywanie panny młodej i wywożenie jej drabiniastym wozem do pobliskiego parku. Trzeba ją było wykupić kilkoma butelkami wódki, a później wypić na zgodę z „porywaczami” z łyżki o pojemności połowy wiadra.

Kiedy w 1996 r. zamierzaliśmy się przeprowadzić z Łodzi do Płocka, poszukiwania pracy zacząłem od Towarzystwa Naukowego Płockiego (TNP). Mimo mroźnego lutowego poranka ciepło wspominam spotkanie z ówczesnym prezesem Jakubem Chojnackim w piętnastowiecznej siedzibie stowarzyszenia. Wysłuchał mnie i powiedział, żebym się stawił do pracy we wrześniu. Pamiętam, jak przykazał na odchodnym „Obejrzyj jutro *Kawę czy herbatę* w jedynce, będzie transmisja z Płocka”. To w tym telewizyjnym programie po raz pierwszy usłyszałem o harcerskim zespole pieśni i tańca „Dzieci Płocka” i o ich legendarnym twórcy Waławie Milke. We wrześniu zacząłem pracę w Bibliotece im. Zielińskich prowadzonej przez Towarzystwo. Zajmowałem się informowaniem o zbiorach. Bardzo szybko zetknąłem się z licznymi badaczami lokalnych dziejów. Byli to ludzie przeróżnych profesji, wykształceni w bardzo różnym stopniu – od profesorów do poszukiwaczy-amatorów, których łączyła pasja pogłębiania swojej wiedzy o regionie. Z tym nie spotkałem się wcześniej w tak dużej skali. Pomagałem im, jak umiałem. Staralem się stale pogłębiać swoją wiedzę o mieście i Mazowszu Płockim, aby móc służyć pomocą regionalistom. Pamiętam jak zacząłem prowadzić lekcje biblioteczne dla młodzieży. Opowiadałem wówczas o TNP i jego tradycjach, co wymagało ode mnie przygotowania. Prawdziwym egzaminem było opowiadanie o Towarzystwie i jego zbiorach płockim przewodnikom, którzy znali w Płocku każdy kamień. Z czasem poznałem środowisko autorów, pisujących artykuły na tematy regionalne do „Notatek Płockich” – kwartalnika TNP. „Notatki” były dla mnie odkryciem i wielką pomocą. Bogactwo wiedzy tam zawarte robiło wielkie wrażenie. To czasopismo, które ukazuje się nieprzerwanie od 1956 r., jest przykładem współdziałania wielu grup o różnych rodowodach i zapatrywaniach, a także o różnym poziomie wykształcenia, połączonych pasją badawczą.

W 2002 r. nowy prezes TNP Zbigniew Kruszewski otworzył przede mną kolejne możliwości, powierzając mi kierowanie pracami Biura Zarządu. Oprócz wykonywania obowiązków związanych ze sprawami administracyjnymi i gospodarczymi zacząłem uczestniczyć w wydawaniu książek, przygotowywaniu wystaw, organizowaniu sesji naukowych i odczytów, które najczęściej dotyczyły zagadnień regionalnych. Sprawiało mi przyjemność zapraszanie prelegentów, słuchanie ich opowieści – najpierw w cztery oczy, a później przed publicznością. W siedzibie Towarzystwa spotykałem się z jego członkami i sympatykami, kolekcjonerami, ludźmi owładniętymi

pasją, często graniczącą z manią. Potrafili długo mówić o swoich zbiorach: płockich pocztówkach, znaczkach z płockimi stemplami, medalach, czy innych pamiątkach. Niektórzy z nich już nie żyją. Zostały po nich pamiątki w płockich muzeach, artykuły w czasopismach i książki w bibliotekach. Wysłuchiwałem też opowieści o losach rodzin i pojedynczych osobach. Zauważyłem, że wszystkie te przekazy, losy jednostek i zbiorowości, kolekcje, książki, składają się w całość. Tworzą coś na kształt grzybni, z której wyrastają kolejne pokolenia mieszkańców Mazowsza Płockiego, czerpiąc z niej życiodajną wiedzę o swoich przodkach i o domach, w których mieszkali, o ołtarzach przed którymi pochylali głowy, o sklepach, w których kupowali tytoń, chleb i gazety. Myślę, że to właśnie jest tożsamość.

W miarę upływu czasu oraz poznawania zdarzeń i ludzi zacząłem mieć z nimi wspólne wspomnienia. To wtedy zauważyłem, że grzybnia zaczyna mnie otaczać, a ja powoli w nią wrastam i czerpię z niej soki. Jestem tu dłużej niż gdziekolwiek przedtem. Moje dalekie rodzinne strony, gdzie pozostały moje groby, stają się coraz dalsze. O ziemi ojców wiem mniej niż o Płocku czy Sierpcu. Jednakże to tutaj chodzą do szkół moje dzieci, to tutaj wraz z żoną korzystamy z daru pracy. Z każdym rokiem jestem tutaj coraz bardziej.

Podczas jednej z rozmów z Damianem Kasprzykiem w siedzibie TNP uświadomiłem sobie, że na mojej półce znajduje się coraz więcej książek o tematyce związanej z Płockiem i z Mazowszem Płockim, że w swoich próbach naukowych opisuję właśnie to miejsce, że nie mogę się doczekać kolejnego numeru regionalistycznego czasopisma „Nasze Korzenie”, w którym później czytam artykuł Pana Sławka Gajewskiego o mazowieckich dębach i wiele innych. Podczas tej rozmowy Damian zaproponował mi, abym przyjrzał się sobie pod kątem ewentualnej wypowiedzi w ramach projektu „Ja – regionalista”. To było ziarno. Bardzo długo o tym później myślałem, a temat nabrzmiewał. W międzyczasie obroniłem pracę doktorską, która dotyczyła, oczywiście, „Notatek Płockich”, i rozpocząłem pracę w Szkole Wyższej im. Pawła Włodkowica w Płocku, uczelni o bardzo silnych związkach z regionem na poziomach, które wcześniej nie były dla mnie widoczne. Dzięki przewodniczącemu Rady Towarzystw Naukowych przy Prezydium PAN prof. Z. Kruszewskiemu, który nieraz zabiera mnie na posiedzenia Rady do Warszawy, mam możliwość szerszego spojrzenia na społeczny ruch naukowy, w tym także regionalny. Okazało się też, że szybko znalazłem wspólny język z wieloma regionalistami z całej Polski. Z tej perspek-

tywy łatwiej przychodzi mi pomyśleć o sobie jako o regionaliście. Jednakże nazwanie siebie regionalistą byłoby z mojej strony dużą nieskromnością, gdyż w siedzibie Towarzystwa Naukowego Płockiego z portretów patrzą na mnie codziennie wielcy regionaliści: Kajetan Morykoni, Aleksander Maciejsza czy Kazimierz Askanas. Gdyby nie szacunek dla inicjatora realizowanego projektu naukowego, nie napisałbym niczego więcej ponad „Jestem tutaj”. Te słowa stanowią mój horyzont. Gdybym miał jednak w skrytości odpowiedzieć, czym jest mój regionalizm? powiedziałbym, że jest on refleksją nad dawno opuszczonym domem ojców, tęsknotą za przynależnością do wspólnoty, poszukiwaniem własnej tożsamości, a także próbą ponownego zakorzenienia.

Andrzej Kąsny – ur. w 1966 r., dr nauk politycznych (Uniwersytet Warszawski), mgr filologii polskiej (Uniwersytet Łódzki). Zamieszkały w Płocku. Pracownik Towarzystwa Naukowego Płockiego i Szkoły Wyższej im. Pawła Włodkowica w Płocku.

HALINA BIAŁY
Uniwersytet Jana Kochanowskiego
w Kielcach (doktorantka)

KULTYWOWANIE TRADYCJI REGIONU NA PRZYKŁADZIE MICHAŁOWA W WOJEWÓDZTWIE ŚWIĘTOKRZYSKIM

Początki polskiego regionalizmu sięgają XVIII w., a dokładniej czasów działalności Komisji Edukacji Narodowej. Natomiast jego prawdziwy rozkwit nastąpił w XIX stuleciu¹. Wówczas uważano, iż kultura regionalna szlachty, mieszczaństwa i tradycyjna kultura ludowa zaczynają łączyć się ze sobą dając podstawy do powstania kultury narodowej². Widzimy, iż polski regionalizm wyrósł z potrzeby ochrony tego, co narodowe, rodzime, lokalne i rodzinne. Przyczynił się on do walki z zaborcą, który wprowadzał politykę wynaradawiania społeczeństwa³. W tym czasie dużą rolę odegrały „małe ojczyzny”, które stały się fundamentem polskości, a także kompendium wiedzy o danym regionie. Dzieje regionu to żywa i ciekawa nauka, niezbędna dla rozwoju osobowego człowieka⁴.

Czym zatem jest regionalizm? Słowo to powiązane jest z pojęciem „region”, które pochodzi od łacińskiego słowa „regio” oznaczające wydzielony obszar, odróżniający się od terenów przyległych cechami naturalnymi lub nabytymi⁵: „To terytorium powiązane z wydarzeniami z przeszłości, legitymu-

¹ A. J. Omelaniuk, *Regionalizm w Polsce na przełomie tysiącleci*, Wrocław – Gorzów Wielkopolski 2002, s. 7.

² W. Hap, *Istota regionalizmu i nauczania regionalnego*, s. 4–5, http://jasloiregion.pl/wp-content/uploads/2011/10/szkola_a_regionalizm.pdf [20.01.2014].

³ Tamże, s. 5.

⁴ *Mała Ojczyzna Świętokrzyskie. Dziedzictwo kulturowe*, pod red. G. Okły, Kielce 2002, s. 9.

⁵ *Geografia. Encyklopedia szkolna*, pod red. J. Puskarza, Warszawa 2002, s. 531.

jące się jako określona całość odrębnymi dziejami. Owe dzieje wytworzyły wspólne formy życia zawodowego, wspólne obyczaje, wspólny język”⁶.

Według Henryka Samsonowicza dzieje te przyczyniły się do powstania ośrodków gospodarki, kultury, nauki, a także ukształtowały sieć komunikacyjną, przyspieszającą relacje międzyludzkie. „Region”, to także obszar i terytorium wyróżniające się położeniem geograficznym, na którym można wyodrębnić pewien typ roślinności. Większość definicji, pojęcia „region” ściśle związana jest z pojęciem „regionalizmu”, który można określić jako: „ruch społeczno-kulturalny dążący do zachowania swoistych cech kultury danego obszaru, do pogłębiania wiedzy o tej kulturze, do jej rozwoju i odnowy”⁷.

Można wyodrębnić kilkupoziomowy układ regionów, na przykład dla potrzeb planowania gospodarczego na: makroregiony, mezoregiony, subregiony, mikroregiony oraz locoregiony⁸.

Historia regionalna jeszcze nie tak dawno kojarzona była z twórczością amatorską, powstającą z „potrzeby serca”. Zainteresowania regionalistów skupione były na przeszłości danej okolicy o bliżej nieokreślonych granicach i właściwościach. Regionaliści najczęściej opierali się na przypadkowo odnajdowanych źródłach, osobistym doświadczeniu i intuicji⁹. W obecnych czasach w regionalizmie chodzi o podtrzymywanie i kultywowanie wartości tkwiących we własnym środowisku. Przekazywanie dziedzictwa kulturowego odbywa się przede wszystkim poprzez przyjęcie wartości tkwiących w bezpośrednim przyrodniczym i kulturowym otoczeniu człowieka¹⁰.

Kim zatem jest regionalista? Regionalista, to jak definiuje *Słownik wyrazów obcych*: „zwolennik regionalizmu; znawca i miłośnik jakiegoś regionu; pisarz opisujący jakiś region i piszący jego gwara. Słowo to pochodzi z łaciny, co oznacza regionalis = dotyczący okolicy”¹¹. Obecnie regionalista to osoba, która gromadzi i udostępnia materiały dotyczące danego regionu, rozbudza

⁶ H. Samsonowicz, *O większej i małej Ojczyźnie*, [w:] *Tożsamość narodowa a ruch regionalny w Polsce*, pod red. A. Kociszewskiego, A. J. Omelaniuka, K. Orzechowskiego, Ciechanów 1998, s. 57.

⁷ *Słownik języka polskiego*, t. 3, pod red. M. Szymczak, Warszawa 1981, s. 34–35.

⁸ Z. Guldon, *Region świętokrzyski w świetle metodologii historii*, [w:] *Region świętokrzyski. Mit czy rzeczywistość? Materiały konferencji naukowej Kielce, 23 maja 2001*, pod red. J. Wijaczki, Kielce 2001, s. 12.

⁹ J. Topolski, *Wielkopolska w rozwoju historycznym – warunki postępu badań, stan wiedzy i postulaty badawcze*, „Kronika Wielkopolski” 1975, nr 1, s. 24.

¹⁰ D. Grabowska, *Dziedzictwo kulturowe w regionie*, „Poznaj Swój Kraj” 1996, nr 1, s. 21.

¹¹ *Słownik wyrazów obcych*, pod red. J. Tokarskiego, Warszawa 1980, s. 634.

zainteresowanie daną miejscowością, podtrzymuje i kultywuje tradycje tejsze miejscowości.

Fundamentem polskiego regionalizmu, jak wcześniej już zostało zaznaczone, stały się „małe ojczyzny”, w skład których wchodziły: miasta, wsie, gminy, powiaty, regiony, z którymi człowiek związany jest emocjonalnie. To małe punkty, w których zamieszkujemy sami, z rodziną, znajomymi, sąsiadami, na których możemy liczyć i w których znajdziemy oparcie¹². To miejsca zamieszkałe przez człowieka, które go kształtują, a nad którymi sprawuje pieczę. Mała ojczyzna to niewielka przestrzeń, posiadająca niezwykle doniosłe znaczenie dla dalszych ludzkich losów, która głęboko zapada w ludzkiej pamięci, a także sprzyja powstawaniu silnych lokalnych więzi.

* * *

Dla mnie taką „małą ojczyzną” jest miejscowość Michałów, położona w gminie Michałów. Powierzchnia gminy wynosi 112,21 km². Michałów i jego okolice stanowią jedną z pięciu gmin powiatu pińczowskiego, położonego w południowej części województwa świętokrzyskiego. Graniczy z gminami: Kije, Pińczów, Złota i Działoszyce. Jest położona w południowo-zachodniej części Niecki Nidziańskiej, w obrębie Płaskowyżu Jędrzejowskiego, Doliny Nidy i Garbu Wodzisławskiego oraz obszarze Wyżyny Małopolskiej i Wyżyny Środkowomałopolskiej. Południowa część gminy, leżąca w obrębie Garbu Wodzisławskiego, kontrastuje z pozostałym bezleśnym obszarem gminy. Malownicze wzniesienia pokrywają pola uprawne oraz lasy wododziałowe, leżące na działach wodnych rzeki Nidy i Mierzawy¹³.

Korzenie Gminy Michałów są bardzo bogate, a ich historia sięga epoki brązu i wczesnej epoki żelaza. Świadczą o tym stanowiska archeologiczne z wyjątkowo cennym kompleksem osadnictwa. Pierwsze udokumentowane na tym terenie osady datują się na okres kultury trzcinieckiej, pomorskiej, przeworskiej i łużyckiej¹⁴.

¹² W. Hap, *dz. cyt.*, s. 3.

¹³ *Gmina Michałów*, <http://www.michalow.pl> [29.12.2013].

¹⁴ J. K. Kozłowski, P. Kaczanowski, *Najdawniejsze dzieje ziem polskich (do VII w.)*, Kraków 1998, s. 98.

Nazwa miejscowości Michałów pochodzi od imienia Michał¹⁵. W 1410 r. kroniki kościelne zanotowały Mikołaja z Michałowa, który był jednym z dowódców w bitwie pod Grunwaldem. Pod tą samą datą zapisano, iż Jakusz z Michałowa uzyskał dziesięcinę snopową dla miejscowego kościoła oraz karczmę zwaną chadalińską. Powyższy dokument został przytoczony przez Jana Długosza w 1454 r. Dziedzicem wsi w połowie XV stulecia był Jan Kurozwęcki herbu Róża. Wieś posiadała 7 łąnów kmiecych, karczmę i młyn na rzece. W 1579 r. Michałów należał już do rodu Myszkowskich. W tym czasie we wsi mieszkało 25 kmieci, 12 zagrodników, 19 komorników, 5 rzemieślników i 2 rybaków¹⁶. Wówczas wieś była ważnym ośrodkiem rzemieślniczym. W roku 1598 zanotowano już pierwsze wzmianki o szkolnictwie na tym terenie. Pierwszym kierownikiem szkoły parafialnej w Michałowie był Kasper Prędot z Kleczy, a na początku XVII w. prowadził ją Piotr Krzanowita. W późniejszych czasach, a więc po potopie szwedzkim władze kościelne nie wspominają o istnieniu świątyni. W XIX stuleciu wieś stała się własnością Dembińskich, ale w drugiej połowie tego wieku dziedziczka Amelia Dembińska wybudowała kościół, który istnieje do dziś. W tym samym czasie we wsi otworzono szkołę początkową. Pod koniec XIX w. parafia Michałów liczyła 703 osoby, w tym 80 samodzielnych gospodarzy. Ostatnim właścicielem Michałowa, jak podają księgi parafialne, był Antoni Dembiński z zawodu inżynier elektryk. Do XX w. na dobra tej wsi składały się trzy folwarki: Michałów, Podlesie i Terczyn¹⁷.

Największym atutem gminy, a także i miejscowości Michałów jest obecnie Państwowa Stadnina Koni. Stanowi spółkę Agencji Własności Rolnej Skarbu Państwa w Warszawie. Początki istnienia stadniny datuje się na rok 1953. Przejęła ona konie ze zlikwidowanej w tym czasie stadniny w Klemensowie, koło Zamościa. Jej przeniesienie do Michałowa było skutkiem powojennych poszukiwań najlepszego dla koni arabskich środowiska. Pierwszy transport liczył 24 klacze i 18 źrebiąt¹⁸. Razem z końmi został przeniesiony hodowca i przyszły dyrektor michałowskiej stadniny, Ignacy Jaworow-

¹⁵ D. Kopertowska, *Nazwy miejscowe województwa kieleckiego. Nazwy miast i wsi, nazwy części miast i wsi oraz nazwy alei, placów, ulic i osiedli*, Kraków 1984, s. 27.

¹⁶ *Kroniki kościelne za lata 1400–1600* [dokumenty przechowywane w Archiwum Parafii pod wezwaniem Św. Wawrzyńca w Michałowie] [k.b.p.].

¹⁷ Tamże.

¹⁸ <http://michalow.ariabians.pl/pl/historia/stadnina-body.php> [29.12.2013].

ski¹⁹ (funkcję dyrektora pełnił do czasu przejścia na emeryturę w 1997 r.). Za liczne zasługi i w wyrazie wielkiego uznania dla jego wybitnych osiągnięć w zakresie hodowli zwierząt, a także z wdzięczności za wieloletnią współpracę Akademia Rolnicza w Krakowie²⁰ nadała Ignacemu Jaworowskiemu tytuł doktora honoris causa. I to właśnie on jest dla mieszkańców i pracowników tutejszej stadniny autorytetem, wzorem godnym naśladowania. To właśnie I. Jaworowski rozstawił miejscowość nie tylko w kraju, ale i za granicą.

Krajobraz kulturowy gminy jest bardzo urozmaicony, kształtują go zarówno obiekty architektoniczne, jak również kulturowe tradycje i obrzędy, związane z rokiem kościelnym. Wśród zasobów środowiska kulturowego gminy Michałów możemy wymienić takie obiekty jak: kościoły, domy, budynki gospodarcze, które zostały na trwałe wpisane do rejestru zabytków.

¹⁹ Jaworowski Ignacy (1924–2004) urodzony we Wrońskach, powiat Płońsk, w rodzinie ziemiańskiej. Maturę zdał na tajnych kompletach w Warszawie, gdzie ukończył podchorążówkę i równocześnie dwuletnią szkołę rolniczo-ogrodniczą. Po maturze odbył półroczną praktykę zawodową u Wolskich w Dańkowie, gdzie brał czynny udział w akcjach Armii Krajowej. Tam też po raz pierwszy zetknął się z końmi wyścigowymi i z trenerami z Toru Wyścigowego w Warszawie. W chwili wybuchu Powstania Warszawskiego należał do Pierwszego Pułku Strzelców Konnych Batalionu Kiliński, oddział Zagrobla. Walczył w Śródmieściu, między innymi bronił Hali Mirowskiej. Pod koniec Powstania, ciężko chory, trafił do obozu w Pruszkowie, skąd został wywieziony w okolice Tarnowa. Po wyzwoleniu został przyjęty na II rok SGGW – na Wydział Rolny, na którym w 1948 r. ukończył studia zdobywając tytuł magistra ze specjalnością hodowla koni. Po studiach zaliczył praktykę w Stadninie Koni Racot, a następnie został oddelegowany do Stadniny Koni Posadowo, gdzie po raz pierwszy spotkał się z dyrektorem Andrzejem Krzyształowiczem i końmi czystej krwi arabskiej. Z Posadowa, razem z końmi, transportem kolejowym przyjechał do Stadniny Koni Janów Podlaski, gdzie pracował do 18 grudnia 1951 r. Stamtąd trafił do Stadniny Koni Klemensów (koło Zamościa), Ordynacji Rodziny Zamojskich – na stanowisko zastępcy dyrektora. W 1953 r. przyjechał do Stadniny Koni Michałów na kielecczyźnie, którą prowadził przez 44 lata. Przez te lata sześciokrotnie powiększył stan matek w stadninie – do ponad 120 klaczy. Wyhodowany przez Jaworowskiego typ „michałowskiego araba” znalazł wielkie uznanie wśród hodowców i miłośników tej rasy w Polsce i na całym świecie. W 1991 r. hodowcy amerykańscy przyznali dyrektorowi Ignacemu Jaworowskiemu „Oskara hodowlanego” – wyróżnienie dla najlepszego zagranicznego hodowcy koni czystej krwi arabskiej. Dyrektor Jaworowski uratował też od zapomnienia taranty, hodując konie tej maści od momentu przyjazdu do Michałowa. W uznaniu zasług otrzymał wiele innych wyróżnień, m.in. Srebrny Krzyż Zasługi (1964), Złoty Krzyż Zasługi (1974), Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski (1984), Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski (1997), Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski (2000) oraz szereg odznaczeń powstańczych. Dla nas, Jego najbliższych współpracowników, był zawsze wzorem uczciwości, prawości i patriotyzmu, człowiekiem, którego wpływ na hodowlę polską i światową był olbrzymi. U. J. Białobokowie, *Ignacy Jaworowski in memoriam*, „Konia Polski” 2004, nr 10, s. 4.

²⁰ Obecny Uniwersytet Rolniczy im. Hugona Kołłątaja.

W jednej z okolicznych miejscowości Węchadłów tejże gminy zachował się zespół dworski, w którego skład wchodzi: dwór, murowany z końca XIX w. (ok. 1894 r.) – wcześniej dwór służył za siedzibę szkoły podstawowej, obecnie jest opuszczony; kaplica p.w. Serca Jezusowego, murowana z inskrypcją ma ścianie południowej: „Kaplica p.w. Serca Jezusowego budowana przez Sejmik Pińczowski dla Węchadłowa w 1927 r.” oraz park geometryczny z XVI w., częściowo przekomponowany na krajobrazowy w XIX stuleciu. Zbór ariański w Węchadłowie wzniesiony został w XVI w. przez rodzinę Górskich, ówczesnych właścicieli Gór i Węchadłowa. Budynek jest niewielki, umiejscowiony na planie prostokąta, składający się z kilku izb. W południową elewację wmurowano kamienną płytę z herbem Odrowąż oraz napisem „Anno Domino”, a w XIX w. przebudowano go z przeznaczeniem na lamus dworski. Pod budynkiem znajduje się sieć dawnych tuneli, o których w okolicy powstało wiele ciekawych historii. Obecnie obiekt nie jest użytkowany²¹.

Miejscowość Góry może także poszczycić się wieloma zabytkami. Należy do nich zespół dworski, położony w południowym krańcu wsi (zabudowania dworskie powstały w II połowie XVII w., a na mapach pojawiły się na początku wieku XIX). Jego właścicielami była rodzina Dembińskich. Ignacy Dembiński – chorąży krakowski, był posłem na Sejm Czteroletni. Ostatnim właścicielem dworu był zaś Józef Dembiński. Stary dwór był miejscem kulturowania tradycji narodowych. W 1863 r. przebywał w nim generał Marian Langiewicz. Pod koniec XIX w. w miejsce starego dworu wybudowano pałac. Z kolei kościół budowany lub przebudowany został ze zboru kalwińskiego w 1764 r. W latach 1912–1913 rozbudowany został ku wschodowi i gruntownie odnowiony. Plebania zbudowana została ok. 1910 r., a murowana kaplica grobowa rodziny Dembińskich w stylu klasycystycznym znajdująca się na cmentarzu poza wsią, zbudowana została w 1839 r., a wyremontowana ok. roku 1985²².

Wśród zabytków środowiska kulturowego na terenie Michałowa wyróżnia się zespół kościoła parafialnego pod wezwaniem Św. Wawrzyńca w skład którego wchodzi: kościół murowany (1852–1853), kostnica murowana z XIX w., ogrodzenie z bramą z tego samego okresu oraz plebania, także murowana, datowana na początek XX stulecia. W Michałowie zobaczyć można

²¹ <http://www.bip.michalow.pl/pliki/strategiarozwoju> [2.01.2014].

²² Tamże.

również pozostałości parku przy domu zarządcy majątku Dembińskich. Pozostały tam lipa szerokolistna i kilka jesionów. Obecnym użytkownikiem parku jest Państwowa Stadnina Koni²³. Murowana szkoła – obecnie państwowe przedszkole – wzniesiona w roku 1903²⁴ oraz młyn, obecnie nie użytkowany, z ok. 1930 r.²⁵

* * *

Polska zostając członkiem Unii Europejskiej wniosła swoją odrębność kulturową, która jest naszym dziedzictwem i nie może ulec zapomnieniu. To właśnie na pracownikach instytucji kultury, nauczycielach i rodzicach spoczywa obowiązek zapoznania dzieci i młodzieży z kulturą przodków. Należy więc rozbudzić w najmłodszych szacunek, a także dumę z tego, co dokonały poprzednie pokolenia dla michałowskiego regionu, a co podkreśla jego indywidualną tożsamość. Aby młody człowiek zaakceptował siebie i własne środowisko kulturowe, powinien poznać dziedzictwo swojego regionu. To sprawia, że nabiera on szacunku dla najbliższych, dla ludzi zamieszkujących te tereny. Młodzi muszą mieć świadomość, że region, to nie tylko kraina geograficzna, historyczna oraz kulturowa, ale również określone dziedzictwo pokoleń, a także przestrzeń życiowa współobywateli. Dlatego w działalności informacyjnej biblioteki, (której jestem pracownikiem) dużo miejsca zajmuje problematyka lokalna i regionalna. Można by rzec, że zainteresowanie dziejami regionu i jego popularyzacja na zawsze wrosła już w zadania naszej publicznej ksiąźnicy²⁶. Instytucje takie jak biblioteki zobligowane są bowiem do gromadzenia materiałów związanych z regionem, otaczając je szczególną opieką, rozbudzają zainteresowanie, zaciekawienie czytelników, mieszkańców najbliższą okolicą. To z myślą o użytkownikach, a zwłaszcza tych najmłodszych, biblioteki publiczne pozyskują odpowiednią literaturę, tworzą kartoteki regionalne oraz wskazują miejscowym i przybyszom miejsca godne uwagi. Pracownicy biblioteki w Michałowie organizują warsztaty z udziałem regionalnych twórców ludowych, na przykład z rzeźbiarzami,

²³ K. Kutrzebianka, *Katalog zabytków sztuki w Polsce. Powiat pińczowski*, z. 9, pod red. J. Łozińskiego, B. Wolff, Warszawa 1961, s. 44–45.

²⁴ Tamże, s. 44–45.

²⁵ Tamże.

²⁶ J. Błaszczuk, *Region i regionalizm w działalności bibliotek*, „EBIB” 2004, nr 4, s. 1, [http://www.ebib.pl/2008/95/a.php?blaszczuk \[2.01.2014\]](http://www.ebib.pl/2008/95/a.php?blaszczuk [2.01.2014]).

garnarczami, czy malarzami. Zapraszają wybitne osobowości pochodzące nie tylko z gminy Michałów, ale i okolicznych miejscowości między innymi Adama Ochwanowskiego²⁷, Zdzisława Kulisia²⁸, Andrzeja Kozere²⁹ i innych.

Niezwykle ważną płaszczyzną jest edukacja regionalna młodego pokolenia. Dla niego najlepszym źródłem wiedzy o przeszłości są miejscowe zabytki, muzea, archiwa różnych instytucji. Nie można pominąć kronik parafialnych, gminnych, bibliotecznych, szkolnych, czy cennych pamiątek znajdujących się w prywatnych rękach. Mogą to być także podręczniki czy prasa regionalna.

Oprócz zabytkowych obiektów tym, co pozwala nam się identyfikować z naszą „małą ojczyzną” jest dziedzictwo kulturowe: historia, tradycja, folklor, język. Więż z regionem jest niezwykle ważna. Mieszkańcy Michałowa pielęgnują swoje tradycje regionalne, co widać przy okazji różnych świąt religijnych i uroczystości państwowych³⁰. Największy wkład w pielęgnację tych tradycji mają organizacje pozarządowe takie jak: Ochotnicze Straże Pożarne i Koła Gospodyń Wiejskich działające w naszej „małej ojczyźnie”.

Działalności Ochotniczych Straży Pożarnych (OSP) od wielu lat ukierunkowana jest nie tylko na ratownictwo, ale także na rozwój całej społeczności lokalnej. Przejawia się ona w rozwijaniu i upowszechnianiu kultury, sztuki, ochrony dóbr kultury oraz tradycji. Od blisko 80 lat straż z Michałowa uczestniczy w życiu kulturalno-oświatowym regionu. Bierze czynny udział w obchodach świąt państwowych, kościelnych i lokalnych. Zaangażowanie druhów-strażaków widzimy w obchodach Bożego Ciała. Oddelegowują oni poczet sztandarowy, który uczestniczy w procesji eucharystycznej

²⁷ Adam Ochwanowski (ur. w 1952 r.), poeta, działacz kultury. Debiutował na łamach „Słowa Ludu” w 1974 roku. Wydał m.in. tomiki: *Dotyk Madonny*, *Północ* (nominowany do Paszportów „Polityki”), *Dopóki żyją matki*, *Ostatni seans z Julią*, *Śpij kolędo śpij*, *Siedem grzechów głównych*, *Półki co...*, *Oswajanie świtu*. Przez 15 lat mieszkał w USA, powrócił jednak na rodzinne Poni-dzie, gdzie w spokoju tworzyć może utwory liryczne. Od 20 lat regularnie publikuje wiersze na łamach „Twórczości”. Zawodowo związany jest z Samorządowym Ośrodkiem Dziedzictwa Kulturowego Poni-dzia Wielopolskich w Chrobrzu. *Adam Ochwanowski*, <http://swietokrzyskie.regiopedia.pl/wiki/adam-ochwanowski> [16.01.2014].

²⁸ Zdzisław Kulisz (ur. w 1940 r.), poeta, fotograf, pochodzący z Donos. Animator kultury tej miejscowości. Utwory jego były publikowane w „Głosie Proszowickim”, „Echu Dnia”, „Biuletynie Informacyjnym Rady Miasta i Gminy Kazimierza Wielka”, „Tygodniku Poni-dzia” i „Angorze”. *Zdzisław Kulisz – poeta, regionalista*, „24 IKP.PL. Internetowy Kurier Proszowicki”, http://www.24ikp.pl/skarby/ludzie/zwykli/kulis_zdzislaw/art.php [16.01.2014].

²⁹ Andrzej Kozera (ur. w 1951 r.), artysta – malarz, rzeźbiarz, pieśniarz, poeta, animator kultury.

³⁰ A. Kidacka, *Nasze dziedzictwo kulturowe*, „Kwartalnik Czudecki” 2003, nr 2, s. 27.

do czterech ołtarzy, niosąc baldachim i sztandary. Jak co roku druhowie jednostki pełnią wartę przy Grobie Pańskim. Jest to wieloletnia tradycja podtrzymywana przez michałowskich strażaków, nawiązująca do pilnowania grobu Chrystusa przez rzymskich żołnierzy. Swoją posługę druhowie pełnią od Wielkiego Piątku, poprzez Wielką Sobotą, aż do mszy rezurekcyjnej, po czym towarzyszą w uroczystej procesji rezurekcyjnej, figurze Chrystusa Zmartwychwstałego. Tradycyjnie 11 listopada strażacy biorą udział w uroczystościach kościelnych, związanych z rocznicą odzyskania niepodległości. Po liturgii delegacja druhów wraz z pocztem sztandarowym udaje się do pobliskiego Pińczowa, aby złożyć wiązanekę przy pomniku Konstytucji 3 Maja.

Należy również wspomnieć o obchodach Dnia Strażaka, przypadającego na dzień 4 maja. W dniu św. Floriana – patrona strażaków, uczestniczą oni we mszy św., po czym krokiem defiladowym przechodzą na plac przed remizą, gdzie biorą udział w uroczystym apelu. Tradycyjnie od wielu lat uroczystość zwieńczona jest pieczeniem kiełbasek i „wiejską potańcówką”, organizowaną przez druhów dla całej michałowskiej (i nie tylko) społeczności. W celu zaktualizowania działań na rzecz lokalnej społeczności, straż organizuje raz w roku, 10 sierpnia, w dniu św. Wawrzyńca, zabawę taneczną, związaną z odpustem przypadającym w parafii. Ponadto, co roku odbywają się konkursy dla dzieci i młodzieży o tematyce pożarniczej, a także zawody sportowo-pożarnicze, w których udział biorą wszystkie drużyny strażackie z gminy.

W wielu małych miejscowościach Koła Gospodyń Wiejskich (KGW) są czasem jedyną formą aktywności społecznej. Ich działalność skupia się na podtrzymywaniu ciągłości lokalnych tradycji i zwyczajów. Podobnie rzecz się ma w Michałowie, gdzie członkinie koła są współorganizatorami wielu imprez lokalnych, takich jak dzień kobiet czy dożynki. Członkinie koła przygotowują smaczne potrawy, prezentują wykonane przez siebie haftowane obrusy, czy robione na szydełku serwetki. Rękodzieła te wykorzystywane są do promocji gminy podczas rozlicznych imprez. Oprócz uroczystości świątecznych członkinie KGW biorą udział w uroczystościach kościelnych: procesji Bożego Ciała, procesji rezurekcyjnej, czy procesji z okazji odpustu parafialnego. W czasie procesji gospodynie niosą figurki, feretrony³¹ oraz obrazy

³¹ Feretron jest obustronnie namalowanym, przenośnym obrazem o charakterze religijnym, posiadającym ozdobne ramy.

z wizerunkiem Matki Boskiej, trzymają wstążki odchodzące od poduszek. Podczas tych uroczystości członkinie koła ubrane są odświętne stroje. Nasz region i okolice nie posiadają własnego stroju ludowego, dlatego koło występuje w tych dniach w tradycyjnym stroju świętokrzyskim. Ludowy ubiór kobiety w rejonie świętokrzyskim składa się białej koszuli, u której kołnierzyk i mankiety zdobione są haftem krzyżkowym z geometrycznymi motywami oraz z wełnianego gorsetu wiązanego czerwoną wstążką, wełnianej pasiastej spódnicy przepasanej zapaską oraz z chustki na głowę. Uzupełnieniem stroju jest sznur czerwonych koralików oraz skórzane trzewiki. Tradycyjnymi elementami stroju męskiego są: biała koszula, u której kołnierzyk związany jest czerwoną tasiemką, spodnie sukienne wpuszczone w buty z cholewkami, lejbi³² lub sukmana³³ oraz maciejówka³⁴.

Na podstawie własnych doświadczeń i obserwacji muszę też wspomnieć o zwyczaju splotania wieńca dożynkowego. Wieniec stanowi podziękowanie Bogu za zebrane plony. Tradycyjnie wieniec dożynkowy ma kształt korony o pięciu ramionach. Każde ramię wykonane jest z jednego rodzaju kłosów zbóż, jakie są uprawiane na naszych ziemiach. Aby upleść taki wieniec, grupa mieszkańców w ciągu ok. miesiąca, wspólnymi siłami tworzy to „dzieło”. W czasie spotkań powstają także przyśpiewki. Są one później prezentowane przez gospodynie i gospodarzy podczas przekazania wieńca gospodarzowi dożynek.

Ważne jest, że poprzez różne formy i metody pracy dydaktycznej młodzież z Michałowa ma możliwość zapoznania się z kulturą, tradycjami i obrzędami swojego regionu. Dla młodszych mieszkańców gminy organizowane są warsztaty i konkursy związane z tradycjami świątecznymi. W grudniu tradycyjnie organizowane jest spotkanie opłatkowe, wspólne kolędowanie, oglądanie jasełek przedstawianych przez dzieci oraz uczestnictwo w konkursie na najładniejszy stroik bożonarodzeniowy. Nadejście wiosny i okres Wielkanocny, to dla nas bibliotekarzy czas przedstawienia i przypomnienia młodym ludziom wielu tradycji i obrzędów, takich jak na przykład topienie Marzanny. To czas uczestnictwa w konkursach na najładniejszą

³² Lejbik to krótka wełniana kamizelka, wierzchnie okrycie kawalera.

³³ Sukmana stanowiła męskie okrycie wierzchnie uszyte z sukna samodzielnego, długie do kostek lub kolan, rozszerzane poniżej pasa, z długimi do nadgarstków rękawami, dopasowane na piersiach.

³⁴ Maciejówka – czapka z daszkiem.

palme czy pisanekę. Uwieńczeniem przeżywania świąt są organizowane kiermasze ozdób wykonywanych wspólnie przez różne pokolenia mieszkańców miejscowości i gminy. Warsztaty te zapoznają uczestników z bogactwem i różnorodnością tradycji, uczą tolerancji i szacunku dla innych kultur, a także przygotowują do aktywnego uczestnictwa w życiu artystycznym w oparciu o głęboką świadomość roli jaką na przestrzeni dziejów odgrywa tradycja.

Szczególna rola w pielęgnowaniu dziedzictwa kulturowego przypada władzom gminy, które czuwają nad życiem kulturalnym miejscowości. Organizują i współfinansują uroczystości o zasięgu gminnym, na przykład dożynki, uczestniczą w imprezach gmin oraz patronują wielu ogólnopolskim akcjom na przykład Wielkiej Orkiestrze Świątecznej Pomocy.

Edukacja regionalna spełnia wiele istotnych funkcji i dlatego nie powinniśmy z niej rezygnować. Dzięki niej młodzi ludzie mogą wykształcić w sobie postawy tolerancji, otwartości i poszanowania innych kultur. Jednocześnie, będąc dumnymi ze swojej „małej ojczyzny” i przywiązani do niej. Przez to, być może, nie będą ślepo i bezrefleksyjnie podążać za kulturą masową i zachodnimi trendami.

Zwrócenie przez księżnicę uwagi na problematykę regionalną daje możliwości zainteresowania mieszkańców zagadnieniami, z którymi są związani. Wiedza o dziejach regionu, pozwala dostrzec w lokalnej zbiorowości jednostki przywódcze i twórcze. Ludzi o nieposzlakowanej opinii, wybitnych zasługach, dających przykład postaw patriotycznych, społecznych i obywatelskich.

W Polsce aż siedem miejscowości nosi nazwę Michałów, ale tylko ta jedna miejscowość, znajdująca się w powiecie pińczowskim województwa świętokrzyskiego znana jest nie tylko w kraju, ale i na całym świecie, głównie ze wspaniałej stadniny koni. Stadnina stanowi chlubę miejscowości, regionu, województwa, a nawet kraju. A skoro już posiadamy taką wspaniałą wizytówkę, jaką jest michałowska stadnina, to do nas mieszkańców, należeć powinno kultywowanie tradycji i historii naszej miejscowości i zachęcanie przyjezdnych, aby zechcieli uczestniczyć nie tylko w oferowanych przez stadninę atrakcjach, ale przy okazji zwiedzili naszą „małą ojczyznę”. Poznali jej dzieje, zabytki, atrakcje przyrodnicze i walory turystyczne oraz nietuzinkowych ludzi, którzy swoją przeszłość związali z Michałowem.

Halina Biały – absolwentka Wydziału Humanistycznego Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach (Informacja Naukowa i Bibliotekoznawstwo), doktorantka UJK, pracownik Gminnej Biblioteki Publicznej w Michałowie. Zainteresowania naukowe: historia społeczno-gospodarcza Królestwa Polskiego drugiej połowy XIX i początku XX w., historia książki i prasy drugiej połowy XIX i początku XX w.

MICHAŁ ADAM PAJĄK
Muzeum im. Antoniego hr. Ostrowskiego
w Tomaszowie Mazowieckim

TAM GDZIE BIJĄ LUBOCHEŃSKIE DZWONY

Od najmłodszych lat przedmiotem mojego zainteresowania była kultura ludowa regionu rawsko-opoczyńskiego. W 2004 r. zacząłem zbierać z mojego punktu widzenia cenne, stare przedmioty, używane niegdyś na wsi. Dokładnie pamiętam jak 14 lutego tegoż roku, a był to początek ferii, rozpocząłem gromadzenie zbiorów. Najpierw odbyłem wędrowkę po rodzinnych gospodarstwach, gdzie znajdowałem na strychach i schowkach interesujące mnie przedmioty. Z czasem odważyłem się zachodzić do znajomych, a w końcu do nieznanym. Obfite zbiory sprzętów gospodarstwa domowego, tkanin, serwetek oraz elementów strojów ludowych dokładnie skatalogowałem i stworzyłem na strychu swojego domu prywatne muzeum etnograficzne.

W tym samym czasie zainteresowałem się literaturą ludową, chętnie też oglądałem ekranizacje powieści o tematyce wiejskiej, np. *Chłopi*, *Noce i dnie* itp. To wszystko pogłębiało moje zainteresowanie losem chłopów, ich życiem na XIX-wiecznej wsi. Swoje zbiory postanowiłem zaprezentować. Zorganizowałem w Gminnej Bibliotece Publicznej w Lubochni wystawę etnograficzną pt. „Od lnu i wełny do tkaniny”, która cieszyła się ogromnym powodzeniem wśród mieszkańców gminy i okolicznych miejscowości, gdyż przypominała ludziom o zajęciach, które dawniej wyznaczały rytm życia wiejskiej społeczności. Prywatnego zbioru zabytków etnograficznych pozazdrościłoby nie jedno muzeum, gdyż kolekcja liczy w chwili obecnej około 3500 obiektów z terenu gminy Lubochnia. Śmiem tak twierdzić, ponieważ posiadam wiedzę o liczebności zbiorów etnograficznych w muzeach województwa łódzkiego. Wystawa przyciągnęła uwagę ludzi dzięki

przemysłanej aranżacji. Znakomicie prezentował się szczególnie warsztat tkacki oraz kolekcja ludowych samodziiałów tkanych różnymi sposobami, nawet w kilka nicielnic. Wszystkie stroje ludowe zaprezentowane na wystawie, pochodzące z różnych okresów XIX i XX w., stały się dopełnieniem – jako ostateczne „produkty” powstałe z naturalnych surowców. To właściwie dzieła sztuki, choć nigdy niedocenione jako takie. Obecnie zainteresowany jestem przedmiotami sakralnymi. Jesienią 2013 r. przeprowadziłem badania terenowe na terenie gminy Lubochnia, celem których było pozyskanie nowych, unikatowych zabytków do zbiorów, z których niebawem powstanie stała ekspozycja etnograficzna w Lubochni.

Na wystawie w 2004 r. moją pasją zainteresowała się nauczycielka języka polskiego Publicznego Gimnazjum w Lubochni, która prowadziła teatr. Nie zastanawiając się ani chwili, zaczęliśmy współpracować ze sobą, poprzez wspólne działania w teatrze. Jak ten czas szybko mija...

Chciałbym skoncentrować się właśnie nad moją działalnością w teatrze gdyż w 2013 r. obchodzony był jubileusz 10-lecia Teatru Młodych im. Wojciecha Bogusławskiego w Lubochni. Z kolei w 2014 r. minie 10 lat mojej w nim działalności. Teatr zajmuje ważne miejsce w moim życiu, pozwala mi realizować pasję, występować na scenie i spotykać wspaniałych ludzi.

Kilka słów o Teatrze

Teatr powstał w październiku 2003 r., z inicjatywy ks. Piotra Skibiniewskiego i Anny Skonecznej – nauczycielki języka polskiego w gimnazjum. Należą do niego utalentowani uczniowie szkoły podstawowej, gimnazjum, młodzież, a od 2008 roku również grupa dorosłych mieszkańców naszej gminy starszego i średniego pokolenia. Działalność teatru rozpoczęła się od przygotowania montażu poetycko-muzycznego z okazji 25-lecia pontyfikatu Jana Pawła II, który został zaprezentowany w kościele parafialnym w Lubochni. Pochlebne opinie stały się bodźcem do dalszej pracy. Z czasem zaistniała potrzeba nadania grupie teatralnej nazwy nawiązującej do tradycji naszego regionu. W związku z faktem, iż od 1826 r. przez kilka lat mieszkał na terenie naszej gminy wraz z żoną Wojciech Bogusławski – ojciec teatru polskiego, który za zasługi dla sceny narodowej otrzymał w darze folwark rządowy o nazwie Jasień. Do teatru w Warszawie dojeżdżał „dryndulką na czterech resorach”. Po śmierci Bogusławskiego, Jasień pozostał w rękach jego żony Augusty, która gospodarowała w nim przez kolejne 30 lat, a po śmierci

została pochowana na lubocheńskim cmentarzu parafialnym. Dla uczczenia postaci wybitnego rodaka, opiekunowie teatru uznali, że najbardziej odpowiednia będzie nazwa „Teatr Młodych im. Wojciecha Bogusławskiego”.

Dorobek teatru jest niezwykle bogaty. Należy wymienić choćby niektóre przedstawienia: *Dziady cz. II* Adama Mickiewicza, sztuki pt. *Pamiętajcie o ogrodach*, *Opowieść o człowieku zwanym Aniołem Dobroci*, *Chrystus połamany* inscenizację fragmentu powieści *Chłopi* W. S. Reymonta, a także programy kabaretowe *Wieś w krzywym zwierciadle*, *Wiosenny zawrót głowy*. Ponadto tworzymy oprawę artystyczną uroczystości religijnych oraz patriotycznych jak np. odsłonięcie pomnika Marszałka Józefa Piłsudskiego w Lubochni. Teatr niejednokrotnie prezentował Gminę Lubochnia na Powiatowych Spotkaniach Noworocznych w Tomaszowie Mazowieckim. Dwukrotnie uczestniczyliśmy w Międzywojewódzkim Sejmiku Teatrów Wsi Polskiej w Ożarowie. W styczniu 2011 r. nasz zespół został zaproszony przez Wspólnotę Polaków z Linz w Austrii do zaprezentowania lubocheńskiego wesela podczas uroczystości polonijnej. Od czerwca 2008 r. teatr funkcjonuje przy Gminnym Ośrodku Kultury w Lubochni. Nakładem tej instytucji ukazał się folder, prezentujący teatr w poezji Janiny Schab, autorki scenariuszy widowisk obrzędowych i aktorki teatru. Teatr realizuje przedsięwzięcia związane z różnorodną tematyką, ale największe sukcesy przyniosły mu widowiska *Jasio sie żyni* i *Żniwa jakich młodzi nie widzieli*, w których wykorzystuje tematyką obrzędową i folklor słowny.

Moja wspianała życiowa przygoda rozpoczęła się we wrześniu 2004 r., kiedy to podjąłem naukę w I klasie Publicznego Gimnazjum w Lubochni, wtedy to Pani A. Skoneczna poprosiła naszą klasę o wystawienie na deskach teatru II części *Dziadów* Adama Mickiewicza. Z wielkimi obawami podjęliśmy się tak zacnego dzieła. Na lekcjach języka polskiego zostaliśmy podzieleni na kilka grup, którym przydzielono obowiązki przygotowania sztuki. Przypominam sobie jak szyliśmy kostiumy z bibuły i piór dla aktorów odgrywających rolę ptaków. Długie jesienne wieczory nadały się idealnie do tego twórczego działania. Pamiętam gromadzenie starych przedmiotów i ubrań wykorzystanych do przedstawienia np. kożuchy, chusty do odziewu. Próby odbywały się w zaniedbanej, nie ogrzewanej sali Ochotniczej Straży Pożarnej. Widok był straszny. Pomieszczenia zawałone starymi meblami, które świetnie nadały się na opał – do ogrzania budynku podczas spotkań. Po wielkich pracach porządkowych, zawieszeniu zasłon i firan sala nabrała

ciepłego klimatu. Premiera odbyła się w listopadzie po czym *Dziady* wystawiliśmy kilkakrotnie. Już po tej sztuce ujawniły się talenty naszej klasy. Wiosną 2005 r. pani A. Skoneczna wpadła na pomysł wystawienia *Wesela Boryny z Chłopów* W. S. Reymonta. Przygotowania rozpoczęły się w maju, próby odbywały się po lekcjach na szkolnych korytarzach. Zostałem poproszony wówczas o stworzenie scenografii, dlatego, iż zbierałem od kilku lat stare przedmioty używane niegdyś w gospodarstwach wiejskich. Zabytkowe meble i narzędzia nadały się idealnie do stworzenia ludowej izby. Problem na tamte czasy stanowiło niejako pozyskanie elementów niezbędnych do wystawienia sztuki np. półczepiec, naczynia gliniane i haftowana pościel. Natychmiast ruszyliśmy w teren gdzie udało nam się uzupełnić brakującą scenografię. Haftowaną pościel i poduchy przywieźliśmy z Małcza od pani Józefy Olczak, półczepiec i garnki wypożyczyła nam pani Julia Grudzień z domu Hajdukiewicz z Nowego Olszowca. Inscenizacja *Wesela Jagny i Boryny* spotkała się z życzliwym przyjęciem, co stało się bodźcem do dalszej pracy.

Przedstawienia o tematyce ludowej zawsze wypełniały widownię po brzegi. Wydaję mi się, że mieszkańcy gminy spragnieni byli ludowości, której brakowało wtedy w Lubochni. Zaznaczyć należy, że w tamtym okresie działało tylko jedno Koło Gospodyń Wiejskich. Dziś jest o wiele więcej różnych grup i stowarzyszeń promujących kulturę ludową. Były to początki ponownego ubierania się młodzieży, a szczególnie dziewczyn, w stroje ludowe nie tylko na przedstawienia teatralne. W kolejnych latach brałem udział w kabaretach o wiejskiej tematyce, do których również przygotowywałem scenografię na bazie moich prywatnych zbiorów. Wiosną 2008 r. pani A. Skoneczna zaproponowała mi napisanie projektu i stworzenia lubocheńskiego wesela na bazie wspomnień i zebranych materiałów. Ponieważ wesele musiało być naturalnie – wielopokoleniowe, a Teatr dotychczas skupiał dzieci i młodzież, należało zaprosić do udziału starsze pokolenia mieszkańców gminy. Zorientowałem się w terenie, że należałoby zaprosić do udziału starszych mieszkańców Lubochni, którzy w latach 70-tych i 80-tych XX w. należeli do Zespołu Pieśni i Tańca Lubochnianie. Z taką propozycją wystąpiłem do około 60-ciu osób nie tylko z terenu naszej gminy. Kilkanaście osób wykazało zainteresowanie, po czym zaprosiłem ich na spotkanie organizacyjne do Gminnej Biblioteki. Znając ludzi starszych, zaproponowałem im role, w które się wcielili, pani Ania natomiast zajęła się obsadą młodzieży. W rolę pana młodego wcielił się Tomasz Grad natomiast kreację

pani młodej zaproponowałem Kasi Czechowicz, mojej kuzynce, która, jak się okazało, swoją urodą i wdziękiem oczarowała niejedną widownię i jury. Kolejnym etapem było tworzenie scenariusza. Wiele nieprzespanych nocy, ciągłego przepisywania gwary, spotkań z aktorami, którzy wzbogacali tekst kolejnymi przyśpiewkami, dało efekt końcowy w postaci scenariusza na 1,5 godzinne widowisko. Nad całością czuwała pani Janina Schab. Aktorzy przygotowali sobie stroje przechowywane w rodzinnych kufrach. Część osób na tę okoliczność, szyła sobie od podstaw stroje ludowe zamawiając je u specjalistów. Strój pani młodej jest bardzo stary, został подарowany przez panią Józefę Makowską z Emilianowa zaś strój pana młodego oraz ślubny czepiec został odtworzony na podstawie materiałów Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi.

Do Lubocheńskiego Wesela wszyscy aktorzy podeszli bardzo poważnie, z wielkim oddaniem tworzyliśmy scenografię oraz sprzątaliśmy nowo oddany Gminny Ośrodek Kultury. Przykładem może być nasze nocne konspiracyjne spotkanie, noc przed premierą *Wesela*, kiedy to grupa aktorów społecznie porządkowała sale GOK-u. Przypominam sobie jak na premierę widowiska nie mieliśmy nagłośnienia, wtedy to Zofia Czechowicz, jedna z głównych aktorek przyjechała do mnie około 6 rano, dzień przed premierą oczywiście i powiedziała: „Michał, musimy wziąć sprawy w swoje ręce”. Tak też się stało, po wczesnej rozmowie z Panią Anią zorganizowaliśmy sprzęt nagłaśniający. Kolejnym problemem był brak schodów na scenę. Za sprawą aktorki Zofii były one skonstruowane ze starych drewnianych belek. Przywiozła również donice pełne pięknych czerwonych pelargoni, płotki na których Zosia Drózdź powiesiła swoje kamienne garnki. Na wystrój sceny składał się kredens, stół i krzesła z toczonymi nogami, pajak na suficie, który zrobiła nam nieżyjąca już twórczyni ludowa Stefania Mielczarek z Małcza, obrazy oraz wyszywane obrusy i makatki. Wszystkie te szczegóły zaaranżowane przez nas wszystkich, w dużej mierze przyczyniły się do sukcesu nie tylko na konkursach, ale i w lokalnej społeczności. *Wesele Jasio sie żyni* wystawialiśmy kilkanaście razy, lecz każdy z nas to przyzna, że pierwsze przedstawienia były najlepsze i najwspanialsze. Czuło się wtedy innego ducha zaangażowanych ludzi, którzy oddali się całym sercem.

Zdobywając nagrody za widowisko *Wesela* zaczęliśmy się wspólnie zastanawiać, co należałoby wystawić na deskach Teatru, odwołując się do tradycji i obrzędowości. Głosy były różne. Jedni proponowali chrzciny

jako kontynuację Wesela, inni zaś obrzęd żniw. Wybierając żniwa trafiliśmy „w dziesiątkę”. Scenariusz pisany był na podstawie materiałów archiwalnych Muzeum w Tomaszowie Mazowieckim oraz osobistych wspomnień najstarszych mieszkańców gminy. Jak to już w zwyczaju, do widowisk obrzędowych tworzyłem scenografię i kostiumy. Starłem się wiernie odtworzyć klimat lat 30. XX w. w jakim ulokowana była akcja. Kobiety ubrane w lniane, zgrzebne koszule z nadołkiem, białe chustki na głowę oraz lniane koszule i portki mężczyzn, świetnie komponowały się na scenie przekształconej w pole dojrzałych kłosów. W *Żniwach* grałem wyzwolonego kosiarza, który jakbyśmy dziś powiedzieli musiał przejść chrzest. Kładłem się wtedy na bronie i starszy kosiarz, mój kolega Marcin bił mnie muśką. Oczywiście nie było to bolesne ponieważ pod kostium, włożyłem gazety, które po uderzeniu oddawały dźwięk razów. Niestety, pewnego razu występ ogłoszono wcześniej niż w było to planie, a że występowałem w pierwszej scenie i musiałem już wychodzić, zapomniałem włożyć gazety i troszeczkę bolało. Marcin zorientował się już po fakcie.

Po kilku występach stwierdziliśmy, że trzeba by postarać się o nową słomę do widowiska. Zorganizowaliśmy wtedy prawdziwe żniwa na polu w Jasieniu u Państwa Sochów, rodziców naszej pani Reżyser. Z kosami w autentycznych strojach przeprowadziliśmy żniwa jak za dawnych lat. Głównym kosiarzem był Władysław Wójciak, który sprawnie posługiwał się kosą. Za nim nasze aktorki podbierały żyto i wiązały w kopki. Po ustawieniu kilku kop, przygotowaliśmy sobie poczęstunek, tak jak to bywało po żniwach. Do dziś pamiętam zapach świeżego chleba i masła rozsmarowanego przez naszą panią Anię. Do późnego wieczora śpiewaliśmy ludowe piosenki i opowiadaliśmy dowcipy. Dla mnie osobiście było to bardzo wzruszające przeżycie. Zapach pola, śpiewające skowronki oraz wiejski pejzaż, przyczyniły się do ogromnego zachwyty ludowymi obyczajami.

Bardzo mile wspominam również kabaret przygotowywany na Ostatki w 2009 r. Wtedy można było zobaczyć jak ważny jest Teatr w życiu każdego z aktorów. Różne zdarzenia życiowe spowodowały że pani Ania nie mogła wtedy przejąć pieczy nad przygotowaniem przedstawienia więc wszyscy wzięliśmy się w garść i przystąpiliśmy do ułożenia scenariusza. Każdy był bardzo twórczy i dodał coś od siebie. Głównie były to anegdoty i żarty z terenu Lubochni, na czym opierał się nasz kabaret. Tworzenie scenariusza i próby były już same w sobie kabaretem, kiedy parodiowaliśmy lokalną

społeczność. Doskonały dobór ról sprawił, że publiczność dosłownie pękała ze śmiechu. Grałem wtedy księdza i nie zapomnę jak spowiadała się Halinka Konewka, której samo pojawienie się na scenie wywoływało salwy śmiechu na widowni.

Teatr zajmuje ważne miejsce w życiu kulturalnym wiejskiej społeczności gminy Lubochnia, uważam również, że nasz Teatr stał się wzorem i bodźcem do założenia innych grup kultywujących zwyczaje ludowe w naszej miejscowości. Z mojej inicjatywy powstał Młodzieżowy Zespół Pieśni i Tańca „Lubochnianie” w którym działałem ponad rok. Na terenie gminy działa Regionalne Koło Tańców Towarzyskich, Koła Gospodyń Wiejskich w Tarnowskiej Woli, Brenicy, Lubochenku, Glinniku, Mariance, Luboszewach oraz Lubochni. Od 2007 r. odtwarzam stroje ludowe na potrzeby teatru, Kół Gospodyń Wiejskich, czy też procesji eucharystycznych. Wszywam cekinami i koralikami gorsety oraz szyję poszczególne elementy strojów.

Na koniec swoich rozważań i miłych wspomnień chciałbym przytoczyć słowa Stanisława Ossowskiego, który tak pisał:

„Ojczyzna należy do pojęć, które posiadają bardzo starą historię, kształtują w swoisty sposób nowoczesną kulturę i postawy społeczne jednostek. Bywa źródłem przeżyć emocjonalnych o najwyższym napięciu, motorem działań bezinteresownych czy przedmiotem wzruszeń zbiorowych. Jakiś obszar staje się ojczyzną tylko wtedy, gdy istnieje zespół ludzki, który odnosi się do niego w określony sposób i w określony sposób kształtuje jego obraz”¹.

Jestem szczęśliwy, iż zamieszkuje gminę Lubochnia, która leży w centralnej części pięknej Polski. Działalność w teatrze pozwoliła mi rozwijać się artystycznie, pogłębiać swoje zainteresowania kulturą ludową. Czuję się usatysfakcjonowany, że moja pasja została zrealizowana i przynosi wiele radości ludziom starszym, którzy mogą przenieść się wspomnieniami w lata dzieciństwa czy młodości, a dzieci i młodzież uczy się historii nawiązując do swoich korzeni.

Jako etnolog mogę stwierdzić, że przykład lubocheńskiego Teatru świadczy o tym, że tradycja ludowa nie musi być tylko na pokaz. Może być przede wszystkim czynnikiem decydującym o emocjonalnej więzi nas – aktorów i podstawą lokalnej tożsamości. Moja postawa oraz postawa obserwowanych przeze mnie aktorów Teatru Młodych im. Wojciecha Bogusławskiego

¹ S. Ossowski, *O ojczyźnie i narodzie*, Warszawa 1984, s. 26–27.

w Lubochni świadczy o tym, że inicjatywy związane z popularyzacją kultury ludowej są dla nas sposobem na rozwój zainteresowań, źródłem satysfakcji oraz okazją do budowania przyjaźni międzypokoleniowej. Przedstawienia obrzędowe przygotowywane są z wiernym odwzorowaniem tego jak żyli przodkowie. Poprawność noszenia strojów ludowych, tradycyjny wystrój izby regionalnej daje nam rzetelny obraz egzystencji ludzi na przełomie XIX i XX w.

Lubochnia, 15.11.2013 r.

Michał Adam Pająk – ur. 5 kwietnia 1991 r. w Tomaszowie Mazowieckim. Na stałe mieszka w gminie Lubochnia w pow. tomaszowskim. Od 2004 roku należy do Teatru Młodych im. Wojciecha Bogusławskiego w Lubochni, w którym występuje oraz przygotowuje scenografie do sztuk teatralnych. Wiosną 2007 r. reaktywował do życia Młodzieżowy Zespół Pieśni i Tańca „Lubochnianie”. Na stałe współpracuje z Gminnym Ośrodkiem Kultury w Lubochni, w charakterze konsultanta z działającymi Zespołami i Kołami Gospodyń Wiejskich. W 2013 r. ukończył studia I stopnia na Uniwersytecie Łódzkim – kierunek etnologia. Wiosną 2013 rozpoczął pracę w dziale etnograficznym Muzeum im. Antoniego hr. Ostrowskiego w Tomaszowie Mazowieckim.

EUGENIUSZ PĘDLOWSKI
Towarzystwo Miłośników
Ziemi Rudnickiej

REGIONALIZM Z WIKLINĄ W TLE

Regionalizm to dążenie do ożywienia życia kulturalnego i naukowego poszczególnych dzielnic kraju, przy zachowaniu ich odrębności kulturowych¹.

Jeśli można moje działania nazwać regionalizmem, to zaczęły się one od wędkarstwa w początku lat 60. ubiegłego wieku. Piękna, lecz kapryśna rzeka San, obok której mieszkam, była wówczas zanieczyszczona tak, że ryby chociaż żyły w niej, były niejadalne. Jeździłem więc po okolicy na różne starorzecza i tak coraz lepiej poznawałem własny region. Pracując na wsi, mogłem do zamiłowań wędkarskich dołączyć także myśliwskie. Zdobyte trofea zarówno wędkarskie jak i myśliwskie – samodzielnie oprawiałem i preparowałem. Nigdy nie byłem finansowym krezusem, za to manualnie (syn stolarza) byłem od dziecka bardzo sprawny. W tak zwanym realnym socjalizmie samodzielnie wykonywałem różne akcesoria wędkarskie. Mam je do dziś, w ilości kilkuset sztuk, wyeksponowanych w specjalnych gablotach. Obecnie nie musimy już wykonywać tych drobiazgów, za grosze kupimy je w wielu miejscach. Starsi wiedzą jednak, że w PRL-u wiele rzeczy wykonywało się samodzielnie.

Po 35 latach pracy zredukowano zatrudnienie w zakładzie, w którym pracowałem i wysłano, w wieku 55 lat, na emeryturę. Ze względu na dojazdy (wówczas brak samochodu) i inne uciążliwości łowieckie, przestałem polować, a większość czasu poświęciłem wędkarstwu. W Sanie woda stała się

¹ W. Kopaliński, *Słownik wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych*, wydanie trzynaste, Warszawa 1983, s. 360.

czysta, pojawiły się wydry, bobry i kormorany, a ryby stały się jadalne, chociaż jest ich obecnie naprawdę bardzo mało.

W wieku 60 lat przypadkowo zapisałem się do zakładanego właśnie Klubu Seniora w Rudniku nad Sanem. Klub miał rozpocząć działalność, ale lokum w starym przedszkolu było w opłakanym stanie. Poradziłem się mojego byłego ucznia (malarza) jak zabrać się za remont i z synem, przy współpracy kilku osób, dokonaliśmy dzieła odtworzenia lokalu. Praca była trudna, żmudna i brudna. Poprawiliśmy lepik na dachu, a we wnętrzu z synem pracowaliśmy ponad trzysta roboczogodzin. Było to szlifowanie, gruntowanie, szpachlowanie ścian, malowanie także okien i drzwi, montaż rozklekotanej 7 m. x 13 m. podłogi, cyklinowanie jej i czterokrotne lakierowanie, okładanie ścian płytami, przeróbki i montaż mebli, wykonanie kilku dużych plansz na korytarzach, różne prace dekoratorskie, itp. Do prac włączyło się kilku mężczyzn, a przy sprzątaniu kobiety dawały sobie radę znakomicie, jedna nawet oczyszczała i malowała wspólnie z mężczyznami naszą część przedszkola z zewnątrz. W ten sposób powstał lokal klubu, który składa się z dwóch dużych pomieszczeń, salki komputerowej, dużego i małego korytarza, pomieszczenia kuchennego i magazynka z sanitariatami.



*Fragment ekspozycji „myśliwskiej” w Klubie Seniora. Rudnik nad Sanem, wrzesień 2013.
Fot. E. Pędłowski*

W tym czasie urządziłem wystawę „Łowy wędką, fuzją i kamerą” w moim ostatnim miejscu pracy Specjalnym Ośrodkiem Szkolno-Wychowawczym w Rudniku, gdzie odwiedziło ją kilka klas uczniów z innych szkół naszego miasteczka. Wystawę tę przenieśliśmy następnie do Klubu Seniora, gdzie pozostaje do dziś jako stała ekspozycja. Tu także zwiedziło ją kilka klas i zainteresowani mieszkańcy Rudnika.



*Galeria zdjęć Eugeniusza Pędłowskiego w Klubie Seniora. Rudnik nad Sanem, wrzesień 2013.
Fot. E. Pędłowski.*

Rozwijałem zarzuconą od 35 lat pasję fotograficzną i brałem udział w foto-konkursach. W ciągu ostatnich pięciu lat otrzymywałem nagrody i wyróżnienia w konkursie powiatowym w Nisku „Cudze chwalicie, swego nie znacie”. Tematyka prac była różnorodna. W obiektywie utrwalałem piękno przyrody, architekturę starej wsi, zajęcia ludności, obiekty sakralne, wystawy i lokalne święta których jest coraz więcej. Na dysku komputera mam ok. 10.000 zdjęć.

Wystawiłem swoje prace fotograficzno-wędkarskie i kilka rysunków w Miejskim Ośrodku Kultury w Rudniku i Krzeszowie. Eksponowałem także w MOK w Rudniku artystycznie wykonane budki łęgowe, z których cztery zainstalowałem na swym budynku gospodarczym – ptaki korzystają z nich od wielu lat. W korytarzu klubu na planszach wystawiam nie tylko własne zdjęcia, ale także prace innych miłośników fotografii oraz portrety wykonane ołówkiem Zdzisława Męczeńskiego – akordeonisty i rysownika, którego zachęciłem do rysowania i eksponowania swoich dzieł. Z nim współpracuję także na płaszczyźnie muzyczno-wokalnej. Chociaż nie gram na żadnym instrumencie, zacząłem komponować piosenki na potrzeby klubu i na festiwal organizowany w Boguchwale „Seniorzy wciąż młodzi twórczo”. Tam prezentuję swoją twórczość słowa – wiersze i piosenki. Wystąpiłem trzykrotnie, zdobywając dwa wyróżnienia i trzecią nagrodę.

Z akordeonistą występujemy na różnych imprezach w Klubie Seniora, a nawet kilkakrotnie na lokalnych scenach, gdzie prezentuję własne wiersze lub piosenki. Nasz Klub Seniora współpracuje z Nizańskim Centrum Rozwoju, a ja biorę udział we wszystkich edukacyjnych i rekreacyjnych jego działaniach. W Klubie Seniora staram się wszelkie imprezy wzbogacać artystycznie, poprzez przygotowanie różnego rodzaju montażu słowno-muzycznych. Wraz z grupą kolegów i koleżanek współpracujemy z harcerzami i szkołami. Odnawiamy stary zwyczaj kołędowania, poprzez wystawianie inscenizacji w Klubie i odwiedzanie klubowiczów w ich domach. Razem uczestniczymy w występach, akademiach, w seansach filmowych oraz spotkaniach okolicznościowych w MOK i wernisażach w Centrum Wikliniarstwa. Nasz Klub jest jednym z najbardziej aktywnych na Podkarpaciu.

Od kilku lat należę do Towarzystwa Miłośników Ziemi Rudnickiej i jestem jednym z jego redaktorów kwartalnika „Przegląd Rudnicki” gdzie publikuję swoje utwory rymowane, prozę, czasem rysunki i zdjęcia. Jestem pasjonatem podróży na rowerze i staram się tę pasję reklamować także na łamach naszego kwartalnika. Oprócz rowerowych wycieczek po okolicy realizuję także kilkudniowe, podróżując z namiotem po Roztoczu, podkarpackim Pogórzu (pięciokrotnie), a nawet po Bieszczadach. Połowę tzw. ściany wschodniej Polski przejechaliśmy rowerami. Czasem podróżuję samochodem – najczęściej w Bieszczady, gdzie przez kilka lat przeszedłem najważniejsze piesze szlaki. Fascynacja Bieszczadami zrodziła dwie piosenki prezentowane kilkakrotnie na forum publicznym. Podróżuję często starym

motocyklem w Lasy Janowskie. Z tych podróży przywożę setki zdjęć, które eksponuję w Klubie. Urocze pejzaże, stare, chyże, wiekowe dęby, ustronne miejsca, wspaniałe karpackie, janowskie i rudnickie lasy. Zdjęcia, to moja nadzieja powrotu tam, ponownego kontaktu z nimi oraz fascynacja, która trzyma mnie przy życiu.

W Bieszczadach i najpiękniejszych miejscach Podkarpacia „bywam” prawie co tydzień oglądając niedzielny telewizyjny program *Odkrywanie Podkarpacia i Spotkanie z folklorem*.

Mam 18-arową posesję, na której rośnie dużo drzewek, 55-letni orzech-gigant oraz malwy, dziewanny, koguty, floksy, złocienie, lilie, dalie, ogórecznik, winorośle i powoje po płotach. Do podlewania roślin używam studni z 1923 r., a przy niej stoi stary, betonowy krąg do magazynowania wody. Pielęgnuję 48-metrową działkę warzywną. Nie przejmuję się, że posesja moja odstaje od przyjętych obecnie standardów mody ogródkowej. Jeśli tylko mogę odwiedzam wszystkie regionalne imprezy w okolicy, a najbardziej fascynują mnie odradzające się kapele ludowe i zespoły taneczno-wokalne w ludowych strojach. Zimą biegam na nartach po pięknych rudnickich lasach. Uczestniczyłem w biegu na 5 km w pobliskim Jarocinie, a w Ulanowie startowałem w biegach narciarskich nawet na 20 km Czasem, ale tylko nocą, ćwiczę po ulicach na łyżworolkach. Często jeżdżę rowerem po lesie, fotografuję i filmuję zwierzęta i ciekawe miejsca w kniejach. Staram się aktywnie wspierać wszelkie pozytywne działania, które organizuje się w naszym regionie lub przynajmniej popieram je swoją obecnością.

Myślę, że to, co odróżnia moje miasteczko i okolicę od reszty kraju, to wikliniarstwo. To nie tylko sztuka, ale także zajęcie, z którego utrzymuje się znaczna grupa ludzi. Mój dziadek utrzymywał rodzinę pracując jako koszykarz, ja od kilku lat także trochę pracuję w tej branży, a interesowałem się wikliniarstwem od wielu lat. Koszyki i wyroby z zielonych witek wierzby i nie tylko z wierzby, ludzie wyplatali w zasadzie zawsze i wszędzie. Ale wikliniarstwo na wyższym poziomie jako pierwsze (w naszym regionie) powstało prawdopodobnie w okolicach Przeworska, dzięki austriakiemu żołnierzowi, który trafił tam gdy jeszcze obowiązywała pańszczyzna i pokazał ludziom wiele ciekawych sposobów obróbki wierzby. W Wiedniu, już w XVI wieku, powstała pierwsza rzemieślnicza koszykarska gildia, a następnie prawdziwe koszykarskie szkoły.

Także Rudnik nad Sanem skorzystał z austriackiej myśli i dobrego serca². Hrabia Ferdynand Hompesch właściciel rudnickich dóbr – pomógł rudniczanom, widząc tu prawdziwą galicyjską nędzę. Otóż w 1872 r. wysłał pięciu młodych chłopców na naukę wikliniarstwa do Wiednia oczywiście na własny koszt. Już w 1878 r. założono w Rudniku pierwszą szkołę koszykarską. Setki ludzi wyuczyły się tu zawodu koszykarskiego. W 1919 r. szkołę koszykarską ze Lwowa przeniesiono do Rudnika. Wkrótce zamieniono ją na „Prasko-Rudnicką Fabrykę Koszykarską”. Była to jedna z największych baz wikliniarsko-koszykarskich w Europie. Rudnickie wyroby wędrowały w świat, a importowano wtedy bambus, trzcinę, rafię, jutę i inne surowce. Powstawały wówczas naprawdę piękne i różnorodne wyroby (meble w wielu odmianach, kosze, kasetki, tacki, wieszaki i różnorodna galanteria). Produkty meblarsko-koszykarskie sprzedawano w wielu krajach Europy i świata za pośrednictwem domów handlowych w Wiedniu i Pradze. Wyplataniem szybko zajęła się cała okolica i w ten sposób Rudnik stał się ośrodkiem wikliniarstwa, a dziś jest nieoficjalną (?) stolicą wikliniarstwa w Polsce.

Od 1919 r. działało na terenie Rudnika 12 firm eksportowych i 20 krajowych. Zarejestrowanych było 3000 warsztatów koszykarskich, a w tej branży pracowało ok. 15.000 osób (z nieletnimi). Handel koszykarstwem opanowali Żydzi, wywiązała się walka konkurencyjna, nastąpił spadek cen wyrobów wikliniarskich, co doprowadziło do strajków. Produkcja koszykarska była wykonywana systemem chałupniczym. Po upadku rządu Wincentego Witosa, ekspozytura państwowego syndykatu w Rudniku upadła.

W 1928 r. Lwowski Związek Producentów Wikliny założył w Rudniku swą ekspozyturę, która nie odegrała większej roli, ale założona spółdzielnia „Wierzba” przetrwała nawet okupację, jako producent materiałów wikliniarskich. Posiadała duże magazyny przy linii kolejowej. W 1936 r. rudniczanie utworzyli Spółdzielnię Wytwórców Koszykarskich (SWK). Stworzono statut spółdzielni i przystąpiło do niej nawet kilku Żydów, chociaż ta instytucja powstała, by przeciwstawić się ich dominacji. Jan Syrowatka – późniejszy prezes tej firmy – stanął na czele zarządu, a Robert Pawłowski na czele rady nadzorczej. Społeczność Rudnika nie wierzyła w powodzenie

² Fragment dotyczący historii Rudnika został opracowany na podstawie książki Zofii Chmiel i Zdzisława Chmiela, *Historia jednego miasta nad Sanem*, Rudnik 1998 oraz na podstawie *Pamiętnika* Jana Syrowatki (rękopis w posiadaniu Marii i Mariusza Lachowiczów).

spółdzielni i dlatego przystąpiło do niej tylko 40 członków, którzy wpłacili po 20 zł udziału. Działanie tych osób poparła Lwowska Izba Rzemieślnicza i Związek Izb Rzemieślniczych w Warszawie, co zaowocowało dotacją 1.000 zł. Spółdzielnia dobrze przysłużyła się okolicy. Jej celem była pomoc biednym chałupnikom, a nie najwyższy zysk. W obszernym pamiętniku Jana Syrowatki (który miałem w ręku) podane są liczby i przykłady ich działania. Skupując wyroby płacili średnio 30% więcej niż żydowscy i nieliczni polscy handlarze. Już w 1936 r. przy obrocie 30.000 zł wypracowali 1.500 zł zysku. Rok 1937 obrót 50.000 zł, w 1938 r. obrót 65.000 zł, w 1939 r. (do końca sierpnia) obrót 80.000 zł. Przed wybuchem wojny SWK liczyła 200 członków. Przedwojenne gazety („Chłopska Droga” i „Robotnik”) wielokrotnie i pozytywnie pisały o naszej SWK. Także kilka znanych postaci przedwojennej Polski interesowało się SWK, jako przykładem wspaniale prowadzonej polskiej działalności gospodarczej. Kupowano różnorodny surowiec za granicą, a ważnym dostawcą z terenu Polski był Nowy Tomyśl. We wrześniu 1939 r. Niemcy przejęli magazyny SWK z olbrzymimi zapasami surowca. Sumiennie je rozliczyli, dokonali wyprzedaży wyrobów wg. cen sprzed wybuchu wojny. Niestety, SWK zlikwidowali, a materiały otrzymała „Wierzbą”, która po wojnie wznowiła działalność i dobrze prosperowała. SWK wówczas nie mogła, z wielu względów, podjąć działalności, a J. Syrowatka, jako nauczyciel, nie mógł zająć się pracą w spółdzielni.

Obydwie te polskie firmy były konkurencją dla bardzo dobrze zorganizowanych firm żydowskich, które skupowały 70% wyrobów i miały kolosalne zyski kosztem chałupników. Zorganizowano wówczas trzy duże, choć mało skuteczne strajki. Podczas wojny koszykarstwo zaliczono do przemysłu wojennego i rudniccy koszykarze musieli pracować na potrzeby okupanta.

Po wojnie władze PRL pozwoliły na odbudowę wikliniarstwa w Rudniku. „Wierzbą” produkowała wiklinę, a nowopowstały zakład „Jedność” zajął się wyrobem przedmiotów. Szybko „Jedność” wchłonęła „Wierzbę”. W 1959 r. powstały Rudnickie Zakłady Przemysłu Terenowego (RZPT) pod kierownictwem Walentego Bengsza, który jednak odszedł wraz z grupą wikliniarzy do Nowego Tomyśla i tam kontynuowali działalność wikliniarską.

Wikliniarstwo znów, jak przed wojną, przeżywa renesans³. Powstała zakładowa wzorcownia, w której rodzą się całkiem nowe produkty wymyślane i tworzone przez najzdolniejszych pracowników. Zakładowa stolarnia i prywatni wytwórcy przerabiali znaczące ilości drewna na elementy szkieletów do różnych przedmiotów, nie tylko wikliniarskich. „Jedność” i RZPT rozbudowały i posiadały własne bocznicę kolejowe. Całe rodziny pracowały w tej branży, łącznie z urzędnikami („po fajrancie”). Legalni prywatni przedsiębiorcy-sprzedawcy, także robili co mogli, by sprostać zamówieniom i byli znaczącą konkurencją dla zakładów, które nie mogły wywiązać się z kontraktów. Ludność z okolicy napływała do Rudnika, powstawały nowe domy jak przysłowiowe grzyby... A wyroby koszykarskie z elementami tworzyw sztucznych odjeżdżały koleją do Europy Zachodniej i Północnej, do USA i Kanady, a samochodami po całej prawie Polsce.

Współpraca z przedsiębiorstwem „Las” doprowadziła do zmiany nazwy na „Wikplast-Las” zorganizowano własną bazę surowcową (1.500 ha). Bardzo operatywny dyr. Mieczysław Woźniak wybudował zakład wyrobów chemicznych w Ulanowie, przejął zakłady w Sieniawie, Tarnobrzegu i Zaklikowie. Przy „Wikplaście” powstała duża ekipa remontowo-budowlana, która miała sporo pracy nie tylko w swym zakładzie, ale wybudowała także dwa wielkie bloki mieszkalne, stadion sportowy, remontowała budowle użyteczności publicznej, a nawet budowała domy prywatne. Tu kończy się historia, a zaczyna współczesność.

Po upadku PRL-u nastąpiła zapaść w koszykarstwie, zaczyna się proces niszczenia budynków i likwidacja zakładów przez upadłość. Powstały jednak prywatne firmy, które do dziś skupują i znów wysyłają liczne wyroby, zwłaszcza na rynki zagraniczne. Nie są to jednak tak masowe działania jak przed wojną lub w latach 70. XX w. Także nadzwyczajny rozwój przemysłu chemicznego nie sprzyja już tak wielkiemu popytowi na wyroby wikliniarskie. W znacznym stopniu zmieniło się zapotrzebowanie odbiorców. Całkiem nowym produktem są wiklinowe płoty i różne ozdobne elementy upiększające posesje, a nawet wiklinowe trumny, które bodajże wszystkie idą na eksport.

³ Opracowując ten fragment korzystałem z relacji ustnych byłych pracowników „Wikplast-Las”.

Cieszę się, że wikliniarstwo ciągle „żyje” poszukuje nowych wzorów, chętnych ludzi i rynków zbytu. Z użytkowej produkcji wyłaniają się kierunki artystyczne, służące upiększaniu otoczenia i podnoszące atrakcyjność turystyczną. Przykładem może być właśnie Rudnik nad Sanem, gdzie oglądamy wiklinowe rzeźby wzmocnione konstrukcją drewnianą lub metalową. To pokłósie Międzynarodowego Pleneru Wikliny Artystycznej. Zaprojektowali je i wykonali polscy i zagraniczni artyści przy pomocy rudnickich rzemieślników. Ich trwałość na powietrzu jest ograniczona do kilkunastu lat, natomiast pod dachem do lat kilkudziesięciu. Obecnie są środki wydłużające znacznie ich trwałość, a nawet zapewniające odporność na ogień. Dowodem jest kunsztowne wykonanie elewacji polskiego pawilonu w Aichi w Japonii na Expo 2005⁴ oraz podobna praca w Abu Dhabi w Zjednoczonych Emiratach Arabskich⁵ przez firmę Delta z Rudnika. Obydwie te elewacje pozostawiono, choć inne pawilony rozebrano. Dla turystów to atrakcja i zapewne będą ozdobą przez długie lata. Są niepalne, zabezpieczone przed szkodliwymi warunkami atmosferycznymi i wykonane z najlepszej i najdroższej białej wikliny.

Elewacja w Abu Dhabi ma ponad 4 tys. metrów powierzchni, powstała z 697 sztuk wiklinowych prostokątnych modułów o wymiarach 5 m x 1,25 m. Przez trzy miesiące wypłatało je 15 wikliniarzy z Rudnika i okolic. Do jej wykonania zużyto 20 ton wikliny. Fasada ta harmonizuje z piaszczystym otoczeniem i tradycją regionu. Osiadający pył piasku na wiklinie – to znamię pustyni, wewnątrz szklane olbrzymie płyty – to nowoczesność, razem tworzą niepowtarzalną grę światła, jednocześnie zacinając go delikatnie, co tam, w ciągłym upale jest bardzo pożądane.

Od 2000 roku w naszym mieście organizuje się corocznie wikliniarstką imprezę pod nazwą „Wiklina Rudnik nad Sanem”. W jej programie są zabawy, koncerty artystów, różnorodne wystawy, olbrzymi targ wyrobów wikliniarskich, konkurs plecionkarski, pokazy wiklinowej mody i obsługa gastronomiczna. Jest to największa promocja naszej gminy. Wspierają ją instytucje, ministerstwa, województwo i lokalne firmy. Doceniając osiągnięcia rzemiosła wikliniarskiego, władze naszego województwa utworzyły Centrum Wikliniarstwa w Rudniku nad Sanem. Rudnickie CW

⁴ Centrum Wikliniarstwa w Rudniku nad Sanem, tekst A. Garbacz, Rudnik 2007, s. 27.

⁵ U. Bałutowska, *Rudnicka wiklina w arabskim raju*, „Przegląd Rudnicki” 2013, nr 1, s. 5–12.

otrzymało nagrodę główną w I edycji ogólnopolskiego konkursu Polska Pięknieje – 7 Cudów Unijnych Funduszy w kategorii „Turystyka na Obszarach Wiejskich”, Warszawa, 7 maja 2008 r. oraz wyróżnienie w 2010 r.

Rudnickie CW mieści się w budynku zabytkowej szkoły, wyremontowanej i zaadoptowanej na nowe potrzeby⁶. Są tu sale wystawiennicze, biuro informacji turystycznej, nowoczesna biblioteka, a na zmodernizowanym strychu mieści się muzeum etnograficzne i stare wyroby plecionkarskie. Wśród nich jest ponad trzydzieści sztuk różnych niechcianych dziś „staroci”, po moim ojcu i takich, które zebrałem osobiście w Rudniku, wyczyściłem, odświeżyłem, uratowałem od zagłady. Centrum odwiedzają wycieczki krajowe i zagraniczne, a w salach wystawienniczych zawsze można obejrzeć dzieła artystów różnych dziedzin sztuki.

Jednak wiklinowe patyki nie spadają naszym wikliniarzom z nieba. Najstarsze wiadomości o plecionkarstwie pochodzą z Egiptu, sprzed 5.000 lat p.n.e., z Polski sprzed 3.000 lat. Historia uprawy wikliny w Europie ma około 2,5 tys. lat, w Polsce najstarsze plantacje wikliny założono ponad 100 lat temu właśnie w okolicach Rudnika nad Sanem. O wiklinie Pisał Pliniusz w „Naturalis historiae” oraz Katon, który wiklinie przyznaje miejsce przed oliwką, zbożem i pastwiskami.

Wiklina to forma krzewiasta wierzby, dziś w kilkuset odmianach i nadal modyfikowana naukowymi sposobami⁷. Nie jest rośliną o zbyt wysokich wymaganiach i rośnie prawie wszędzie, gdzie jest dość wilgoci. Nieprzydatne są dla niej tylko gleby początkowego stadium rozwojowego, słabo wykształcone i wapniowcowe. Najwięcej pracy jest przy zakładaniu plantacji i w pierwszym jej roku życia. Orka musi być wykonana na głębokość ok. 40 cm, darń należy zniszczyć, a na wierzch wyorać martwicę. Glebę kwaśną należy ostrożnie zwapniować lub posiać rośliny motylkowe. Zbyt silne nawożenie mineralne osłabia korzenie i jakość pręci. Sadzenie wikliny jest żmudne i pracochłonne. Przygotować należy do sadzenia tysiące zrzesów (kijki ok. 30 cm długości i 5–12 mm grubości). Przed sadzeniem moczy się je w wodzie i specjalnych roztworach. Na wyrównanym polu znaczymy rzędy i wciskamy w glebę prawie cały zrzes. Średnio na 1 ha wchodzi 100.000

⁶ Centrum Wikliniarstwa..., s. 13.

⁷ Korzystałem z następujących opracowań: S. Szczukowski, J. Tworowski, M. Wiwart, J. Przyborowski, *Wiklina (Salix sp.): uprawa i możliwości wykorzystania*, Olsztyn 1998; T. Kończyk, W. Korpetta, J. Mądrzyk, *Technologia wikliniarstwa i plecionkarstwa*, Warszawa 1979.

sztuk (sadzenie ręczne przez jedną osobę to ok. 40 dni żmudnej pracy). Sadzić można także mechanicznie. W pierwszym roku po posadzeniu, nawet na bardzo dobrze przygotowanym polu pojawiają się chwasty. Pielęgnacja chemiczno-mechaniczna (motyczenie) jest konieczna i to jak najwcześniej. W dalszych latach użytkowania odchwaszczanie jest zbędne, natomiast chemiczne – nieodzwonne, ponieważ przeróżne choroby i szkodniki obniżają jakość i ilość pozyskanego surowca. Wiklinowe żniwa są nietypowe, bo zimowe. Zbiór dokonujemy ręcznie lub maszynowo od połowy listopada do końca marca. Z pozyskanych prętów (jednoroczne nawet 2,4 m długości), lub kijów (wieloletnie) formuje się wiązki, które następnie sortuje wg długości i przechowuje nawet kilka lat pod dachem na przewiewie (szereg wyrobów gorszej jakości wykonuje się z niekorowanej wikliny zielonej). Wysuszone niekorowane wikliny ponownie namoczone przed wyplataniem jest bardzo pożądanym surowcem. Jednak większość wyrobów powstaje z wikliny uszlachetnionej. Uzyskuje się ją przez gotowanie. Wiązki wikliny wkłada się do olbrzymich (1000-litrowych) prostopadłościennych kotłów z wrzącą wodą na kilka godzin. Po wyjęciu i wstępnym wychłodzeniu natychmiast są korowane ręcznie lub mechanicznie (jednoroczne), natomiast wieloletnie kije o kilkucentymetrowej średnicy niestety koruje się ręcznie. I to jest chyba najbardziej niewdzięczna, brudna i ciężka praca przy wiklinie. Okorowaną wiklinę suszy się przez kilka – kilkanaście dni na wolnym powietrzu i na słońcu. Już wówczas ciekawie wyglądają wiklinowe patyki układane w różne płotki, kopczyki i labirynty na podwórkach wikliniarzy. Przybierają barwę ceglasterobrazową, czego proces zaczął się podczas gotowania. To jest podstawowy kolor wikliny, ale może być barwiona chemicznie na żądane kolory.

Chyba najładniejsze są jednak wyroby z wikliny białej. Tu postępujemy inaczej. Świeże zielone pręty wstawia się wiosną do specjalnych moczarek (ok. 15 cm wody). Czekamy aż pojawią się listki i korzonki i korujemy najczęściej ręcznie. Suszymy podobnie, na powietrzu, ale może ona otrzymać dziennie tylko jednogodzinną dawkę słońca (większa ilość słońca powoduje szarzenie prętów).

Z przygotowanej wikliny możemy wykonać bardzo różnorodne wyroby. Wiklinę okrągłą suchą ręcznie lub mechanicznie możemy rozdzielać na łupki, listwy i taśmy. Natomiast do przerobu zawsze moczymy ją lub zwilżamy. Miejsce pracy plecionkarza jest wyposażone w niewiele przyrządów i narzędzi. Niskie siedzisko, także niski skośny niewielki stół-warsztat, zbiornik z wodą

i stolik na narzędzia. Narzędzia są stosunkowo proste: kilka różnych noży, sekator, dwa młotki i ubijaki, wyginacze (podobne jak płaskie klucze), mała piłka ręczna, kilka szczypiec, szydła i przymiar z ołówkiem. W zależności od produktu stosuje się szablony oraz formy pełne i ażurowe. Formy pełne są często skomplikowane i wieloczęściowe. By produkt spełniał standardowe wymagania musi być wykonany na formie. Samo wyplatanie jest bardzo pracochłonne i nie można posłużyć się tu żadną maszyną. Tu trzeba czuć się i być artystą, znać wiele tajemnic wyplatania i poznać je praktycznie. Od 140 lat rudniczanie plotą, więc znają wszystkie tajniki tego fachu. Dłonie stają się ciemne, popękane i twarde jak stal. Wprawne ręce koszykarza w ciągu godziny potrafią wykonać np. koszyk na zakupy. Zarobków wikliniarzom nie można zazdrościć. Obecnie trudno zarobić 10 zł za godzinę pracy.

Spośród kilkuset mieszańców wiklin, cztery wykorzystywane są najbardziej: konopianka, amerykanka, migdałowa i purpurowa. Klony różnych gatunków wykorzystuje się już jako materiał energetyczny, bo przyrost masy drzewnej jest nawet kilkanaście razy szybszy niż leśnych drzew.

Brazylia chroniła kiedyś swe drzewa kauczukowe mając monopol na kauczuk. Podobnie Amerykanie, nie dopuszczali do wywozu swej wikliny – „amerykanki” na inne kontynenty. Jednak „Polak potrafi” przez ocean przewieźli zielony koszyk, który utrzymywali w ciągłej wilgoci. Po rozpleceniu wyrobu włożyli wilgotne patyki do gleby i tak zaczęli uprawiać i rozmnażać wiklinę amerykankę w Polsce. To najlepszy materiał na drobne wyroby – tzw. galanterię.

Pędy, liście, korę, drewno wierzby, od zamierzchłych czasów wykorzystywano w medycynie, sztuce wojennej, sztuce i do codziennego użytku. Można z niej produkować celulozę, biomasę, wykorzystać przy rekultywacji i zagospodarowaniu gleb, w ochronie powietrza, dróg, wód i cieków wodnych, medycynie i innych. Wierzba jest obecnie zbyt słabo wykorzystywana, a ma znaczące walory i warta jest większego zainteresowania. I tak kończy się opowieść o moim regionalizmie z wikliną w tle.

Eugeniusz Pędłowski – z zamiłowania fotograf, wędkarz, myśliwy i ogrodnik. Członek Klubu Seniora w Rudniku nad Sanem oraz Towarzystwa Miłośników Ziemi Rudnickiej. Zasiada w redakcji kwartalnika „Przegląd Rudnicki”. Laureat licznych wyróżnień i nagród w lokalnych konkursach fotograficznych. Propagator turystyki pieszej, rowerowej i narciarskiej.

HENRYK MAKOWSKI
Radonice

REGIONALIZM W ROLNICTWIE

Od wielu lat, jako społecznik-rolnik a jednocześnie czynny uczestnik wielu związków i organizacji rolniczych, upominam się i apeluję o traktowanie polskiego rolnictwa regionalnie a nawet gminnie. Jak żaden inny dział gospodarki rolnictwo z natury osadzone jest w swoich regionach. Ma to ogromne znaczenie „siedliskowe” i gospodarcze. Zapewnia utrzymanie lokalnych tradycji, a więc i różnorodności, która z kolei zapewnia pozytywną konkurencję. Obecnie traktowanie rolnictwa tylko całościowo, tylko w wymiarze posiadanych hektarów i wielkości produkcji, może, za sprawą krzywdzącego systemu dofinansowania, wyeliminować małe i średnie gospodarstwa rolne (10–50 ha), które są gwarantami charakteru i wartości regionów.

Znam dość dobrze francuskie rolnictwo, które zawsze było wzorem różnorodności regionalnej. Niestety stopniowy upadek małych i średnich gospodarstw rolnych – zawsze produkujących **lokalne produkty na lokalny rynek** (sprzedaż na targach itp.) – i tam powoduje powolne zanikanie ich regionalnego znaczenia. We Francji rozpoczęto więc na dużą skalę akcję zatrzymywania i osiedlania rolników na wsi (akcja „Liens de Terre”).

Polska wieś coraz bardziej pustoszeje rolniczo. Na wsi polskiej mieszka dziś 40% polskiego społeczeństwa, ale rolników jest tu tylko 10 procent! Rolniczy region nie tylko „ludowo” jest regionalny. Regionalne są kulinaria, rodzaje upraw i hodowli. Za przykład niech posłuży hodowla owiec. Dawniej była ona silnie rozwinięta poza Podhalem w Wielkopolsce, na Lubelszczyźnie, Kujawach, Pomorzu i Mazurach. Takie były tradycje, stąd każdy region posiadał, w zależności od potrzeb, inny sprzęt, inne nawozy itp. Rolnicze regiony dziś jeszcze tworzą swoiste całości, jednak ich odrębność wymaga

szczególnej troski. Bez tej troski ich trwanie w odrębności stoi pod znakiem zapytania. Wiem z doświadczenia, że rolnicze regiony „zazdrośnie” strzegą swoich tradycji.

Mam uzasadnione obawy, że upadek małych i średnich gospodarstw znacznie osłabi pozycję regionów rolniczych i zniweluje ich tradycyjny charakter. Forsowane obecnie latyfundia, gospodarstwa wielkotowarowe są w regionach prawie **anonimowe**, często też powiązane z obcym kapitałem.

O specyfice rolniczych regionów decydował klimat a także przywiązanie jego mieszkańców do ziemi, a więc przyroda i kultura. Gospodarstwa rolne były w regionach „**strażnikami środowiska**”. Odmiennie było budownictwo ale i fauna i flora wokół domostw i zagród. To wszystko składało się na niepowtarzalne, regionalne piękno.

Moim zdaniem to Unia Europejska, przez swoje jednolite dla wszystkich członków zalecenia, niszczy regionalny koloryt, różnorodność, niezależność i inność wykonywanej pracy. A nie ma przecież czegoś takiego jak jedno rolnictwo europejskie, tak jak nie ma jednego wspólnego klimatu, gleby, tradycji żywieniowych itp. Wyczekiwanie na tak zwane dopłaty bezpośrednie do hektara (w zależności od rodzaju upraw), jednolite dla całego kraju, jest przyczyną zanikania regionalnej inicjatywy. Praktycznie rolnictwo pozbawiono samorządowych związków branżowych, które miały ogromne znaczenie dla integracji rolników.

Byłem Przewodniczącym Zrzeszenia Związków Hodowców Owiec w Polsce. Odwiedzałem hodowców owiec w różnych regionach. Z podziwem obserwowałem ich zaangażowanie. Szczególnie widoczne było ono na posiedzeniach Walnych Zgromadzeń – w aktywnej obronie i forsowaniu korzystnych decyzji dla swoich regionów, w podejmowanych inicjatywach, wnioskach i postulatach.

Owiec było wówczas w Polsce ponad 5 milionów, obecnie jest ich około 200 tysięcy. Ta ilość świadczy o spadku zaangażowania hodowców, braku społecznej inicjatywy, o szukaniu tylko tych form produkcji rolnej, gdzie są większe dopłaty. Do dzisiaj pamiętam nazwiska rolników-społeczników, nie szcędzących czasu dla rzeczywistej obrony i rozwoju owczarstwa w swoich regionach. To był ważny element – osobiste zaangażowanie. Były regiony gdzie hodowano głównie owce mięsne, inne regiony na wełnę, inne na reprodukcję, a prawie każdy region miał swoje rasy owiec. Następuje proces szkodliwej unifikacji unijnej, niezajomość polskiego rolnictwa i tradycji

niszczy regionalizm. Owczarstwo jest tylko przykładem, gdyż uwagi te dotyczą każdej innej formy produkcji rolnej. Dawniej liczył się wysiłek rolnika, jego pracowitość, zdolność i chęć obrony, wspomagana przez organizacje branżowe. Bo przecież to indywidualna praca, ryzyko, upór a więc inność wymieszana z tradycją a nade wszystko LUDZIE tworzą regiony.

Coraz częściej będziemy mówili o regionach rolniczych w czasie przeszłym. Regionalizm to nie tylko zachowane ślady przeszłości, lecz przede wszystkim jego ślady w teraźniejszości. Regionalizm, ze swej istoty jest elementem **twórczym, zbiorczym, potrzebnym i akceptowanym**. Regionalizm nas bronił, scalał i... przytulał. Byliśmy u siebie. Zналиśmy siebie... i owce swoje.

Nastaje regionalizm wspominkowy, gdyż prawie świadomie ulegamy niepotrzebnemu pseudo-postępowi. Dajemy się otumaniać, obnażamy się ze swojej regionalnej urody. Miałem szczęście. Poznałem piękne oblicze regionalizmu, jego żarliwych obrońców... ale to już było...

Radonice, 5 czerwca 2013 r.

Henryk Makowski – z wykształcenia prawnik, od ponad 40 lat rolnik. Doradca do spraw rolnictwa prezydentów Wojciecha Jaruzelskiego i – przez 5 lat – Lecha Wałęsy. Pełnił liczne, odpowiedzialne funkcje w rolniczych strukturach samorządowych. Od 20 lat publikuje artykuły na tematy rolnicze. Brał udział w konferencjach rolniczych we Francji.



NAKŁO – MOJE MIASTO, MOJA PASJA

Z **Edmundem Lepakiem** – kolekcjonerem, miłośnikiem i znawcą Nakła nad Notecią rozmawia **Anna Sergott** z Muzeum Ziemi Krajeńskiej

A.S.: Panie Edmundzie urodził się Pan w Nakle nad Notecią?

E.L.: Nie, urodziłem się w Chrzastowie, dokładnie 22 października 1941 r., jednak wkrótce potem rodzina przeniosła się do Nakła, i tak pozostało do dziś.

A.S.: Ma Pan ogromną wiedzę na temat miasta, i jego mieszkańców skąd takie zainteresowanie?

E.L.: Odkąd tylko pamiętam pasjonowałem się starociami i historią. Poznanie Nakła „od podszewki” ułatwił mi wykonywany zawód. Przez wiele lat pracowałem w wodociągach miejskich i gazowni jako hydraulik. Zwiedziłem dzięki temu chyba wszystkie zabytkowe piwnice i strychy w tym mieście. Im dłużej miałem z nimi do czynienia, tym bardziej fascynujące szczegóły pracy dawnych budowniczych udawało mi się wychwycić. Jestem pod ogromnym wrażeniem umiejętności i rozwiązań, nieraz bardzo unikatowych stosowanych w naszych zabytkowych kamienicach.

A.S.: O tej wyjątkowości stara się Pan przekonywać mieszkańców naszego miasta, za każdym razem kiedy oprowadzam uczestników „spacerów po Nakle” mogę liczyć na Pańskie fachowe wsparcie i szereg interesujących informacji.

E.L.: Tak jak ja czerpałem wiedzę od moich majstrów szkolonych jeszcze przed wojną, którzy potrafili zwrócić uwagę na najdrobniejsze szczegóły, tak ja staram się jak najwięcej z tego co utkwilo mi w pamięci przekazać innym, zanim wiedza zostanie zapomniana czy utracona. Mało kto, spośród mieszkańców, wie np. gdzie znajduje się zapomniana kamienna studnia,

jedyna pamiątka po nieistniejącej już kamienicy. Niewielu potrafi powiedzieć, do czego służyły otwory w murze na jednym z podwórek – a to ślad po miejscu, gdzie dawno temu przywiązywano konie, gdy właściciel udawał się do restauracji. Takich przykładów jest wiele.

A.S. Czy sądzi Pan, że nasze zabytki otoczone są dobrą opieką?

E.L.: I tak i nie. Z jednej strony na pewno cieszy, że podejmowane są remonty starych budynków. Z drugiej strony, czasami smuci mnie fakt, że prace nie zawsze prowadzone są starannie. Zamiast dawnych stiukowych dekoracji – naklejki ze styropianu, zamiast rzeźbionych drewnianych drzwi – plastiki. Bo tak szybciej i taniej. Rozumiem, iż remont to koszty i wysiłek, ale jeśli nie dopilnujemy szczegółów to za parę lat piękne zabytki niczym nie będą się różniły od współczesnych bloków.

A.S.: Dzięki Pana interwencji, udało się uratować zabytkowe drzwi kamienicy w której Pan mieszka.

E.L.: Tak, serce mnie bolało, na myśl, że takie piękne drzwi, z kamienicy Bearwaldów mogłyby trafić choćby na podpałkę. Dobrze, że zarządca przekazał ten obiekt do Muzeum. Podczas jednej z wystaw wyglądały przepięknie i zachwycały zwiedzających.

A.S. Czy uważa się Pan za regionalistę?

E.L.: To zależy jak Pani rozumie słowo regionalista?

A.S. Dla mnie regionalista, to ktoś, kto kocha swoje miejsce na Ziemi, i potrafi tą miłością zarażać innych. Sądzę, że ten opis do Pana znakomicie pasuje.

E.L.: Jest mi miło, że Pani tak uważa, choć dla mnie najważniejsze jest to, że ktoś słucho moich opowieści, mam dzięki temu szansę, przekazać dalej to, co sam otrzymałem.

A.S.: Czy dostrzega Pan jakież zmiany w podejściu do zagadnień związanych z regionalizmem?

E.L.: Boję się obojętności i zapomnienia, młode pokolenia nie są już tak skupione na tym co je otacza, mało interesują się historią, nie słuchają starszych, a przecież jeśli teraz ich nie wysłuchamy, wówczas to co mogą nam powiedzieć, zniknie wraz z nimi bezpowrotnie.

A.S.: Czy można coś na to poradzić?

E.L.: Jeszcze można, dlatego uważam, że tak ważna jest działalność społeczna – na przykład Towarzystwa Przyjaciół Nakła. Powinni zapraszać różnych ludzi na swoje spotkania, wysłuchać ich i spisać ich historię, bo to oni są żywą księgą dziejów miasta.

A.S.: Czy interesuje się Pan tylko Nakłem, czy także okolicą?

E.L.: Jako młody chłopak, zjeździłem z kolegami, na rowerze spory kawał naszego regionu, ale nie ukrywam, że zawsze Nakło było dla mnie najważniejsze.

A.S.: Jeszcze jednym, bardzo ważnym aspektem Pańskiej działalności jest pomoc w gromadzeniu zbiorów Muzeum Ziemi Krajeńskiej. Przekazał Pan do Muzeum grubo ponad 400 obiektów. Skąd taka żyłka do staroci.

E.L.: Zaczęło się kiedy miałem 6 lat. Pamiętam, że swój pierwszy „zabytek” wytargałem z babcinej szopki. I tak zaczęło się znoszenie różnych, nieraz dziwnych przedmiotów, chowanych potem jak najcenniejsze skarby, pod łóżkiem.

A.S.: A Muzeum?

E.L.: Pierwsze eksponaty zacząłem przekazywać wieki temu, kiedy jeszcze Muzeum znajdowało się na ulicy Gimnazjalnej, potem działało przy Domu Kultury, a odkąd ma własną siedzibę w spichlerzu, mogłem na dobre zająć się zbieraniem i przekazywaniem obiektów.

A.S.: Skąd Pan to wszystko bierze?

E.L.: Ze strychów, piwnic, czasem od znajomych a nawet ze złomowisk. To co dla innych jest śmieciem, czy rzeczą zbędną, dla mnie jest kawałkiem historii. Jak się potem w Muzeum okazuje nieraz unikatowym, czy przynajmniej pasującym do kolekcji.

A.S. Warto podkreślić, że Pan nie tylko sam dostarcza eksponaty, ale i namawia innych do przynoszenia nam różnych obiektów.

E.L.: Szkoda, żeby stare przedmioty wylądowały w śmietniku czy na złomowisku, lepiej najpierw przynieść do Muzeum i spytać, czy nie będą wam potrzebne. Przekazywanie rzeczy daje dużą satysfakcję, zwłaszcza jeśli ma się potem okazję zobaczyć „swoje zabytki” na wystawie i widzieć, że spotykają się z zainteresowaniem zwiedzających.

A.S.: Dziękuję Panu za rozmowę i za zaangażowanie w życie naszego miasta.



*Edmund Lepak wśród obiektów wystawy stałej Muzeum Ziemi Krajeńskiej
w Nakle nad Notecią. Fot. Anna Sergott*

POSŁOWIA



JANUSZ TOMCZAK
Strzelce Opolskie

REGIONALIZM KONCESJONOWANY. STUDIUM ZE SZCZEGÓLNYM UWZGLĘDNIENIEM ŚLĄSKA

Wstęp

Określając determinanty pojęcia „regionalizm” nie sposób nie wymienić czynnika głównego, który reguluje wszelkie jego warianty i charakter. Historia pokazuje, że najsilniejszym determinantem jest... państwo. Ono nie tylko oddziaływało na kształt regionalizmu, ale wręcz nadawało mu w przeszłości i poniekąd nadal nadaje ramy materialnego i niematerialnego istnienia w społeczeństwie. Ustrój państw i polityka rządów w stopniu nie mniejszym niż ludzka samoświadomość wpływają na kształt regionalizmu, tak w jego wariacie kulturowym, jak i politycznym.

Regionalizm we współczesnym świecie jest wartością dychotomiczną w stosunku do procesów globalizacyjnych. Wzrost globalnych wartości, elementów integrujących i unifikujących świat oraz wszechobecnej popkulturyzacji, koreluje z prądem nakierowanym na rozwój lokalnego zakorzenienia oraz przybliżenia zakresu politycznej odpowiedzialności obywatela za państwo od sfery centralnej do lokalnej¹.

Geneza

Historia pokazuje, że w znacznej mierze w przeszłości to nie obywatele ale państwo decydowało na jaki regionalizm pozwolić, a jaki zwalczać. Rozwój myśli politycznej był ciągłym zmaganiem idei skupiających władzę publiczną

¹ A. Chodubski, *Idea i praktyka nowego regionalizmu a globalizacja cywilizacji*, [w:] *Regionalizm a globalizacja, Polska – Unia Europejska oraz inne zjawiska i procesy regionalne świata*, pod red. A. Chodubskiego, H. Dobrzyńskiej, M. Malinowskiego, A. Modrzejewskiego, Gdańsk 2007, s. 10.

w jednym miejscu, a procesami skoncentrowanymi na oddanie władzy obywatelowi, na rozwoju samorządu, demokracji lokalnej, decentralizacji. Niemniej stwierdzić można, że współczesna demokratyzacja niesie za sobą konieczność decentralizacji władzy politycznej czyli kształtuje polityczny wariant regionalizmu. On sam „jest wyrazem urzeczywistniania dążenia do decentralizacji i dekoncentracji życia społeczno-politycznego...”².

Regionalizm, choć nie narodził się w czasach nowożytnych, to swój wzmożony rozwój przeżywał w XIX wieku. Ów regionalizm wiązał się „przede wszystkim ze społecznymi działaniami wymierzonymi przeciwko nadmiernemu politycznemu, gospodarczemu i kulturalnemu centralizmowi państwa. (...) Był formą sprzeciwu wobec uniformizacji i alienacji społeczeństw zurbanizowanych, a jednocześnie dostrzeżeniem związków człowieka i jego kultury z zamieszkanym przez niego terytorium. (...) Chroniąc wartości lokalne i regionalne pozwalał zachować również wartości kulturowe większych grup etnicznych”³, w tym ludności polskiej w czasie zaborów.

Polska XX wieku

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości wysoko cenione przez Polaków wartości: samodzielność i wolność nabrały ram instytucjonalnych w postaci idei samorządu i decentralizacji systemu politycznego II RP⁴. Niemniej społeczny ruch regionalny rozwinął się w niewielu regionach – na Kaszubach, Podhalu, Śląsku. Na tym ostatnim posiadał on zaplecze instytucjonalne w postaci autonomicznego województwa i nadanej przez stolicę listy praw – Statutu Organicznego. Niemniej w okresie międzywojennym polskim regionalistom stawiano zarzuty opierania się na wąskiej warstwie inteligencji i wobec licznych mniejszości narodowych obawiano się separatyzmu⁵.

Okres II wojny światowej zrodził w części społeczeństwa polskiego widoczne do dzisiaj obawy względem różnie pojmowanego regionalizmu. Polityka „dziel i rządź” niemieckich władz okupacyjnych nakierowana została wówczas na wykorzystanie regionalizmów dla osłabienia i skłócenia polskiego narodu⁶.

² Tamże, s. 10, 23.

³ J. Sługocki, *Zagadnienia regionalizmu i tożsamości regionalnej*, Bydgoszcz 1990, s. 9, 18.

⁴ A. Chodubski, *dz. cyt.*, s. 12.

⁵ J. Sługocki, *dz. cyt.*, s. 19, 25.

⁶ Tamże, s. 26.

Wraz z końcem II wojny światowej nastąpiła nowa era w dziejach polskiego regionalizmu. Ingerencja nowych władz nie ograniczała się jedynie do sfery polityki, lecz wpływała na wszystkie dziedziny życia społecznego i kulturowego Polski. Wszelkie aspekty życia społeczno-politycznego obywateli podporządkowano tzw. centralizmowi demokratycznemu⁷. W efekcie utrwalili się koncept rozumienia polityki kulturalnej jako wyłącznej domeny „władz centralnych, wyposażonych w szerokie uprawnienia nakazowo-rozdzielcze”⁸. Niestety w pewien sposób ów koncept nadal funkcjonuje do dzisiaj jako element wizji niektórych polityków i części społeczeństwa dotyczących zagadnień regionalizmu i różnych sfer kultury.

Komunistyczna urawniłowka drugiej połowy lat 40. XX w., doprowadziła do likwidacji istniejących organizacji regionalistycznych. „Regionalizm walczył od początku swojego istnienia – z ujednoczeniem wzorców kulturowych i alienacją społeczeństwa, poddanego ścisłej kontroli państwa”, dlatego jego idee „nie dały się pogodzić z celami ówczesnej polityki kulturalnej, zwalczającej »przeżytki kapitalizmu« w świadomości społecznej i próbującej wychować ludzi w duchu totalitarnie pojmowanego socjalizmu”⁹.

Niemniej kulturowy wariant regionalizmu okazał się konieczny dla polonizacji ziem poniemieckich. Celem ściśle kierowanego przez państwo rozwoju towarzystw regionalnych w latach 50' była integracja nowych ziem oraz wykazanie ich historycznych więzi z Polską. Z czasem ożywiło się społeczne zainteresowanie nowymi ziemiami, co skutkowało dużą ilością publikacji, uwypuklających ich słowiański charakter. Dla nowych mieszkańców konieczne było to, by w ten sposób „oswoić” przestrzeń, na której się znaleźli¹⁰.

Czasy PRL to okres skrajnej degradacji idei regionalnych. Wszelkie ich przejawy podlegały ścisłej kontroli państwa i swoistej koncesji na elementy dozwolone i niedozwolone. Czasy te przeobraziły społeczne pojmowanie kultury regionalnej. W wyniku działań władz „w społecznej świadomości utrwalili się sposób pojmowania polityki kulturalnej kojarzący to pojęcie wyłącznie z działaniami władzy centralnej opartymi na instrumentalnym

⁷ A. Chodubski, *dz. cyt.*, s. 13.

⁸ M. Chełmińska, *Regiony w perspektywie europejskiej*, [w:] *Regiony kulturowe a nowa regionalizacja kraju*, pod red. J. Damrosza, M. Konopki, Ciechanów 1994, s. 35.

⁹ J. Sługocki, *dz. cyt.*, s. 27.

¹⁰ B. Twardochleb, *Między małą ojczyzną a Heimatem*, ze strony: <http://www.transodra-online.net/pl/node/1384> [07.03.2014].

traktowaniem kultury oraz podporządkowanymi dążeniami do utrwalania panującego systemu”¹¹.

W dobie PRL regionalizm, rozumiany jako decentralizacja władzy publicznej, czyli jako forma samorządności gmin, powiatów czy województw „urzeczywistniany” był jedynie w formie terenowych Rad Narodowych. De facto były one jedynie organami terenowymi władz centralnych i PZPR. Pełniły także funkcje fasady dla kreowania pozorów lokalnej demokracji¹².

Studium przypadku - Śląsk

Obszarem, na którym walka z regionalizmem w XX w. przybrała skrajną formę był Górny Śląsk. W sanacyjnej Polsce okresu międzywojennego samorząd śląski faktycznie ograniczany był poprzez marginalizację praw wojewódzkich i skupienie władzy w rękach osób spoza regionu¹³. W podobnym czasie na terytorium Śląska, który nie został wcielony do Polski postępował nazistowski *Gleichschaltung*. System narodowosocjalistyczny starał się zniszczyć wszelki pluralizm, kulturową odrębność regionu. Miejscowe słowiańsko-brzmiące nazwy topograficzne zgermanizowano, wojnę wydano śląskiej odmianie polszczyzny, skrajnie scentralizowano i upartyjniono „samorząd”¹⁴.

Po 1945 r. autonomiczne województwa śląskie zostało zlikwidowane, a jego obszar zwarcie zamieszkały przez ludność jednolitą kulturowo podzielony został granicami województw. W nowej komunistycznej Polsce, Ślązacy mieli pełnić głównie funkcje robotnicze, a ich kultura i dialekt miały ulec zapomnieniu. Pod pozorami walki z wpływami niemieckimi próbowano zlikwidować wszelkie przejawy odmienności Ślązaków. Ich samych traktując niemal jak obywateli drugiej kategorii, a ich ziemię jak kolonię eksploatacyjną. Najstraszniejszą formą represji na ludności rodzimej Śląska, poza groźbą wysiedlenia do Niemiec, były funkcjonujące w kilku powojennych

¹¹ M. Chełmińska, *dz. cyt.*, s. 35.

¹² *Prawo - Rady Narodowe, samorząd terytorialny w latach 1944-1947*, ze strony <http://prawo.wiedza.diaboli.pl/rady-narodowe-samorzad-terytorialny-w-latach-1944-1947>, http://pl.wikipedia.org/wiki/Rada_narodowa_%28PRL%29 [07.03.2014].

¹³ M. Czapliński, *Dzieje Śląska od 1806 do 1945 roku*, [w:] M. Czapliński, E. Kaszuba, G. Wąs, R. Żerelik, *Historia Śląska*, Wrocław 2002, s. 442-443.

¹⁴ <http://pl.wikipedia.org/wiki/Gleichschaltung>, <http://trzeciarzesza.info/przebudowa-pa%C5%84stwa-r336.htm>, http://pl.wikipedia.org/wiki/Germanizacja_nazw_w_Prusach [07.03.2014].

latach obozy pracy. Obozy te de facto „stanowiły zinstytucjonalizowaną formę represji fizycznej i psychicznej”¹⁵. Zginęło w nich kilka tysięcy osób.

Rozgoryczenie Ślązaków polską władzą i eksploatacją gospodarczą regionu spowodowały zamknięcie się owej grupy w „mentalnym gettcie”. Polskich Ślązaków często traktowano jak zakamuflowanych Niemców, pozostałych poddano asymilacji, wykorzenieniu. Tradycyjny na Śląsku etos pracy oraz faktyczne ograniczanie dostępu do wyższych uczelni spowodowały zanik miejscowych elit intelektualnych, dodatkowo już osłabionych antypolską polityką III Rzeszy i powojennymi wysiedleniami. Izolacja Ślązaków od polityki odbiła się na pozycji społecznej całej grupy. Prowadzona akcja osiedleńcza ludności z innych części kraju, falowa emigracja ponad miliona osób do Niemiec i podział ziem śląskich na kilka jednostek administracyjnych spowodowały, że Ślązacy w swojej małej ojczyźnie stali się mniejszością¹⁶. Postępowanie władz spowodowało skutek odwrotny. Podobnie jak „wpływ antypolskiej polityki Bismarcka [wpłynął] na wzrost polskiej świadomości narodowej na Śląsku, [tak] bezwzględne działania repolonizacyjne kierowały ludności śląską w stronę niemieckości”¹⁷.

Jedną z niewielu dozwolonych form śląskości w czasach PRL było huczne obchodzenie Barbórki i rocznic Powstań Śląskich. Miejskowy folklor zagospodarowano odgórnie dla Zespołów Pieśni i Tańca oraz Domów Kultury. W oficjalnej – popieranej przez władze historii regionu powstały gigantyczne „białe plamy” dotyczące skomplikowanych losów Ślązaków, których echo pobrzmiwa do dnia dzisiejszego¹⁸. W tak skomplikowanych czasach „trwałą wartością i ostoją pozostawała wiec więź lokalna”¹⁹. Wieź, której

¹⁵ E. Nowak, *Obozy na Śląsku Opolskim w systemie powojennych obozów w Polsce (1945–1950). Historia i implikacje*. Opole 2002, s. 47.

¹⁶ M. Smolorz, *O co chodzi...*, ze strony <http://www.polityka.pl/kraj/analizy/1525647,1,o-co-chodzi-slazakom.read>, [07.03.2014]. M. Krutak, *Regionalizm śląski w ujęciu Ruchu Autonomii Śląska*, ze strony: <http://polskiedzieje.pl/pozostale-artykuly/regionalizm-slaski-w-ujeciu-ruchu-autonomii-slaska.html> [07.03.2014].

¹⁷ Z. Kurcz, *Koniec wojny i okupacji na Górnym Śląsku wedle relacji i pamiętników*, [w:] *Górny Śląsk i Górnoszlązacy w II wojnie światowej*, pod red. W. Wrześnińskiego, Bytom 1997, s. 146. W części, szczególnie na Śląsku Opolskim.

¹⁸ M. Smolorz, *O co chodzi...*, ze strony <http://www.polityka.pl/kraj/analizy/1525647,1,o-co-chodzi-slazakom.read> [07.03.2014].

¹⁹ M. Krutak, *Regionalizm śląski...*, ze strony: <http://polskiedzieje.pl/pozostale-artykuly/regionalizm-slaski-w-ujeciu-ruchu-autonomii-slaska>, strona www nie podaje autora cytatu [07.03.2014].

nie potrafiły zniszczyć totalitaryzmu została w znacznej mierze zdegradowana przez sezonową masową migrację za pracą do RFN czy Holandii w latach 90. XX w.

Renesans idei

Klimat dla rozwoju regionalizmu zmienił się w 1989 r. wraz z upadkiem systemu komunistycznego w Polsce. Rozpoczęło się odchodzenie „od państwa represyjnego na rzecz autonomii społeczeństwa wobec państwa, na rzecz partycypatywności obywatelskiej”²⁰. Okazało się, że „po wyborach samorządowych 1990 r. Polska przestała być monstrualnym folwarkiem zarządzanym ze stolicy przez kolejne ekipy partyjno-rządowe, stała się Rzeczpospolitą gmin, miast”²¹. Za celowe dla administracji wewnętrznej państwa stała się konieczność przeprowadzenia reformy administracyjnej. Postanowiono w miejscu 49 małych województw utworzyć kilkanaście dużych zdecentralizowanych jednostek administracyjno-samorządowych.

Jak ważną wartością dla społeczeństwa jest samorządność i lokalna demokracja ukazała kampania na rzecz pozostawienia Opolszczyzny na administracyjnej mapie kraju. Wobec masowych protestów obywateli tego zakątka kraju zdecydowano nie włączać go do obszaru planowanego województwa śląskiego. Co interesujące mieszkańcy Śląska Opolskiego pragmatycznie woleli posiadać własne województwo choć kulturowo granica między górnośląskimi województwami jest sztuczna.

Niestety reforma administracyjna roku 1999 zatrzymała się w pół drogi. Nie oddała obywatelom tyle prerogatyw ile byłoby konieczne. W porównaniu z systemem sprzed 1989 roku oddała ich szalenie dużo. Mimo reformy polskie gminy, powiaty, a w szczególności województwa wykazują się znaczną słabością. Z perspektywy lat uzmysłwić sobie należy, że tylko duże silne województwa mają szanse na rozwój. Po aferach korupcyjnych z lat 2002–2005 ludność województwa opolskiego straciła samorządowy animusz. Ludzie popadli w apatię, uciekając w prywatność. Wielu sądzi, że ich demokratyczny zryw w sprawę obrony województwa był cynicznie

²⁰ Wstęp, [w:] *Regionalizm a globalizacja, Polska – Unia Europejska oraz inne zjawiska i procesy regionalne świata*, pod red. A. Chodubskiego, H. Dobrzyńskiej, M. Malinowskiego, A. Modrzejewskiego, Gdańsk 2007, s. 5.

²¹ A. J. Omelaniuk, *Ruch regionalny wobec wyzwań przyszłości*, [w:] *Integracja europejska a ruch regionalny w Polsce*, pod red. A. J. Omelaniuka, Wrocław–Ciechanów 1998, s. 118.

wykorzystany dla zachowania posad lokalnej władzy. Czary goryczy dopełnia masowa emigracja i stagnacja gospodarcza²².

Współczesny polski regionalizm skupia się prawie wyłącznie wokół kwestii rozwoju kultury jako takiej, pomijając kwestie polityczne, administracyjne, gospodarcze czy umacniania tożsamości regionów²³. W dzisiejszych czasach niemożliwy jest rozwój społeczeństwa w oderwaniu od „samorządności lokalnej, bez której nie można sobie obecnie wyobrazić państwa funkcjonującego w oparciu o doktrynę demokratyczną, w pełni realizującego postulaty idei społeczeństwa obywatelskiego”²⁴. Prawdziwa demokracja wymaga, by obywatel decydował o wszystkich sprawach publicznych, także tych lokalnych. Choć to stolica nadaje ramy instytucjonalne i prawne politycznej partycypacji obywateli, to demokracja nakierowana na zaspokajanie także tych miejscowych potrzeb mieszkańców nie może być sterowana głównie ze stolicy. Prawdziwa całościowa demokracja wymaga rozwoju samorządności, a samorządność wymaga udziału obywatela. Model przedstawicielski, wykreowany na potrzeby rządu centralnego, nie przystaje do środowisk lokalnych. Antyczne ideały bezpośredniej demokracji można zastosować jedynie na poziomach lokalnych. Jak podaje przykład Szwajcarii, model, w którym obywatel bezpośrednio decyduje o swojej okolicy, niesie rozwój gospodarczy i realny wzrost zamożności mieszkańców²⁵.

W Polsce walczą ze sobą dwa nurty postrzegania funkcji państwa. Pierwszy uznaje, że należałoby oddać wszelką władzę obywatelowi, tak na poziomie centralnym jak i lokalnym; drugi natomiast uznaje obywatela za niezdolnego do podejmowania decyzji za własne życie i konieczność oddania wszelkiej władzy politykom. Niestety w znacznej mierze „Polacy nadal myślą w kategoriach państwa unitarnego i scentralizowanego, a każda próba dyskusji nad zmianą ustrojową traktowana jest przez wielu jak zamach na jedność państwową. [...] Aspiracje do autonomii terytorialnej przedstawia się jako chęć uniezależnienia któregoś z regionów od reszty kraju, gdy tymczasem chodzi o uniezależnienie się kraju od stołecznego centrum. [...]

²² K. Zyzik, *Brońmy swego! Czyli NTO w walce o województwo*, ze strony: http://www.nto.pl/apps/psc.s.dll/article?AID=/20120618/60LAT_NTO/120619519 [07.03.2014].

²³ J. Sługocki, *dz. cyt.*, s. 28.

²⁴ *Geneza samorządu terytorialnego – Prusy*, ze strony: <http://lubczasopismo.salon24.pl/municipaln i/post/153340,genesa-samorzadu-terytorialnego-prusy> [07.03.2014].

²⁵ Patrz efekty zastosowania demokracji bezpośredniej ze strony: http://pl.wikipedia.org/wiki/Demokracja_b_ezpo%C5%9Brednia [07.03.2014].

Historia pokazuje że moloch Państwa jest zdolny do wszystkiego, z wyjątkiem dobrowolnego wyzbycia się władzy²⁶. Celowym jest by „pieniądze i decyzje powinny pozostawać jak najbliżej nas [obywateli]. Centrum powinno rozwiązywać wyłącznie problemy z którymi w żaden sposób nie jest w stanie uporać się jednostka, gmina, powiat, województwo. Życie uczy, że jest ich bardzo niewiele²⁷.

Terra incognita

„Polska przez ostatnie kilkadziesiąt lat przypominała peerelowski chodnik, szary i jednolity. I nawet, jeśli składał się z osobnych płyt, to płyty te były identyczne, i wydawały się jedną betonową całością²⁸. Mimo to w owym monolicie istnieją pewne „pęknięcia” i „wyrwy”. Są nimi przede wszystkim: Podhale, Kaszuby, kilka innych mniejszych obszarów, oraz przede wszystkim Śląsk. Na etnograficznej mapie Polski to on doznał największych krzywd, „tyle tu odmian losu w tyglu nie swoich wojen, wyzysku, wypędzeń, emigracji i grobów poza domem. Bieda goniła nędzę, porządek państwowy zawsze z importu, a ładu tyle co w domu stanie²⁹.

„Górny Śląsk – region od setek lat ukształtowany historycznie i kulturowo, »perła w koronie« kolejnych władców, jest wciąż niestety, traktowany koniunkturalnie. Zwodzony obietnicami, gdy stanowi podporę gospodarki – lekceważony i ignorowany gdy zadanie swe wypełnił. Mimo lojalności wobec władz, otaczany jest murem nieufności i niezrozumienia³⁰. Niestety i obecnie nieufność i niezrozumienia nie ustępują. U zwykłych obywateli nieraz podsycą się lęk przed śląskością, „przy czym katalog strachów jest równie absurdalny, co monotony: rewizjonizm, separatyzm, a nawet terroryzm (patrz Baskowie), rozpad państwa polskiego, przyłączenie Śląska do Niemiec³¹. Dlaczego mieszkańcom Polski tak trudno jest zrozumieć Śląza-

²⁶ Cyt. za D. Tusk, J. Engelgard, *Regionalizacja jako instrument likwidacji państw narodowych*, ze strony <http://www.polishclub.org/2011/03/06/regionalizacja-jako-instrument-likwidacji-panstw-narodowych/> [07.03.2014]. *Dobrowolnego wyzbycia się władzy* – najprawdopodobniej chodzi tu o własną inicjatywę organów przedstawicielskich w aspekcie decentralizacji/dekoncentracji władzy.

²⁷ Cyt. za D. Tusk, ze strony <http://tuudi.net/cytaty/wszytskie-cytaty/> [07.03.2014].

²⁸ *Jak sprawić by Polacy chcieli być Polakami*, ze strony <http://swiatowidz.pl/2011/04/jak-sprawic-by-polacy-chcieli-byc-polakami/> [07.03.2014].

²⁹ Cyt. za K. Kutz, ze strony <http://tuudi.net/cytaty/wszytskie-cytaty/> [07.03.2014].

³⁰ Cyt. za J. Giedrojc, ze strony <http://tuudi.net/cytaty/wszytskie-cytaty/> [07.03.2014].

³¹ M. Smolorz, *O co chodzi...*, ze strony <http://www.polityka.pl/kraj/analizy/1525647,1,o-co-chodzi-slazakom.read> [07.03.2014].

ków? Odpowiedzią może być niewiedza. Nie znane są ani losy ani charakter tej peryferyjnej ziemi. Jej 600-letni okres izolacji od Polski. Krainy zamieszkiwanej przez lud naprzemiennie germanizowany i polonizowany. Traktowany zazwyczaj jak źródło gospodarczego interesu, a jego ludność mimo przejawów patriotyzmu jako niepewną i politycznie podejrzaną. Nad wyraz często jedynie „akceptowana forma śląskości, to ludyczno-kabaretowy rezerwat, w którym tańczy się trojaka, jada krupnioki i śpiewa »Pyk pyk z fajeczki«³². Pewne jest że „Śląsk i Ślązacy nadal są »nieznaną planetą« dla Polaków i Niemców. Ślązacy jako lud pogranicza nie pasują do megalomańskich i nacjonalistycznych idei »czystych narodów«, gdzie nie ma miejsca na jakakolwiek odrębność”³³.

We współczesnym świecie silne znaczenie nabrała decentralizacja i wymuszający ją etos obywatelskości, „którego syntezą jest aktywność i odpowiedzialność obywateli”³⁴. Kończą się czasy gdy obywatel był poddanym (w znacznym stopniu mentalnie). Dziś staje się on właścicielem państwa, kształtuje je tak jak tego chce, a politycy to państwo jedynie chwilowo administrują.

„Wzrostowi politycznych i kulturowych aspiracji Ślązaków w XXI w. towarzyszy konsekwentny opór administracji państwowej, najczęściej uznającej śląskości wyłącznie w wymiarze ludyczno-kabaretowym”³⁵. Chociaż właściwsze byłoby „kształtowanie śląskiej tożsamości regionalnej, w oparciu o daleko sięgającą decentralizację dla regionu”³⁶. Instytucjonalna marginalizacja nie ominęła także i mowy śląskiej. Mimo iż, w ostatnim spisie powszechnym jako język domowy podało ją pół miliona obywateli nadal nie posiada należnego jej statusu prawnego. Jakże smutne i zarazem prawdziwe są słowa Kazimierza Kutza odnośnie politycznej nieaktywności mieszkańców Śląska: „Dziś młodzi Ślązacy powinni zajmować się polityką, tworzyć swoje organizacje, walczyć o demokrację oddolną, bo skończą jak Indianie w rezerwacie”³⁷.

³² Cyt. za M. Smolorz ze strony <http://tuudi.net/cytaty/wszytskie-cytaty/> [07.03.2014].

³³ Cyt. za J. A. Krawczyk ze strony <http://tuudi.net/cytaty/wszytskie-cytaty/> [07.03.2014].

³⁴ A. Chodubski, *dz. cyt.*, s. 22.

³⁵ M. Smolorz, *O co chodzi...*, ze strony <http://www.polityka.pl/kraj/analizy/1525647,1,o-co-chodzi-slazakom.read> [07.03.2014].

³⁶ M. Krutak, *Regionalizm śląski...*, ze strony: <http://polskiedzieje.pl/pozostale-artykuly/regionalizm-slaski-w-ujeciu-ruchu-autonomii-slaska> [07.03.2014].

³⁷ Cyt. za K. Kutz, ze strony <http://tuudi.net/cytaty/wszytskie-cytaty/> [07.03.2014].

Zakończenie

Mimo, iż totalitarne czasy są przeszłością, a instrumentalne postrzeganie osoby ludzkiej zmieniło się w rosnący szacunek wobec jej pragnień i dążeń – to owe czasy wywarły w społeczeństwie znaczne mentalne piętno. Także, w postrzeganiu polskiego regionalizmu. Podobnie jak w czasach komunizmu społeczeństwo z reguły pozytywnie odnosi się do jego wariantu kulturowego, szczególnie tego na poziomie miejscowości i gmin, lecz już z nieufnością wobec eksponowania odrębności na poziomie regionów czy wymiaru politycznego. W owym schemacie, ramy instytucjonalno-prawne regionalizmu nadal wyznacza centrum państwa. Czy dalsza decentralizacja, regionalizm i rozwój demokracji oddolnej nie byłyby znacznie skuteczniejszymi narzędziami rozwoju gospodarczego i kulturowego kraju? Czy obawy przed regionalizmem są uzasadnione, a może „prawdziwy strach wynika jedynie z zagrożenia przed utratą władzy na rzecz peryferii”?³⁸

Janusz Tomczak – (ur. 1986 r.), politolog, absolwent Collegium Civitas Uniwersytetu Opolskiego. Obecnie pracownik sektora prywatnego. Zainteresowania naukowe skupia wokół problematyki polsko-niemieckiej i kwestii pogranicza.

³⁸ M. Krutak, *Regionalizm śląski...*, ze strony: <http://polskiedzieje.pl/pozostale-artykuly/regionalizm-slaski-w-ujeciu-ruchu-autonomii-slaska> [07.03.2014].

MICHAŁ SUSZCZEWICZ
Uniwersytet Wrocławski
Zakład Analiz Regionalnych i Lokalnych
Koło Naukowe Studentów Geografii
im. Juliana Czyżewskiego

REGION CZY LISTA?

Na przestrzeni lat warunki działalności regionalistycznej ulegały zmianom. Były one szczególnie dynamiczne w ostatnich dziesięcioleciach, gdy praca badacza – popularyzatora regionu musiała konkurować z innymi zajęciami, lepiej opłacanymi, przy dodatkowym braku poszanowania dla wartości zaangażowania społecznego.

Żeby lepiej nakreślić drogę dotarcia do idei regionalizmu, posłużę się własnym przykładem. Pierwsze kroki w kierunku regionalizmu stawiałem w I Gimnazjum we Wschowie, gdzie przez kilka lat działało Koło Turystyki Rowerowej. Jednak, na skutek decyzji o wyprowadzce organizatora z miasta, jego działalność zamarła. Nieco później powstało w miejscowym domu kultury Koło Turystyczno-Kulturowe. Działiałem w nim przez kilka lat, aż do zakończenia nauki w miejscowym liceum. Zatem mogę powiedzieć, że z silnym przywiązaniem do regionalizmu i poszerzaniem wiedzy o regionie, miałem do czynienia między innymi poprzez uczestnictwo w różnego rodzaju wycieczkach, projektach, programach czy konkursach. Rozwój tej idei i zainteresowań był możliwy jedynie przy zaangażowaniu osób, które tą ideę chciały krzewić wśród najmłodszych nawet dzieci.

Co do tworzenia podstaw rozwoju regionalizmu wśród mieszkańców danej miejscowości, potrzeba wiele wysiłku szeregu osób, niekoniecznie czynnych regionalistów. Należy również podkreślić, że same lokalne publikacje, książki, albumy czy zbiory pocztówek, które leżą na półkach w wielu domach, nie wystarczą do aktywnego rozwoju regionalizmu. Działania

lokalnych regionalistów muszą być nastawione na ludzi i ich zainteresowania, a nie na zasobność ich portfeli czy estetykę okładek publikacji.

Często zdarza się, że powstają wydawnictwa o mieście, sygnowane przez autorów, którzy „poznali” je w ramach jednorazowej wycieczki lub wrecz nigdy w nim nie byli, tworząc dzieło zza biurka. Taki sztuczny regionalizm uprawiany w wyniku zdobycia zamówienia i dla pieniędzy, jedynie wypacza właściwe idee wiążące się z autentyczną wiedzą regionalną. Regionalizm to nie tyle działalność popularyzatorska przewodników, działaczy PTTK, urzędników wydziałów promocji, ale również własne działania wiążące się z upodmiotowieniem lokalnych bohaterów lub osób zasłużonych dla miasta (nie zawsze odznaczanych i chwalonych przez władze). Regionalizmem jest również takie działanie, które na co dzień nie jest zauważane. Czy to zakupy w lokalnym sklepie, czy rozmowa na wycieczce w górach z mieszkańcem innej części kraju. Nawet przy takich, codziennych czynnościach zaświadczamy (lub powinniśmy) o swoim patriotyzmie lokalnym i postawie świadomego regionalisty. Jednak i z takim działaniem powinien wiązać się rozsądek. Obecnie w wielu środowiskach tworzą się grupy o charakterze para-nacjonalistycznym. Ich działania są skierowane do uznawania tylko niektórych bohaterów i tworzenia własnej historii nie powiązanej z rzeczywistym biegiem wydarzeń. Winniśmy być patriotami własnych regionów, ale jednocześnie z ogładą i tolerancją wypowiadać się na temat innych kultur, nacji, wyznań i sposobów odczytywania historii. Taka postawa najlepiej będzie świadczyła o naszym rodzinnym i lokalnym środowisku.

Kim jest regionalista? Jestem pewien, że na to pytanie padnie w tej publikacji kilkanaście odpowiedzi. Jednak należy się zastanowić również nad pytaniem odwrotnym, a mianowicie kim regionalista nie jest? Regionalistą z pewnością nie jest nauczyciel w szkole, który pomimo wpisanych w program nauczania kilku lekcji z zakresu regionalizmu, nie wspomina słowem o miejscowości bądź regionie w którym uczy. Nie jest nim także rodzic, który nawet nie stara się wspierać pasji regionalistycznych swoich dzieci. Regionalistami nie są również przedstawiciele władz lokalnych, którzy rozwój lokalny postrzegają jedynie poprzez inwestycje kapitałowe i sferę gospodarczą marginalizując rozwój kulturalny i dbałość o dziedzictwo przeszłości. Nie są nimi także mieszkańcy podmiejskich osiedli, zamy-

kający się na kontakty z najbliższymi sąsiadami, traktujący szerszą społeczność wśród której mieszkają jak „zły świat”¹.

Na szczęście są jeszcze osoby, które w pełni rozumieją regionalizm i wypełniają jego postulaty jak mogą najlepiej. Są wśród nich popularyzatorzy turystyk: pieszej, rowerowej, narciarskiej, oraz ostatnio coraz modniejszej *nordic-walking*. Są nimi sami mieszkańcy aktywnie reprezentujący miejscowość (nie firmę czy korporację) w różnych konkursach, zawodach czy zlotach.

Definicja regionalisty powinna być według mnie na tyle szeroka, aby włączyć do niej zarówno aktywnych społecznie i turystycznie mieszkańców, jak i osoby na co dzień zajmujące się promocją regionów czy obsługą ruchu turystycznego.

Niestety regionalizm obecnie przeżywa duży kryzys, potęgowany problemami ekonomicznymi, które ograniczają rozwój naszego kraju. Spadek produkcji, zatrudnienia, inwestycji oraz oszczędności powodują pogorszenie warunków materialnych mieszkańców całego kraju. Najbardziej odczuwają go mieszkańcy regionów, gdzie sytuacja na rynku pracy jest bardzo trudna. Podobnie dzieje się z regionalizmem. Tam, gdzie mieszkańcy posiadają duże dochody, większość posiada jakąś pracę, regionalizm ma większe szanse rozwoju, aniżeli w regionach słabiej rozwiniętych. Wyższe dochody ludności generują wyższe przychody instytucji turystycznych czy urzędów. Dzięki temu administracja posiada większe środki na rozwój projektów związanych z rozbudzeniem regionalizmu jak i tworzeniem podstaw do jego promowania. Również mieszkańcy posiadający pracę i czas wolny, chętniej biorą udział w imprezach i działaniach różnego rodzaju stowarzyszeń. W regionach, gdzie bezrobocie jest wysokie, dojazdy do pracy wiążą się z dużymi kosztami materialnymi i czasowymi, możliwości rozwoju idei regionalizmu są bardzo ograniczone. Brak środków z budżetów gmin czy przedsiębiorstw na cele społeczne wiąże się z mniejszymi nakładami na rozwój kapitału ludzkiego społeczeństwa. Ponadto z tych regionów następuje duża emigracja. Właśnie z nią wiążą się największe problemy.

W Polsce i na świecie mamy do czynienia z dwoma rodzajami migracji, a mianowicie z migracją wewnętrzną i międzynarodową. Uznaje się, że oba rodzaje są zjawiskami niegroźnymi, o ile bilans migracyjny jest zbliżony do

¹ Por. K. Kajdanek, *Suburbanizacja po polsku*, Kraków 2012.

zera. W naszym kraju od kilkunastu lat, w ramach migracji międzynarodowej i na linii peryferia – metropolie mamy do czynienia z ujemnymi bilansami migracyjnymi. Dotyczy to zwłaszcza terenów oddalonych od największych miast kraju. Co ciekawe, najbardziej mobilną grupą ludności są osoby do 45 roku życia, można powiedzieć że to grupa najbardziej aktywna. Obecnie najwięcej Polaków migruje z miast do wsi. Jak pośrednio podkreśla w swoich książkach Katarzyna Kajdanek następuje migracja, która staje się jałowa na skutek braku zaangażowania napływowej ludności w życie społeczne swojej okolicy. W większości jest to migracja osób zamieszkujących duże miasta do obszarów podmiejskich. W drugą stronę migrują osoby ze wsi i miasteczek, które kierują się do dużych miast za pracą, na studia czy w innych okolicznościach. Wśród nich **migrują młodzi regionaliści. Wybierają oni pomiędzy brakiem pracy i spełnianiem obowiązku regionalisty na miejscu, a dobrze płatną pracą i możliwościami rozwoju w dużym mieście.** Do tego nakładają się migracje za granice kraju, skąd powrót jest o wiele trudniejszy. **Uszczuplenie potencjału demograficznego miast i miejscowości wpływa szczególnie na gospodarkę, ale również na miejscowy regionalizm.** Oczywiście jest to uogólnienie, nie w każdej miejscowości taki negatywny trend następuje, jednak według moich obserwacji jest to wiodący kierunek zmian.

Dlatego tytuł tej wypowiedzi brzmi *Region czy lista?* Pragnę za jego pomocą zwrócić uwagę na fakt, że młodzi ludzie często zmuszeni są dokonać wyboru pomiędzy pracą (nazwijmy ją umownie pracą regionalisty) związaną z miejscem, które zamieszkują bądź są do niego przywiązani, a zwykłym wpisywaniem się na listę obecności w pracy poza krajem, bądź w jego granicach, lecz daleko od miejsca urodzenia. Nie twierdzę, że kontynuowanie pracy regionalisty w nowym miejscu jest niemożliwe, ale wiąże się to z dużym nakładem pracy własnej i wolnego czasu, co nie jest priorytetem dla osoby, która decyduje się na emigrację i próbuje od podstaw ułożyć sobie życie.

Emigracja negatywnie wpływa na młodzież, która widząc, że rówieśnicy oraz starsze pokolenie rezygnuje z pracy w regionie i na jego rzecz, również decyduje się na wyjazd. Także brak autorytetów – regionalistów z krwi i kości, nie przyczynia się do rozwoju idei regionalistycznej wśród młodego pokolenia. Migracja młodych ludzi powoduje zachwianie równowagi międzypokoleniowej w miejscowości. To głównie ludzie młodzi

próbują tworzyć (pisać i realizować) projekty, które aktywizują społeczność. Gdy ich zabraknie, ci, którzy zostaną – dzieci, młodzież szkolna i starsze pokolenie – nie będą mogli w pełni przejąć ich obowiązków i kontynuować niezbędnych regionalnie działań. Dodatkowo samorządy, z braku środków, nie będą mogły finansować projektów mających na celu pobudzenie tożsamości regionalnej i regionalizmu jako ruchu społecznego. Jest to bardzo negatywna wizja, która może się ziścić, pomimo kroków zaradczych prowadzonych w poszczególnych gminach i miejscowościach.

Jakie jest wyjście z tej sytuacji? Niestety przede wszystkim potrzebne są pieniądze. Ale ważne jest także właściwe i mądre ich wykorzystanie, np. inwestując pośrednio w daną społeczność. Takie inwestowanie może być związane z nowymi miejscami pracy dla mieszkańców i młodych ludzi, którzy posiadają różne zainteresowania. Ważne jest docenienie wybitnych regionalistów poprzez zatrudnienie ich w placówkach kultury bądź edukacji, jako prowadzących zajęcia regionalne z młodzieżą i osobami dorosłymi. Obecnie bardzo silnym procesem jest tworzenie w wielu miejscowościach inicjatyw Uniwersytetów Trzeciego Wieku, jako programu zaangażowania osób starszych w projekty i zajęcia udoskonalające i rozwijających pasje. Prowadzenie takowych zajęć z zakresu turystyki, poznawania regionu, z jednej strony wzmocniłoby samodzielność materialną regionalistów, spowodowałoby wzrost ich samooceny jako osób potrzebnych, z drugiej zaś, wzmocniłoby to świadomość regionalną osób uczęszczających na spotkania. Prawdziwi regionaliści z całą pewnością wykonywaliby taką pracę z radością i zaangażowaniem. Poprzez dostrzeżenie tych ludzi i inwestowanie w nich, można zachować idee regionalizmu, rozwijać ją nie tylko wśród młodzieży, ale i w całej społeczności.

Te i inne drogi do rozwoju i zachowania idei regionalizmu zależą bezpośrednio od wielu czynników. Pierwszy czynnik zależy od samych ludzi. Regionalizm nie jest dziedziną, ani zajęciem, które daje bardzo wysokie dochody. Jednakże zadowolenie z pracy, satysfakcja z zaangażowania w działalność i organizację rozmaitych przedsięwzięć są bardzo wysokie i mogą rekompensować niedobory materialne. Zresztą wiadomo nie od dziś, że o wiele lepiej wykonuje pracę człowiek, który interesuje się tym co robi. Ponadto osoby te (przynajmniej teoretycznie) powinny cieszyć się szacunkiem pośród lokalnej społeczności. Również ważnym jest, aby świat nauki nie postrzegał regionalistów jako „lokalnych wariatów”. Potrzeba zrozu-

mienia i współpracy pomiędzy lokalnymi działaczami – regionalistami a światem nauki jest oczywista i niezbędna, tak dla funkcjonowania współczesnej nauki jak i dla rozwoju oraz jakości badań lokalnych. Dla obu stron taka współpraca będzie przynosiła duże efekty, polepszające jakość pracy naukowców i regionalistów.

Drugi czynnik zależy od władz. To właśnie one najbardziej powinny dbać o swój wizerunek wśród społeczeństwa jak i innych samorządów. Mogą to czynić m.in. poprzez działania promujące i wspierające regionalistów na własnym terenie. W takich okolicznościach mieszkańcy chętniej podejmą inicjatywy zmieniające na lepsze ich otoczenie. Również zwiększy się odpowiedzialność mieszkańców za wygląd okolicy, za działania oraz projekty realizowane na jej rzecz.

Ostatni, trzeci czynnik, wiąże się z przedsiębiorcami. To oni podejmując działalność na danym terenie, dają miejsca pracy członkom lokalnej społeczności. Od jakiegoś czasu coraz częściej wspomina się o społecznej odpowiedzialności przedsiębiorców. Wymowę tej odpowiedzialności przedsiębiorcy różnie rozumieją. W kontekście regionalizmu, ważne jest to, aby przedsiębiorcy dostrzegali, że reprezentują region. Oczywiście dotyczy to tylko lokalnych wytwórców, ponieważ wielkie koncerny nie są utożsamiane z żadnym regionem z racji globalnych powiązań korporacyjnych oraz ogólnego kojarzenia ich z kapitałem zagranicznym. Jednak lokalne przedsiębiorstwa, poprzez wystawianie się na różnego rodzaju targach, mają możliwość promocji regionu równoległe i równocześnie z promocją swoich produktów. Ponadto mogą być ważnymi sponsorami inicjatyw prowadzonych przez lokalnych działaczy, bądź samych regionalistów. Przedsiębiorcy mogą być sponsorami publikacji, fundatorami stypendiów, współinicjatorami akcji społecznych jak i ich partnerami. Wszystkie te działania mogą mieć miejsce tylko wtedy, gdy ruch regionalistyczny w regionie jest żywy, a jego inicjatywy dobrze oceniane przez lokalną społeczność.

Regionalizm jest ważnym elementem spajającym lokalną społeczność. Wzmacnia przyzwolenie dla działań promocyjnych, budzi dumę i odpowiedzialność za dziedzictwo kulturowe. Podtrzymywanie i rozbudzanie regionalizmu wymaga poświęcenia wielu środków. Najważniejszym jest czynnik ludzki – sam człowiek, który jest regionalistą. Bez niego, jego pracy i inicjatywy, szansa na rozwój idei oraz na rozbudzanie zamiłowania do najbliższego otoczenia w społeczeństwie będzie znikoma.

Michał Suszczewicz – magister geografii o specjalizacji Analizy Regionalne i Lokalne, doktorant w Zakładzie Analiz Regionalnych i Lokalnych (Uniwersytet Wrocławski). Popularyzator turystyki kulturowej, aktywnej turystyki rowerowej oraz industrialnej. Miłośnik Ziemi Wschowskiej, Śląska oraz pograniczy. Działacz Koła Naukowego Studentów Geografii Uniwersytetu Wrocławskiego.



PATRYCJA KUCZYŃSKA
Warszawski Dom Tańca

PRZEŻYWAJĄC ZAWODY, CZYLI GINĄCE ZAWODY NA KURPIACH¹

Pamiętam wiszącą na ścianie tablicę informacyjną, na której obok zdania „Czym się chlubimy”, był duży szablon z miejscowym herbem, mapa okolicy i sylwetki zasłużonych dla regionu postaci: Ludwik Krzywicki, Adam Chętnik, ks. Władysław Skierkowski czy Stanisław Ceberk. I tak, jedno z pomieszczeń szkoły zmieniło ówczesny wygląd na salę muzealną. Każdy kąt był wypełniony różnorodnymi wyrobami rękodzieła artystycznego, od rzeźb, naczyń, strojów, obrazów; po chodniki czy narzędzia rolnicze. Każde z dzieci przynosiło co jakiś czas, niepotrzebne już sprzęty gospodarstwa domowego, które wychodziły z użytku: drewniane dzieże, przetaki, gliniane talerze, dwojaki, trojaki, plecione kosze, małe ule bartne, kołowrotki, instrumenty i tym podobne – często rozsypujące się już – przedmioty. Niewiele wysiłku potrzeba było, aby po niedługim czasie zagraścić całą klasę. Pamiętam, że były tam też wycinanki, kwiaty z bibuły, kolorowe kierce, pieczywo obrzędowe – nie sposób tego wszystkiego wymienić.

Wychowawca tej grupy, starał się edukować swoich uczniów poprzez krzewienie folkloru Kurpiowszczyzny. Witold Kuczyński, bo tak się nazywał ów nauczyciel, prywatnie mój ojciec, będąc młodym nauczycielem w szkole podstawowej w Czarni, wpadł na pomysł utworzenia klasy regionalnej. I tak razem z wychowankami przyozdobili jedną z klas rękodziełem ludowym. Na lekcjach wychowawczych tata uczył dzieci, jak te wyroby rękodzieła artystycznego wykonywać. Zajęcia manualne poprzedzał wykładami

¹ Tekst pierwotnie ukazał się na stronie: http://www.historia.kurpie.com.pl/index_pliki/page0015.htm. Przedruk za zgodą właściciela portalu – Pana Zdzisława Bziukiewicza.

teoretycznymi. W zależności od tematyki były organizowane różne zajęcia, na przykład kwiatki z bibuły, czy rzeźba i zdobnictwo w drewnie. Najpierw tata tłumaczył która miejscowość słynie z tych wyrobów najbardziej, opowiadał o najsławniejszych twórcach ludowych reprezentujących daną umiejętność, a potem próbowaliśmy swoich sił własnoręcznie. Ja byłam wtedy bardzo mała. Nie chodziłam jeszcze do szkoły, kiedy tata podjął ten pomysł. Pamiętam jednak, że przychodziłam na takie lekcje. Niewiele z nich rozumiałam, ale uczestniczyłam w nich aktywnie. Pamiętam lekcję ze słynnymi kurpiowskimi świątkami. Wysłuchaliśmy wtedy krótkiej prelekcji o różnych rodzajach tych figurek. Tata pokazał nam zdjęcia oryginalnych rzeźb i małych przydrożnych kapliczek oraz objaśnił gdzie można je jeszcze zobaczyć. Przyniósł też klasyczne, przykładowe rzeźby z drewna, które wszyscy mogli z każdej strony obejrzeć i dotknąć. Po teoretycznym wstępie, zabieraliśmy się do praktyki. Wzorowaliśmy się wtedy na kształtach oryginalnych rzeźb dłubiąc dłutem w szarym mydle. Każdy rzeźbił według własnej inwencji, tak jak potrafił. Niezłą mieliśmy przy tym frajdę. Robiliśmy też wycinanki, czy kwiatki z kolorowej bibuły. Wszystko potem wędrowało na ścianę, tworząc różnobarwną wystawę. Przybliżało to niewątpliwie autentyczny charakter naszego regionu. Potrzeba było wtedy kogoś, kto spróbowałby ocalić tę naszą kulturę od zapomnienia.

Szczęśliwie złożyło się, że w tym okresie kultywowaniem tradycji regionu kurpiowskiego został zarazony również pewien łódzki reżyser – Zygmunt Skonieczny. Wspólna praca zaowocowała korzystnym projektem. Pan Skonieczny, jako entuzjasta folkloru tytułuje się autorem kilku filmów dokumentalnych o tematyce regionalnej. Jedną z takich produkcji zrealizowaną przez niego w roku 1994, był film z cyklu *Małe Ojczyzny*, pod tytułem: *Ty o lesie ciągle marzysz*. Kilkakrotnie emitowano go w drugim programie Telewizji Polskiej. Znalazłam ten film na płycie DVD w naszej domowej biblioteczkę stosunkowo niedawno. Obejrzałam go – co było niesamowitym przeżyciem – po kilkunastu latach. To reportaż prezentujący przyrodę, ludzi i odchodzące w niepamięć dawne zawody z okolic Czarni, czyli miejscowości, w której się wychowałam. Film zaczyna się tytułową pieśnią leśną, *Ty o lesie ciągle marzysz*, która była tłem do zdjęć lasu bartnego i tekstu: „Witold Kuczyński, nauczyciel z Czarni. Kurps z krwi i kości. Kieruje regionalnym zespołem folklorystycznym, prowadzi autorską klasę ukierunkowaną

na rzemiosło i kulturę ludową”. Miałam łzy w oczach, kiedy to oglądałam, bo dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że to co robił tata, było wyjątkowe jak na tamte czasy. Strona internetowa Filmu Polskiego streszcza pokrótce ten dokument słowami: „Są jeszcze drewniane zagrody kryte strzechą, w których tętni życie, są jeszcze ludzie wykonujący wymierające zawody, jest też młodzież, dla której zachowanie przy życiu ginącego świata ludowej kultury jest rzeczą ważną. Ale świadomość kulturowa nie rodzi się w pustce. Niecodzienny pomysł na jej kształtowanie realizuje pan Witold, nauczyciel, Kurp z dziada pradziada. Wędruje on z dziećmi po puszczy, odwiedza bartników, smolarzy, bednarzy, którzy zdradzają młodym tajniki swojego rzemiosła”². Oczywiście filmów o Kurpiach jest na pewno wiele, ale ten traktuję szczególnie – to dokument, który można by rzec, przedstawia po trosze moje dzieciństwo. Tata rzeczywiście chodził ze swoimi uczniami po rezerwacie opowiadając im różne historie bartne. Odwiedzał też, od lat zaznajomionych, miejscowych twórców ludowych. Ten dokument był opatrzony takimi właśnie scenami, pieszymi wycieczkami po lasach i obejściach lokalnych artystów. Chcąc nie chcąc, dołączyliśmy z młodszym bratem do kilkuniosobowej grupy uczniów. Tata dosyć często zabierał nas na takie wycieczki. Właściwie niewiele z tego pamiętam, miałam wtedy siedem lat. Byłam bohaterką kilku scen, choć wtedy nie bardzo rozumiałam jeszcze sens tego wszystkiego.

Jedno z ujęć filmowych przedstawia **plecionkarstwo**. Było bardzo popularnym rzemiosłem na Kurpiowszczyźnie, ponieważ warunki naturalne umożliwiały korzystanie z wielu surowców, takich jak korzenie drzew iglastych, głównie sosny, także jałowca, wikliny, łyka lipowego czy słomy. Korzenie z sosny zbierano wiosną i jesienią. Najpierw suszono je, potem moczo w wodzie żeby nabrały elastyczności. Wilgotnym korzeniom można było nadawać dowolne kształty. Do popularnych surowców obok korzeni sosny należała, wspomniana już, słoma. Pozyskiwano ją przed żniwami. Z pietyzmem selekcjonowano ładniejsze źdźbła i z nich modelowano pojemniki różnej wielkości. Rzadszym tworzywem na Kurpiowszczyźnie była wiklina. Rozcinano wzdłuż pręt wikliny. Służył on jako materiał pomocniczy, do usztywnienia wyplatane go pojemnika z innego surowca, na przykład z korzenia albo ze słomy.

² www.filmpolski.pl 2008 [07.03.2014]

Na filmie można zobaczyć czynność wyplatania pojemników na starą, tradycyjną modłę. W bardzo słoneczny dzień pojechaliśmy do Pana Teofila Pyśka. Plecionkarz z Czarni, około sześćdziesięcioletni wtedy, budzący respekt mężczyzna, oprowadzał nas po obejściu pokazując swoje wyroby plecionkarskie. Na jednej z przebitek filmowych widać jego obszerną kolekcję – olbrzymie, metrowe kosze ze słomy. Pamiętam, że były takie duże, że mogłam się w nich schować. Podeszły wiekiem Pan Pyśk, pokazywał nam też, jak wypleść kosz z korzenia sosnowego. Wyrwaliśmy razem te korzenie z przydomowego lasku. Bardzo się wtedy kurzyło. Kiedy uzbieraliśmy wystarczającą ilość tego surowca, pomagaliśmy wyrwane pędy oczyścić z kory. Potem nasz mistrz, ze stoickim spokojem, pokazywał nam w jaki sposób przeplatać korzenie przez szkielec z gałęzi, aby powstał kosz. Zwinnie przetykał długie korzenie pomagając sobie drewnianym nożem. Po obserwacji, każde z dzieci wiedziało już, jak to umiejętnie zrobić. Kto chciał, mógł się wtedy sprawdzić. Po niedługim czasie, wspólnymi siłami, upletliśmy mały koszyk. Zaskoczeniem dla mnie było to, że po wlaniu do niego wody, nie uroniła się ani kropla.

Pan Teofil miał też swoją przydomową pasiekę z ulami bartnymi z kłoców puszczańskich drzew. Były to ostatnie wtedy autentyczne barcie na terenie naszej gminy. Pokazywał jak wydobywa się miód. Nie mogliśmy podchodzić do uli za blisko. Tłumaczył jak obchodzić się z pszczołami. Traktował je ze szczególnie wielkim szacunkiem. Mówił do uli, podobno dzielił się z nimi problemami, uważał je za członków rodziny i powiadał o istotnych wydarzeniach w domu. Twierdził, że pszczoła nie zdycha, tylko podobnie jak człowiek, umiera.

Innym z bohaterów filmu był Pan Jan Krystkiewicz z Myszynca. To znany podówczas garncarz, tak zwanej starej daty. Okres największego rozkwitu **garncarstwa** na Ziemi Kurpiowskiej przypadł na przełom XIX i XX wieku. Potem rzemiosło to stopniowo zanikało. Ostatecznie po II wojnie światowej – jak podaje literatura przedmiotu – wyroby miejscowych garncarzy były wypierane przez produkty pochodzenia przemysłowego. W miejscowości Myszyniec w latach 90. XX wieku udało się jeszcze odnaleźć i udokumentować autentycznego garncarza – co reportaż Skoniecznego zdaje się potwierdzać. Podobnie jak plecionkarz z Czarni, Pan Krystkiewicz był zawansowany wiekiem. Wyrabiał naczynia gliniane na kole garncarskim, wprawiając je w ruch nogami. Jego zbiór produktów na półkach warsztatu

pokazywał, że istniało szerokie spektrum wyrobów z gliny: garnki, kubki, dzbanki, dziezki, miski, doniczki, także bardziej skomplikowane naczynia, takie jak dwojaki, trojaki, foremki do ciasta, stojaki do świeczek, a nawet kufle do piwa. Po kilku latach, wraz z rozwojem swojej profesji, zaczął też ozdabiać swoje naczynia różnorodnymi żłobieniami, malowidłami, a nawet rzeźbami.

Z radością oglądałam ujęcia, kiedy z bratem Czarkiem, w zabawnych jaskrawych ubraniach, staliśmy nad Panem Janem i jego kołem garncarskim, w takiej odległości, że prawie dotykaliśmy jego ubrudzonych gliną, gęsto zarośniętych rąk. Mówił wtedy znamienne słowa, które do dziś są powtarzane żartobliwie w naszej rodzinie: „No przyglądajcie się dzieci, jak się robi dzióbek do dzbanka”. Powtarzał je kilka razy. Do tej pory jak wspominaliśmy to zdanie, wywołuje ono śmiech. Obserwowaliśmy jego zwinne ruchy, zniszczonych i pomarszczonych dłoni. Włóchatymi rękami z imponująco wyrzeźbionymi muskułami, modelował naczynie. Kiedy krzyknął: „gotowe”, z zaciekawieniem wkładaliśmy głowy do świeżo ulepionego dzbanka z dzióbkiem. Po skończeniu sędziwy dziadek rzucał na koło kolejny miękki kawał gliny. Przy hucznym odgłosie mrużyliśmy oczy. Nic nie mówiliśmy, tylko zaintrygowani wpatrywaliśmy się w hipnotyczny wir koła i w tajemniczego autora, który ułatwiał sobie lepienie specyficznymi ruchami ust.

Ostatnią z przedstawicieli ginących zawodów była Franciszka Kuczyńska, nasza babcia. Zajmowała się wyrobem **pieczywa obrzędowego**. Filmowe ujęcie przedstawia wnętrze jej mieszkania. W kameralnej grupie, razem z tatą, bratem i dwójką małych kuzynek lepiliśmy, typowe dla regionu kurpiowskiego, byśki. To figurki domowych i leśnych zwierząt: koni, jelonków, gęsi, baranków, krów, wołów i byków. W trakcie ich robienia babcia opowiadała jak przed kilku laty mielono mąkę w żarnach. Przysłuchiwaliśmy się grzecznie. Potem pięcioletni wówczas Cezary zaśpiewał piosenkę *Wysła burzycka*, której wykonanie stało się sławne na festiwalu w Kazimierzu Dolnym. Kiedy oglądałam ten moment, nie mogłam powstrzymać się od śmiechu. Do tej pory żartujemy sobie, jak mały Czarek zawzięcie modulował głos. Po ulepieniu wkładamy wysuszone pieczywo do pieca, aby je wypalić. Kiedy już jest gotowe, kładziemy na stół udając że się nim bawimy. Ta scena u babci wyglądała dosyć sztucznie. Tata był podenerwowany, przejmował się pewnie żeby wszystko wypadło tak jak zaplanowano na potrzeby filmu. Przyznam, że oglądanie tego dokumentu sprawia mi frajdę za każdym

razem. Cofam się w czasie prawie 20 lat wstecz, w zupełnie inny świat. To była przygoda, którą do tej pory wspominam.

„Ja wyrosłem w rodzinie, w której folklor i tradycje ludowe były bardzo mocno szanowane – mówi Witold Kuczyński podczas filmu – Później, kiedy rozpocząłem pracę zawodową jako nauczyciel (...) od początku widziałem tą potrzebę (...) żeby zarazić tym również młodzież szkolną”. Dzisiaj na terenie Kurpiowszczyzny trudno znaleźć plecionkarza, garncarza czy też Kurpiankę, która piecze jeszcze pieczywo obrzędowe. Bohaterowie filmu, twórcy ludowi: T. Pyśk, J. Krystkiewicz, F. Kuczyńska, już nie żyją; ciągle jednak istnieją we wspomnieniach swoich uczniów ze szkoły podstawowej w Czarni, dorosłych już dzisiaj ludzi. Żadne z nich – co nietrudno zrozumieć – nie zajęło się tą pracą zawodowo. Można jednak wierzyć, że ta nośna idea zarażenia folklorem młodzieży szkolnej nie pozostanie bez echa i chociaż w małym stopniu zdołała ocalić miejscowy folklor od zapomnienia. Powoli folklor samoczynnie odchodzi na drugi plan. Przez postęp cywilizacyjny wiele wytworów kultury materialnej jak też i duchowej odchodzi w niepamięć. Tak powoli dzieje się z twórczością rzemieślniczą tutejszej ziemi.

Rzemiosłem ludowym Kurpiów, które zdaje się być całkowicie już dzisiaj wyparte przez nowoczesną technologię, było **tkactwo**, dawniej szeroko rozpowszechnione zajęcie. Jeszcze po II wojnie, prawie w każdym domu stał warsztat tkacki. Surowcem do tkania był głównie len i wełna. Trzeba je było odpowiednio przygotować zanim trafiły na krosna. Kurpianki przędły je na kołowrotku. Wyrobione nici nawijano na szpule – talki, nicionki, które potem wędrowały na warsztat. Tkano przeplatając nici wątku i osnowy. Z uzyskanego płótna wykonywano odzież. Robiono również kapy na łóżka, derki na konie, pasiaki i wiele innych wyrobów.

Pamiętam, jak w dzieciństwie pojechaliśmy z tatą do rodziny jego przyrodniego brata. Tam na środku kuchni stały wielkie krosna. Ciocia Krysia z wielkim wysiłkiem tkąła różnokolorowe chodniki. Ściskając sznurki zamaszystym ruchem ręki, wywoływała wielki huk. Robiła też słomianki. Nici wątku i osnowy zmieniała nogami za pomocą ponożów, przeplatała przez nie słomę, poczym obcinała nożyczkami nierówności po bokach. Robiła to tylko na użytek własny, choć z biegiem czasu był to również dodatkowy dochód większej liczby rodzin naszej gminy. Kiedyś duży asortyment wyrobów tkackich sprzedawano w odległych częściach kraju, co w poważnym

stopniu zasilalo budżet rodziny. Konieczność utrzymywania się z handlu determinowała rozwijanie umiejętności artystycznych.

Inną dziedziną wartą naświetlenia było i jest **bursztyniarstwo**. Tereny Puszczy Kurpiowskiej posiadają pokaźne zasoby bursztynu. Działo tu wiele warsztatów. Obróbką bursztynu zajmowano się już od początku XVIII wieku. Podobno różnorodne wyroby bursztyniarzy kurpiowskich słynęły niegdyś w całej Europie. Znaczący sukces odniosły ostrołęckie pracownie bursztyniarskie na jednej z wystaw w Paryżu w 1878 roku – nadmienia Bernard Kielak. Z dużej liczby warsztatów i działających bursztyniarzy – kontuuje autor – pozostał jeden, Zdzisław Bziukiewicz ze wsi Wach. Do dziś jest rozpoznawanym i szanowanym twórcą ludowym. Podtrzymuje on tradycje swojego ojca Stanisława, który nauczył się kunsztu od znanego bursztyniarza Wiktora Deptuły³.

Nie dalej niż dwa miesiące temu, odwiedziliśmy z tatą Pana Zdzisława i jego żonę Laurę w Wachu. To nasi wieloletni znajomi, odwiedzili nas kilkakrotnie w Czarni. Zawsze lubiłam rozmawiać z Laurą, często były to rozmowy na temat kultury ludowej Kurpiów. Od trzech lat małżeństwo Bziukiewiczów prowadzi Muzeum Etnograficzne w Wachu, co jak sędzę, jest nadzwyczaj trafionym pomysłem. Nie byłoby to zadziwiające, gdyby nie otworzyli go na własnej posesji. Narzędzia rolnicze i wszelakie tradycyjne ozdoby są poustawiane na całym podwórku, a główny punkt z ogromną ilością eksponatów znajduje się w stodole. Wygląda to naprawdę imponująco. Całe olbrzymie podwórze jest zaadaptowane na potrzeby zwiedzania.

Oglądając nowe zbiory, rozmawiam z Panem Zdzisławem. Oprowdza mnie po pomieszczeniach stodoły. Opowiada też o sobie. Wypytyuję go jak właściwie zaczęła się jego historia z bursztynem – „Od dzieciństwa miałem z tym do czynienia – odpowiada. Ja się urodziłem z bursztynem, to u mnie się nie zaczynało. Tata się tym zajmował. Zaraziłem się tym. Cierpliwość do tego trzeba mieć. Kiedyś prądu nie było, to wiercić trzeba było ręcznie. – Wspomina Pan Zdzisław – Kiedyś jak miałem z dziesięć lat, to sporo nawet rzeźbiłem w bursztynie. Teraz to jest za droga zabawa. Wiesz, kiedy miałem jakieś dwadzieścia lat, to zacząłem to robić na swoje konto. Tak się zaczęło”.

³ B. Kielak, *Kurpie. Puszcza Zielona – historia, kultura, tradycja*, Ostrołęka 2010, s. 33; Por. K. Waszczyńska, *Kupr w internecie i w realu – Zdzisław Bziukiewicz*, [w:] *Antropolog wobec współczesności: tom w darze Profesor Annie Zadrożyńskiej*, pod red. A. Malewskiej-Szałygin, M. Radkowskiej-Walkowicz, Instytut Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2010, s. 163–178.

Od kilku lat prowadzi warsztaty między innymi właśnie z bursztyniarstwa. Uczy dzieci i młodzież jak obchodzić się z bursztynem. Pokazuje na kołowrotku, jak się go obrabia. Potem każde z uczestników może poćwiczyć. „W ten sposób ta przyjezdna młodzież – mówi Pan Zdzisław rozglądając się po podwórku – przynajmniej zapamięta, że na Kurpiach był bursztyn. Trzeba w nich jakoś zaszczerpić trochę naszej tradycji”. Odpowiadając pochwalam pomysł edukacji i kiwam głową z aprobatą. Zdzisław i Laura kilkakrotnie opowiadali o swoim rodzinnym muzeum w Telewizji Polskiej, w takich programach jak na przykład: *Kawa czy herbata*, reklamując je tym samym na całą Polskę. Przyjeżdżają do nich dzieci i młodzież z okolicznych szkół, jak ich wycieczki turystyczne z innych regionów Polski. Prowadzą szeroką gamę warsztatów. W ofercie lekcji muzealnych jest do wyboru ponad dwadzieścia pozycji warsztatów – czego dowiaduję się z ich profesjonalnie przygotowanej ulotki.

Zdecydowanie popieram pomysł małżeństwa Bziukiewiczów. Aby rozbudzić zamięłowanie do regionu, swojego miejsca urodzenia, swojej „małej ojczyzny”, potrzeba pomysłowości, pełnych inwencji przedsięwzięć, aktywnego działania. Potrzeba właśnie takich propagatorów, lokalnych miłośników, żeby zaangażować lokalną społeczność. Jednym z wielu konceptów, który może przysłużyć się wzbudzeniu owych postaw patriotyzmu lokalnego, jest właśnie edukacja regionalna.

Działalność Witolda Kuczyńskiego związana z odwiedzaniem twórców ludowych i zaznajamianie dzieci szkolnych z ginącymi profesjami, wpisuje się w ten nurt. Również pomysły Laury i Zdzisława Bziukiewiczów na utworzenie Muzeum Etnograficznego i prowadzenie warsztatów związanych z ginącymi zawodami na Kurpiowszczyźnie, sprzyjają wzmocnieniu świadomości i bliższemu zrozumieniu tradycji. Wiedza o regionie, przekazywana dzieciom, ich zaznajomienie z historią, pomagają w umacnianiu tożsamości regionalnej. Poczucie zakorzenienia może z kolei sprzyjać otwartości i tolerowaniu odmienności. Edukacja regionalna ma istotne znaczenie w przygotowaniu do rozwoju indywidualnego potencjału. Gruntuje pozytywne nastawienie do różnorodności. Krzewi i utrwala postawy kreatywności nastawione na przyszłość kultury regionalnej.

Patrycja Kuczyńska – urodzona w 1987 roku na Kurpiach, w miejscowości Czarnia. Wychowała się w rodzinie pielęgnującej folklor i tradycje ludowe. Od dzieciństwa udzielała się w regionalnym zespole folklorystycznym „Carniaci”. Przynależność do tego zespołu owocowała osiągnięciami w dziedzinie tańca i śpiewu na arenie ogólnopolskiej. Występowała na różnego rodzaju przeglądach i festiwalach ludowych reprezentując region kurpiowski. Uczestniczyła w wielu przedstawieniach o tematyce obrzędowej, m.in.: w widowisku teatralnym o zwyczajach na Kurpiowszczyźnie prezentowanym w Teatrze Polskim w Warszawie. Absolwentka Uniwersytetu Łódzkiego, magister etnologii. Studia skończyła z wyróżnieniem. Była członkinią Zarządu Studenckiego Koła Naukowego Etnologów UŁ. Odbiła stypendium w Portugalii na wydziale Językowym i Sztuk Pięknych Uniwersytetu w Porto (Faculdade de Letras e Belas Artes da Universidade do Porto). Śpiewała w grupie studenckiej „Wieczernica” przy UŁ. Jest członkinią łódzkiego ogniska międzynarodowego stowarzyszenia YMCA. Angażowała się w projekty Młodzież w Działaniu – „Youth in Action”, była reprezentantką Polski na warsztatach artystycznych w kilku krajach Europy. Pasjonatka tańca, uczestniczka wielu międzynarodowych warsztatów muzyczno-ruchowych i kursu kwalifikacyjnego na instruktora tańca ludowego w Mazowieckim Centrum Kultury i Sztuki w Warszawie.

MŁODZI ETNOLODZY
O SWOICH
„MAŁYCH OJCZYZNACH”



KAROLINA WANDA RUTKOWSKA
Łowicz

POD OSIEMNASTYM

Podrzeczna osiemnaście, stara kamienica, podwórko...
Klatka schodowa, poręcz wytarta przez wiele pokoleń dłoni
Dwanaście i potem osiem schodków, chodziłam po nich w kółko
To był mój świat, a teraz tylko lub aż temat wspomnień

Na ścianach graffiti, niezbyt bezpieczna dzielnica
Nie było o niej wierszy, policyjny raport raczej
Nikt nie chodził tu nocą, bo to taka ulica
Nigdy się nie bałam, wspominam to inaczej

Pamiętam wierzbę, studnię, nie było garaży wtedy
Moja piaskownica, trzepak na którym rękę złamałam
Nikomu się nie przelewało, nie było widać biedy
Sama często się dziwię, że tyle zapamiętałam

Niezwykłe miejsce na trakcie z zamku do kolegiaty
Tędy książe prymas jechał zwykle na modły
Może przez to czynsz mieliśmy wyższy – nie znam się na tym
Różne wichry historii moją ulicą wiodły

Sąsiedztwo było niezwykle – przez ścianę było kino
Fryzjer męski, mistrz Ksawery miał zakład od ulicy
Andrzej, co mieszkał obok sprzedawał wódkę i wino
Zofia wdowa po malarzu dawała drabinę z piwnicy

Automat do zamykania bramy (przed nosem), ciekawska Gabriela
Z braci mniejszych: psy Karaluch, Misiek i wdzięczna suka Mika
Życie tętniło – nie ważne świętek, piątek, niedziela
Zimą trakt popiołem znaczony prowadził do śmietnika

Nikt nie żył tam sam, wszyscy mieszkaliśmy razem
Stłuczone piłką szyby, wrzaski, po zmroku podchody
Zwykle figle urwisów uchodziły nam płazem
Była radość, ba nawet gdy nie było pogody

Wiosną wracały jaskółki, kwitło całe podwórze
Czasem wylała rzeka, podchodziła blisko woda
Pranie zwykle się wieszać na strychu, na górze
Była to kraina Dytka na słomianych nogach

Właściciel gołębnika miał czarnego Peugota
Dbał o swoje ptaki, był kibicem futbolu
Wspominam często sąsiadów – może to głupota
Pamiętam was: Maćku, Aniu, Bartku, Olu

Pamiętam jak sąsiad z dołu canoe zbudował
I potem przetkał rury z dużej petardy pomocą
Ktoś inny po kłótni z żoną w komórce nocował
Tylko czasem radiowóz pojawiał się nocą

Stanisław radził sobie z awariami prądu
Kłopot był tylko z drabiną, by sięgnąć gdzie korki
Ponoć po pijanemu odmroził potem nogi
Zwykle drwa na opał kupowano na worki

Wiktor kochał ścinać trawę, wyręczał dozorcę
Pamiętam jak ukradł mi ktoś rower i ojcu kalosze
Waldek właściciel saturatora wyrósł na przedsiębiorcę
Robi to co lubi – szyje biustonosze

Tęsknię za kamienicą, ostatnio byłam w marcu
Miejsce jakby już inne, ale nadal moje
Kto z Podrzeczej, ten w mieście ma szacun
Zostawiłam tam Przyjaciół i dzieciństwo swoje

JAN MIKINKA
Łódź

W POSZUKIWANIU WŁASNEGO MIEJSCA - MAŁE OJCZYZNY W GLOBALNEJ WIOSCE

Niezwykle trudno przychodzi nam pisanie o sobie samym, a bycie regionalistą właśnie na tym się opiera, na opisywaniu swoich odczuć, doznań, wyrażaniu własnej osobowości, wrażliwości, jednym słowem – obnażaniu swojego wnętrza. Wszystko to, cała ta autorefleksja sprowadza nas do określenia swojej tożsamości, nierzadko bowiem pytaniu: Kim jestem?, towarzyszy pytanie: Skąd pochodzę? Duży wpływ na to kim jesteśmy i jacy jesteśmy ma miejsce z którego pochodzimy, w którym się wychowaliśmy, bądź darzymy specjalnymi uczuciami. Czym bowiem jest „ojczyzna”, bez człowieka, który właśnie tym mianem ją określa?

Codziennosc ma to do siebie, że „na co dzień” nie dostrzegamy jej elementów, przyjmujemy ją bezrefleksyjnie. Funkcjonowanie w niej należy do sfery normalności, zatem nie stawiamy jej trudnych pytań, lub raczej nie potrzebujemy takowych stawiać. Sytuacja zmienia się, gdy jesteśmy zmuszeni do jakiejś zmiany, do porzucenia swojego miejsca, lub choćby tymczasowej zmiany naturalnego dla nas środowiska. W takim wypadku odkrywamy, z czego naprawdę składa się nasza codzienność, jesteśmy w stanie wskazać naszą własną „małą ojczyznę”, zaczynamy odczuwać do niej tęsknotę, a także dostrzegać to, czego do tej pory nie docenialiśmy, przyjmowaliśmy za coś stałego i pewnego.

Tak też było ze mną. Jednak w moim przypadku, to nie zmiana dotychczasowego otoczenia skłoniła mnie do podjęcia refleksji nad otaczającą mnie przestrzenią – przestrzenią codzienności, lecz zajęcia poruszające temat regionalizmu. W tej pracy podejmę próbę odnalezienia, lub raczej odkrycia miejsca, które mógłbym nazwać swoją „małą ojczyzną”. Zanim jednak

przejdę do moich poszukiwań, chciałbym wyjaśnić, czym tak naprawdę – w moim rozumieniu – jest „mała ojczyzna”, skąd się wzięła, kogo dotyczy i do czego prowadzi. Stanisław Ossowski wyróżnia dwa podstawowe rodzaje ojczyzny. Są nimi „ojczyzna prywatna” i „ojczyzna ideologiczna”. Według niego wraz z rozwojem małych społeczności plemiennych w większe, doszło do znacznego poszerzenia terytorium, na którym dane grupy egzystowały. To doprowadziło do rozbicia pojęcia ojczyzna na dwa: prywatną związaną z „(...) bezpośrednim, stosunkiem osobistym, przywiązaniem do środowiska w którym się spędziło życie, albo znaczną część życia, czy wreszcie okres szczególnie podatny na tworzenie się trwałych więzi emocjonalnych (...)” oraz ideologiczną o charakterze bardziej ogólnym, opierającą się na przekonaniu jednostek o ich uczestnictwie w pewnej zbiorowości¹.

„Mała ojczyzna” w moim przekonaniu jest odpowiednikiem „ojczyzny prywatnej”, lecz nie może funkcjonować w zupełnym oderwaniu od „ojczyzny ideologicznej”. „Ojczyzna ideologiczna” jest pewnego rodzaju podstawą, fundamentem na którym można rozpocząć budowę. Czymś w rodzaju zbioru ogólnospołecznych reguł i przepisów, które umiejętnie naginane i układane w pewne osobiste konfiguracje, mogą nam posłużyć do konstrukcji naszych, niejako autonomicznych „ojczyzn prywatnych”. Należy, także podkreślić, że o ile „ojczyzna ideologiczna” jest bytem niematerialnym opierającym się na odczuciu, o tyle „ojczyzna prywatna” jest dość ściśle związana z pewnym konkretnym – fizycznym miejscem, lub chociaż jego obrazem, takim jak np. wspomnienie.

Jak już wcześniej stwierdziłem „mała ojczyzna” jest specyficznym miejscem, a każde miejsce musi być zlokalizowane w pewnej przestrzeni. Jak jednak możemy rozumieć pojęcie miejsca? W jaki sposób człowiek wyodrębnia dane miejsce z przestrzeni, co powołuje je do życia? Na te pytania postaram się odpowiedzieć posługując się słowami Yi-Fu Tuana: „Zamknięta i uczłowieczona przestrzeń staje się miejscem. W porównaniu z przestrzenią, miejsce jest spokojnym centrum ustalonych wartości. Życie człowieka jest dialektycznym ruchem między bezpiecznym schronieniem a przygodą, przywiązaniem a wolnością”².

¹ S. Ossowski, *Dzieła III: Z zagadnień psychologii społecznej*, Warszawa 1967, s. 210–221.

² Y. Tuan, *Przestrzeń i miejsce*, przeł. A. Morawińska, Warszawa 1987, s. 75.

Fragment ten wyraźnie ukazuje zależność pomiędzy przestrzenią, a miejscem. Miejsce jest w tym ujęciu wyodrębnioną częścią przestrzeni, rządzoną według porządku oraz norm ustalonych przez człowieka. Aby wyodrębnić miejsce zazwyczaj potrzeba jednak sporo czasu. Miejsce, jako takie często odwołuje się do naszych wspomnień, sentymentów, czy doświadczeń intymnych, to właśnie te niematerialne czynniki sprawiają, że z pewnymi miejscami jesteśmy bardziej związani niż z innymi, a co za tym idzie postrzegamy je jako nasze małe, prywatne ojczyzny.

To co nazwiemy miejscem często zależy od przypadkowych zdarzeń, ulotnej chwili, którą nie sposób przewidzieć, czy zaplanować. Miejsce jest wynikiem refleksyjnej natury człowieka, oraz jego skłonności do rozpamiętywania i wspomniania. To właśnie wspomnienia związane z danym miejscem w dużym stopniu je konstytuują³. Właśnie z tego powodu dzieci mają spore problemy z ustanowieniem własnego miejsca. Natura dziecka jest dość bezrefleksyjna, żyje ono jakby poza czasem, jest w ciągłym teraz, przez co nie jest w stanie odwołać się do własnych, wcześniejszych doświadczeń – własnej biografii. Nie bez powodu mamy tak niewiele wspomnień z wczesnego dzieciństwa⁴. Należy jednak pamiętać, że nie jest to regułą, czasem wystarczy zaledwie jeden intensywny bodziec, aby wytworzyć niezwykle silną i wiążącą relację, wyodrębnić miejsce z przestrzeni. Z drugiej strony, brak jakichkolwiek bodźców, uniemożliwia stworzenie relacji nawet podczas długiej styczności czasowej. Yi-Fu Tuan podsumowuje ten problem w następujący sposób: „Wiele lat spędzonych w jednym miejscu może pozostawić niekiedy w pamięci niewiele takich śladów, które chcielibyśmy utrwalić; intensywne, choć krótkotrwałe doświadczenie może natomiast wywołać w nas chęć zmiany całego życia”⁵.

Człowiek porusza się pomiędzy miejscami umieszczonymi w przestrzeni. Miejsca takie możemy postrzegać zatem jako pewne centra naszej codziennej egzystencji. Zazwyczaj potrafimy wyodrębnić i wskazać więcej, niż jedno miejsce, będące dla nas silniejszym, lub słabszym centrum. Jesteśmy w stanie wyróżnić centrum własnego miasta, kraju, ale także centra o charakterze bardziej indywidualnym, osobistym, jak dom rodzinny, ulubiona ławka w parku, lub mała kawiarnia, w której co tydzień, od kilku

³ Tamże.

⁴ Tamże, s. 232–233.

⁵ Tamże, s. 230.

lat zdarza nam się pijać gorącą czekoladę. To właśnie z tych naszych indywidualnych i osobistych miejsc budujemy obraz „małej ojczyzny”.

„Przestrzeń przekształca się w miejsce w miarę uzyskiwania określonych znaczeń” – pisze Yi-Fu Tuan i trudno się z nim nie zgodzić. Znaczenia takie wynikają zazwyczaj z naszych osobistych doświadczeń, ale nieraz zdarza się też tak, że są nam one odgórnie wpajane, lub wynikają z arbitralnych decyzji – gdyby nie Zygmunt III Waza prawdopodobnie stolicą Polski wciąż byłby Kraków. W ten sposób każdy człowiek jest w stanie wygenerować własną sieć codziennej wędrówki, łączącą ze sobą poszczególne miejsca cieniutkimi niteczkami połączeń komunikacyjnych zachodzących między nimi. Jak powiedziała Michel Foucault: „Żyjemy w epoce, w której przestrzeń ma dla nas formę relacji pomiędzy miejscami”⁶. Powstała w ten sposób sieć splata ze sobą centra „powszechnie”, czyli takie, które figurują jako centrum w świadomości większej społeczności, lub nawet całego społeczeństwa np. centrum miasta, czy kraju, do których nie czujemy większego sentymentu oraz centra osobiste np. dom, miejsce pracy, ulubiony park – nasze „małe ojczyzny”. Jak zauważa Grażyna E. Karpińska: „(...) czas pojmuje się jako przepływ lub ruch dopuszczający przerwy (a nie nieustanny), wtedy przestrzeń kojarzymy z ruchem, miejsce zaś jest związane z pauzą w ruchu; każde zatrzymanie w ruchu umożliwia przekształcenie sytuacji (położenia) w miejsce”⁷.

W obecnych czasach, erze komputerów, technologii, komunikacji, ludzie coraz częściej posiadają przekonanie, że są jedną wielką rodziną, żyją w globalnej wiosce. Wynika to z obecnych dążeń do jak najszerzej unifikacji znanego nam świata. Otwieranie, „znoszenie” granic pomiędzy państwami, wprowadzanie wspólnej waluty, ustanawianie języka międzynarodowego, podbijanie kosmosu, połączone z rozwojem transportu (samoloty, statki, pociągi), dzięki któremu człowiek, w dość krótkim czasie, może dostać się do dowolnego miejsca na ziemi oraz niesamowita szybkość przepływu informacji, zapewniająca natychmiastowy kontakt niezależnie od odległości dzielącej ludzi, sprawiły, że świat znacząco się „skurczył”. Jest postrzegany jako ojczyzna wszystkich ludzi, McLuhanowska globalna wioska⁸.

⁶ M. Foucault, *O innych przestrzeniach. Heterotopie*, przeł. M. Żakowski, „Kultura Popularna” 2006, nr 2, s. 8.

⁷ G. E. Karpińska, *Miejsce wyodrębnione ze świata. Przykład łódzkich kamienic czynszowych*, seria wyd. „Łódzkie Studia Etnograficzne” t. 38, Łódź 2000, s. 12.

⁸ M. McLuhan, *Galaktyka Gutenberga*, [w:] tegoż, *Wybór pism*, Warszawa 1975.

To, co niegdyś wyróżniało teraz zostaje natychmiast upowszechnione i włączone do ogólnej globalnej multikultury, która stanowi wielką mieszaninę folkloru, tradycji, a nawet wierzeń. Wszystko niegdyś będące albo „wasze”, albo „nasze” stało się wspólne i nikt nie jest w stanie powstrzymać tego procesu (niektórzy nie są już nawet w stanie rozróżnić, co było ich własne, a co zostało zaanektowane).

Nie trzeba było jednak długo czekać, aby okazało się, że przez wszechogarniającą unifikację i „wspólność”, ludzie zdali sobie sprawę z tego, że zatracają własne poczucie tożsamości. Jeżeli wszyscy jesteśmy do siebie podobni – jemy podobne rzeczy (coca-cola, pizza, hamburgery, „chińskie”), ubieramy się w podobne ubrania (jeansy, T-shirt), obchodzimy takie same święta (Walentynki, Halloween), w dużym stopniu rozumiemy postawę i zachowanie innych ludzi, niezależnie od tego z jak dalekiego zakątka świata przybyli, tracimy własną tożsamość.

Albowiem podstawowym elementem budowy własnej tożsamości, jest wciąż wyróżnienie – może prostej, lecz jakże pomocnej w uporządkowaniu i klasyfikacji naszego życia oraz poglądu na świat – opozycji pomiędzy swoim, a obcym. Za pomocą postaci obcego jesteśmy w stanie wyróżnić siebie. Określić, co odróżnia nas od innych, co nas charakteryzuje, kim tak właściwie jesteśmy. Z odpowiedzi na te pytania składa się konstrukcja naszego świata. To właśnie dzięki nim mamy wrażenie, że to czym zajmujemy się na co dzień, ma jakiś głębszy cel, do czegoś prowadzi. W czasach, w których cechy, dzięki którym ludzie niegdyś mogli się wyróżniać i dzielić na grupy, zostały na tyle zredukowane, że niemalże uległy zanikowi, dochodzi do sytuacji, w której każdy obcy jest właściwie swój – a zatem obcych tak naprawdę już nie ma, wszyscy są jednakowi. Wynikiem takiego stanu rzeczy jest społeczna reakcja pod postacią „małych ojczyzn”. Są one głównym bohaterem najpopularniejszych konkursów, seriali i książek. Możemy tu wymienić choćby małe urocze miejscowości z powieści Gabriela Garcii Marqueza, czy też sentymentalne powroty do rodzinnej Wisły Jerzego Pilcha. Telewizja i film również bombardują nas obrazami „małych ojczyzn”, seriale takie jak: *Ranczo*, *Plebania*, *Złotopolscy*, czy filmy: *U Pana Boga w ogródku*, *Jasminum*, *Wino truskawkowe*, wysyłają nas do miejsc oderwanych od czasu, problemów, stresów związanych z codziennością. Miejsca te, są na tyle klimatyczne, nasycone ciepłymi barwami oraz rodzinnym, swojskim ciepłem, że budzą w nas, gdzieś głęboko skrywane dziecięce uczucia,

uczucia nawiązujące do tych które odczuwamy względem naszych „małych ojczyzn”, często, w pogoni za pracą, porzucanych przez nas i zapomnianych. Zwłaszcza seriale bazują na tych odczuciach, co sprawia, że bardzo szybko wytwarzamy z przedstawianymi w nich miejscami niezwykle silną więź (pomimo tego, że tak naprawdę nigdy, fizycznie, w nich nie byliśmy) oraz chęć zasmakowania ich uroków. Sądzę, że siła serialowych „małych ojczyzn” kryje się w tym, iż są idealistyczną alternatywą rzeczywistości, w której poruszamy się na co dzień. Są one wizją, zaspokajającą nasze skrywane potrzeby i pragnienia, które w rzeczywistym świecie są spychane na dalszy plan, pod naporem obowiązków i rzeczy pozornie ważniejszych, lub zupełnie nie uwzględniane. Nie możemy także zapomnieć, że siłę tę podsycają także problemy ludzi, dotyczące samodefiniowania własnej osoby i poszukiwania tożsamości, na które istota „małej ojczyzny” zdaje się odpowiadać.

Nadeszła pora abym zdecydował gdzie jest moja własna „mała ojczyzna”, zatem abym napisał coś o sobie. Obecnie mieszkam we wsi pod Łodzią. Wieś nosi nazwę Kopanka, choć wsią już raczej tej miejscowości nazwać nie można. Właściwszym określeniem byłyby chyba przedmieścia, z racji tego, że odległość od bramy mojego domu do zielonej tablicy z napisem Łódź wynosi niecały kilometr.

Przedmieścia to sfera graniczna, ani to wieś, ani miasto. Za oknem mam Park Krajobrazowy Wniesień Łódzkich, a do centrum Łodzi jadę autobusem nieco ponad 20 minut. Jako małe dziecko podobno mieszkałem w Łodzi, ale byłem na tyle mały, że zupełnie tego nie pamiętam. Kopanka jest zatem miejscem dla mnie szczególnym, może nie tyle nawet sama Kopanka, jako wieś, lecz mój dom i moje podwórko. To właśnie tutaj spędziłem całe światło dzieciństwo, tu bawiłem się z siostrą na dworze, budując szalasy z gałęzi czy sadząc nowe rośliny próbując stworzyć coś w rodzaju ogrodu. Właśnie z tych miejsc zachowałem najwspanialsze wspomnienia, do których często wracam w chwilach zwątpienia, bądź kłopotów. To właśnie tę przestrzeń nazwałbym moja „mała ojczyzna”. Moja „mała ojczyzna” zamyka się jednak w granicach mojej posiadłości. Choć od czasów mojego dzieciństwa do Kopanki sprowadziło się wielu nowych mieszkańców (nadal przybywają nowi), wciąż znam tu niewiele osób. Wynika to również z charakteru i sposobu bycia nowoosadników, każdy z nich zamyka się bowiem w swojej przestrzeni za wielką bramą z wysokim ogrodzeniem, nie nastawiony na

żaden rodzaj integracji, zgodnie z angielską zasadą *my home is my castle* oznaczającą w wolnym tłumaczeniu: mój dom moją twierdzą.

Wracając jednak do mojej młodości muszę wspomnieć, że mimo wszystko to właśnie do Łodzi – mieszkając już w Kopance – chodziłem, lub raczej byłem dowożony samochodem przez rodziców (w tamtym czasie do miasta nie jeździł jeszcze z Kopanki żaden autobus) do przedszkola, a później podstawówki. Z tego powodu byłem dość osamotniony jako dziecko, wszyscy koledzy mieszkali bowiem w mieście, natomiast w promieniu kilku kilometrów wokół mojego domu nikt jeszcze nie mieszkał, więc nie miałem się z kim zaprzyjaźnić.

Sytuacja zmieniła się w gimnazjum. Moje gimnazjum znajdowało się w Wiączyńniu Dolnym, który również jest wsią pod Łodzią. Co prawda, do gimnazjum miałem równie daleko, co do centrum Łodzi, jednak spotkałem tam ludzi, którzy pochodzili przynajmniej z tej samej gminy co ja i mieli podobne problemy. Szkoła była niewielka i wszyscy się w niej znali po imieniu, panował w niej bardzo przyjazny klimat i zachowałem z tamtego okresu bardzo dobre wspomnienia. Niestety z większością z nich kontakt urwał mi się wraz z ukończeniem szkoły. Do liceum, a następnie na studia poszedłem znów do Łodzi. Co prawda teraz autobusy do Łodzi kursują niemal co godzinę, jednak znajomi wciąż rzadko mnie odwiedzają, gdyż nie chce im się poświęcić czasu na podróż poza miasto.

Dokonując pewnej autorefleksji muszę stwierdzić, że pomimo iż uważam mój dom oraz podwórko za moją „małą ojczyznę”, jestem w pewien sposób rozdarty. Mój cały dotychczasowy świat rozgrywał się gdzieś pomiędzy Łodzią, a Kopanką. Pomimo że to właśnie w Kopance spędziłem całe dzieciństwo i nadal tu mieszkam, to jednak większość przyjaciół, znajomych mam w Łodzi, a może nawet spędzam tam więcej czasu. Im jestem starszy tym bardziej miasto mnie wciąga, spędzam coraz mniej czasu w mojej „małej ojczyźnie”. Podejrzewam, że jest to pewien naturalny proces opuszczania gniazda przez pisklę. Człowiek wraz z dorosłością zmuszony jest często opuścić swoją „małą ojczyznę” i ruszyć w nieznaną, w niebezpieczny świat, często w pogoni za karierą, bądź z konieczności poszukiwania zarobku.

Między innymi właśnie z tych powodów w dzisiejszych czasach każdy człowiek jest „strzępkiem nerwów”, społeczeństwo ma w stosunku do niego coraz więcej oczekiwań, co chwila narzuca mu nowe obowiązki, poszerza

liczbę zadań. Człowiek zostaje rzucony na głębokie wody wielkiego świata, żyje w ciągłym napięciu. Konieczność ciągłego rozwoju, nieustannej wspinaczki po drabinie kariery, udowadniania swojej pozycji i dorobku, doprowadza do tego, że zaczyna brakować mu na wszystko czasu. Zapomina kim jest, jakie wartości powinny być dla niego naprawdę istotne. Jego osoba zostaje uprzedmiotowiona, sprowadzona jedynie do trybika wielkiej maszyny. Siła utopijnych obrazów i wyobrażeń „małych ojczyzn” opiera się na poczuciu bezpieczeństwa, spokoju, swojskości. Właśnie dlatego obrazy „małych ojczyzn” zazwyczaj związane są z okresem dzieciństwa, często przybierają postać rodzinnej okolicy, mieszkania, domu. Moc tej przestrzeni z jednej strony wynika ze świadomości beztroski, wolności, braku obowiązków lat dziecięcych, natomiast z drugiej, z przeświadczenia o obecności w danym miejscu pewnej potężnej siły zapewniającej nam bezpieczeństwo, a jednocześnie świadczącej o naszej przynależności do danego miejsca z racji tradycji, spuścizny po przodkach, ich bezpośredniej (fizycznej), bądź pośredniej (duchowej) obecności. W przypadku okresu dzieciństwa mogą być to rodzice, lub dziadkowie.

Oczywiście „mała ojczyzna” nie musi wiązać się jedynie z okresem dzieciństwa, nie musi być również jedynie pewnym wyobrażeniem, podsycanym przez programy telewizyjne i literaturę. Wiele osób wybiera świadomie swoje „małe ojczyzny”, często funkcjonując w nich na co dzień. Tak silne odwołania do lat dziecięcych prawdopodobnie wynikają z przekonania o beztrosce tamtych lat, oraz ich odległości czasowej. Sądzę bowiem, że odległość czasowa odgrywa dość istotną rolę w procesie tworzenia wyidealizowanego obrazu „małej ojczyzny”. Ludzka pamięć jest tak zaprogramowana, że wraz z upływem czasu negatywne wspomnienia zostają wypierane, zapominane, natomiast pozytywne umacniają się i kumulują. Dlatego uważam, że pomimo tego, że „mała ojczyzna” zazwyczaj związana jest z realnym miejscem, często jest jedynie jego obrobionym przez pamięć obrazem, wspomnieniem, które z biegiem czasu zostaje wyidealizowane, do tego stopnia, iż staje się utopijną wizją, idealną opozycją dla wrogiego nam świata rzeczywistego. Właśnie przez to powroty do tych miejsc są krótkotrwałe. W przypadku dłuższego przebywania w miejscu, na podstawie którego zbudowaliśmy swój wyidealizowany obraz „małej ojczyzny”,

straciłoby ono swoją magię, spowszedniałoby, odsłaniając przed nami swoje prawdziwe, zwyczajne oblicze. To z kolei groziłoby zburzeniem mirażu kunsztownie wypracowanego w naszych umysłach, utracilibyśmy naszą odskocznnię od rzeczywistości.

„Małą ojczyzną” może być zatem pewne wyobrażenie – odrealniony, baśniowy świat dzieciństwa, gwarantujący chwilę odpoczynku od trosk, podczas której możemy „naładować akumulatory” i nabrać nowych sił, by z powrotem stawic czoła rzeczywistości. Właśnie z tego powodu decyzja o powrocie do tej realnej, istniejącej prawdziwej „małej ojczyzny” często zostaje podejmowana w przypadku, gdy w naszym życiu pojawiają się problemy znacznie przerastające nasze siły. Sytuacje takie możemy nazwać kryzysowymi.

Należałoby więc odseparować od siebie fizyczne, rzeczywiste miejsce będące naszą „małą ojczyzną” (społeczność, miejsce w którym się wychowaliśmy, przestrzeń w której czujemy się dobrze i możemy nazwać ją swoją) od jego wymaginowanego obrazu, który w większym stopniu jest odpowiedzią na nasze aktualne potrzeby i problemy. Można wręcz powiedzieć, że tworzenie „małej ojczyzny” w większym stopniu uzależnione jest od sposobu w jaki pewne konkretne, rzeczywiste miejsce postrzega i odbiera nasz umysł, nie zaś jego faktycznych cech.

Warto także zdać sobie sprawę z tego że „małe ojczyzny” nie są niezienne i ustalone raz na całe życie. Ich istotną cechą jest zmienność, umiejętność dostosowania się do różnych, indywidualnych sytuacji, życiowych potrzeb, problemów, zmian, zawodów, przeprowadzek, wieku. Czym innym jest „mała ojczyzna” dla dziecka, a czym innym dla dorosłego. Istotną bowiem cechą „małej ojczyzny” jest to, że wyłącznie od nas zależy jak wygląda w danej chwili jej obraz. „Małej ojczyzny” nie da się narzucić nikomu odgórnie, ponieważ przeczyłoby to jej istocie. Jednak musimy wziąć pod uwagę fakt, że w pewien sposób, na przykład jako rodzice, mamy pewien wpływ na kreowanie obrazu „małej ojczyzny” przez nasze dzieci, przynajmniej w ich młodym wieku. Nie da się zaprzeczyć, że świat na jaki przyjdą nasi potomkowie i to w jaki sposób będą go postrzegać, w dużym stopniu uzależnione jest od tego w jaki sposób ów świat ukształtujemy, i w jaki sposób w procesie socjalizacji przedstawimy go swoim potomkom.

Można stwierdzić, że człowiekiem kierują dwie przeciwstawne siły. Pierwsza skłania go do unifikacji, łączenia się, czego wynikiem są procesy globalizacyjne. Natomiast druga kieruje go w stronę lokalności, chęci odróżnienia się, znalezienia miejsca dla siebie. Wynikiem tych zabiegów są „małe ojczyzny”. W różnych epizodach życia, danego człowieka, inna siła ma przewagę, wpływając tym samym mniej lub bardziej znacząco na jego decyzje. Moim zdaniem, aby człowiek zachował zdrowie psychiczne, mógł w pełni uczestniczyć w życiu społecznym, jednocześnie realizując się, wpływy owych dwóch sił powinny się równoważyć.

ADAM SZAJDER
Łódź

MOJE DWIE MAŁE OJCZYZNY

Pytanie o świadomość „małych ojczyzn” jest w moim przekonaniu pytaniem o tożsamość, pytaniem o świadomość tego, gdzie zostaliśmy po raz pierwszy i ewentualnie wtórny ukształtowani. Podstawy do takiego myślenia dały mi rozmowy z ludźmi pochodzącymi z małych miejscowości, którzy w sposób uświadomiony, bądź nie, unikali rozmów o swoich rodzinnych miasteczkach i wsiach. Jest to szczególnie widoczne w przypadku studentów uczących się w Warszawie, w prywatnych szkołach, wydających się im być „światowym centrum wszystkiego”, w opozycji do miejsc w których się wychowali. Otóż znakomita większość z tych ludzi na pytania gdzie studiują i skąd są odpowiadali: „Studiuję (uczę się) w Warszawie, a pochodzę z takiej małej miejscowości. Na pewno nie wiesz gdzie jest”. Po krótkim czasie można bez problemu odkryć, że ci studiujący w Warszawie, będącej tutaj synonimem metropolii, są słuchaczami marnych, wyższych szkół o długich i skomplikowanych nazwach, studentami próbującymi zapomnieć o miejscu z którego pochodzą, ponieważ – w ich mniemaniu – taka pamięć przeszkadza w stawaniu się światłymi ludźmi z wielkich miast. W micie wielkomiejskiego, nowoczesnego człowieka nie ma miejsca na pochodzenie z miejsc, które ciężko jest znaleźć na mapie.

Tego typu zachowania i przeświadczenia są i z pewnością będą dla mnie zupełnie niezrozumiałe. Jestem w stanie przyjąć, że można nie mieć najszczęśliwszych wspomnień z domu, zachłysnąć się większym miastem (tak jak i ja się zachłysnąłem). Jednak pamięć o tym skąd pochodzę, o miejscu, które mnie wstępnie ukształtowało jest w pytaniu o tożsamość – a więc o to kim jestem – pierwszorzędną. A czy jest coś ważniejszego niż zrozumienie samego siebie? Dlatego też nigdy nie wstydziłem się (nie widzę

powodu dla którego miałbym to robić) mówić, a nawet szczyścić się tym, że pochodzę z Głowna.

Nasze „małe ojczyzny”, mogą przybierać różne rozmiary i pojawiać się w różnych etapach naszego życia. Postaram się opowiedzieć o dwóch miejscach, które uważam, w mniejszym lub większym stopniu, za swoje domy. Oczywiście samo słowo dom, nie jest rozumiane przeze mnie jako budynek. Dom to dla mnie nie tyle konkretne miejsce z jego fizycznym wymiarem, warstwą, estetyką, czy materialną wartością. To nie te cechy zadecydowały o tym, że owe dwa miejsca mogę określić jako najważniejsze. Zadecydowali o nich ludzie, którzy te poszczególne przestrzenie namaścili swoim w nich byciem. Jestem przekonany, że przywiązanie, a nawet miłość do jakiegoś miejsca jest wtórna względem przywiązania, a nawet miłości do konkretnych, ważnych dla nas osób i wspomnień z nimi związanych.

Przedstawię więc moje dwie ojczyzny – najważniejsze w dotychczasowym życiu miejsca, które na zawsze pozostaną podstawą mojej tożsamości. Pierwszym z nich jest naturalnie Głowno – moje miasto rodzinne. Miasto z którego pochodzi moja matka i babcia, miasto w którym wychował się mój ojciec. Zadałem sobie pytanie dlaczego miejsce, gdzie spędziliśmy pierwsze kilkanaście lat życia, jest dla nas takie ważne? Odpowiedź: „bo tam się wychowaliśmy” wydaje się zbyt ogólna, mówiąca o wszystkim i o niczym. Swoje przywiązanie do Głowna odkryłem i uświadomiłem sobie dopiero po wyjeździe na studia. Również dzięki studiom i rozwinięciu antropologicznej wrażliwości na codzienność, mogłem sobie pozwolić na zrozumienie podstaw własnej tożsamości. Gdybym miał określić siebie w najkrótszym, najogólniejszym zdaniu brzmiałoby ono: Jestem łódzkim antropologiem z Głowna.

15-tysięczne Głowno samo w sobie jest miastem pozbawionym wielkiej tożsamości opartej na micie założycielskim, wspólnej historii, czy pamięci poszczególnych miejsc. Dlatego też jego mieszkańcy nie przywiązują się z reguły do całości miasta, tylko do poszczególnych dzielnic. W moim przypadku jest to osiedle Swoboda położone nad zalewem (jednym z symboli miasta), zbudowanym na miejscu żydowskiego cmentarza zniszczonego przez Niemców podczas II wojny światowej.

Na terenie Głowna funkcjonuje kilkanaście grup młodzieżowych silnie identyfikujących się z zamieszkiwanym terytorium. Największe z nich to: Kopernika, Sikorskiego, Zbrzeźnia, Osiny. Wspominam o tym dlatego, że

dochodzi pomiędzy nimi do sprzeczek, głównie słownych, opartych na stereotypach o wyższości jednych nad drugimi. Natomiast Swoboda, moja „mała ojczyzna” była zawsze neutralna, zabierała głos w przypadkach, kiedy atakowane były podstawowe wartości takie jak spójność grupy, czy łamanie powszechnie panujących zwyczajów. Ta idea bycia centrum przełożyła się bezpośrednio na mój sposób podchodzenia do wszelkich sprzeczek i konfliktów, z czego jestem niezwykle zadowolony.

Tak więc o ile czuję się Głównianinem odpowiedzialnym za moje miasto, o tyle osiedle Swoboda jest moją najmniejszą, pierwszą i najprawdziwszą „małą ojczyzną”, którą z uwagi na mniej intensywny niż kiedyś kontakt mityzuję coraz bardziej, stawiając jeszcze wyżej względem wszelkich innych odwiedzanych miejsc.

Jeżeli centrum mojego świata jest Głowno, a moim centrum Głowna jest osiedle Swoboda, należy zadać pytanie, co jest najświętszym rdzeniem mojej „małej ojczyzny”. Jest nią mój dom – moja rodzina. Mieszkanie numer 13 w bloku numer 9, to mój pierwszy świat codziennego. Jest miejscem w którym przedstawiono mi pierwsze elementy światów materialnego i niematerialnego, pierwsze wzory przedmiotów, uczuć, otoczenia, domów, relacji z innymi ludźmi, podejścia do religii, zasad stroju, roli poszczególnych osób w społeczeństwie, języka, wartości, interpretacji – słowem wszystkiego co niezbędne jest do funkcjonowania w społeczeństwie. Jednocześnie niezależnie od tego czy zgadzałem się z wpajanymi mi przekonaniami, czy zajmowałem stanowisko odmienne, stawały się one punktem wyjścia od którego powoli budowana była moja tożsamość.

Działa tutaj zasada pierwszeństwa mówiąca o tym, że pierwsza rzecz, z którą się stykamy, staje się automatycznie matrycą, pierwotnym wzorcem do którego będziemy odnosić wszystkie kolejne napotkane przedmioty z tej samej grupy. Dowodów na poparcie tej tezy nie trzeba szukać daleko. Wystarczy zapytać samego siebie czy istnieją lepsze pierogi niż pierwsze pamiętane, świąteczne, babcine pierogi? Historie bardziej pasjonujące niż te poznane w dzieciństwie, w których każdy element był nowy?

Jedną z pierwszych książek które przeczytałem z minimalnymi refleksjami była *Tajemnicza Wyspa* Juliusza Verne – prawdziwa podróż w nieznaną, w nowy świat. Pamiętając o zasadzie pierwszeństwa i fakcie, że czytałem ją jako dziecko, wątpię żebym spotkał książkę, która zrobiłaby na mnie większe wrażenie, nie pozwalając spać i niemalże kazała przeży-

wać ją wciąż na nowo. Piszę o tym dlatego, żeby pokazać w jaki sposób z małych historii, niewielkich elementów, rzeczy pozornie nieważnych utkane jest moje przywiązanie do tego najbezpieczniejszego miejsca jakim jest mój dom.

Mityzujemy więc wszystko co pierwsze. Niezależnie, czy były to pierogi, książka przygodowa, pierwszy pocałunek, pierwsza miłość, pierwsze piwo, czy pierwsza całonocna impreza. Wszystkie inne pierogi czy pocałunki będą zawsze wtórne, pozbawione dreszczyku niepewności, przyjemności odkrywania. Dlatego też dzięki wszystkim odkryciom, poznawaniu świata właśnie w moim domu, na moim osiedlu, w moim mieście będę je bezwarunkowo kochał i wciąż do nich wracał, niezależnie od tego jak zła byłaby obecna sytuacja. W Głównie jest zakorzeniona niemal cała moja pamięć. Żyjąca rodzina i przede wszystkim grób babci – człowieka, który wychował mojego ojca oraz groby innych członków rodziny, których nie miałem okazji poznać. Niezależnie od tego co się wydarzy, moim obowiązkiem jest wracać do mojej rodzinnej miejscowości i dbać o nią tak jak potrafię najlepiej.

Jednak moja wyprowadzka z Główna do Łodzi (godzina drogi), nie tylko pozwoliła mi nabrać dystansu, który umożliwił mi zapisanie wcześniejszych stron, ale też ukształtowała moje myślenie będące na początku studiowania czymś na kształt bliżej nieokreślonej masy.

Drugim przykładem najpełniej przedstawiającym moje przekonanie, że to ludzie nadają wartość miejscom jest Instytut Etnologii i Antropologii Kulturowej UŁ. Trafiłem tam (lub tutaj) prawie pięć lat temu. Wtedy też, pełen paskudnej pychy i przeświadczenia o swoich niemal nieograniczonych możliwościach, nie sądziłem, że miejsce edukacji może wpłynąć na mnie tak silnie, wywracając niemal do góry nogami wiarę w mój dotychczasowy, jak się okazało bardzo naiwny obraz świata.

To dzięki temu, że jestem studentem Etnologii poznałem ludzi, z którymi chcę utrzymać kontakt do końca życia. Nie mówię tutaj tylko o studentach ale też o niektórych wykładowcach, którzy poświęcając mi swój wolny czas, przekazali pasję i pewien sposób, a raczej sposoby myślenia o świecie, pozwalające mi być skuteczniejszym we wszystkim co robię.

Jednocześnie moje przywiązanie do instytucji nadrzędnej jaką jest Uniwersytet Łódzki jest nieporównywalnie mniejsze i wiem, że takie stanowisko wśród moich kolegów i koleżanek jest powszechne. Stworzona została pewna wspólnota oparta na zaufaniu i przeświadczeniu, że niektórym wykładowcom naprawdę na nas zależy. Bez wahania walczyliśmy o bibliotekę Instytutu i godną przeprowadzkę do nowej siedziby¹. Reaktywowaliśmy Koło Naukowe. Ktoś może zapytać po co to wszystko? Odpowiedź jest prosta: zależy nam. Sam fakt używania przeze mnie „nam” zamiast „mi”, świadczy o poczuciu wspólnoty niespotykanej – jak sądzę – w innych jednostkach UŁ.

Przeprowadzka pokazała, że to ludzie budują miejsce do którego się odnosimy. Zmienił się tylko budynek. Być może nazwanie Instytutu drugą „małą ojczyzną” jest odważne i dla niektórych niezrozumiałe, jednak przez 5 lat mojego pobytu w tym miejscu działały się wydarzenia, które zdefiniowały mnie niemal w pełni. Te same mechanizmy, zasady pierwszeństwa, które ukształtowały mój stosunek do Główna, teraz nakazują określać się jako łódzki antropolog z Główna. Tym dwóm miejscom zawdzięczam bowiem niemal wszystko co ważne.

Mam nadzieję, że z tego tekstu jasno wypływają wnioski, które powtórzę dla spójnego zakończenia. Nasze „małe ojczyzny”, niezależnie od tego czy są wielkimi przestrzeniami jak Łódź, mniejszymi jak Główno, czy zupełnie metaforycznymi jak Instytut Etnologii i Antropologii Kulturowej, otrzymują swoją wartość dzięki interakcjom z ludźmi, którzy nas kształtują i których chociażby przez samą naszą obecność kształtujemy my. Jak nie czuć sentymentu do miejsca w którym zdobyło się licencjat wieńczący trzy lata życia? Jak nie wspominać pierwszej wielkiej porażki i sukcesu? Wszystkie ważne wydarzenia zawsze działały się w jakimś miejscu i skumulowanie ich w konkretnych przestrzeniach buduje, tka nasze „małe ojczyzny” w obronie których jesteśmy w stanie poświęcić nieraz więcej niż wszystko.

¹ Konflikt z maja–czerwca 2012 roku powstały w związku z przeprowadzką IEiAK UŁ do nowej siedziby oraz postawę studentów opisywały łódzkie media. Por m.in. M. Markowski, *Awantura o bibliotekę*, łódzki dodatek do „Gazety Wyborczej” z dn. 1 czerwca 2012 r., s. 3.

W swojej pracy celowo pominąłem aspekt Ojczyzny – Polski, której obrona była podyktowana często próbą obrony tych najbliższych terenów. Żołnierz Wojska Polskiego, który walczył w 1939 r. w bitwie nad Bzurą powiedział mi (parafraza), że: „Na zachodzie walczyli wszyscy z całego kraju. Ci którzy byli z tamtych stron walczyli o swoje domy tu i teraz. My z Wilna też walczyliśmy o swoje domy, które mogły być następne. Dlatego nieważne gdzie się walczyło, ważne za co”. Interpretując i zgadzając się w pełni z takim stanowiskiem uważam, że „małe ojczyzny” są nadrzędne w naszych systemach wartości (o ile nie jesteśmy kosmopolitami). Wielka Ojczyzna jest więc dla mnie sumą ojczyzn nie małych, a jeszcze większych, większych z perspektywy poszczególnych lokalnych patriotów.

ADRIAN PIETRZAK
Tuszyn

TUSZYN - MIASTO MOJEGO DZIECIŃSTWA

Człowiek jako istota społeczna tworzył zbiorowości i wchodził w relacje z otoczeniem już od zarania dziejów. Środowisko, w którym się wychowujemy i przebywamy, kształtuje naszą tożsamość. Początkowo najbliższa, w sensie geograficznym oraz emocjonalnym, jest dla człowieka społeczność lokalna wieś, miasteczko czy gmina, z którą związane są pierwsze lata naszego życia. Zżywamy się z otaczającym nas krajobrazem, ziemią przodków i tradycjami. Częścią większej społeczności stajemy się wraz z wiekiem, kiedy nasza rodzinna miejscowość staje się dla nas zbyt „mała”. Staje się to zwykle w momencie kiedy stajemy przed wyborem nowej szkoły. Możemy wybrać małe lokalne liceum i tym samym skazać się na pozostanie w tym samym środowisku, bądź spróbować czegoś nowego i przenieść się do większego miasta. Nasz szacunek i przywiązanie do tzw. „małej ojczyzny” wyraża się najczęściej poprzez lokalny patriotyzm. Możemy go zdefiniować jako postawę szacunku, przywiązania i umiłowania swojej lokalnej ojczyzny. O tym, jak ważne dla człowieka jest poczucie tożsamości, korzeni i wspólnoty z miejscem, w którym się on wychował, świadczy dobitnie ogromna liczba utworów literackich odwołujących się do wspomnienia „małej ojczyzny”. O swojej tęsknocie za rodzinną wioską, krainą bądź majątkiem pisali między innymi Czesław Miłosz w Dolinie Issy oraz Adam Mickiewicz w Panu Tadeuszu. Można powiedzieć, iż w kulturze wytworzyła się już swoista „mitologia ukochanych miejsc”. To pokazuje, jak mocne jest poczucie identyfikacji z domem i regionem rodzinnym. Zjawisko występowania patriotyzmu lokalnego tylko potwierdza tę tezę.

Interesujący punkt widzenia na temat pojęcia „mała ojczyzna” znalazłem w książce Stefana Starczewskiego, w której autor wypowiada się w następujący sposób: „W najbardziej ogólnym sensie »mała ojczyzna« oznacza miejsce zamieszkiwania człowieka, które go kształtuje, nad którym sprawuje pieczę. (...) Dla wielu twórców literatury ich małe ojczyzny pełnią rolę inspiratorską i mitotwórczą, zwłaszcza gdy rozpamiętywane są z oddalenia, nostalgicznie – po utracie”¹.

Moja „mała ojczyzna” jest dość względnym pojęciem, ponieważ dla każdego człowiek znaczy coś innego. Dla osoby (przypuśćmy Polaka) mieszkającej np. we Francji „małą ojczyzną” jest właśnie Polska, za którą tęskni. Dla osób mieszkających w swoim kraju, bez zróżnicowania na narodowość, „małą ojczyzną” może być miasto w którym mieszka, bądź wszystko, co wiąże się z jednym, konkretnym miejscem do którego ciągle powracamy myślami, wspomnieniami i w którym chcielibyśmy przebywać, a nie jest nam to dane. „Mała ojczyzna” w moim odczuciu to również miejsce, które mnie ukształtowało, które w pierwszych latach mojego życia było centrum mojego świata. Tutaj poznawałem przyjaciół, tutaj chodziłem do szkoły i tutaj dorastałem. „Mała ojczyzna” dla każdego jest miejscem umieszczonym w innej przestrzeni i w innym czasie. To samo miejsce może być wspomniane na tysiące różnych sposobów w zależności od przeżyć i wspomnień konkretnej jednostki. Granice wyznaczone na mapach są ważne tylko wtedy, gdy przez całe życie w „małej ojczyźnie” mieliśmy ich świadomość i wpływały one na nasze losy. Moją „małą ojczyzną” jest moje miasto – Tuszyn oraz jego okolice.

W pierwszych wspomnieniach z dzieciństwa pamiętam Tuszyn jako jedną krętą ulicę, którą pokonywałem każdego dnia z moją Mamą, idąc do przedszkola. Dziś wiem, że Tuszyn składa się z wielu ulic, a jego powierzchnia jest znacznie większa niż ta, która była w mojej świadomości kiedy miałem sześć lat. Lecz kilkanaście lat temu moje miasto było dla mnie tą jedną krętą ulicą. Gdy dorastałem Tuszyn zaczynał się powiększać, przybywały kolejne ulice, do Kościoła, do sklepu, do wypożyczalni kaset oraz pamiętna ulica prowadząca do szkoły, którą pokonywałem wraz ze swoim najlepszym przyjacielem. Dziś mogę ją przejść w siedem minut, kilkanaście lat temu, musiałem wychodzić pół godziny wcześniej by nie spóźnić się na zajęcia. Pamiętam,

¹ S. Starczewski, *Małe ojczyzny – tradycja dla przyszłości*, [w:] *Małe ojczyzny. Tradycja dla przyszłości*, pod red. S. Kosielińskiego, Warszawa 2000, s. 23.

że w podstawówce granice mojego świata wyznaczały cztery punkty. Na północy miejscowość Rzgów, w której mieszkali moi dziadkowie; na południu, miejscowość Srock; na zachodzie gęsty las otaczający cały Tuszyn; a na wschodzie wieś Czarnocin, do której jeździliśmy z Rodzicami każdego roku w Dzień Zaduszny. Pamiętam, że w połowie drogi między Tuszynem a Czarnocinem były stawy, przez które prowadzi mały most. Przejazd przez to miejsce budziło we mnie wiele emocji. Pojęcia takie jak wschód czy zachód istniały dla mnie tylko w odniesieniu do szkolnych map. Najwięcej czasu spędzałem jednak na podwórku, razem z innymi dziećmi. Pamiętam, że tradycją każdego wakacji było chodzenie na odkryty basen, oraz granie w „państwa – miasta” na piaszczystej ulicy przed domem. Potrafiliśmy tak grać aż do momentu kiedy nie było już widać narysowanych linii. Pamiętam również spotkania z chłopakami i grę w piłkę od rana do samego zmroku. Bramki robiliśmy z oszczepów bądź wysokich patyków, a sędziami byli nasi ojcowie. Obszar Tuszyna zmieniał się z biegiem lat. Miasto fizycznie zmieniało wygląd, lecz zmieniało się też w mojej mentalności. Kiedy chodziłem już do szkoły w Łodzi, Tuszyn stał się znacznie mniejszy, mimo, że jego granice nie uległy zmianie. Teraz, kiedy codziennie większość dnia spędzam w dużo większym mieście, moje rodzinne strony nabrały dla mnie innego znaczenia. Kiedy kończyłem gimnazjum, fakt, że wreszcie opuścić Tuszyn był dla mnie bardzo ekscytujący, Łódź wydawała się wtedy znacznie ciekawszym miejscem. Zmiana otoczenia, wbrew moim przypuszczeniom, pozwoliła mi bardziej docenić moją „małą ojczyznę”. Tuszyn był tym samym miejscem ale nabrał nowych znaczeń. Stał się azylem, punktem na mapie, który przywoływał uśmiech na mojej twarzy. To tutaj poznałem ludzi z którymi do dziś wiążą mnie najlepsze relacje, to tutaj przeżywałem największe przygody mojego dzieciństwa.

Z perspektywy czasu widzę, jak wielką rolę odgrywa dynamika rozwoju. Stare doświadczenia zmieniają się we wspomnienia, by ustąpić miejsca nowym doświadczeniom i przygodom. Codzienne czynności i przyzwyczajenia również nabierają głębi kiedy patrzę na nie przez pryzmat uciekających lat. Nie potrafię zliczyć ile lat temu bawiłem się ostatni raz na podwórku. Ono ciągle wygląda tak samo i pełni taką samą społeczną funkcję, ale dla mnie istnieje wyłącznie przez wzgląd na dzieciństwo. Kiedy mam chwilę aby przespacerować się po Tuszynie, powoli, bez pośpiechu, okazuje się, że za każdym rogiem „czyhają” na mnie echa minionych dni. Mimowol-

nie przypominam sobie, spacer z Mamą do wypożyczalni kaset, drogę do szkoły, wycieczki rowerowe z dziadkiem. Choć nie wszystkie zdarzenia były kiedyś przyjemne to powracają wywołując uśmiech na twarzy. Poważne niegdyś „przewinienia”, takie jak chodzenie w zakazane miejsca, są dziś często tematem żartów z rodzicami. Po latach poznaję również ich wspomnienia dotyczące tego miejsca, choć dla nich „mała ojczyzna” znajduje się gdzieś indziej. Podobne informacje są ważne, jednak nie tak bardzo jak obraz, który tworzyłem przez lata sam w swojej pamięci.

Dziś Tuszyn jest dla mnie głównie miejscem, w którym mieszkam i czuję się bezpiecznie. Ze względu na mój wiek, coraz częściej przebywam w innych częściach miasta, kraju a nawet świata. Różnice widoczne są na pierwszy rzut oka. Mimowolnie patrząc na inne miasta porównuję je do Tuszyna. Porównania te bywają różne, czasem na niekorzyść mojej „małej ojczyzny”, lecz zawsze jest ona punktem odniesienia. Choć nigdy nie przeżyłem bólu po stracie „małej ojczyzny”, wiem, że byłby on bardzo emocjonalny. Jestem dorosły, planuję przeprowadzkę, lecz nie wyobrażam sobie mieszkania w innym miejscu niż dziś. Jako osoba podchodząca do życia niezwykle sentymentalnie wiem, że brakowałoby mi każdego, najmniejszego nawet zakątka. To miasto jest tak niezwykle dlatego, że uważam je za swoje własne. Kiedy zachodzi taka potrzeba, lub możliwość, oddaję swój głos, popierając rozbudowę oraz rozwój okolicy. Chcę, żeby to miejsce wpłynęło pozytywnie na życie kolejnych pokoleń.

MAGDA MAKUCH
Łódź

ŁÓDŹ - MOJA MAŁA OJCZYZNA

A wiesz, że w Łodzi jest centrum Ziemi? Stary poważnie, tu są najważniejsze budowle z całego świata. Pałac Poznańskiego – Luwr, Kościół św. Teresy na Pomorskiej – Bazylika św. Piotra, dwie wieże Tekstilimpeksu na Traugutta – Word Trade Center, Familoki na Księżym Młynie – Manchester City. I tak można bez końca, nie?¹

Łódź. Oto miasto, które ciężko jest polubić. Wiele mieszkających tu osób robi wszystko, aby jak najszybciej stąd uciec. Jeśli ktoś tu przyjeżdża, to zazwyczaj dlatego, że tak się ułożyły jego losy, a nie z własnego wolnego wyboru. Wystarczy wyjść na ulicę i spytać dowolnie wybraną osobę o to jak jej się mieszka w tej „Ziemii Obiecanej”, a otrzyma się litanię skarg i żali na miasto, jego wygląd, jego mieszkańców, a wreszcie na władze. Ja jednak twierdzę (i wiem to na pewno!), że miasto to można pokochać miłością bezwarunkową, mimo wszystkich jego wad. Zobaczyć w nim coś unikatowego, jego wyjątkowość, losy i historię tak odmienną od większości dużych polskich miast. Dla mnie osobiście – może to przejaw mojego lokalnego patriotyzmu – rynki Krakowa, Wrocławia czy Poznania wyglądają podobnie, podobne są do siebie starówki Gdańska i Warszawy, natomiast Łódź jest inna. Od razu można ją odróżnić od pozostałych miast i to w sposób pozytywny, chociaż na pewno wielu jest krytyków i malkontentów, którzy będą mówić, że owszem, odróżnia się, ale szarością i brudem. Dla mnie to unikatowa architektura i niepowtarzalna atmosfera miasta postindustrialnego. Można zżyć się z tym miastem i całe darzyć tą szczególnie sentymentalną miłością, jaką darzy się „małą ojczyznę”. Dawniej

¹ Cytat z filmu *Aleja Gówniarzy* w reż. Piotra Szczepańskiego (2007).

Łódź była miastem dumnym, prężnie się rozwijającym, „Ziemią Obiecaną”. Po upadku przemysłu jakby upadł w niej też duch, stała się szara i smutna, głęboko jednak wierzę, że może się jeszcze podnieść.

Skoro chcę mówić, jak zaznaczyłam we wstępie, o mojej „małej ojczyźnie”, to warto powiedzieć czym w ogóle ta „mała ojczyzna” jest. Niemcy mają na nią nawet osobne określenie – *Heimat*. Interesują się nim już od dawna badacze reprezentujący różne dziedziny. Najlepiej będzie może jednak zacząć od tego czym jest ojczyzna w ogóle. Jak pisze Stanisław Ossowski, „Ojczyzna – to nie jest pojęcie geograficzne, które można scharakteryzować bez odwołania się do postaw psychicznych jakiejś zbiorowości. Obszar jakiś staje się ojczyzną o tyle tylko, o ile istnieje zespół ludzki, który odnosi się doń w pewien sposób i w pewien sposób kształtuje jego obraz”². Tym zespołem ludzkim, w takim ujęciu ojczyzny, staje się zazwyczaj naród. Dalej ten wybitny polski socjolog wprowadza rozróżnienie na „ojczyznę prywatną” i „ojczyznę ideologiczną”³. „Mała ojczyzna” będzie raczej tym pierwszym typem, który charakteryzuje osobisty stosunek i „przywiązanie do miejsca, w którym spędziło się życie lub większą część życia”⁴. To miejsce, z którym człowiek czuje się związany emocjonalnie. To również sprawa bardzo indywidualna. Nie ma tu zbyt dużego wpływu żaden czynnik obiektywny, taki jak urodzenie. To kwestia emocjonalna i uczuciowa.

Kiedy myślę o mojej „małej ojczyźnie”, najpierw do głowy przychodzi mi oczywiście to co najbliższe, mój dom, a trochę szerzej – moje osiedle. Właściwie chodzi o dwa łódzkie osiedla, Retkinia i Karolew. Na pierwszym z nich mieszkałam do dwunastego roku życia i spędziłam tam swoje dzieciństwo. Na drugim zamieszkałam po przeprowadzce z Retkini, ale i z nim związana jestem od zawsze. Na Karolewie bowiem mieszkali moi dziadkowie. Od nich zacznę swoją sentymentalną podróż, po mojej „małej ojczyźnie”.

Retkinia jeszcze przed II wojną światową była wsią, znajdowała się poza administracyjnymi granicami Łodzi. Była po prostu wsią przylegającą do miasta. Co ciekawe, wcześniej jeszcze związana była nawet bardziej z Pabianicami, bo to właśnie tam znajdował się kościół parafialny dla mieszkańców wsi. Przechodziła zresztą różne koleje i losy. Dane jej bowiem było istnieć dość długo, zanim została częścią Łodzi. Pierwsze wzmianki o istnieniu

² S. Ossowski, *Dzieła, t.3: Z zagadnień psychologii społecznej*, Warszawa 1967, s. 203.

³ Tamże, s. 210.

⁴ Tamże.

Retkini (wtedy wsi Retkiń), pochodzą już z XIV wieku. Dla mnie osobiście jednak Retkinia to już tylko osiedle będące częścią wielkiego miasta, zabudowane blokami z wielkiej płyty, chociaż po bliższym przyjrzeniu się nadal posiadające pewne elementy, które świadczą o tym, że jeszcze niedawno było wsią. Czymś takim są na pewno sady. Dziś zostały z nich już tylko pojedyncze drzewka owocowe (i nie mówię tu o sadzonych przy śmietnikach mirabelkach!). Ja jednak pamiętam jeszcze kiedy fragmenty tych sadów były dość spore. To na zdziczałych jabłonkach rozkwitających co roku jasnoróżowymi kwiatami, pomiędzy szkołą podstawową nr 6 a tą numer 44, uczyłam się wspinać na drzewa (do czego jabłonie są idealne, krępe pnie i silnie rozgałęzione korony aż się proszą, żeby się na nie wdrapać). Pamiętam też mój żal, jako dziecka, kiedy ten sad wycięto, i nie ukoіło go nawet to, że w tym miejscu wybudowano piękny, duży plac zabaw, z urządzeniami jakich trudno było wtedy szukać na osiedlu. Nam wtedy wystarczały te sady, drabinki przed blokiem i duże, puste przestrzenie zielone, które z powodzeniem stawały się boiskami do gry w piłkę nożną. Ich także już teraz prawie nie ma. To stopniowe znikanie również łączyło się z żalem i poczuciem straty (muszę przyznać, że dużo większym ze strony moich kolegów – chłopców niż mojej).

Doskonale pamiętam gdy w szkole podstawowej, jeszcze w tak zwanym nauczaniu początkowym, dzieci z budowanych w latach 70. bloków z wielkiej płyty, patrzyły nieprzychylnie na te, które sprowadziły się na osiedle niedawno i zamieszkały w nowoczesnych budynkach stawianych na dawnych miejscach piłkarskich zmagani. Dopiero wiele lat później, interesując się historią osiedla, odkryłam, że ta część osiedla (Retkinia-Północ) miała być z założenia zapleczem handlowym, kulturalnym i rozrywkowym dla reszty i stąd puste przestrzenie pozostawione były pod przyszłe inwestycje. Stało się tak, że zabudowane zostały dopiero w latach 90. i to przez budynki mieszkalne (choć tu od razu budzi się we mnie wspomnienie lata, które spędziłam na zabawie na placu budowy niewielkiego sklepu spożywczego, ukrytego obecnie pomiędzy blokami). Do dzisiaj też zastanawia mnie jak właściwie udało nam się tam wejść i jak ktokolwiek z dorosłych dopuścił do tego, żeby kilkuletnie dzieci bawiły się (bez nadzoru!) w takim miejscu. Nic się jednak nikomu nie stało i w pamięci mam tylko miłe, słoneczne wspomnienie, pełne bez troski, jak wszystkie zresztą zabawy podwórkowe z tego czasu. Teraz myślę, że to było bardzo dobre miejsce do bycia dzieckiem. Osiedle pełne zieleni, trawników, po których można było biegać,

krzaków, w których można było zakładać swoje „bazy” i okolone, wzdłuż ulicy Kusocińskiego, gładkim asfaltem, na którym można było trenować jazdę na otrzymanych na pierwszą komunię rolkach.

Idąc śladem dziecięcych zabaw na podwórku, łatwo można powrócić do przerwane go tropu pozostałości po dawnym statusie Retkini. Moje dzieciństwo składało się bowiem również z wypraw na drugą stronę wzmiankowanej już ulicy Kusocińskiego. Między nią, a ulicą Konstantynowską, za którą rozciąga się już Brus, umiejscowiony był nasz dziecięcy raj. Były tam pola, łąki, niewielki sosnowy las, a za ulicą Juszcakiewicza (łąączącą Kusocińskiego z Konstantynowską) znajdowała się (i do dziś znajduje) „góra śmieciowa”, zwana przez nas po prostu „śmieciową”. Tropiąc „wiejskie” ślady, moja pamięć wybiega też kawałek dalej, do gospodarstwa za laskiem, na obrzeżach Smulska, do którego chodziłam razem z mamą po mleko prosto od krowy. Co ciekawe, wtedy nie zadawałam sobie pytania o to dlaczego to wszystko tam jest, było to dla mnie częścią rzeczywistości, która dopiero po pewnym czasie staje się zrozumiałą całością.

Oprócz tych tropów, niewątpliwie na mojej sentymentalnej mapie Retkini znajdzie się jeszcze kilka istotnych punktów topograficznych. Będzie to między innymi sztucznie usypana górka, znajdująca się obok przychodni lekarskiej przy ulicy Wyszyńskiego, z której zimą można było zjeżdżać na sankach, a latem na rowerze. Będzie to też sama przychodnia – do dziś pamiętam, że wejście do części dla dzieci znajdowało się od strony ogródka, w którym wiosną i latem kwitły kolorowe kwiaty. Będzie też niebieski, blaszany pawilon znajdujący się przy ulicy Armii Krajowej, do którego chodziłam z mamą do pasmanterii, po guziki i nici.

Doskonale też pamiętam kiedy krajobraz Retkini zaczął się powoli zmieniać, gdzieś w drugiej połowie lat 90. Szare bloki zaczęto ocieplać. Pierwsze (w tym mój punktowiec przy Kusocińskiego) po położeniu warstwy izolacyjnej wykańczano na kolor biały. Później już wykazano więcej fantazji i zaczęto wprowadzać kolory (chyba na jednym z pierwszych osiedli mieszkaniowych Łodzi). Aż do szalonego bloku w rybki (zwanego „akwariem”), który znany jest chyba w całym mieście.

Jeśli chodzi o Karolew, to powiedzieć o nim mogę zdecydowanie mniej. Sam w sobie chyba dopiero zaczyna stanowić dla mnie „małą ojczyznę”, chociaż mieszkam tu już od ponad 10 lat. Zaczynam jednak czuć się jego

częścią i za każdym razem, kiedy ktoś uznaje go za część Retkini, czuję się w obowiązku sprostowania i udzielenia wyjaśnień. To takie miejsce, z którego wszędzie jest blisko, na dworzec, do centrum, do parku... Ciekawą rzeczą jest też to, że są tu zarówno bloki (starsze niż te na Retkini, co widać już na pierwszy rzut oka) jak i nieliczne już kamienice oraz domki jednorodzinne, jeszcze przedwojenne, położone wzdłuż ulic Wyspiańskiego i Chodkiewicza. Ciągle jednak przywiązanie do tego miejsca jest dla mnie silnie związane z przywiązaniem do samej Łodzi.

A Łódź? Tak jak pisałam we wstępie, zdecydowanie mogę całą ją nazwać moją „małą ojczyzną”, choć są miejsca, które znam lepiej, takie, które znam słabiej i takie, w których nie bywam w ogóle. Z dumą mogę już chyba o sobie powiedzieć, że jestem *lodzermenschem*, jestem już bowiem piątym pokoleniem w mojej rodzinie, mieszkającym w tym mieście. Do tego mój pradziadek był majstrem tkackim, co zawsze wydawało mi się zawodem wyjątkowo łódzkim i ten fakt tym bardziej mnie w jakiś sposób z Łodzią wiąże. I kocham ją, jak przystało na „małą ojczyznę”, miłością bezwarunkową, pomimo jej szarości i pozornej brzydoty. Szarość zresztą też jest pozorna. Jest to przecież miasto wielu parków. Posiada też las miejski oraz unikalny rezerwat przyrody znajdujący się na terenie miasta. Brzydota dla mnie też jest pozorna, wynika raczej z zaniedbania, a nie z samej natury Łodzi. Codziennie jadąc na uczelnię tramwajem nr 12 mijam cudowne kamienice. Na ich fasadach codziennie odkrywam nowe, godne uwagi i zachwycające detale. Mam nawet kilka swoich absolutnie ulubionych. Są to między innymi dwa znajdujące się przy ulicy Narutowicza budynki. Pierwszy z nich to kamienica Rachmilla Lipschitza, zbudowana w latach 1910–1911 według projektu Gustawa Landau-Gutentegera i będącą zachwycającym do dziś przykładem secesji. Druga to jej niedaleka sąsiadka, choć zbudowana w innym stylu, bo eklektyczna kamienica Auerbachów, zaprojektowana przez tego samego architekta, zbudowana jednak nieco wcześniej, bo już 1896 roku. Właściwie mogłabym tu wskazać przykłady wielu jeszcze budowli, nie tylko kamienic, bo wśród moich architektonicznych faworytów znajduje się też np. secesyjna willa Richarda Schimmela, znajdująca się przy ulicy Karolewskiej. Nie można też zapomnieć o budynkach pofabrycznych, często niszczących i zaniedbanych, a stanowiących przecież żywe świadectwo świetnej przeszłości Łodzi.

Ponieważ ciężko by mi było opisać na tak niewielkiej ilości stron wszystkie miejsca i historie, które są w Łodzi dla mnie ważne, to chciałabym wspomnieć jeszcze o drobnej rzeczy, która zawsze chyba łodzian napawa dumą, a ostatnio też zdobywa Internet (np. poprzez stronę <https://www.facebook.com/mowimypolodzku> na portalu społecznościowym), a mianowicie o łódzkich słowach. Co zabawne, ja sama bardzo długo nie uświadamiałam sobie, że „krańcówka” czy „migawka” to regionalizmy, ani że nie wszędzie w Polsce będę mogła bez problemu kupić „angielkę”.

W ten, być może nieco chaotyczny sposób, chciałam przelać na papier moje przemyślenia dotyczące miejsca mi bliskiego, mojej „małej ojczyzny”, Łodzi i Retkini. Ja tak właśnie rozumiem to pojęcie – jako skrywające przestrzeń, która wyzwala w człowieku emocje, wspomnienia, sentyment. „Mała ojczyzna” to wyjątkowe dla każdego miejsce, nie wyznaczone przez żadnych kartografów czy urzędników, ale przez nasze serce. Miejsce, w którym czujemy się swojsko i w którym może znajdować się dla nas cały świat.

KAROLINA MELON
Łódź

OLECHOWSKIE WSPOMNIENIA

Urodziłam się w Łodzi – mieście, które często budzi negatywne skojarzenia, nieraz również w samych jej mieszkańcach. Sama nie czuję się wyjątkowo związana z miastem jako takim. Jest mnóstwo miejsc, które bardzo lubię – nie czuję jednak przez nie silnego związku z całą Łodzią. Mam jednak w obrębie tego miasta swoją „małą ojczyznę”. Jest to przestrzeń mojego dzieciństwa, z którą jestem mocno związana emocjonalnie – osiedle, na którym mieszkam, Olechów.

Nie pamiętam poprzedniego miejsca zamieszkania – do jednego z peerełowskich bloków na granicach Olechowa sprowadziliśmy się gdy miałam rok. Z okien mojego pokoju – gdy już byłam na tyle duża, że mogłam sama przez nie wyglądać – widziałam tylko las. Zaczęło się to dość gwałtownie zmieniać, gdy miałam około ośmiu lat, a osiedle zaczęło się rozrastać. Do tej pory jednak naprzeciwko domu mam naprawdę duże połacie zieleni. Stosunkowo czyste powietrze, niewielki ruch uliczny, sporej wielkości lasy i łąki to racjonalne przyczyny, dla których trudno mi myśleć o wyprowadzce w inne miejsce. Trudno byłoby mi przyzwyczaić się do braku tak dużej ilości przestrzeni wolnej od zabudowań z jednej strony, i do dobrych połączeń autobusowych – do centrum miasta mogę dojechać bez przesiadek w ciągu pół godziny – z drugiej. Są jednak również przyczyny mniej racjonalne, a chyba jeszcze silniejsze: przyzwyczajenie, przywiązanie, sentyment.

Blok, w którym mieszkam, tworzy z innymi niedomknięty kwadrat, w środku którego znajdowały się drabinki, huśtawki, piaskownica, karuzela. Obecne pokolenie dzieci ma do dyspozycji w zasadzie tylko to ostatnie – huśtawki i drabinki. Od lat nie są one naprawiane, a piaskownica, po wprowadzeniu zasad nakazujących odgradzanie jej, została zamieniona

w trawnik. Nie przeszkadza to jednak dzieciom w zabawie i gdy obserwuję je z balkonu, wracają czasem moje własne wspomnienia.

Miałam typowo „podwórkowe” dzieciństwo. Przyjaźniłam się z grupą mieszkających w sąsiedztwie dzieci w zbliżonym wieku. Bawiliśmy się w chowanego, w berka, graliśmy w siatkówkę, odbijając piłkę przez trzepak, w zbijaka, w gumę, w klasy. Kiedy mieliśmy krede, rysowaliśmy też na asfalcie mostki, łączące podwórkową wysepkę z klatkami schodowymi, tory wyścigowe albo domy, po których potem chodziliśmy. Graliśmy też w „bombę”, która polegała na rzucaniu plastikową butelką lub piłką w tych, którzy nie zdążyli schować się w odpowiednim miejscu zależnym od rodzaju bomby (łzawiąca – ogródek, jądrowa – pierwsza klatka, lotnicza – druga klatka...) lub też w stronę tych, którzy po przeczekaniu chwili w schronie biegli już w stronę najbezpieczniejszego miejsca, będącego punktem startowym i końcowym – do ławki. Kojarzę też kilka innych zabaw, których zasad prawdopodobnie nie byłabym w stanie dziś odtworzyć, i które być może przynajmniej częściowo sami wymyśliliśmy. Pewnej zimy zbudowaliśmy igloo – a właściwie śnieżny murek, do którego co jakiś czas, bez wielkich sukcesów, usiłowaliśmy przylepić coś na kształt dachu – i urządziliśmy wojnę na śnieżki z sąsiednim podwórkiem, na którym wzniesli podobną konstrukcję. Pamiętam też, że pewnego razu – tym razem późną wiosną – chcieliśmy zorganizować pokaz cyrkowy na drabinkach dla wszystkich znajomych i ich rodziców. Narysowaliśmy zaproszenia i rozdaliśmy je w naszej klasie w podstawówce. Niestety – ku naszemu ogromnemu rozczarowaniu – przyszły tylko dwie osoby, rodzice jednej z koleżanek z podwórka. Nie marzyliśmy więcej o karierze cyrkowców.

Na podwórku spotykaliśmy się również wieczorami, by toczyć poważne rozmowy o życiu. Czuliśmy się bardzo dojrzały, gdy na oddalonej od nas ławce widzieliśmy „dorosłych” – może siedemnastoletnich – sąsiadów i poniekąd staraliśmy się naśladować ich spotkania. Pamiętam, że to właśnie wieczorem zapachy, które do dziś kojarzę z dzieciństwem – kwiaty z ogrodu, których nazw nie znam, z domieszką bzu – były o wiele bardziej intensywne. Do dziś lubię też obserwować z balkonu podwórko oświetlone łagodnym światłem białych latarni. I przemykające zwierzęta, oczywiście – głównie koty i jeże.

Zdarzało się, że opuszczaliśmy nasze podwórko i wyruszaliśmy na dalsze eskapady. Co ciekawe, nigdy na inne podwórka – poza wrogimi wypadami

z czasów wojny na śnieżki – te były przestrzenią „obcych”, innych, „nie takich jak my”. Wyruszyliśmy jednak w małe podróże, w obszary orbis exterior: w las czy „za rury”.

Przestrzeń dzieliło się na „przed rurami” – Olechów, i „za rurami”, która w naszej świadomości była trochę innym światem, sąsiednim osiedlem – Janowem. Same rury natomiast były nie tylko granicą, ale i samym celem małych wycieczek. Można było na nie wejść, odbijając się od stojącego przy nich w jednym miejscu kamienia, lub przechodząc na nie ze schodów. Nigdy nie czułam się na nich pewnie – lubiłam chodzić po jednej, ale bałam się przeskakiwać na sąsiednią. Często dochodziliśmy jednak aż do miejsca, w którym wchodziły one w ziemię, chowając się po drodze, gdy tylko przejeżdżał samochód. Panikowaliśmy, bo jeden z kolegów – mistrz mrozących krew w żyłach opowieści – przekonał nas, że za chodzenie po rurach grożą straszne kary, i że policja strzela do dopuszczających się tego wykroczenia dzieci pociskami usypiającymi, po czym zawozi je na komisariat. Raz nawet uwierzyliśmy, że ktoś nas goni, i uciekaliśmy ile sił w nogach do lasu.

„Za rurami”, po wyjątkowo ulewnych deszczach, można było liczyć na ogromną i głęboką kałużę. Szczęśliwie, kilka kroków dalej znajdowała się niedawno otwarta Biedronka, pod którą zawsze leżały wąskie, drewniane skrzynki, idealne do napełnienia ich pustymi butelkami plastikowymi po napojach gazowanych. Takie konstrukcje służyły nam za solidne tratwy, na których spokojnie mieściły się dwie osoby. Jedną z nich była odpowiedzialna za ruch i sterowanie – do odpychania się od dna służyły nam długie kije z pobliskiego zagajnika. Powierzchnia tratw była dość śliska, więc zdarzało się, że wpadaliśmy po kolana w kałużę. Czasem tak stawaliśmy się dzielnymi marynarzami, innym razem – groźnymi piratami i postrachem mórz.

Jednym z dalszych celów naszych wypraw stał się oddalony o jakieś dwadzieścia minut drogi stary kanał po ledwo wtedy już płynącej rzece Olechówce. Kanał był zamknięty kratą, ale dopiero po przebyciu kilku metrów w półmroku. Silnie wpływało to na naszą wyobraźnię – zdołaliśmy sobie wmówić, oczywiście głównie za sprawą tego samego kolegi, który mówił o pociskach usypiających, że w kanale mieszka aligator, który uciekł komuś z nielegalnej, domowej hodowli. Wejście do kanału było więc niemal narażeniem życia – co dla aligatora, oczywiście monstrualnych rozmiarów, znaczyłaby taka cienka kratka, odgradzająca go od nas?

Inną taką tajemniczą przestrzenią był XIX-wieczny cmentarz niemiecki. Mówiliśmy o nim jako o cmentarzu żydowskim – o tym, że jest niemiecki, dowiedziałam się dużo później. Rosły tam najpiękniejsze bzy w okolicy. Zdobycie bukietu było głównym celem wędrowek w to miejsce, wędrowek podlanych – co warto podkreślić – sporą dawką adrenaliny. Gdzieniedzie zachowała się siatka, byliśmy więc przekonani, że to teren zakazany i nasze eskapady odbywały się w ścisłej tajemnicy. Gdy przywołuję tamte chwile, wszystko wydaje mi się wprost namacalne. Pamiętam niezwykle intensywny zapach bzu, przenikający się niekiedy z zapachem moczu czy alkoholu – cmentarz był interesującym miejscem nie tylko z naszego punktu widzenia. Pamiętam ból podrapanych i poparzonych pokrzywami nóg. Pamiętam dreszczyk emocji, który nam wtedy towarzyszył, upewnianie się, czy nikt nie idzie, czy nikt nie patrzy – zagrażali nam przecież nie tylko przypadkowi przechodnie, którzy mogliby nas przyłapać i donieść na nas rodzicom, ale także bezdomni, mężczyźni spotykający się ukradkiem na piwo, a może także duchy i upiory. Po oderwaniu kilkunastu gałązek uciekaliśmy więc prawie na oślep w stronę zrujnowanej bramy.

Na cmentarz wybrałam się z powrotem po wielu latach, gdy zaczęłam interesować się fotografią. Utkwiła mi w pamięci niezwykła, tajemnicza atmosfera tego miejsca, którą bardzo chciałam oddać na zdjęciach. Obraz, który ukazał się moim oczom, wydawał mi się wtedy bardzo smutny – porzucane po tym niewielkim terenie zarośnięte resztki grobów i nieprzebyte – o wiele bardziej nieprzebyte niż kiedyś – chaszczce w pozostałej części cmentarza. Butelki pozostawione przez spotykających się w odciętych od reszty świata miejscach. Rzeczy osobiste bezdomnych, widoczne próby wydzielenia własnej przestrzeni. Zapach alkoholu, wymieszany z zapachem moczu – wrażenia węchowe o wiele bardziej dokuczliwe niż dziesięć lat wcześniej. Bzy już nie rosły. Groby były zaniedbane, zniszczone, pozarastane. Pełniły funkcje krzeseł, stołów, koszy na śmieci. Nawet główna, wydeptana dróżka prowadziła przez anonimowy grób. Wraz z kilkoma niewielkimi odnogami była praktycznie całym dostępnym terenem cmentarza. Próbowałam jednak, jak w dzieciństwie, przedrzeć się przez krzaki w nadziei, że odkryję za nimi coś więcej. „Coś więcej” okazało się być butelkami po piwie, kolejnymi szczątkami płyt nagrobnych, pajęczynami wraz z ich twórcami, robakami i pokrzywami.

Mniej więcej rok po mojej wizycie na cmentarzu zaczęły się prace renowacyjne, których pierwszym zwiastunem było wykarczowanie krzewów. Choć jeszcze przed chwilą narzekałam na brak możliwości odkrycia wszystkich zakamarków tego miejsca, cmentarz, pozbawiony wysokiej roślinności, wydał się nagle dziwnie mały i wprost żenująco zwyczajny. Wystające spod śniegu pnie wyglądały nieopisanie przygnębiająco. Rzucająca się w oczy szkoła, której dawniej prawie nie było widać zza chaszczy, sprawiała, że szara rzeczywistość była bliżej, niż wydawało się przedtem. Usunięcie nieprzeniknionej bariery, możliwość obserwowania przechodniów i świadomość bycia obserwowaną przez nich spowodowała, że czas zaczął płynąć tam tak samo, jak gdzie indziej – podczas gdy w tym miejscu, które pamiętałam, robił to znacznie wolniej. Olechowski cmentarz to miejsce, z którymi łączyły się dla mnie dawniej wyjątkowo silne emocje – ciekawość, strach przed przyłapaniem na domniamanym łamaniu zakazu, poczucie solidarności, satysfakcja. Było to miejsce groźne, nieoswojone, tajemnicze. Pozbawione tej otoczki, straciło nagle dla mnie atmosferę, którą pamiętam z dzieciństwa, stało się jednym z wielu niewielkich, zwyczajnych cmentarzy – ładnym i porządnym, ale niebudzącym emocji i wspomnień. Naruszenie mojego miejsca magicznego w pierwszej chwili automatycznie wzbudziło we mnie negatywne odczucia. Po dłuższej chwili oczywiście zmieniłam nastawienie, bo ratowanie zabytkowego cmentarza to pozytywne zjawisko, a „istota wspomnień polega na tym, że nic nie przemija”, jak powiedział Elias Canetti¹. Teraz, choć cmentarz jest dużo bardziej zadbany niż kiedyś – odnowiony, uporządkowany, ogrodzony – krzewy znów zaczęły władać tym miejscem.

Osiedlowe przestrzenie, które najczęściej odwiedzam obecnie, to głównie lokalne sklepy, ulubiona piekarnia z przemiłymi sprzedawczyniami, a także las i łąki „za rurami” – idealne na długie spacerzy z psem. Kilka lat temu miejsca spacerów były jeszcze bardziej odległe i sięgały lasów na Janowie, dziś już jednak mój pies, ze względu na swój zaawansowany wiek, woli wydeptane ścieżki bliżej domu.

Z moim osiedlem wiąże mnie sentyment, przyzwyczajenie, pewne nawyki. To przestrzeń, z którą łączy mnie „bezpośredni stosunek osobisty, przywiązanie do środowiska, w którym się spędziło życie albo znaczną

¹ http://pl.wikiquote.org/wiki/Elias_Canetti (02.04.2014).

część życia, czy wreszcie okres szczególnie podatny na tworzenie się trwałych więzi emocjonalnych, przede wszystkim okres dzieciństwa”². To więź nieodwracalna – wychowanie na Olechowie do pewnego stopnia wpłynęło na moją tożsamość, ukształtowało mnie i określiło. Osiedle, które do dziś jest miejscem mojego zamieszkania, to dla mnie mała, prywatna ojczyzna, w której lubię przebywać fizycznie i którą lubię przywoływać we wspomnieniach z czasów, gdy byłam spragnionym przygód dzieckiem.

² S. Ossowski, *Dzieła*, t. III: *Z zagadnień psychologii społecznej*, Warszawa 1967, s. 210.

ANNA BARCZYK
Łódź

MOJE OSIEDLE OLECHÓW

Spośród wielu definicji „małej ojczyzny” wybrałabym tę autorstwa Stefana Starczewskiego: „W najbardziej ogólnym sensie »mała ojczyzna« oznacza miejsce zamieszkiwania człowieka, które go kształtuje, nad którym sprawuje pieczę (...). Dla wielu twórców literatury ich »małe ojczyzny« pełnią rolę inspiratorską i mitotwórczą, zwłaszcza gdy rozpałmiętywane są z oddalenia, nostalgicznie – po utracie¹. W tym ujęciu „mała ojczyzna” jest, więc czymś wybitnie subiektywnym. Kluczowa okazuje się rola pamięci, co podkreśla z kolei Ryszard Kapuściński: „Pamięć jest niezbędnym składnikiem małej ojczyzny. Pozwala nam zachować ją we wspomnieniu, nawet, jeżeli utracimy z nią kontakt bezpośredni. Tak długo jak żyjemy i gdziekolwiek jesteśmy, pozostaje ona częścią naszej tożsamości, naszym znakiem identyfikacyjnym. Ma to szczególną wartość dziś, bowiem dla wielu ludzi ich miasto, ich region, ich mała ojczyzna stanowią tarczę, niszę, pożądaną osłonę przeciw gwałtownym postępom niwelującej wszystko globalizacji, jako że ludziom potrzebna jest świadomość, iż mogą mieć na coś wpływ, a tego przekonania pozbawiają ich gigantyczne, przytłaczające siły uniformizacji”².

Dla mnie „mała ojczyzna” to właśnie miejsce, które mnie ukształtowało, które w pierwszych latach mojego życia było początkiem a zarazem środkiem mojego świata. Tutaj poznawałam przyjaciół, tutaj chodziłam do szkoły i tutaj dorastałam. Moją „małą ojczyzną” jest obszar mojego osiedla – Olechowa.

¹ S. Starczewski, *Małe ojczyzny – tradycja dla przyszłości*, [w:] *Małe ojczyzny. Tradycja dla przyszłości*, pod red. S. Kosieleńskiego, Warszawa 2000, s. 23.

² R. Kapuściński, *Rwący nurt historii – zapiski o XX i XXI wieku*, Kraków 2007, s. 21–22.

Dziś wiem, że Olechów ma dużą powierzchnię, lecz kilkanaście lat temu moje osiedle miało dla mnie inne niż teraz granice. Gdy zaczynałam chodzić do szkoły wiedziałam, że po lewej stronie od mojego mieszkania jest pole z wielką jabłonią, pod którą pochowałam ukochanego pupila. Po prawej stronie znajdowała się szkoła, do której prowadziła mnie mama lub babcia. Niedaleko za moim blokiem były rury (ciepłownicze), a idąc od klatki na wprost, można było dotrzeć do ulicy ze sklepami, przez którą nie wolno mi było przechodzić – ulicy Zakładowej. Centralnym miejscem było jednak podwórko przed blokiem, gdzie razem z innymi dziećmi przywłaszczylałam sobie huśtawki, drabinki oraz stół do ping-ponga. Nie było to zwykłe podwórko – było to centrum mojego osiedla, miejsce zabaw a także pierwszych kłótni z rówieśnikami.

Z czasem tych ważnych miejsc przybywało. Kiedy chodziłam już do szkoły, było to boisko oraz opuszczony cmentarz (wtedy nie wiedziałam jeszcze, że był to cmentarz niemiecki), nieco straszny, lecz ciekawy. Jego tajemniczość zachęcała do snucia wymyślanych na bieżąco opowieści i domysłów. Kiedy mogłam już samodzielnie oddalać się od bloku, mój Olechów został wzbogacony o kolejne uliczki, szczególnie tę, na której pracowała moja mama. Niejednokrotnie chodziłam tam aby wrócić razem z nią do domu. Był to swoisty sprawdzian samodzielności oraz okazja do zakupów w drodze powrotnej. Po kilku latach pole, na którym rosła jabłoń stało się terenem budowy nowych bloków. Rury ciepłownicze również przestały być granicą, za nimi był kolejny obszar gotowy do samodzielnego poznania. Tam mieszkała moja nowa, szkolna przyjaciółka, którą mogłam odwiedzać. Z każdą eskapadą poza moje podwórko poznawałam nowe zakamarki Olechowa. Razem z innymi dziećmi wiedzieliśmy gdzie można się ukryć podczas gry w „podchody” oraz gdzie możemy kupić najpyszniejsze na całym świecie lody i gumy do żucia.

Kiedy miałam kilkanaście lat moja „mała ojczyzna” znajdowała się na tym samym obszarze, ale nabrała nowych znaczeń. Pomijane dotąd miejsca nabrały nowych sensów. Przychodnia lekarska przestała być tylko schodami, na których można pobawić się „sprężynką”, zaczęła być miejscem gdzie szukałam pomocy kiedy czułam się chora. Dwa podwórka dalej był punkt kasowy, w którym płaciłam z mamą rachunki, aby mieć internet i telewizję. Nowo wybudowana droga rowerowa oraz chodnik biegnący

wzdłuż niej stały się miejscem długich spacerów z moim psem. Przestrzeń, czas i ja rozwijaliśmy się coraz szybciej i systematyczniej. Dziś przypominam sobie, które drzewo było winne mojej pierwszej blizny na nodze i która jabłonka nauczyła mnie ostrożności przy jedzeniu niedojrzałych owoców. Moja wiedza na temat „małej ojczyzny” wspierana jest pamięcią innych – głównie mojej mamy. To z jej opowieści dowiedziałam się, że mieszkam w jednym z najstarszych bloków i że balkon naprzeciwko, który wydawał mi się dziwny, jest tak naprawdę pozostałością po pierwszym, olechowskim sklepie. Olechów jest dla mnie tętniącą życiem pamiątką, której nigdy nie chciałabym utracić.



KINGA BRZEZIŃSKA
Łódź

WIDZEW-WSCHÓD. MOJE MIEJSCE W WIELKIM MIEŚCIE

Zastanawiając się nad własnym życiem, warto się czasem zatrzymać, odciąć od szalonej codzienności ciągłego biegu i narastającego stresu. A kiedy uda się choć na chwilę zwolnić, należy spojrzeć na siebie z perspektywy czasu i przywołać wspomnienia. Są one bardzo często związane, jakąś niewyobrażalnie cienką i delikatną nicią, z konkretnymi miejscami, przestrzeniami. Oczywiście nie muszą one być realne, mogą być jedynie produktem wyobraźni, ale mimo to mają swoje pewne odpowiedniki istniejące w rzeczywistości. Uważam, że takie wyobrażanie sobie niektórych miejsc i przestrzeni jest charakterystyczne dla dzieci, które nie są w pełni świadome tego, iż tworzą własną kreację świata im bliskiego. Nie musi ona pokrywać się z tą, którą dla swoich dzieci stworzyli rodzice. Patrząc na miejsca z dzieciństwa z perspektywy wielu, wielu lat można uświadomić sobie, jak ogromny był to świat, kiedy było się dzieckiem i ile w nim czekało przygód. Dziś, po upływie dekad, to tylko zwyczajne miejsca, codzienne, takie, które mija się każdego dnia, nie pamiętając jakie kiedyś były ważne.

Myślę, że wielu ludzi ma podobne do moich odczucia. Każdy miał swój dziecięcy świat zabaw i marzeń, który w rzeczywistości był choćby trzepakiem obok bloku czy placem zabaw z piaskownicą. Czy takie miejsca można nazwać ojczyzną? Moim zdaniem, jak najbardziej. Jest to określenie nadane przez człowieka jakiejś konkretnej przestrzeni. Każdy lub niemal każdy człowiek, choć nie zawsze świadomie, tworzy taką małą, prywatną ojczyznę, która jest dla niego z rozmaitych przyczyn istotna i do której będzie wracał myślami. Niekoniecznie musi to być miejsce, w którym się

dana osoba urodziła. Zazwyczaj jednak to okolica, w której się mieszkało a czasami mieszka nadal.

Dla mnie takim miejscem jest Widzew-Wschód. Zwykle łódzkie osiedle, pełne czteropiętrowych bloków i wieżowców. Dlaczego właśnie to miejsce? Ponieważ, odkąd w latach siedemdziesiątych powstały tam bloki, wprowadzili się do nich moi dziadkowie z moją mamą i jej siostrą. Później, po śmierci dziadków, do mieszkania, w którym mieszkała już tylko moja mama z moją siostrą, wprowadził się mój tata. W tamtych czasach o mieszkanie nie było łatwo, więc rodzice, po moim urodzeniu, postanowili nigdy się już nie przeprowadzać. Mieszkanie było wystarczająco duże. I tak dorastałam między piętrzącymi się wokół budynkami z betonu. Naturalnie nie było to wtedy dla mnie takie istotne. Ważne były miejsca, gdzie można się było bawić z koleżankami i kolegami z sąsiednich bloków.

Pierwszą taką przestrzenią był dla mnie plac między czterema blokami. Jednym z nich był ten, w którym mieszkałam. Moja przestrzeń była wtedy wytyczona przez mamę, która pozwalała mi bawić się tylko tam, gdzie mogła widzieć mnie z okna. Każde oddalenie się gdzie indziej musiało być meldowane przez domofon. Nie było to jednak szczególnie potrzebne. Między blokami znajdował się plac zabaw z piaskownicą, huśtawka, ławeczki, trawa, drzewa, po których można było chodzić kiedy rodzice nie patrzyli. Jednym słowem dla małego dziecka był to raj. Kiedy jednak zaczęłam chodzić do przedszkola, które znajdowało się jakieś dwa kilometry od domu, wydawało mi się, że mieszkam niezwykle daleko i że tam, gdzie jest moje przedszkole to już drugi koniec miasta. Oczywiście z czasem odległości przestały mieć takie znaczenie i nie wydawały się już takie ogromne. Plac zabaw przed blokiem już nie wystarczał. Ważne stały się nowe miejsca i przestrzenie znajdujące się między blokami. Były nimi na przykład górki i trzepaki w pobliżu bloków, budki telefoniczne, kiosk i oczywiście sklep „Społem”. Później przestrzeń poszerzyła się o szkołę, do której z domu było jakieś pięć minut drogi i pawilon handlowy znajdujący się tuż przy niej. W kolejnych latach chęć odkrywania nowych fantastycznych, tajemniczych miejsc spowodowała coraz dłuższe i coraz dalsze wędrówki po osiedlu. Poznawałam miejsca, o których koleżanki i koleżdy

opowiadali mi legendy, czasem zupełnie zmyślane, a czasem było w nich więcej niż ziarnko prawdy. Do takich miejsc należał mały lasek przy szkole z basenem, czy stary sad za „Zielonym”, czyli ogrodzonym placem zabaw tuż przy ulicy Augustów. Trzepak przy bloku szybko przestał być dla nas, dzieciaków, ważny. Jego miejsce zastąpiła bieżnia między dwoma, odwiecznie rywalizującymi ze sobą szkołami. Później stała się ona miejscem walk między kibicami Widzewa i ŁKS-u. Dziś w tym miejscu jest nowy, ogrodzony i bardzo dobrze wyposażony orlik dla młodzieży z obu szkół. Plac wokół szkoły, dziś wyłożone kostką brukową, a dawniej betonowe, służyły jako miejsca gry „w klasy” czy „w gumę”. Oczywiście cała ta przestrzeń miała wiele elementów i punktów, które się na nią składały. Nie jestem w stanie ich wszystkich wymienić.

Kiedy miałam 10 lat, moi rodzice postanowili się jednak przeprowadzić na przedmieścia. To był moment, w którym nie umiałam pogodzić się ze zmianami, jakie mnie czekały. Teraz wydaje mi się to zabawne, ale dla dziecka, które zna blokowisko jak własną kieszeń, ma tam przyjaciół, szkołę nie było to takie łatwe. Oczywiście „strach ma wielkie oczy”. Nie zmieniałam szkoły, zatem nadal miałam kontakt z przyjaciółmi. Jedyne, co się zmieniło to czas dotarcia do moich ulubionych miejsc.

Fakt, że nadal mieszkają tam moi znajomi z dzieciństwa i moja przyjaciółka powoduje, że mijam te dawne bliskie mi miejsca codziennie. Każdego dnia również przejeżdżam przez Widzew, by dotrzeć chociażby na uczelnię czy do centrum miasta. Choć nie mieszkam tam już trzynaście lat, nadal moim prywatnym centrum Łodzi pozostaje Widzew-Wschód, a dokładniej blokowisko rozciągające się między ulicami Aleksandra Puszkina, Rokicińską, Augustów i Stanisława Przybyszewskiego. Mimo upływu czasu mam nieustające wrażenie, że znam tam każdy kąt. Tam też czuję się bezpiecznie i nie obawiam się przejść późnym wieczorem przez osiedle, co może nie jest do końca rozsądne. Jest to jednak moje miejsce w Łodzi, moja „mała ojczyzna”. Jest ona pełna wspomnień, przygód i marzeń z dzieciństwa. Dziś jest dla mnie miejscem spotkań z przyjaciółmi, przestrzenią, w której mogę znaleźć niemal wszystko czego potrzebuję. Punktem na mapie codziennych wyjazdów i powrotów do domu.

Kiedy teraz chodzę z przyjaciółką na spacer, nogi same niosą nas do miejsc, z których każde ma dla nas olbrzymie znaczenie, w których działy się kiedyś ważne dla nas wydarzenia, w których śmiałyśmy się i płakałyśmy. Tam, gdzie zawsze czekały nas przygody, gdzie mogłyśmy poczuć nagły przyptyw adrenaliny lub odciąć się od codzienności i pomarzyć. Teraz, z perspektywy czasu, wiem, że gdyby nie moja przewodniczka, pewnie nie zauważyłabym i nie zrozumiałabym ile znaczy dla mnie ta przestrzeń. Ona z upływem czasu zmienia się, przekształca, rozbudowuje, tak jak ja i moja osobowość. Zawsze jednak będzie dla mnie miejscem, w które będę mogła wrócić i będzie ono w pełni moje, prywatne.

SYLWIA MĄDRO
Dębica, Łódź

MOJA DĘBICA - SUBIEKTYWNE SPOJRZENIE NA MIASTO

Urodziłam się w Dębicy. Przez całe swoje życie mieszkałam blisko niej i odkąd pamiętam zawsze czułam, że należę właśnie tam. Jestem przywiązana do tego miejsca. Jest moją „małą ojczyzną”, miejscem, do którego zawsze wracam.

Dębica leży w województwie podkarpackim, jest siedzibą powiatu dębickiego. Jest to miasto posiadające liczne zabytki: Synagogę Nowomiejską – zbudowaną w XVIII w. przez gminę żydowską, kirkut – cmentarz żydowski, cmentarz wojskowy założony podczas I wojny światowej, Kościół pod wezwaniem Św. Jadwigi, Dwór na Wolicy. Miasto posiada Muzeum Regionalne oraz domy kultury, kina, biblioteki.

Centrum wyznacza rynek miasta – „Planty”. Jest to plac na planie kwadratu, otoczony budynkami i małymi uliczkami. Mieszkańcy idąc tam, nie mówią, że „idą na rynek”, ale właśnie na „Planty”. Co ciekawe, pojęcia „rynek” używa się do nazwania dużego placu targowego nieopodal centrum miasta, znanego mieszkańcom również jako „Manhattan”. Na „Plantach” znajduje się muszla koncertowa – jest ona jednym z wielu charakterystycznych obiektów Dębicy. Otoczona ławkami, gdzie spotykają się głównie młodzi ludzie, tworzy rodzaj skweru. Dla mnie jest to jedno z najbardziej ulubionych miejsc w mieście i bardzo miło mi się kojarzy.

W tej regionalnej społeczności mieszkańcy wytworzyli emocjonalne więzi i relacje, którymi się kierują. Pomocny jest tu brak anonimowości – ludzie znają się, choćby „z widzenia”, większość osób wie coś o sobie. Mała liczebność mieszkańców pozwala na zapamiętywanie bliższych i dalszych sąsiadów, wchodzenie z nimi w interakcje. To miejsce jest swoistą teryto-

rialną wspólnotą, z wieloma mieszkańcami łączą mnie więzy pokrewieństwa lub sąsiedzkie relacje, co rzutuje na moje postrzeganie ich oraz siebie pośród nich. Relacje sąsiedzkie pomiędzy mieszkańcami są dobre. Ludzie często znają się, odwiedzają, rozmawiają ze sobą. Tożsamość lokalna mieszkańców znajduje oparcie również w miejscach symbolicznych – Muzeum Regionalnym, gdyż gromadzi ono przedmioty, które mieszkańcy uznali za ważne świadectwa ich przeszłości. Takimi rzeczami/miejscami są także pomniki, przypominające o wspólnej przeszłości, łączącej całe pokolenia zamieszkujące region.

W mieście spotkać można wiele mniejszości etnicznych. Przybywają tu także ludzie z okolicznych wsi – głównie do pracy, szkół i uczelni. Z własnych obserwacji wiem, że mieszkańcy Dębicy nie są wolni od stereotypowych opinii na temat innych. Przede wszystkim czują się lepsi od mieszkańców okolicznych wsi. Uważają się za bardziej „ucywilizowanych”. Stereotypowo oceniają także mniejszości etniczne zamieszkujące Dębicę. Romowie, to „brudasy”, a Żydzi są skąpi i zajmują miejsca pracy Polakom. Na szczęście na ulicach miasta bardzo rzadko zdarzają się rasistowskie incydenty.

Mieszkańcy regionu potrafią jednak jednoczyć się w ważnych sprawach, czym udowadniają, że dobro regionu, w którym żyją, jest dla nich najważniejsze. Obecnie mieszkańcy pewnego dębickiego osiedla walczą o poprawę swojego bezpieczeństwa, domagając się wybudowania sygnalizacji świetlnej na skrzyżowaniu, na którym doszło już do kilku wypadków. W tej sprawie wszyscy są jednomyślni i pomagają sobie wzajemnie, na przykład organizując wspólne pisanie petycji, czy wizyty w urzędach miejskich. Podobnie było ze zorganizowaniem transportu dla osób niepełnosprawnych w czasie wyborów samorządowych. Mieszkańcy zjednoczyli się i zorganizowali samochody, które zawiozły niepełnosprawnych do lokali wyborczych, aby i oni mogli głosować. Mieszkańcy podkreślają, że jest to ważna sprawa, bo dotyczy „wszystkich”. Mieszkańcy również ochoczo organizują pomoc „swoim” – włączają się w organizowanie imprez charytatywnych dla chorych dzieci z miasta, organizują zbiórki pieniędzy, powtarzając często, że ich pomoc „nie trafia przecież do obcych, tylko do swoich, którym trzeba pomóc”. Ta grupa osób związana jest z określonym miejscem, gdzie się urodzili, wychowali i mieszkają do teraz, nic więc dziwnego, że angażują się emocjonalnie we wszystkie sprawy związane z ich miastem i regionem.

W mieście, które jest moją „małą ojczyzną”, istnieje wiele przestrzeni publicznych: parki, place, ulice, osiedla. Są to miejsca powszechnie dostępne, gdzie codziennie spotykają się ludzie. Myślę, że również one budują poczucie integracji, są przecież miejscami ciągłych spotkań, zaspokajają wiele potrzeb mieszkańców, sprzyjają nawiązywaniu kontaktów społecznych ze względu na swoje położenie oraz cechy funkcjonalno-przestrzenne. Przestrzenie prywatne stwarzają zaś poczucie wyizolowania. To obszary które nie działają więziotwórczo.

Choć mieszkańcy Dębicy silnie integrują się ze sobą, to jednak zdarza się, że pewne zbiorowości (podwórkowe lub osiedlowe) czują się mocno ze sobą związane i za obcych uważają mieszkańców odległych dzielnic, mimo, że przecież wszyscy mieszkają w jednym mieście. Następują więc podziały na „my” i „oni” także wewnątrz szerszej, dębickiej społeczności.

Wróćmy jednak do kwestii wspólnotowych. Ludzie łączą się szczególnie podczas organizacji i trwania różnych lokalnych oraz regionalnych imprez. Najpopularniejsze to derby piłkarskie, „Dni Dębicy”, „Dni Sztuki”, artystyczne happeningi, Sylwester i inne wydarzenia kulturalne. Powstają wtedy szczególnie silne więzi, bardzo wyraźnie da się wówczas odczuć przywiązanie do regionu.

Dębica jest dla mnie miastem raczej bezpiecznym, czuję się w nim dobrze i nie mam oporów, by spacerować po nim nocą. Widać tu zaangażowanie w dbałość o całe miasto, utrzymywanie w nim ładu i porządku. Myślę, że czynnikiem integrującym ludzi jest także nadawanie własnych nazw miejscom, które formalnie funkcjonują pod innymi. Mogą to być parki, rynek, ulice. Chodzi o to, by mówić między sobą słowami-kluczami, które rozumieją mieszkańcy. Buduje się w ten sposób przeświadczenie, że „jesteśmy u siebie”, wiemy, co te nazwy oznaczają, więc jesteśmy „wyjątkowi”, bo nie każdy je zrozumie. Bardzo interesujące jest również to, że niektórzy mieszkańcy nie znają nazw poszczególnych ulic, jednak bez problemu potrafią wytłumaczyć, jak tam trafić. Dzieje się tak, bo nie uczymy się miasta „na pamięć” wraz z jego wszystkimi nazwami, ale wychowujemy się w nim od lat i wszystkie te miejsca poznajemy sami, stopniowo, aż w końcu stają się dla nas bliskie, ważne, „nasze”.

Obecnie wiele miejsc w mieście ulega modernizacji. Budowane są nowe place zabaw dla dzieci, przedszkola, budynki. Odremontowany został budynek Urzędu Miasta. Całkowicie przebudowano również Park Jordanowski (zwany częściej „Jordanem”) – jedno z najpopularniejszych miejsc spotkań młodych ludzi. Również dla mnie zawsze było to miejsce szczególne, nie tylko w mieście, ale w całym regionie, gdyż wiąże się z nim wiele miłych wspomnień. Spędzałam w nim mnóstwo czasu, po szkole wraz ze swoimi przyjaciółmi. To jedno z moich ulubionych miejsc w Dębicy. Mimo, że doceniam starania lokalnych władz, by upiększyć miasto, to jednak po przebudowie czuję, że „Jordan” nie jest już teraz dla mnie tym, czym był kiedyś. Zawsze będę go pamiętać przed przebudową i zdecydowanie takim go wolałam. Teraz stał się głównie miejscem, do którego przychodzą matki z dziećmi, gdyż na jego terenie wybudowano plac zabaw. W „Jordanie” stoi także czołg – oryginalny pojazd sprowadzony z Sanoka. Jest on rozpoznawany przez mieszkańców, dla mnie również stał się nieodłącznym elementem Parku Jordanowskiego. Kiedyś został zabrany, ale mieszkańcy bardzo protestowali i prosili o jego powrót. Ostatecznie czołg wrócił na swoje miejsce. To również dowód na skuteczność i siłę działań podyktowanych ideą wspólnoty.

Miasto i w ogóle województwo podkarpackie zmienia się. Od kiedy podjęłam studia i wyjechałam z Dębicy, bywam tu sporadycznie i zauważam, że miasto staje się dla mnie coraz bardziej obce, nieznanne. Nie odnajduję już w nim „starych” ulubionych miejsc, a nie przywiązałam się jeszcze do tych nowopowstałych. Sprawia to, że czasem czuję się w nich obco. Jednak to wciąż „moje” miasto, do którego należę, mój region, moja „mała ojczyzna”, której nie zamieniłabym na nic innego.

Różny jest poziom uczestnictwa mieszkańców w życiu kulturalnym ich miejscowości, gdyż zależy od ich własnych osobistych preferencji. Jednak coraz więcej młodych ludzi angażuje się w działania na rzecz lokalnej społeczności. Powstają liczne koła zainteresowań, stowarzyszenia i organizacje, które jeszcze bardziej łączą ludzi zamieszkałych w regionie. W mieszkańcach budzi się przekonanie o potrzebie wspólnych działań w imię lepszej, wspólnej przyszłości.

Myszę, że najczęściej spotykaną postawą mieszkańców, która dotyczy władz lokalnych, jest docenianie ich za pielęgnowanie i przekazywanie dziedzictwa kulturowego. Tożsamość nie jest dana raz na zawsze i ulega

zmianom. Na skutek globalizacji i łatwej mobilności ludzie przemieszczają się, osiedlają gdzie tylko chcą, wyjeżdżają, co może być przyczyną zrywania więzi i zapominania o swoich korzeniach. Jednak często jest odwrotnie – wpływa to na wielką potrzebę powrotu do dawnych wartości, do swojego miasta – dobrze znanego i bezpiecznego.

Na tożsamość mieszkańców mocno oddziałują lokalna wspólnota polityczna oraz lokalny system władzy. W Dębicy istnieją rady osiedlowe, które łączą mieszkańców we wspólnych sprawach. Duże znaczenie dla społeczności lokalnej ma coraz większa aktywność mniejszych struktur w administracji państwowej. Poczucie tożsamości lokalnej i regionalnej przekłada się na jakość miejscowych samorządów, które mogą znacznie lepiej reagować na potrzeby i problemy ludzi. Silna tożsamość i zintegrowanie grupy przekłada się na wzmocnienie aktywności społecznej.

W pełni identyfikuję się ze swoim miejscem zamieszkania, z moim regionem. Identyfikuję się ze swoją lokalną, a także regionalną kulturą i społecznością. Odczuwam odrębność od mieszkańców innych regionów Polski. Czuję się związana z dziejami tego miejsca, bohaterami, instytucjami historycznymi. Ponadto jestem bardzo związana z Polską Wschodnią.

Urodziłam się i wychowałam właśnie w Dębicy, tam uczęszczałam do szkoły, tam po raz pierwszy doświadczyłam świata, który wraz z dorastaniem rozszerzał się. Miejsce to określa więc moją tożsamość, pozwala mi odpowiedzieć na pytanie „skąd przyszłam” i „kim jestem”. Jestem tam „zakorzeniona”. Jednak nie mam pewności, że zawsze będę mieszkać w Dębicy, czy w ogóle w województwie podkarpackim. Mimo to, utożsamiam się zarówno z Dębicą, regionem, jak i całym województwem, pamiętając, że tu są „moje miejsca”. Mam poczucie emocjonalnej wspólnoty z tym terenem i ludźmi, czuję, że gdzieś należę. Być może wpływają na to również moje studia w innym mieście i regionie – dzięki temu doceniam miejsca, w których mieszkałam wcześniej.

Cieszę się, że mój region, poprzez liczne działania dąży do zachowania własnej kultury. Jego charakterystyczne obyczaje, folklor, tradycje (m.in. kulinarne), mają dla mnie wielką wartość. Współczesna twórczość lokalna – w różnych dziedzinach – nawiązuje tu do specyfiki regionu. Tutejsze instytucje kulturalne podkreślają walory regionu, przez co jawi się on bardzo atrakcyjnie. Myślę, że zachęci to potencjalnych turystów do odwiedzenia i poznania go.



ANNA ROGALSKA
Konstantynów Łódzki

JEST TAKIE MIEJSCE, GDZIE CZAS PŁYNIE INACZEJ...

Są takie miejsca na świecie, gdzie czas płynie nieco wolniej, gdzie ludzie przystają na ulicy żeby pogawędzić z napotkanym znajomym, a dzieciaki biegają po okolicznych łąkach bez telefonów komórkowych. Znam jedno z takich miejsc...

Żeby do niego dotrzeć wsiałam w tramwaj linii 43. Tramwaj Düwag GT8, czule zwany Helmutem, Szejkerem bądź Parówką, nie przypomina nowoczesnych, plastikowych wagonów kursujących po Łodzi. Ma czterdzieści lat na metalowym karku i wydaje niepowtarzalne odgłosy. Skrzypi, brzęczy, zgrzyta by za chwilę zamilknąć stojąc na mijance. Kiedy minie się parki i łąki na Retkini, minie się dawną zajezdnię tramwajową na Brusie czas zaczyna zwalniać. Wjeżdżamy do Konstantynowa Łódzkiego. Miasta, o którym po Łodzi krążą plotki i anegdoty. Zabudowa staje się niższa, niebo wydaje się być bardziej niebieskie. Może dlatego, że spaliny samochodowe nie zasłaniają horyzontu? Czeka nas kilkanaście minut jazdy, umilimy je wspomnianymi opowieściami krążącymi po okolicach. Dawno, dawno temu, w zamierzchłych czasach PRL-u wybudowano w Kanzasie (nie jest do końca jasne dlaczego do tej miejscowości przyłgnęło takie określenie) bloki. Niskie, zaledwie czteropiętrowe, ale z łazienkami, osobnymi toaletami, wannami i innymi wygodami. Przeprowadzali się do nich mieszkańcy pobliskich wiosek i przedmieść. Historia jak w wielu innych miejscach, z Warszawą włącznie. Ale chyba nie wszędzie do spółdzielni wpływały skargi takiej treści jak w Kanzasie.

Zacznijmy od tego, że pewna świeżo upieczona mieszkanka bloku namoczyła śledzie w misce wbudowanej w podłogę jednego z pomieszczeń i śledzie jej uciekły! Tak bywa, jeśli namacza się śledzie w sedesie. Inny mieszkaniec nie mógł rozstać się ze swoimi zwierzętami. Po przeprowadzce kury zamieszkały na balkonie, świnka w wannie. Konia musiał niestety sprzedać, ponieważ nie zmieścił się do M3... Mama przyjaciółki zapytana o ciekawostki konstantynowskie wspomniała o sposobie leczenia astmy w czasach kiedy była dzieckiem. Co miało pomóc chorym? Palenie skrętów z liści dyndery, czyli *Datury L.* znanej jako bieluć. Ile w tych opowieściach prawdy? Tego już nie wiadomo, ale pewnie ziarnko gdzieś w nich jest. Dojeżdżamy na główny plac mojej „małej ojczyzny”. Dziś jest placem budowy, władze miasta zarządziły wielką rewitalizację. Wysiadamy na placu Kościuszki i skręcamy w ulicę Zgierską. Mijamy Urząd Miasta i niziutkie kamienice. Nagle dobiegają dźwięki *Polki Konduktorki*. To Kapela Podwórkowa Konstantynowiacy ma próbę w pobliskim budynku¹. Starsi panowie grają szlagiery sprzed lat. Słychać akordeon pana Worety i śpiew pana Wencla: „To jest nasza łódzka polka, prosta jak robociarski stan!”. Ich próbom przysłuchuję się od kilku miesięcy dzięki pracy w ośrodku kultury i chyba nigdy mi się nie znudzą. Jednak dziś mam wolne i mogę kontynuować spacer. Z ulicy Zgierskiej skręcam między bloki i dochodzę do ulicy Kopernika. Kiedy przyjechałam tu po raz pierwszy krawężniki były pomalowane na biało i kwitły mleczne. Widok jak z uzdrowskiej pocztówki... Obszczekiwana przez podwórkowe psy (na tej ulicy można odetchnąć wśród parterowych domków) idę dalej czystym chodnikiem. Zaraz znajdę się na moim osiedlu. Coraz częściej witają mnie okrzyki „Dzień dobry Aniu! Jak w szkole?”. Choćbym nie wiem jak się śpieszyła znajduję czas na rozmowę z sąsiadką z trzeciego piętra i dziećmi z klatki obok. Na zadbanym placu zabaw dokazują dzieci znajomych i sąsiadów. Dziewczynki grają w klasy, chłopcy zawzięcie kopią piłkę na boisku. Wchodzę w cień starych drzew. Obskakują mnie znajome psiaki, z którymi mój pies chętnie bawi się zimą w zaspach śniegu. Teraz chwila przerwy w spacerze. Muszę wejść do mieszkania po psa i pójdziemy dalej. Stojąc przed klatką widzimy już pola po drugiej stronie ulicy Narutowicza. Właśnie tam pójdziemy. Po kilkuminutowej przechadzce jesteśmy na miejscu. Po lewej stronie rozciągają się łąki

¹ Budynek przy ul. Zgierskiej 14 należy do Stowarzyszenia Śpiewaczo-Muzycznego im. Fryderyka Chopina. Budynek powstał na początku XX wieku ze składek stowarzyszenia.

i nieużytki, po prawej pole kukurydzy lub żyta w zależności od roku. Lewą stronę od prawej oddziela mała rzeczka, Jasień. Dziś, po upadku zakładów włókienniczych, farbiarni i fabryk, woda w niej jest czysta i widać piasek na dnie. Mój pies nie może się oprzeć i w pełnym biegu wskakuje do wody. Gdybyśmy postanowili udać się prawym brzegiem rzeczki dotarlibyśmy do Stolicy. Kilkanaście lat temu była tam stacja harcerska, place zabaw dla dzieci i czysty park. Dziś trzeba uważać na potłuczone szkło, śmieci i inne pozostałości po libacjach alkoholowych. Park na pl. Wolności, który leży odrobinę dalej jest zupełnie inny. Rosną w nim stare drzewa, są ławeczki ładne latarnie, wypielęgnowane trawniki. Moi rodzice lubią czekać w tym parku na tramwaj. Tu linia 9 kończy swój bieg lub go rozpoczyna w zależności od przyjętego punktu widzenia. Po drugiej stronie ulicy znajduje się stadion Konstantynowskiego Klubu Sportowego „Włóknierz”. Odnowiony i zadbany obiekt cieszy oko, ale mnie kojarzy się z godzinami pracy w czasie dni miasta i dożynek. Pominę go milczeniem. Odcinek ulicy Jana Pawła II, dawniej 19 stycznia, od tego miejsca do kościoła pw. Józefa Robotnika ma dość nieciekawą opinię. Nazywano to miejsce Pekinem i unikano jak ognia. Mieściły się tu „sklepiki” z alkoholem niewiadomego pochodzenia, papierosami bez akcyzy, a dostawcy pizzy martwili się o swoje samochody i zęby. Od kilku lat jest tu bezpiecznie, ale nazwa i zła sława pozostały, choć bezzasadne². Wróćmy do spaceru z psem, który zdążył się już wykąpać w Jasieni. Pójdziemy w prawo, na Siwaberek. Na mapach ten pagórek oznaczony jest jako grodzisko, ale niewielu konstantynowian zdaje sobie z tego sprawę, a może garstka myśli o nim jako o obiekcie historycznym. Kilka lat temu rozkopali go archeolodzy w poszukiwaniu przedmiotów sprzed lat. Nie wrócili, więc pewnie nie jest on jednak tak stary i ważny jak myśleli historycy. Wcale bym się nie zdziwiła gdyby okazał się jeszcze jedną górką wzniesioną z ton śmieci jakich nie mało w Łodzi. Skąd wzięła się nazwa zwyczajowa? Tego najstarsi konstantynowianie nie pamiętają... Brzmienie ma nieco niemieckie, wszak „-berek” może być zdrobnieniem od *berg* (niem. góra). Może jest więc pamiątką po niemieckich osadnikach? „Siwa” tudzież „szyfa” podobno ma korzenie w jidysz, ale kto to wie... Idziemy skrajem pola, ścieżką wydeptywaną co roku na nowo i na nowo zaorywaną przez rolnika. O, i jesteśmy już u podnóża Siwaberku. Często można tu spotkać znajo-

² Wszystkie domy na tym odcinku są wpisane do rejestru zabytków. Są to dawne domki tkaczy.

mych z psami. Młodzi i starsi ludzie rzucają psom piłki i sznurki do aportowania, czasami popijają piwo. Atmosfera jak na pikniku z filmów. Nieco dalej jest ulica Nadrzeczna, prowadzi do starego pegeeru i całkiem nowych willi bogatszych mieszkańców. Na polu za Nadrzeczną jest bunkier, ale tam już się nie chodzi. Często można tam spotkać pijanych mężczyzn. Jeśli bylibyśmy tu trochę później, o zmierzchu, zauważylibyśmy sarny i zające, ale o tej porze łatwiej o spłoszonego bażanta. Idziemy dalej... Kilometr, może dwa. Stąd widać już Niesięcin. W Niesięcinie wciąż funkcjonuje Koło Gospodyń Wiejskich i ludowy zespół taneczny i śpiewaczy. Od pań z Niesięcina dostałam na dożynkach mój ulubiony przepis na marynowaną paprykę, a receptura kotletów z kapusty i otrąb jest niezwykle pilnie strzeżonym sekretem. Młodzież z zespołu tanecznego współpracuje z kapelą, którą słyszeliśmy idąc Zgierską. Wracamy drugą stroną pól. Tu też płynie rzeczka. Na jednym z mostków jest miejsce, gdzie zwyczajowo latem pali się małe ogniska. Kiedyś pola ciągnęły się do samej Łodzi, ale dziś powstał tam hipermarket... Wracamy do domu, polami oczywiście, zaglądając z psem w kępy trawy w poszukiwaniu zająców i bażantów, jeży i kotów. Przed blokiem porozmawiamy jeszcze z dozorcą, sąsiadką i ojcem koleżanki, dzieci będą głaskać psa po jego mokrej od Jasioni sierści. Jesteśmy w domu...

Miasto jest niewielkie, nie ma nawet 20 tysięcy mieszkańców. Prawa miejskie przyznano mu w 1830 roku dzięki staraniom Mikołaja Okołowicza. Podobnie jak w pobliskiej Łodzi królowała tu przemysł włókienniczy. Do 1914 r. miasteczko rozkwitało, ale w czasie I wojny światowej zostało prawie doszczętnie zniszczone.

Nie urodziłam się w Konstancynie, nie wychowałam w nim. Przez pierwsze dwadzieścia lat mieszkałam w samym centrum Łodzi, w stuletniej kamienicy. Do Konstancynowa sprowadził mnie przypadek i pokochałam to miasto. Choć na początku nie było łatwo, zadomowiłam się tu. Na początku gubiłam się wśród uliczek i miejsc inaczej nazywanych przez mieszkańców, a inaczej na tabliczkach. Jak każde inne miejsce ma swoje wady i zalety. Potrafię je kochać i nienawidzić na raz. Ale to tu, w bloku, ale wśród pól, w mieście, ale małym, bardziej do wsi podobnym, znalazłam siłę i radość z każdego dnia. Pewnie kiedyś, w pogoni za marzeniami, przeprowadzę się stąd, ale jeszcze nie pora... Konstancynów to moja „mała ojczyzna” z wyboru. Mam szczęście.

ANEKS



APEL DO REGIONALISTÓW

Uniwersytet Łódzki
Interdyscyplinarny Zespół Badania Wsi



Szanowni Państwo

W dyskusji poświęconej znaczeniu regionalizmu w kształtowaniu tożsamości społeczno-kulturowej naszego społeczeństwa, brakuje refleksji związanej z etosem regionalisty, rozumianym jako zbiór wartości, postaw i wzorów zachowań. Uzasadnione wydają się zatem działania zmierzające do ukazania autowizerunku tej specyficznej grupy społeczników, cieszących się uznaniem środowiska. Jest to szczególnie istotne w kontekście płynności, zmienności i sieciowości zjawisk współczesnego świata.

Starając się uzupełnić tę lukę, działający w strukturach Uniwersytetu Łódzkiego Interdyscyplinarny Zespół Badania Wsi, opublikował 2 zbiory: *Ja – regionalista. Refleksje, stanowiska, komentarze*, Łódź 2010, ss. 136, oraz *Kim jesteś, regionalisto? Sylwetki, opinie, diagnozy*, Łódź 2012, ss. 270. Zdając sobie sprawę, że do wielu regionalistów nie dotarły informacje na temat przedsięwzięć realizowanych w poprzednich latach, otwieramy trzecią edycję projektu, nadając jej roboczy tytuł: *Być regionalistą. Inspiracje, auto-definicje, perspektywy*.

Zwracamy się zatem do animatorów działań społecznych (w sensie kulturowym, edukacyjnym, polityczno-administracyjnym i ekonomicznym), miłośników miejscowości i regionów, badaczy, folklorystów, innymi słowy wszystkich tych, którzy czują się regionalistami z prośbą o wypowiedź. Może ona posiadać charakter refleksji bardzo osobistej lub także naukowej,

określającej związek ze społecznością lokalną lub regionalną oraz z przestrzenią rozumianą jako region – mała ojczyzna.

W ramach wypowiedzi:

– Prosimy o opisanie własnej „drogi do regionalizmu”, ze szczególnym uwzględnieniem jej początków. Chodzi o próbę autorefleksji i określenia co legło u podstaw emocjonalnego i/lub praktycznego zaangażowania na rzecz najbliższej okolicy, regionu?

– Prosimy o określenie jak kształtuje się zagadnienie autorytetów w środowisku regionalistycznym? Kto dla Pani/Pana był lub jest postacią archetypiczną, wzorem, mentorem, godnym naśladowania autorytetem? Czy jest ktoś kogo uznać można za autorytet dla szerszego środowiska, w którym Pani/Pan działa?

– Prosimy o podjęcie próby autorskiej definicji – kim jest regionalista? – w oparciu zarówno o własne doświadczenia, jak i obserwacje działań innych osób zasługujących na to miano.

– Prosimy o wyrażenie opinii jak zmiany społeczno-kulturowe, polityczne i gospodarcze ostatnich 2 dekad, wpłynęły na kształt i warunki uprawiania regionalizmu? Kim był regionalista dawniej, a kim jest obecnie? Co stanowi dziś szczególnie przedmiot troski regionalisty? Z czym wiążą się obawy lub nadzieje? Co stanowi potencjalne lub rzeczywiste zagrożenie lub szansę?

– Prosimy o nakreślenie idealnej wizji regionu i regionalizmu. Może ona mieć charakter postulatów praktycznych (planów na przyszłość) jak i zestawu oczekiwań zarówno w stosunku do samych mieszkańców jak i reprezentantów świata nauki, gospodarki, polityki etc.

– Licząc na podjęcie powyższych kwestii, nie narzucamy określonego porządku, charakteru ani schematu wypowiedzi. Nie wymagamy także konieczności bezwzględnego odniesienia się do wszystkich wspomnianych wyżej zagadnień.

[W dalszej części apelu umieszczono wytyczne edytorskie, termin realizacji projektu, adres IZBW UŁ oraz prośbę o nadsyłanie wyłącznie tekstów niepublikowanych]

BIBLIOGRAFIA

(WYBÓR)

- Biskup U., Friedel H., Stawarz A. (red.), *Edukacja regionalna – dziedzictwo kulturowe Mazowsza: materiały Letniej Szkoły Regionalizmu (Pułtusk 2005–2007)*, Warszawa 2009.
- Chlewiński Z. (red.), *Regionalizm. Idea – tradycje – perspektywy rozwoju w muzealnictwie. Materiały sesji naukowej zorganizowanej przez Muzeum Mazowieckie w Płocku z okazji jubileuszu 185-lecia muzeum płockiego 19 i 20 września 2006 roku*, Płock 2007.
- Chodubski A., Dobrzyńska H., Malinowski M., Modrzejewski A. (red.), *Regionalizm a globalizacja, Polska – Unia Europejska oraz inne zjawiska i procesy regionalne świata*, Gdańsk 2007.
- Chudziński E., *Regionalizm. Idea – ludzie – instytucje*, Warszawa 2013.
- Czapliński M., Kaszuba E., Wąs G., Żerelik R., *Historia Śląska*, Wrocław 2002.
- Damrosz J., *Ojczyzna i jej regiony*, Płock–Warszawa 2007.
- Damrosz J., Konopka M. (red.), *Regiony kulturowe a nowa regionalizacja kraju*, Ciechanów 1994.
- Foucault M., *O innych przestrzeniach. Heterotopie*, przeł. M. Żakowski, „Kultura Popularna” 2006, nr 2.
- Gmitruk J., Indraszczyk A. (red.), *Wieś i ruch ludowy w Polsce i Europie. Materiały z IV Kongresu Historyków Wsi i Ruchu Ludowego*. T. I, *W kręgu historii i tradycji*, Warszawa 2012.
- Grabowska D., *Dziedzictwo kulturowe w regionie*, „Poznaj Swój Kraj” 1996, nr 1.

- Huizinga J., *Homo ludens. Zabawa jako źródło kultury*, przeł. M. Kurecka i W. Wirp-sza, Warszawa 1967.
- Kajdanek K., *Suburbanizacja po polsku*, Kraków 2012.
- Kapuściński R., *Rwący nurt historii – zapiski o XX i XXI wieku*, Kraków 2007.
- Karpińska G. E., *Miejsce wyodrębnione ze świata. Przykład łódzkich kamienic czyn-szowych*, seria wyd. „Łódzkie Studia Etnograficzne”, tom 38, Łódź 2000.
- Kasprzyk D. (red.), *Nie tylko o wsi... Szkice humanistyczne dedykowane Profesor Marii Wieruszewskiej-Adamczyk*, Łódź 2013.
- Kielak B., *Kurpie: Puszcza Zielona – historia, kultura, tradycja*, Ostrołęka 2010.
- Kociszewski A., Omelaniuk A. J., Orzechowski K. (red.), *Tożsamość narodowa a ruch regionalny w Polsce*, Ciechanów 1998.
- Kopertowska D., *Nazwy miejscowe województwa kieleckiego. Nazwy miast i wsi, nazwy części miast i wsi oraz nazwy alei, placów, ulic i osiedli*, Kraków 1984.
- Koseski A., Turkowski R. (red.), *Polska – Mazowsze. Dzieje polityczno-militarne, gospodarka i kultura. Księga jubileuszowa dedykowana prof. Januszowi Szczepań-skemu w 65. rocznicę urodzin i 40-lecie pracy naukowej*, Pułtusk 2013.
- Kosieliński S. (red.), *Małe ojczyzny. Tradycja dla przyszłości*, Warszawa 2000.
- Kozłowski J. K., Kaczanowski P., *Najdawniejsze dzieje ziem polskich (do VII w.)*, Kra-ków 1998.
- Krupa-Ławrynowicz A., *Bałuckie chronotopy. Opowieść o łódzkiej dzielnicy*, seria wyd. „Łódzkie Studia Etnograficzne”, tom 52, Wrocław-Łódź 2013.
- Malewska-Szałygin A., Radkowska-Walkowicz M. (red.), *Antropolog wobec współ-czesności: tom w darze Profesor Annie Zadrożyńskiej*, Warszawa 2010.
- McLuhan M., *Wybór pism*, Warszawa 1975.
- Okła G. (red.), *Mała Ojczyzna Świętokrzyskie. Dziedzictwo kulturowe*, Kielce 2002.
- Omelaniuk A. J., *Regionalizm w Polsce na przełomie tysiącleci*, Wrocław-Gorzów Wielkopolski 2002.

- Omelaniuk A. J. (red.), *Integracja europejska a ruch regionalny w Polsce*, Wrocław –Ciechanów 1998.
- Ossowski S., *Dzieła*, t. III: *Z zagadnień psychologii społecznej*, Warszawa 1967.
- Skoczek T. (red.), *Spółdzielczość w budowie społeczeństwa obywatelskiego – historia i współczesność*, Warszawa 2013.
- Sługocki J., *Zagadnienia regionalizmu i tożsamości regionalnej*, Bydgoszcz 1990.
- Stawarz A., Wysocki W. J. (red.), *Polski obyczaj patriotyczny od XVIII do przełomu XX/XXI wieku – ciągłość i zmiana*, Warszawa 2007.
- Szczepański J. Turkowski R. (red.), *Miasta Mazowsza w XIX i XX wieku. Wybrane zagadnienia społeczno-gospodarcze i kulturowe (do 1939 r.)*, Pułtusk–Warszawa 2013.
- Topolski J., *Wielkopolska w rozwoju historycznym – warunki postępu badań, stan wiedzy i postulaty badawcze*, „Kronika Wielkopolski” 1975, nr 1.
- Tuan Y., *Przestrzeń i miejsce*, przeł. A. Morawińska, Warszawa 1987.
- Wijaczka J. (red.), *Region świętokrzyski. Mit czy rzeczywistość? Materiały konferencji naukowej Kielce, 23 maja 2001*, Kielce 2001.
- Wrzesiński W. (red.), *Górny Śląsk i Górnoszlązacy w II wojnie światowej*, Bytom 1997.
- Zarębski M. A., *Z dziejów regionalizmu świętokrzyskiego*, Zagnańsk 2005.



TO BE A REGIONALIST

The presented volume is a consecutive presentation of the opinions of regionalists who tried to answer questions such as: who they are, why they consider themselves to be regionalists, how they perceive their role, what is important for them, what are the sources of inspiration for activities directed at benefits of their nearest surroundings. Two similar presentations were published earlier: *Me – regionalist. Reflections, opinions, commentaries*. (Lodz 2010) and *Who are you, regionalist? Portraits, opinions, conclusions* (Lodz 2012). Both were published by The Interdisciplinary Group for Country Studies of Lodz University. They were reviewed several times, many people and institutions expressed their interest in them, many regionalists wished to take part in a similar project in the future.

As a result a decision was taken to continue the project and regionalists were asked again to make their contribution. This time 50 traditional letters arrived and about 800 emails. The response came from cultural centres, museums and various associations in which regionalists are active. Individual persons known for their regional interests and achievements were asked to contribute as well. Local media helped by presenting the information about the project on their websites.

The total of 20 texts constitutes the result. They are accompanied by short presentations made by ethnology students of Lodz University. The authors tried to answer the following questions:

- What factors, circumstances, events decided in the case of emotional and practical involvement of the regionalist? What determines the identity of regionalists? Who is the regionalist?;
- What about authorities in the regionalists environment? Who was or is the archetypal figure, model, mentor, and leading authority?;

- Can we talk about generational differences? What are the relationships between experienced and young regionalists;
- How did socio-cultural, political and economic changes over the past 2 decades, influence the shape and conditions of practising regionalism? Who was a regionalist in the past, and who is he now?;
- What are the conditions of practising regionalism in certain environments – urban, small-town, rural – and the circumstances dictated by the condition of the economic, cultural specificity and the history of the region?;
- What institutions support regionalism and how should they promote it? What do regionalists expect from them?;
- Which is a particular concern of a regionalist? What are the concerns related to? What is a potential or real threat?

Translated by *Małgorzata Kasprzyk*

EIN REGIONALIST ZU SEIN

Der dargestellte Band ist die Sammlung von Aussagen der Regionalisten, die zu einem Appell aufrufen sollen und versucht Antworten auf die Fragen zu finden: Wer sie sind?, warum sie sich für solche halten?, wie sie ihre Rolle wahrnehmen?, was für sie wichtig ist?, welche Quellen der Inspiration es für eine Vielzahl von Aktionen für die nächste Umgebung gibt? Früher wurden es zwei ähnliche Sammlungen herausgegeben: *Ich – ein Regionalist. Reflexionen, Beiträge, Kommentare* (Lodz 2010), *Wer bist du, ein Regionalist? Figuren, Meinungen, Diagnosen* (Lodz 2012). Beide Bücher wurden durch ein interdisziplinäres Team von der ländlichen Forschung die Universität Lodz veröffentlicht. Sie warten die Rezension ab, viele Menschen und Institutionen waren daran interessiert, dass sie erreichbar. Die zahlreichen Regionalisten äußerten den Wunsch, künftig in ähnlichen Unternehmungen zu partizipieren.

In diesem Betreff wurde beschlossen, das Projekt fortzusetzen und noch mal richtete es sich an die Regionalisten. Dieses Mal waren es mehr als 50 traditionelle Briefumschläge, die abgesendet wurden und E-Mails an etwa 800 Adressaten. Sie waren das Zentrum für Kultur, Museen und Verbände, wo die Regionalisten betrieben. Es steht in Kontakt mit individuellen Personen, bekannt aus regionalen Interessenverbänden. Die Empfänger waren auch die lokalen Medien, dank dem Vorschlag es im Internet zu veröffentlichen und somit das Leserspektrum zu erweitern.

In Beantwortung sendete man über 20 Texte. Das Ganze ergänzte die Aussagen der Studenten die Ethnologie an der Universität Lodz. Die Autoren versuchten die folgenden Fragen, zu beantworten:

- Welche Faktoren, Umstände, Demonstrationen, Ereignisse haben in Ihrem Fall die emotionalen und praktischen Umstände auf Ihr Engagement in der regionalen Tätigkeit? Was determiniert die Identität des Regionalisten? Wer ist ein Regionalist?
- Wie formte das Problem die Autorität in dem regionalen Kreis? Wer war, oder ist einer archetypische Person, Modell, Mentor, würdig zu folgen?
- Kann man über unterschiedliche Generationen sprechen? Wie sieht die Beziehung zwischen den erfahrenen und jungen Personen aus?
- Wie haben die Änderungen in den Sozio-Kulturellen, politischen und wirtschaftlichen Beiräume in den letzten 2 Jahrzehnten die Form und die Umstände des Regionalismus beeinflusst? Wer war ein Regionalist früher und wer ist es jetzt?
- Welche Umstände gibt es in der Auseinandersetzung im Regionalismus in bestimmten Umgebungen (kleinstädtischen, wirtschaftlichen und ländlichen), die von wirtschaftlichen Bedingungen diktiert werden?
- Welche Institutionen gibt es und auf welche Art und Weise unterstützen sie den Regionalismus oder fördern ihn? Was wird von Regionalisten erwartet?
- Was bildet den besonderen Gegenstand des sorgenden Regionalisten? Womit werden Ängste verbunden? Was zeichnet eine potenzielle oder wirkliche Bedrohung aus?

Übersetzt von *Joanna Deredas*

ETRE RÉGIONALISTE

Le tome présenté est un autre recueil des expressions des régionalistes, qui étaient inspirés par un appel social, essayant de répondre aux questions qui sont-ils, pourquoi se prennent-ils pour cela, comment interprètent-ils leurs rôle, que est-ce qu'il est important pour eux, quels sont les sources d'inspiration pour les différents mouvements pour l'entourage le plus proche. Précédemment, deux collections du même genre ont été présentées: *Moi-régionaliste. Réflexions, positions, commentaires* (Łódź 2010) et *Qui est-tu régionaliste? Silhouettes, opinions, diagnostics* (Łódź 2012). Les deux livres ont été publiés par l'équipe de recherche rural interdisciplinaire de l'Université de Lodz, ils ont eu ses critiques, de nombreuses personnes et institutions étaient intéressées par leur acquisition, plusieurs régionalistes ont exprimés le souhait de participer aux tels évènements dans l'avenir.

Par conséquent, il a été décidé de continuer le projet et il était de nouveau demandé aux régionalistes. Cette fois-ci, 50 enveloppes de correspondance traditionnelle, étaient envoyées, mais aussi un mail avec pièce jointe à environ 800 destinataires. C'étaient des centres culturels, des musées et des associations dans lesquelles travaillent les régionalistes. Les personnes individuelles connues d'intéressements et de succès dans ce sujet ont été contactées aussi. Les destinataires étaient aussi les medias locaux, ainsi la proposition c'est retrouve sur les sites internet et des services locaux.

En réponse 20 textes étaient envoyés. La totalité complète les expressions des étudiants d'ethnographie de l'Université de Łódź. Les auteurs essayent de répondre aux questions suivantes:

- Quels facteurs, circonstances et événements ont décidé dans leur cas l'implication émotionnelle et pratique dans l'activité régionaliste? Qu'est-ce qui détermine l'identité du régionaliste? Qui est le régionaliste?

- Comment la question de l'autorité dans l'environnement régionaliste? Qui était ou est l'archétype, le modèle qui est digne d'être suivi?
- Est-ce qu'on peut parler des différences générationnelles? Quelle est la relation entre les régionalistes confirmés et jeunes?
- Quels changements sociaux-culturels, politiques et économiques des deux dernières décennies ont affecté la forme et les conditions des activités régionalistes? Qui était le régionaliste autrefois et maintenant?
- Quelles sont les conditions pour la pratique du régionalisme dans certains environnements – urbains, petites villes, rurales et dans circonstances dictées par l'état de l'économie, la spécificité culturelle et l'histoire de la région?
- Quelles institutions et comment favorisent ou doivent favoriser le régionalisme? Qu'est-ce que les régionalistes attendent d'eux?
- Quelle est la préoccupation particulière du régionaliste? Les préoccupations portent sur quoi? Quelle est la menace potentielle et réelle?

Traduit par *Tomasz Kasprzyk*

BÝT REGIONALISTOU

Předkládaný svazek je další sbírkou odpovědí regionalistů, kteří se, osloveni zvláštní výzvou, pokoušeli reagovat na otázky: kým jsou, podle čeho se za takové považují, jak vnímají svoji roli, co je podle nich důležité, jaký je zdroj inspirace pro provádění mnoha rozmanitých aktivit v jejich nejbližším okolí. Dříve byly vydány dva podobné sborníky: *Ja – regionalista. Refleksje, stanowiska, komentarze*, (Łódź 2010) a *Kim jesteś regionalisto? Sylwetki, opinie, diagnozy* (Łódź 2012). Obě publikace vydal Interdyscyplinary Zespół Badania Wsi Uniwersytetu Łódzkiego (Meziorborový tým výzkumu vesnice Univerzity Lodž), dočkaly se recenzí, mnoho osob i institucí projevilo zájem o jejich získání, mnoho regionalistů projevilo ochotu podílet se v budoucnu na podobném díle.

Proto bylo rozhodnuto o pokračování projektu a znovu byli regionalisté osloveni s výzvou. Tentokrát bylo posláno 50 tradičních dopisů a hlavně byla rozeslána elektronická pošta s přílohou na téměř 800 adres. Byla to kulturní centra, muzea a sdružení, ve kterých působí regionalisté. Kontaktování byli také jednotlivci, kteří se regionalistkou zabývají a dosáhli v ní mnohých úspěchů. Adresáty byla též místní média, díky čemuž se výzva objevila na mnoha popularizačních internetových stránkách a lokálních informačních webech.

Jako reakce přišlo 20 textů. Celek doplňují exposé studentů etnologie Univerzity Lodž. Autoři se pokoušeli odpovědět na následující otázky:

- jaké faktory, okolnosti, události rozhodly v jejich případě o emocionálním a praktickém zapojení do činnosti regionalisty? Co určuje identitu regionalisty? Kdo je regionalista?
- jak se utváří otázka autorit v regionalistce? Kdo byl nebo je archetypální postava, vzorem, mentorem, autoritou hodnou následování?

- je možno hovořit o generačních rozdílech? Jaké jsou vztahy mezi zkušenými a mladými regionalisty?
- jaké změny společensko-kulturní, politické a ekonomické v posledních dvou desetiletích měly vliv na podobu a podmínky praktikování regionalistiky? Kdo byl regionalista dříve a kdo je dnes?
- jaké jsou podmínky pro praktikování regionalistiky ve specifických prostředích – městském, maloměstském, venkovském – a okolnosti diktované hospodářským stavem, kulturní specifičností a historií daného regionu?
- jaké instituce a jak podporují nebo by měly podporovat regionalistku? Co regionalisté od nich očekávají?
- co určuje předmět obav regionalistů? S čím se vážou obavy? Co tvoří potencionální nebo skutečnou hrozbu?

Přeložil *Michal Rak*